TELEWIZJA: DZIECI NA WYNAJEM

JAK DOJECHAĆ BEZ AUTA

DARIUSZ ROSIAK: RWANDA KŁAMIE

MASŁOWSKA KONTRA RAP

Kraków 21 maja 2023 nr 21 (3854)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

SIOSTRA MAŁGORZATA CHMIELEWSKA

Miłość na zawołanie

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

DODATEK
KATALOG COPERNICUS FESTIVAL 2023

TYGODNIK POWSZECHNY

NOWA KSIĄŻKA NASZEGO DUSZPASTERZA

Wybór tekstów ks. Adama Bonieckiego,

tych publikowanych – ale również nowych impresji i wspomnień.

Co je łączy?

Uważność. Optymizm. Spokój. Nadzieja.

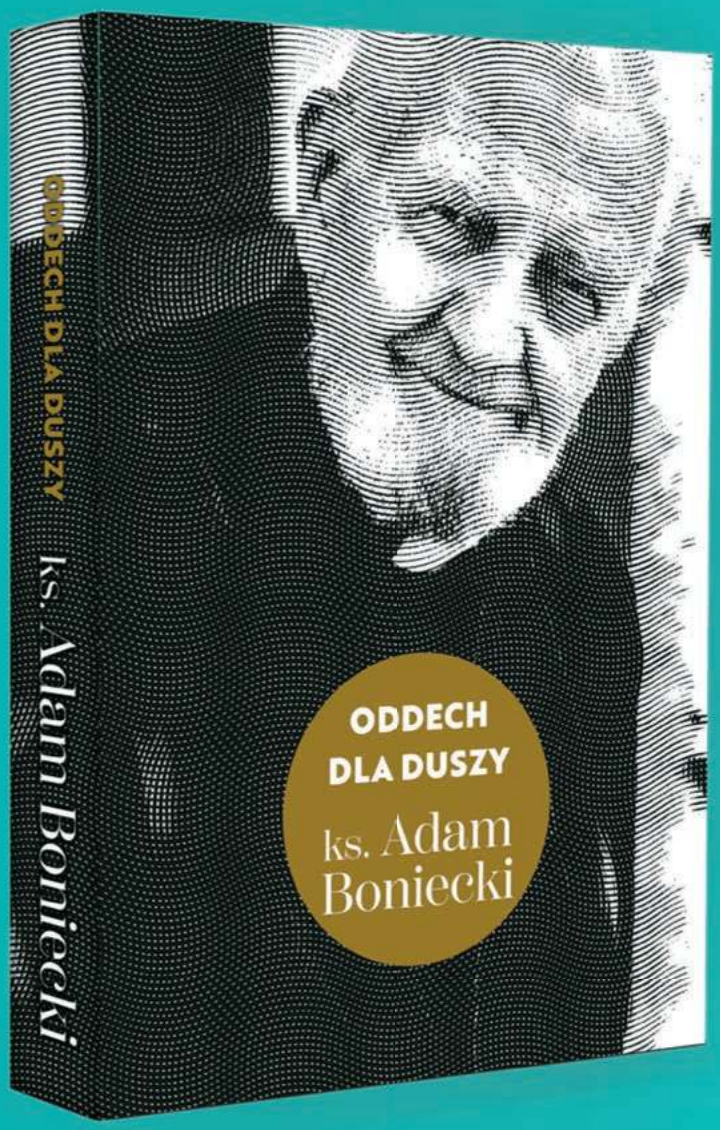

PRZEDSPRZEDAŻ NA VIVELO.PL

PREMIERA W KSIĘGARNIACH 14 CZERWCA 2023

Książka lub e-book w promocyjnej cenie TYLKO w księgarni Vivelo.pl

Zamówienia hurtowe oraz indywidualne, współpraca, spotkania autorskie: zamowienia@TygodnikPowszechny.pl

WYDAWCA

HARDE WYDAWNICTWO

vivelo.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNERZY WYDANIA

„Tygodnik Powszechny" dziękuje swoim partnerom i dobroczyńcom za pomoc przy wydaniu książki – **Miastu Kraków**, **Miastu Gdańsk**, firmom **Orange Polska** i **Santander Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych S.A.**, **Stowarzyszeniu Autorów ZAiKS** oraz **Polskiej Radzie Biznesu**.

Kraków

GDAŃSK

Santander Fundusze Inwestycyjne

zaiks sprzyjamy wyobraźni

Polska Rada Biznesu

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Siostra*

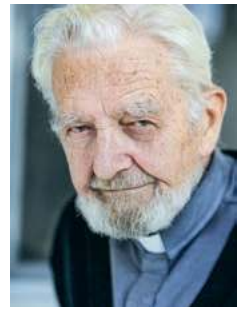

W rozmowie z Przemysławem Wilczyńskim siostra Małgorzata Chmielewska o nowym domu mówi tylko tyle, że jest piękny, że był drogi, że w jego budowie pomogła Fundacja Biedronka, a gabinet lekarski ufundował Owsiak, dokładając się do darczyńców. Siostra cieszy się domem, ale wie, że mimo niego tysiące ludzi starych i chorych nadal skazuje się na żebractwo. Wątek urywa się szybko. Taka jest właśnie siostra Chmielewska. Kiedy Przemysław chce rozmawiać z nią o byciu niezależnym, natychmiast reaguje: „Niezależne życie w ogóle nie istnieje. Po prostu jesteśmy stworzeni do miłości i wspólnoty". Przemek się dziwi, bo uważał siostrę za „synonim kobiety niezależnej". A ona jest po prostu niezależna, tylko że jeszcze bardziej. I tak rozmawiają, najpierw nieco żartobliwie, by przejść do spraw, z których się nie daje żartować, o losie ludzi starych i chorych. I o emigrantach z Ukrainy...

To bardzo typowe dla siostry Małgorzaty, że nie mówi ogólników, lecz przytacza fakty, które zna z doświadczenia. Mówi o starych, schorowanych ludziach żyjących między nami, którymi nikt się nie interesuje („oczywiście nie zawsze" – dodaje siostra, która nie chce być niesprawiedliwa).

Siostra Małgorzata, jeśli o czymś mówi, to wie dobrze, o czym. Zna ten nasz świat z codziennego z nim obcowania, ale od innej strony. Z teorii też zna, ale jakoś się nad nią nie rozwodzi. Nie jest fantastką, jej oczekiwania są uzasadnione, a rozczarowania – jeszcze bardziej. Bo 1900 zł miesięcznie nie może wystarczyć. „Na samo ubranie i wyżywienie by wystarczyło – stwierdza siostra – ale jemu (będącemu pod jej szczególną opieką Arturowi) do godnego życia trzeba zapewnić różne rzeczy, ukochane gadżety, fryzjera, dentystę, lekarza". Tu następuje konkluzja: „Tysiące niepełnosprawnych i chorych ludzi skazuje się w tym kraju na żebractwo". Siostra Małgorzata nie tylko opiekuje się takimi ludźmi, ale także jest ich głosem. W internecie jest też tego wiele (najbardziej lubię rekolekcje), choć przecież nie wszystko. Żeby wiedzieć, o co tu zasadniczo chodzi, wystarczą jej zapiski na blogu. Jeśli ktoś nie ma internetu – wystarczą Cztery Ewangelie.

Mówi się dziś o kryzysie, jaki przeżywa chrześcijaństwo. Liczba kleryków w seminariach spadła, wierni kontestują nabożeństwa, wielu wypisało się z Kościoła formalnie, inni zostali, ale się oddalili – bez formalności. Na tę epokę trafiła siostra Chmielewska, która nigdy nie narzekała na dzisiejsze czasy. Ma ręce pełne roboty, jak to prawdziwi chrześcijanie. Ci od szpitali polowych. Był czas, kiedy mieliśmy brata Chmielowskiego, jest czas, kiedy mamy siostrę Małgorzatę. Brat Albert założył dwa zakony, które po dziś dzień opiekują się biednymi i starymi ludźmi. Siostra Małgorzata znalazła inną formę tej opieki, bardziej może pasującą do współczesnych czasów.

Przedmiotem niekończących się dociekań jest ustalanie jej statusu kościelnego i – siłą rzeczy – cywilnego. Pomijam ten wątek, bo mnie nie obchodzi. Ważny jest człowiek z charyzmatem. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Nasze autorki i autorzy na Targach Książki Vivelo!

WARSZAWA, STADION NARODOWY 18-21 MAJA

SOBOTA, 20 MAJA:
godz. 15.30 „Nowa fala reportażu". **Mariusz Szczygieł** rozmawia z **Katarzyną Chudyńską-Szuchnik**, **Anną Goc** oraz **Ewą Plutą**

NIEDZIELA, 21 MAJA:
godz. 11.00 spotkanie z **Katarzyną Kubisiowską** wokół książki „Się żyje. Kora. Biografia" na stoisku wydawnictwa ZNAK (15/C4)
godz. 11.00 podpisywanie książek przez **ks. Adama Bonieckiego** na stoisku Tygodnika Powszechnego (16/G)

ZAPRASZAMY!

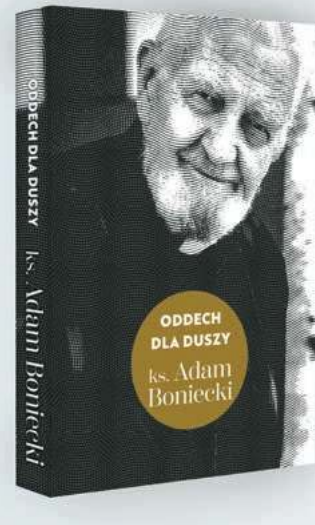

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

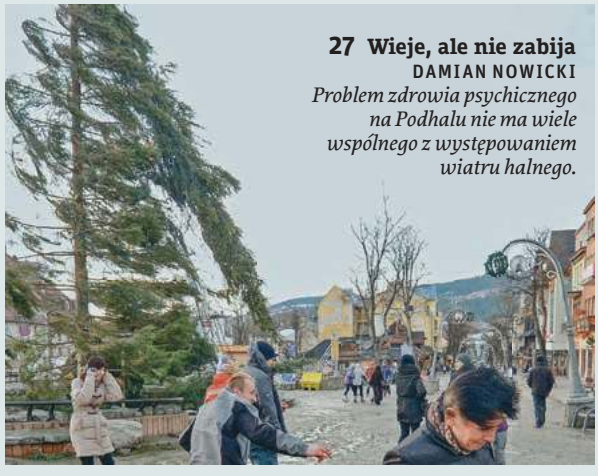

27 Wieje, ale nie zabija
DAMIAN NOWICKI
Problem zdrowia psychicznego na Podhalu nie ma wiele wspólnego z występowaniem wiatru halnego.

58 Obalmy prawa przyrody
ŁUKASZ LAMŻA
A jeśli światem nie rządzą żadne „prawa", lecz obyczaje, natręctwa albo nawet mody?

32 Miłość na zawołanie
Mój syn, Artur, ma szczęście, bo się z nim dzielę rentą, a i darczyńcy coś dorzucą. Tysiące podobnych do niego niepełnosprawnych i chorych ludzi skazuje się w tym kraju na żebractwo
– mówi SIOSTRA MAŁGORZATA CHMIELEWSKA *w rozmowie z* PRZEMYSŁAWEM WILCZYŃSKIM.

48 Prawda o Rwandzie
DARIUSZ ROSIAK
Państwo założone na micie odkupienia po ludobójstwie z 1994 r. cieszy się dziś opinią oazy sukcesu i pokoju. Ale to kłamstwo.

78 Królowa Słońce
SEBASTIAN SMOLIŃSKI
Joan Collins jest diwą moszczącą się w łożu z odpadków popkultury. Ale w tej poślednej jakości pościeli ona sama jaśnieje niedościgłym blaskiem.

64 Czego ona tu szuka
OLGA DRENDA
Prób zaanektowania Doroty Masłowskiej było sporo, ale ona zawsze miała gotowe wyjście ewakuacyjne. Tak jak teraz.

BARTŁOMIEJ JURECKI / FORUM // ZOEL DZUL / MEDIA DRUM WORLD / EAST NEWS // YASUYOSHI CHIBA / AFP / EAST NEWS // GRAŻYNA MAKARA // EDDIE SANDERSON / GETTY IMAGES // GRAŻYNA MAKARA

6 Kto następny po Kamilu
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

42 Tygodnik Czytelników
Polemika Jana Grabowskiego z Michałem Okońskim

KRAJ

20 Trzeba się uśmiechać
ANNA GOLUS *odsłania ciemną stronę telewizyjnych talent shows z udziałem dzieci*

24 Sto recept dziennie
MAŁGORZATA SOLECKA: *Przez internet można dziś zamówić silne leki psychotropowe*

27 Wieje, ale nie zabija
DAMIAN NOWICKI

WIARA

32 Miłość na zawołanie
ROZMOWA Z SIOSTRĄ MAŁGORZATĄ CHMIELEWSKĄ

37 Anglikanie na progu schizmy
ŁUKASZ OSTRUSZKA: *We wspólnocie anglikańskiej trwa spór o błogosławienie par homoseksualnych*

39 Zranione boskie życie
PIOTR SIKORA: *Uroczystość wniebowstąpienia Jezusa może być opowieścią o tym, że Bóg przyjmuje każde cierpienie*

ŚWIAT

44 Pekin nie może nas dogonić
ROZMOWA Z ELBRIDGE'EM A. COLBYM: *Chiny robią dziś postępy w każdej dziedzinie militarnej. USA muszą się skupić na Azji*

TEMAT TYGODNIKA

12 Polska bez auta nie dojedzie
KAROL TRAMMER
Od 1989 r. kolejne rządy podtrzymują w Polsce absurdy funkcjonowania komunikacji publicznej – hamując w ten sposób rozwój kraju.

15 CPK: szansa dla regionów?

16 Co dalej z samochodem?

PAWEŁ MAŁECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

DODATEK

KATALOG COPERNICUS FESTIVAL 2023: KOSMOS

FELIETONY

30 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 ZUZANNA RADZIK **63** ELIZA KĄCKA
76 OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA, MAJ 2023 R.
FOTOGRAFIA GRAŻYNA MAKARA

Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

48 Prawda o Rwandzie
DARIUSZ ROSIAK

52 Autoterapia po czesku
MARTYNA WASIUTA *o tym, jak Czesi przepracowują zbiorowo traumę pandemii*

HISTORIA

56 Adiutantka Redaktora
WOJCIECH KONOŃCZUK *przybliża biografię Zofii Hertz, bez udziału której nie byłoby zapewne fenomenu paryskiej „Kultury", bowiem do spraw praktycznych Jerzy Giedroyc nie miał głowy*

NAUKA

58 Obalmy prawa przyrody
ŁUKASZ LAMŻA

KULTURA

64 Czego ona tu szuka
OLGA DRENDA

68 Gniewni przeciw gnuśnym
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZK *o twórczości Érica Vuillarda*

71 Człowiek stamtąd
DOROTA KOZIŃSKA: *Pytany, jak długo ćwiczy przed koncertem, pianista Grigorij Sokołow mówi, że 24 godziny na dobę – budując w głowie interpretację i nawet o niej śniąc*

74 Za lasem
ANITA PIOTROWSKA *zaprasza na film „Prześwietlenie" Cristiana Mungiu*

75 Dwie twarze Elizy K.
LEKTOR *o książce „Idiomy. Eseje" Elizy Kąckiej*

78 Królowa Słońce
SEBASTIAN SMOLIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Pakistan na krawędzi [Strona świata]
Pakistan, jeden z najludniejszych krajów globu i jedyne atomowe mocarstwo świata islamu, zbliża się do krawędzi przepaści – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | **TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata**

Projekt Ja [Co obejrzeć w weekend]
Niechaj pierwszy rzuci kamieniem, kto nigdy nie fantazjował o własnym pogrzebie – **ANITA PIOTROWSKA** o filmie „Chora na siebie" | **TygodnikPowszechny.pl/weekend**

Serwisy specjalne: patrz szerzej
GOSPODARKA TRZESZCZY
Wojna, waluty i inflacja: co nas czeka?
WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/GOSPODARKA

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

KTO NASTĘPNY PO KAMILU

O takich jak on, zakatowanych chłopcach i dziewczynkach, piszę od kilkunastu lat. Zawsze z tym samym poczuciem powtarzalnego i przewidywalnego nonsensu.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Uroczystości pogrzebowe Kamila na cmentarzu w Częstochowie. 13 maja 2023 r.

W styczniu 2011 r. na przykład dowiedziałem się od ekspertów, jak ważne są w takich historiach dobrze działające instytucje. I jak istotna jest współpraca między nimi: bo co z tego, że MOPS wie od lat o przemocy w rodzinie X, skoro nie przekazał tej informacji sądowi rodzinnemu? Eksperci dawali te rady, gdyż kilka dni wcześniej w Żninie zakatowano dwuletnią Wiktorię. Ojciec twierdził, że zabiła się przypadkowo, sama.

W lutym 2012 r. w sosnowieckiem parku zobaczyłem górę kwiatów, sterty maskotek i tłum zapłakanych. A potem zadzwoniłem do Ewy Woydyłło-Osiatyńskiej, która powiedziała mi, że zanim wydarzy się coś nieodwracalnego, to po drodze są ludzie, którzy wolą nie wiedzieć i nie słyszeć. „Jest takie afrykańskie powiedzenie, po polsku brzmiałoby: »Aby wychować dziecko, potrzebna jest cała wioska« – mówiła psychoterapeutka. – Powstają książki, prace naukowe na temat wychowywania dzieci, ale nikt chyba nigdy nie powiedział na ten temat niczego mądrzejszego. Ta »wioska« to umowny termin na określenie nas, ludzi dookoła, którzy czujemy, że to dziecko biegające

w pobliżu na podwórku też w jakimś sensie do nas należy. Tyle że dzisiaj większość dzieci wychowuje się już w zupełnie inny sposób. Nawet szkoła, przedszkole zdają się mówić: »To nie nasze dziecko«. Wydaje się, jakby ta dziewczyna żyła sama na bezludnej wyspie. Ale przecież okazało się, że są tysiące wpisów w internecie, komentarzy, reakcji. Więc to nie była żadna bezludna wyspa, tylko wyspa obcego plemienia, które teraz ostrzy sobie zęby, zaciska pięści i szykuje się na lincz".

Dziewczyna z bezludnej wyspy to Katarzyna, mama Madzi z Sosnowca. To ona (jak ustali później sąd) zabiła dziecko, a następnie ukryła ciało w parku niedaleko mieszkania.

W lipcu 2019 r. znów usłyszałem o instytucjach. Np. że w Polsce (w odróżnieniu chociażby od krajów skandynawskich) jeśli instytucja ma do wyboru ryzyko dla życia i zdrowia dziecka albo medialny szum z zarzutami, iż „rozbija rodzinę" – raczej wybierze to pierwsze. Taki mamy klimat: pracownicy socjalni, kuratorzy, a na końcu sędziowie dają szanse biologicznym rodzicom, nawet jeśli ci stosują przemoc. Eksperci mówili mi o tym zjawisku, gdy najpierw urzędnicy odebrali dziecko młodej dziewczynie zażywającej substancje psychoaktywne, a potem sąd rodzinny – dając wiarę, że wszystko jest już na dobrej drodze – postanowił to dziecko zwrócić. Trzy miesiące później 9-miesięczna Blanka z Olecka już nie żyła.

Wtedy też po raz pierwszy usłyszałem, że w innych krajach funkcjonują procedury i systemy analizujące drastyczne przypadki przemocy wobec dzieci. Wprowadzenia ich w Polsce zaczęła się wówczas domagać Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę. Jej prezeska, Monika Sajkowska, mówiła „Tygodnikowi", że po każdej podobnej tragedii powstają lokalne raporty i diagnozy, tyle że one wszystkie „nigdy się ze sobą nie spotykają". „Za każdym razem widzimy, jak dziurawy jest to obraz, do jak wielu danych nie ma dostępu. Nawet wiele informacji wiktymologicznych, dotyczących najbardziej drastycznych przestępstw, to statystyki ogólne, bez wyszczególnienia wieku ofiary" – mówiła Sajkowska.

W styczniu 2020 r. dostałem list. „Blanka nie będzie ostatnia, jeśli wiele się w naszym społeczeństwie nie zmieni" – pisała S., jak się później okazało, siostra kobiety oskarżonej, a potem skazanej za zabójstwo dziewczynki. A już w Olecku przedstawiła mi wraz z drugą siostrą podejrzanej rodzinną wersję tragicznych wydarzeń. Mówiły o tym, że po urodzeniu dziecka Anna – nadużywająca substancji psychoaktywnych – nie dostała od żadnej instytucji wsparcia, i to rodzina musiała opiekować się Blanką; że to na wniosek rodziny Annie odebrano w końcu dziecko, ograniczając jej prawa; że sąd podjął decyzję o powrocie dziecka do matki, nie wzywając sióstr na świadków.

Teraz, w czwartek 11 maja, S. znowu przysłała list. „Siostra dostała w marcu wyrok 25 lat, ale nie w tym rzecz... W czerwcu miną 4 lata od zabójstwa Blanki, wtedy też padały wzniosłe hasła o kontrolach instytucji i zmianach systemu, a jak pokazuje historia Kamilka, jest jeszcze gorzej".

Kamilek to 8-latek z Częstochowy, o którym mówi teraz cała Polska. Zmarł 8 maja, po tygodniach walki lekarzy o jego życie. Wcześniej był katowany przez ojczyma, partnera biologicznej matki chłopca.

O tym, że istnieje poważne podejrzenie stosowania wobec dziecka przemocy, wiedzieli urzędnicy, policja i szkoła. I przede wszystkim sąd, który w kolejnych orzeczeniach nie widział „podstaw do zmiany zarządzeń opiekuńczych", zaś w listopadzie 2022 r. – po tym, jak dziecko zostało znalezione na przystanku w piżamie – przydzielił kuratora i zobowiązał do współpracy z asystentem rodziny. Dziecka jednak z rodziny zabrać nie nakazał.

Ta historia nie różni się niczym specjalnym od wcześniejszych. Doszukamy się w niej braku współpracy instytucji. Będzie w niej też zapewne opustoszała „wioska" z wypowiedzi Woydyłło-Osiatyńskiej. I typowo polskie, systemowe *modus operandi*, czyli ochrona rodziny mylona z ochroną dziecka. „Proaktywna ochrona dzieci wiąże się ze zdjęciem lśniącego pazłotka z ikony świętej rodziny biologicznej, w której z założenia nie może dziać się przemoc" – komentowała częstochowską tragedię na Facebooku Anna Krawczak, badaczka Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem UW, ale też działaczka na rzecz ochrony praw dzieci.

Krawczak przypominała, że bierność instytucji, ich niekompetencja, brak współpracy – to nie cała polska upiorna bieda. Druga jej część to brak instytucji i przepisów mających chronić dzieci, nie zaś dorosłych. Nie mamy, pisała, żadnego aktu prawnego poświęconego ochronie dzieci, nie posiadamy krajowej strategii walki z przemocą. „Nie rozumiem więc – dziwiła się działaczka – dlaczego ludzie są zdziwieni, że kolejne dzieci w Polsce giną wskutek maltretowania. Byłoby nad wyraz dziwne, gdyby przy tej skali systemowej bierności udawało nam się zejść ze wskaźników krzywdzenia".

Jest na tej długiej liście przykładów bierności pozycja szczególna: politycy. Tragedia dziecka nie ma barw, mówi się często przy takich okazjach: „nie mieszajmy jej do polityki". Co jednak, jeśli to politycy, zamiast milczeć, narzucają się z nieśmiertelnymi refrenami, tak przewidywalnymi jak kolejne przypadki śmierci dzieci? Jak skomentować wypowiedź ministra Ziobry, że „niestety, mamy w Polsce tylko dożywocie", albo podobne stwierdzenia premiera Morawieckiego?

Co robiła w tej sprawie przez cztery ostatnie lata Kancelaria Prezydenta, odkąd Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę zaprosiła ją do współpracy nad stworzeniem specjalnej ustawy? Czy nad jakimikolwiek systemowymi wnioskami dotyczącymi podobnych tragedii pracowało podległe premierowi Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej? Co zrobił przez lata RPD Mikołaj Pawlak? Czy politycy prawicy zrewidowali przez ostatnie lata swój powtarzany po wielokroć refren, iż głównym polskim problemem jest zbyt pochopne odbieranie dzieci z zagrożonych rodzin (tylko „za biedę", jak twierdziło w przeszłości wielu z nich)?

W tej historii puenta też jest, niestety, przewidywalna. Zmienia się w niej tylko imię dziecka. ©℗

Gra tragedią

PO ŚMIERCI KAMILA premier Morawiecki polecił ministrowi Ziobrze zaostrzenie kodeksu karnego, a przy okazji określił się jako zwolennik przywrócenia kary śmierci dla najbrutalniejszych przestępców. To pokazuje, że PiS znów gra na emocjach części społeczeństwa, żądnego zemsty za śmierć chłopca.

PREMIER wrzuca na (wyborczą) agendę ten temat, choć wie, że i tak nic nie zrobi, bo odstąpienie od kary śmierci jest w zjednoczonej Europie fundamentem prawa, a my musielibyśmy wypowiedzieć Europejską Konwencję Praw Człowieka. Podawanie tej zasady w wątpliwość przez premiera dużego państwa Unii to wstyd.

PAMIĘTAJMY TEŻ, że Kościół katolicki już od dawna jest przeciwny karze śmierci. W piątym przykazaniu mamy wyraźne: „Nie zabijaj". Na końcu jest kropka, a nie przecinek, po którym można dopisać wyjątki. Robiono to przez wieki, popełniając liczne zbrodnie, a także myląc się przy skazywaniu sprawców, o czym wiemy, odkąd dostępne są badania DNA. Dobrze, że ten czas minął.

©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

WALDEMAR DESKA / PAP

Pasterz na prywatnym pastwisku

ŁUKASZ KWIATEK

Przemysław Czarnek podzielił się w radiu opinią o Barbarze Engelking i o proteście przeciwko państwowej nagonce na nią, podpisanym przez ponad tysiąc przedstawicieli świata nauki. Mówił o „zwykłym antypolskim chamstwie" i odbieraniu środków Instytutowi Filozofii i Socjologii PAN, który badaczkę Zagłady zatrudnia („Pieniądze państwowe nie są od tego, by profesorowie utrzymywani za pieniądze polskich podatników szkalowali Polskę i dobre imię Polaków (...). Proszę to sobie robić za własne pieniądze"). Były także groźby pod adresem sygnatariuszy listu („Oczywiście widziałem te nazwiska, będziemy na to reagować").

Wygląda na to, że minister chciałby ograniczać środki nie tylko badaczom, których uważa za „antypolskich", ale wszystkim, którzy przypominają, że miejscem naukowej debaty są specjalistyczne czasopisma, a nie polityczne wiece. Jednak nawet jeśli podejmie taką decyzję – co potrafię sobie wyobrazić – to ona niewiele zmieni, bo w polskiej nauce i tak pieniędzy nie ma. Inflacja dobija akademię, bo rosną koszty życia i prowadzenia badań. Narodowe Centrum Nauki, nadal nieskolonizowane przez władzę, finansuje już tylko 7-13 proc. projektów zgłoszonych w różnych konkursach. Narodowe Centrum Badań i Rozwoju – nadzorowane przez inne ministerstwo – należałoby zlikwidować po tym, jak wykryto w nim szajkę wyprowadzającą granty dla osób powiązanych z politykami prawicy.

Postronnym obserwatorom pozostaje tylko żenujące przypominanie ministrowi o możliwości nietraktowania środowiska naukowego jak stada baranów, a publicznych środków – jak prywatnego pastwiska. ©℗

LICZBA TYGODNIA

68,5

Tyle procent prądu w polskich gniazdkach pochodziło z odnawialnych źródeł rankiem 10 maja. W historii naszej energetyki to rekord. Nie utrzyma się długo, bo mimo barier prawnych i technicznych, inwestycje w OZE są nie tylko potrzebne, ale też opłacalne. Dobra wiadomość: stara sieć energetyczna poradziła sobie, gdy fotowoltaika i wiatraki pracowały na pełnych obrotach. Nadwyżki prądu sprzedaliśmy do Czech, Słowacji i Ukrainy. ©℗ KS

KRAJ W SKRÓCIE

OSIEMSET PLUS

Po miesiącach deklaracji, że to wykluczone, Jarosław Kaczyński na konwencji programowej PiS zapowiedział, że od nowego roku program 500 plus zmieni się w 800 plus, za którym pójdą bezpłatne leki od 65. roku i do 18. roku życia, a także darmowe przejazdy państwowymi autostradami. Wcześniej, bagatela, trzeba wygrać wybory.

MAREK BARCZYŃSKI / EAST NEWS

CZTERDZIEŚCI PLUS

Mateusz Morawiecki ogłosił, że rząd przeznaczy 40 mln zł na rozbudowę stadionu Rakowa Częstochowa. Klub, który zdobył właśnie mistrzostwo Polski, dzięki wsparciu z publicznych pieniędzy będzie mógł rozgrywać na obiekcie mecze europejskich pucharów.

PIĘĆ MINUS

Na 31 maja wyznaczono nowy termin rozprawy Trybunału Konstytucyjnego w sprawie sporu kompetencyjnego między prezydentem a Sądem Najwyższym. Na razie organ kierowany przez Julię Przyłębską jest sparaliżowany – co najmniej pięciu sędziów uznaje, że kadencja pani Julii upłynęła i powinno się wybrać nowego prezesa.

ZERO (KALORII)

Katolicki Uniwersytet Lubelski otwiera kierunek lekarski – informuje „Gazeta Wyborcza". Szefową Instytutu Nauk Medycznych została żona ministra edukacji, która ma doktorat z biologii i wykłada dietetykę.

Miliardy poszły w las

ROSYJSKA RAKIETA CH-55, której szczątki znaleziono pod koniec kwietnia w lesie opodal Bydgoszczy, zapewne nie miała ładunku wybuchowego. Szkody, jakie spowodowała, nie ograniczają się jednak do płytkiego leja i kilku złamanych drzew. Incydent doprowadził do znacznie groźniejszej eksplozji: w relacjach między armią a rządem. Najpewniej nie pozostanie też bez wpływu na zaufanie społeczeństwa do wojska.

Winę za to, że potencjalnie śmiercionośny obiekt przeleciał ok. 300 kilometrów w polskiej przestrzeni powietrznej, a potem jeszcze przeleżał pięć miesięcy w krzakach, szef resortu obrony Mariusz Błaszczak zrzucił na dowódcę operacyjnego Wojska Polskiego, gen. Tomasza Piotrowskiego. Zdaniem ministra, Centrum Operacji Powietrznych, do którego należało monitorowanie lotu rosyjskiego pocisku, nie złamało wojskowych procedur. Najsłabszym ogniwem, który doprowadził do przerwania łańcucha procesu decyzyjnego, miał być właśnie Piotrowski, który nie poinformował na czas cywilnych zwierzchników o zagrożeniu. Wedle informacji Onetu, minister obrony zażądał jego dymisji. Oczekuje też złożenia rezygnacji od szefa sztabu generalnego, gen. Rajmunda Andrzejczaka.

Mariusz Błaszczak nie ma sobie w tej sprawie nic do zarzucenia. Z oburzeniem odrzuca sugestie, jakoby to on nakazał wstrzymać poszukiwania szczątków obiektu (zakończono je już po trzech dniach). W jego opowieści jest więc zły generał, oddani ojczyźnie szeregowi żołnierze i politycy wzorowo realizujący cywilną kontrolę nad armią. Brakuje za to choćby słowa wyjaśnienia, jak to możliwe, że nad państwem budującym właśnie – wedle słów samego Błaszczaka – najsilniejszą armię lądową Europy, stara rosyjska rakieta fruwa sobie niczym nie niepokojona. A gdy w końcu sama spada, nikt jej nie szuka.

W tym roku budżetowe i pozabudżetowe wydatki na obronę zbliżą się do 150 mld zł, zainwestujemy zatem więcej w armię i sprzęt dla niej niż w ochronę zdrowia 38 mln obywateli. Podbydgoską kompromitację można uznać za argument dla dalszego dozbrajania wojska kosztem innych sfer życia publicznego, bądź przeciwnie – za dowód na to, że w tym worku w kolorze moro da się utopić każdą sumę.

Ciekawe, kto zdaniem Błaszczaka będzie winny, kiedy okaże się, że po Bydgoszczy Polacy stracą entuzjazm do budowania z ich podatków najsilniejszej armii lądowej Europy. ©℗ MAREK RABIJ

DEPO PHOTOS / ZUMA PRESS / FORUM

ZMIANA W TURCJI? MAŁO PRAWDOPODOBNA. Na godzinę przed wysłaniem do druku tego numeru wydawało się, że jeżeli nawet miałoby do niej dojść, to dopiero 28 maja. Wtedy w II turze wyborów prezydenckich zmierzą się Recep Tayyip Erdoğan i Kemal Kılıçdaroğlu, którzy w I turze otrzymali, odpowiednio, 49 i 45 proc. głosów (wyniki nieoficjalne). Ewentualna porażka Erdoğana – który najpierw jako premier, a teraz prezydent rządzi w Turcji od dwóch dekad – może oddalić groźbę rozwoju autorytaryzmu w tym kraju. Na zdjęciu: zwolennicy prezydenta pod siedzibą jego Partii Sprawiedliwości i Rozwoju w Ankarze, 14 maja 2023 r. © ŻYM

W oczekiwaniu na ukraińską „Normandię”

WOJCIECH KONOŃCZUK

Pod Bachmutem doszło w ostatnich dniach do aktywizacji działań wojsk ukraińskich, którym w niektórych miejscach frontu udało się odepchnąć Rosjan na kilka kilometrów. Wywołało to nową falę spekulacji, czy mamy początek zapowiadanej od miesięcy kontrofensywy.

Na tym etapie wygląda to jednak głównie na próbę dezorientowania przeciwnika. Ukraina niezmiennie deklaruje, że odzyska to, co straciła, choć – co zrozumiałe – nie zdradza szczegółów przyszłego kontrnatarcia. Częścią przygotowań są liczne ataki na rosyjskie bazy paliwowe i logistykę w obwodach sąsiadujących z Ukrainą. W minioną sobotę doszło również do jednej z największych porażek we współczesnej historii rosyjskiego lotnictwa wojskowego. W obwodzie briańskim rozbiły się dwa helikoptery Mi-8 oraz myśliwce Su-34 i Su-35. Wszystko wskazuje na to, że Ukraińcy przyłożyli do tego rękę.

Przygotowaniom do ukraińskiej kontrofensywy towarzyszą obecne coraz mocniej w przestrzeni publicznej napięcia i frustracje w szeregach rosyjskich struktur wojskowych. Przejawem tego są kolejne wystąpienia Jewgienija Prigożyna, szefa Grupy Wagnera, który zajadle krytykuje kierownictwo rosyjskiego resortu obrony za nieefektywne prowadzenie wojny. Wołodymyr Zełenski nie ustaje zaś w wysiłkach mobilizowania Europy do dalszego wsparcia militarnego, co było kluczowym przesłaniem jego podróży do Rzymu, Berlina i Londynu. Trzeba oddać ukraińskiej dyplomacji, że w sytuacji trwającej już 15 miesięcy wojny świetnie zdaje egzamin. Ukraiński prezydent, odbierając w Akwizgranie Nagrodę Karola Wielkiego, mówił: „Droga Europo, Ukraina proponuje ci zwycięstwo, które doprowadzi do pokoju i zapewni bezpieczeństwo”. Zgromadzeni goście, w tym kanclerz Scholz, premier Morawiecki i przewodnicząca Komisji Europejskiej von der Leyen, klaskali, gdy Zełenski mówił o ukraińskiej obronie europejskich wartości.

Europa trzyma kciuki za Ukrainę, choć trudno nie mieć wrażenia, że jej wsparcie militarne wciąż jest niewystarczające. Ukraińcy mimo wszystko przygotowują się do starcia, mając nadzieję na ukraińską „Normandię”. Niebezpodstawnie – choć bez iluzji należy przyznać, że przed nimi ogromnie trudne zadanie. ©

Czy niedźwiedzica z Trydentu musi umrzeć

JEŚLI ZWIERZĘ uważa, że się broni, czemu mówimy, że atakuje? Czy zwierzę, które zabiło człowieka, należy również zabić? Dlaczego? Czy zawsze? Notuję te pytania, śledząc sprawę niedźwiedzicy JJ4 z włoskich Alp.

Gdy 5 kwietnia w gminie Caldes (region Trydent-Górna Adyga) 26-letni biegacz górski Andrea Papi wychodził z ciasnego zakrętu leśnej drogi, tuż przed nim znalazł się niedźwiedź. Gwałtownie zaatakował – nie wiadomo, czy powodował nim odruch obronny, czy agresywna osobowość. Pierwsze ślady krwi znaleziono 5 metrów od drogi, dalej leżały telefon, kijki do biegania, plecak – i ciało mężczyzny.

Niecałe dwa tygodnie później, gdy żerowała z trójką swoich młodych kilka kilometrów od miejsca tragedii, schwytano oskarżaną o atak niedźwiedzicę JJ4. W ostatniej chwili sąd administracyjny zakazał zabijania jej na miejscu; o tym, czy będzie dalej żyła, zdecyduje podczas rozprawy 24 maja (zwierzę na pewno nie wróci na wolność; może trafić do zamkniętego rezerwatu w Rumunii).

Służby leśne uznają 17-letnią JJ4 za „osobnika problematycznego”, który boi się człowieka mniej niż inne. Trzy lata temu na zboczach Monte Peller raniła ojca z synem. Jej śmierci chce prezydent i niektórzy mieszkańcy regionu. Przeciwko zabijaniu wypowiedzieli się m.in. rodzice Papiego, obecny przy jej schwytaniu weterynarz i organizacja praw zwierząt. Argumentują: założony wcześniej JJ4 lokalizator radiowy miał wyczerpane baterie, a ślady zębów na ciele biegacza wskazują na to, że sprawcą był samiec. Tymczasem 30 kwietnia w okolicy znaleziono ciało M62, innego „osobnika problematycznego” (w 2021 r. przez 10 minut nie chciał odejść od odganiających go myśliwych). Służby leśne nie wykluczają kłusownictwa. I apelują do górskich biegaczy i rowerzystów o ostrożność: niekorzystanie ze słuchawek z muzyką i czujność na zakrętach i w gęstych zagajnikach – tam, gdzie jest największe prawdopodobieństwo doprowadzenia do sytuacji, w której zwierzę poczuje się zaatakowane. ©℗ MARCIN ŻYŁA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

DO ROLNIKÓW

„Chrześcijanin nie może być człowiekiem naiwnym, ale mądrym i roztropnym, a nawet przebiegłym w trosce o dobro osobiste, społeczne i narodowe” – podkreślił, w kontekście niekontrolowanego napływu produktów rolnych z Ukrainy, abp Józef Guzdek w kazaniu do rolników. Metropolita białostocki ocenił, że rolnicy „lękają się o swoją przyszłość. Nie chodzi tu o kaprysy natury, ale o decyzje zależne od człowieka i instytucji państwowych, a nawet szerzej: Unii Europejskiej”.

DO STAROKATOLIKÓW

Niemiecka diecezja starokatolicka już drugi rok z rzędu odnotowuje wzrost liczby członków (w ostatnim roku o 540 osób, do 15 396). Tymczasem obumierają największe Kościoły, katolicki i ewangelicki: np. w 2020 r. z katolickiego odeszło 221,3 tys. wiernych. Kościół starokatolicki odrzuca sformułowany na Soborze Watykańskim I (1870 r.) dogmat o nieomylności papieża.

DO MĘCZENNIKÓW

14 maja prawosławny metropolita Sawa konsekrował świątynię św. Sofii na Ursynowie. To pierwsza od ponad stu lat prawosławna cerkiew zbudowana w Warszawie. Architektonicznie jest wzorowana na świątyni Hagia Sophia w Konstantynopolu, we wnętrzu kopuły widnieje wizerunek Chrystusa Pantokratora. Upamiętnia prawosławnych męczenników XX wieku.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

MARTA TITANIEC,
FUNDACJA ŚW. JÓZEFA

Akcja w parafiach

GRAŻYNA MAKARA

ARTUR SPORNIAK: Fundacja św. Józefa wraz z Biurem Delegata Episkopatu ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży prowadzi w parafiach kampanię informacyjną. Co chcecie przez nią osiągnąć?

MARTA TITANIEC: Chodzi o przekazanie informacji, gdzie można zgłosić historie wykorzystania seksualnego w Kościele, jakie są prawa osoby skrzywdzonej i jaką może otrzymać pomoc. W społeczeństwie dominuje opinia, że mimo prowadzonych od kilku lat intensywnych działań, Kościół nie szuka skrzywdzonych i im nie pomaga. Chcemy dotrzeć z informacją do ludzi poprzez parafie. Dlatego do wszystkich kurii rozesłany został plakat – ze schematem, jak zgłosić krzywdę i gdzie uzyskać pomoc – z prośbą do biskupów, by przekazali go parafiom. Akcja trwa na razie tydzień, a już do nas dochodzą informacje, że plakaty rzeczywiście trafiają do gablot parafialnych.

Na plakacie jest aż pięć adresów mailowych.
Dwa adresy są najważniejsze. Na stronie zgloskrzywde.pl są informacje o procedurze i prawach osoby skrzywdzonej, a także cała baza danych kontaktowych delegatów diecezjalnych i zakonnych. Strona wspolnotazezranionymi.pl dotyczy pomocy duchowej.

Większość osób skrzywdzonych, z którymi mamy kontakt, pozostaje we wspólnocie Kościoła, dlatego pomoc duchowa i towarzyszenie są im potrzebne. Trzy pozostałe adresy to dane organizatorów: Biura Delegata KEP, Centrum Ochrony Dziecka i fundacji. Na stronie fundacji (fsj.org.pl) oferowana jest pomoc prawna, terapeutyczna i edukacyjna.

Osoba skrzywdzona chce zgłosić swoją krzywdę, ale ma liczne wątpliwości – co powinna zrobić?
Wejść na stronę zgloskrzywde.pl, gdzie znajdzie potrzebne informacje, albo po prostu zadzwonić do nas pod numer 571 805 535 (czynny w czwartki od 18.00 do 20.00), a my ją pokierujemy do odpowiedniego delegata diecezjalnego.

A jeśli nie chce rozmawiać z księdzem?
W Poznaniu, Gnieźnie, Kaliszu, Toruniu, Ciechanowie i Gdańsku powstały punkty konsultacyjne, w których dyżurują przede wszystkim osoby świeckie, także kobiety, i w takim punkcie można poprosić o towarzyszenie podczas zgłaszania krzywdy.

Na co najbardziej skarżą się skrzywdzeni?
Czasami oczekują większej empatii, choć mam wrażenie, że z tym jest coraz lepiej. Chcieliby też więcej praw, np. do informacji na temat losów ich zgłoszenia. Tu problemem jest prawo kanoniczne, które wciąż przyznaje osobie skrzywdzonej status świadka, a nie strony. ©℗

MARTA TITANIEC *jest prezeską Fundacji św. Józefa, współzałożycielką Inicjatywy „Zranieni w Kościele”.*

Wspólni święci

NA LIBIJSKIEJ PLAŻY w 2015 r. terroryści ISIS ścięli 21 chrześcijan koptyjskich, którzy nie chcieli przejść na islam. Kościół koptyjski uznał ich za świętych męczenników. Kilka dni temu papież Franciszek, po spotkaniu z papieżem Tawardosem II – głową Koptyjskiego Kościoła Ortodoksyjnego, który unii z Rzymem nie przyjął – ogłosił, że, za zgodą Tawardosa II, owych 21 koptyjskich męczenników zostanie wpisanych do Martyrologium Rzymskiego – tj. że będą oni czczeni w Kościele katolickim jako święci męczennicy.

To świadectwo ewolucji, jaka zaszła w katolicyzmie. W XV w. sobór florencki podsumował „Dekret dla jakobitów”, czyli dokument o unii z koptami, następującym zdaniem: „Nikt nie może być zbawiony, choćby jego jałmużny były wielkie i choćby przelał krew dla imienia Chrystusa, jeśli nie pozostawał w łonie Kościoła katolickiego i w jedności z nim”.

Decyzja Franciszka pokazuje, jak daleko – na szczęście! – katolicyzm odszedł od mentalności soboru florenckiego. W tamtej perspektywie zbawienie – czyli ostateczne określenie relacji osoby ludzkiej do Boga – miało być zapośredniczone przez konkretną religijną organizację. Przynależność do tej organizacji miała być ważniejsza od osobistej wiary gotowej położyć na szali życie i od miłosiernej postawy moralnej wobec bliźnich. Dziś uświadamiamy sobie, że „zbawienna” relacja z Bogiem rozgrywa się w głębi serca, że jest uniwersalnie dostępna i że jej społeczny wymiar nie musi wiązać się z przynależnością do jakiejś konkretnej – np. rzymskokatolickiej – religijnej grupy.

©℗ PIOTR SIKORA

KULTURA W SKRÓCIE

DEBIUT SIENKIEWICZEM

W miniony weekend w Kolonii odbył się 21. Festiwal Debiutów Powieściowych, w którym udział wzięło 12 europejskich prozaików. Polskę reprezentował Jakub Nowak i jego wydawca, Powergraph. Powieść Nowaka „To przez ten wiatr" jest przewrotną historią inspirowaną pobytem Heleny Modrzejewskiej i Henryka Sienkiewicza w Stanach.

„CHŁOPI" IDĄ W ŚWIAT

Anna Zaranko otrzymała nagrodę Found in Translation 2023 za przekład „Chłopów" Władysława Reymonta, wydany przez Penguin Classics. A jeszcze w tym roku obejrzymy adaptację powieści zrealizowaną w trudnej technice animacji malarskiej. Za rozpowszechnienie filmu na świecie odpowiadać będzie firma, która dystrybuowała „Parasite" – zdobywcę Złotej Palmy i czterech Oscarów.

KRAKERSY: MŁODA SZTUKA

W krakowskich galeriach trwa 12. edycja Cracow Art Week KRAKERS – wydarzenie otwarte na happeningi, akcje, eksperymenty, manifesty i koncerty. Szczególnie ważna misja przyświeca konkursowej sekcji Laboratorium, mającej zachęcić do prezentacji w ramach programu głównego także tych nieposiadających stałych lokali ani miejsc – zarówno artystów indywidualnych, jak i kolektywy.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce
www.tokfm.pl

Szczepionki na nowotwór

FIRMA BIONTECH opublikowała w „Nature" wyniki wstępnych badań klinicznych spersonalizowanej szczepionki mRNA na raka trzustki. Eksperymentalną terapię podano 16 pacjentom, w aż 8 przypadkach nie doszło do nawrotu choroby, nawet po dwóch latach.

Rak trzustki jest jednym z najbardziej zabójczych nowotworów, powoduje śmierć aż 88 proc. chorych. Guzy można usunąć chirurgicznie, a następnie zastosować chemioterapię, ale u większości pacjentów dochodzi do wznowy raka w ciągu zaledwie siedmiu do dziewięciu miesięcy. Radioterapia, immunoterapia czy terapie celowane nie są skutecznym leczeniem.

Lekarze prowadzący badanie w Memorial Sloan Kettering Cancer Center w Nowym Jorku usunęli guzy pacjentów i wysłali tkanki do laboratorium w Niemczech, gdzie DNA komórek rakowych porównano z DNA zdrowych komórek krwi. Dzięki temu zidentyfikowano białka obecne na powierzchni guza, w które można celować szczepionką mRNA, nie szkodząc zdrowym tkankom. Celem szczepionki było instruowanie limfocytów T, tak aby wytwarzały te same białka, które znajdują się na wyciętych guzach, wywołując przeciwnowotworową odpowiedź immunologiczną i zapobiegając wznowieniu choroby.

© ANNA BARTOSIK

JACEK TARAN

BookGame w Krakowie: od Mickiewicza do Lovecrafta

KONRADO-GUSTAW jest odważny i może się przemieniać w upiora, ale – nieszczęśliwie zakochany – zarobi na nasze konto kilka Punktów Obłędu. Lepiej już grać Guślarką posiadającą „wysoki skill w ziołolecznictwie" oraz „szacun na wsi", choć – jeśli wcielisz się w tę postać – licz się z częstymi odwiedzinami zmarłych.

Ten krótki opis inspirowany Mickiewiczem to nie powtórka z lektur maturalnych, a skrócona charakterystyka dwóch postaci z gamebooka „Dziady część V" – w grę można było zagrać razem z jej autorem, Mikołajem Kołyszką, podczas największej planszówkowej imprezy w Krakowie.

Utworzony w hali EXPO Pokój Gier miał powierzchnię 4 tys. metrów kwadratowych i mieścił jednocześnie 1200 graczy, którzy – korzystając z bezpłatnej wypożyczalni – mogli dowolnie testować wybrane tytuły. I tak, przy stoliku z grą „Zew Cthulhu" można było spotkać miłośnika twórczości Lovecrafta, laureata Nike, Radka Raka. Zaraz obok ze swoimi lękami mierzyli się bohaterowie „Diuny" i „Wiedźmina".

Strefa ponad stu wydawców poza planszówkami oferowała powieści i komiksy paragrafowe, czyli takie książki, w których sami konstruujemy historię w oparciu o podejmowane decyzje, dzięki czemu każdą opowieść można przeżywać losowo, na wiele sposobów. Zresztą światy przedstawione w sposób coraz bardziej złożony odradzają się w nowych gatunkach, choćby w postaci tzw. escape booków, czyli książek, które wymagają od nas wcielenia się np. w Sherlocka Holmesa i samodzielnego rozwiązywania zagadek. Inaczej nigdy nie poznamy zakończenia.

BookGame jasno pokazuje, jak silnie przenikają się dziś światy gier i literatury – i jak wielowymiarowe jest to zjawisko. Projektowane na podstawie książek gry nie tylko pozwalają odłączyć się od głównej linii fabularnej i zaszyć w świecie przedstawionym albo zadzierzgnąć relacje z postaciami drugo- czy trzecioplanowymi. Dają także – co można było odczuć przy stolikach targowych – niezastąpione poczucie wspólnoty wyobraźni.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

TEMAT TYGODNIKA

POLSKA BEZ AUTA NIE DOJEDZIE

Gimbusy zabierające pekaesowi najlepszych pasażerów, przedsiębiorstwa utrzymujące po kilkadziesiąt własnych linii, kłopoty z dojazdem do pracy mimo autostrady za oknem. Takie absurdy komunikacji publicznej podtrzymują wszystkie polskie rządy.

KAROL TRAMMER

W kwestii dojazdów do pracy ci Polacy, którzy nie mają samochodu, żyją w kilku równoległych rzeczywistościach.

Miesięczny bilet na transport publiczny kosztuje w Warszawie 110 zł. Za taki sam na dziesięciokilometrową trasę obsługiwaną przez PKS w Gorzowie Wielkopolskim trzeba zapłacić 435 zł. O ile w stolicy posiadacz biletu miesięcznego może jeździć po całym mieście, dniem i nocą, autobusami, tramwajami, metrem i pociągami, o tyle bilet PKS ważny jest tylko w relacji, na którą został wykupiony.

Na przykład z liczącej ok. 250 mieszkańców wsi Prześlice do powiatowego Sulęcina gorzowski PKS realizuje jeden kurs na dobę. Z Prześlic można wyruszyć o godz. 7.30, z powrotem z Sulęcina o 16. Autobus jeździ tylko w dni nauki szkolnej.

Następny kurs we wrześniu

Przekleństwem autobusowych rozkładów jazdy we wsiach i mniejszych miastach jest litera „S". Oznacza, że kurs realizowany tylko w dni zajęć w szkołach. Skutek? Do wielu miejscowości żaden autobus nie dojeżdża w weekendy, ferie zimowe i wakacje – ostatni kurs odbywa się pod koniec czerwca, a następny na początku września. Dla osób, które chciałyby dojeżdżać do pracy, w wielu miejscach Polski transport publiczny jest po prostu bezużyteczny.

Gdy przed kilkoma laty zespół dr. Michała Wolańskiego ze Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie realizował badania na temat transportu autobusowego poza dużymi miastami, pracownicy urzędów pracy zwracali uwagę na to, że bezrobotni z obszarów wiejskich nie są w stanie przyjąć ofert zatrudnienia w handlu i gastronomii, ponieważ ostatnie autobusy do ich miejscowości odjeżdżają z miasta długo przed godziną zamknięcia sklepów i lokali.

Ostatni kurs z Kwidzyna do położonej na drugim brzegu Wisły gminy Gniew wyrusza o godz. 16.30. W 2013 r. zbudowano tu efektowny most drogowy łączący oba brzegi – uzupełnił on jedną z większych luk w przeprawach na najdłuższej rzece kraju (wcześniej do najbliższych mostów było ok. 40 km). Otworzył też rynek pracy w 38-tysięcznym Kwidzynie mieszkańcom nie tylko gminy Gniew, ale i całej południowo-wschodniej części Kociewia (skąd do większych miast po tej samej stronie Wisły, Tczewa czy Starogardu Gdańskiego, jest znacznie dalej niż do Kwidzyna). Jednakże ze ↦

Dworzec autobusowy w Kielcach, 2021 r.

PAWEŁ MAŁECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

względu na szczątkową ofertę autobusów kursujących przez nowy most dostęp do miejsc pracy w tym mieście uzyskali właściwie tylko posiadacze samochodów.

Otwierając północnomazowiecki odcinek drogi ekspresowej S7 Andrzej Bittel, sekretarz stanu w Ministerstwie Infrastruktury, oznajmił: „To kolejny etap walki z wykluczeniem komunikacyjnym". Przyjęty niedawno „Rządowy program budowy dróg do 2030 r." stwierdza wprost: według władzy wykluczone transportowo są te rejony kraju, które nie mają dostępu do dróg ekspresowych i autostrad.

Auto albo bezrobocie

Jest to całkowite pomieszanie pojęć, ponieważ większość dróg ekspresowych i autostrad w ogóle nie służy transportowi publicznemu, zwykle nie rozwiązując lokalnych problemów komunikacyjnych. Już w 2015 r. pokazało to badanie „Ocena zagrożenia wykluczeniem społecznym związanym z transportem w powiatach Wielkopolski" zrealizowane pod kierunkiem dr. inż. Marcina Kicińskiego z Politechniki Poznańskiej. Jeden z największych odsetków gospodarstw domowych skarżących się na problemy transportowe – aż 59 proc. – odnotowano w powiecie nowotomyskim, choć przez jego środek biegnie autostrada A2. Dzięki węzłowi Nowy Tomyśl można szybko dojechać samochodem do Poznania, ale nie poprawia on mobilności w skali lokalnej.

W połączeniu ze słabym transportem publicznym budowa dróg ekspresowych i autostrad prowadzi do tzw. wymuszonej motoryzacji – czyli „skazywania" na posiadanie samochodu wszystkich chcących dojeżdżać do pracy czy na studia do większych ośrodków. W wielu domach na wsi każdy dorosły ma swój samochód. Najwyższe wskaźniki notowane są głównie w powiatach leżących na peryferiach regionów – np. w województwie mazowieckim w powiatach sierpeckim, łosickim czy gostynińskim (gdzie według danych GUS jest ponad 850 samochodów osobowych na tysiąc mieszkańców).

Samochód i droga szybkiego ruchu nie gwarantują jednak dostępu do pracy. Rzuca się to w oczy w województwie pomorskim. Według GUS w Gdańsku stopa bezrobocia wynosi 2,5 proc., a w graniczącym z nim powiecie nowodworskim – 13,6 proc. Nie ma w Polsce innego województwa, gdzie powiat o najwyższej stopie bezrobocia styka się ze stolicą regionu. Co ciekawe, z Nowego Dworu Gdańskiego, przebiegając ze wschodu na zachód przez cały powiat, prowadzi do Trójmiasta droga ekspresowa S7. Ale powiat nowodworski jest w województwie jedynym położonym poza siecią połączeń kolejowych. Na linii łączącej Nowy Dwór Gdański z magistralą Trójmiasto–Warszawa pociągi pasażerskie przestały kursować w 1989 r., miesiąc po czerwcowych wyborach.

> W połączeniu ze słabym transportem publicznym budowa szybkich dróg prowadzi do tzw. wymuszonej motoryzacji – „skazywania" na posiadanie auta.

Dojazd dla wybranych

Mniej więcej od tamtego czasu nasz transport publiczny tracił powoli swoją podstawową cechę – powszechność, która umożliwia połączenia o różnych porach doby, tygodnia i roku. Ta zasada sprawdza się na całym świecie: komunikacja zbiorowa jest efektywna, gdy służy jak największej liczbie ludzi.

W Polsce jedną z oznak zaniku transportu publicznego jest to, że duże przedsiębiorstwa tworzą własną komunikację dowozową dla pracowników. Dziś to skutek upadku komunikacji zbiorowej, dawniej – jedna z jego przyczyn. Osobne autobusy zakładowe (dowoziły górników do kopalń już w PRL) i szkolne, nazwane podczas reformy edukacji z końca lat 90. gimbusami, zabierały kolei i PKS kolejne grupy pasażerów – i to te najwierniejsze, bo jeżdżące codziennie.

Symbolem polityki transportowej kolejnych rządów stały się dwa autobusy z trudem mijające się na wąskiej wiejskiej drodze: pierwszy jadący po uczniów gminnej podstawówki, a drugi, kursowy, wiozący do miasta powiatowego uczniów szkół średnich (którym gimbusy nie przysługują). Czasem jedzie też trzeci autobus, zapewniany przez wielkiego pracodawcę.

Do produkującej nutellę i jajka-niespodzianki fabryki koncernu Ferrero w Belsku Dużym koło Grójca autobusy pracownicze dowożą zatrudnionych z okolic Nowego Miasta nad Pilicą, Przysuchy, Drzewicy i Opoczna. Choć komunikacja zakładowa zapewniana jest przez pracodawcę, korzystający z niej muszą kupować bilety miesięczne, które, w zależności od długości pokonywanej trasy, kosztują od 84 zł do 258 zł.

Do fabryki Eko-Okna w Kornicach koło Raciborza kursują aż 42 zakładowe linie autobusowe, które dowożą pracowników z odległości nawet ponad 40 km. Rozkłady jazdy autobusów pracowniczych są idealnie dostosowane do godzin rozpoczęcia i zakończenia zmian w fabryce. Koncern Eko-Okna przyciąga pracowników tym, że transport jest bezpłatny. Na swojej stronie internetowej zaprasza do skorzystania z niej już w drodze na rozmowę o pracę.

W fabrykach, które dysponują transportem zakładowym, większość zatrudnionych decyduje się na docieranie do pracy autobusem. To pokazuje, że w sytuacji gdy godziny kursowania są dopasowane do potrzeb pasażerów, wybierają oni autobus chętniej niż własne auto. Między innymi dlatego, że przejazd autobusem daje możliwość drzemki między ciężką pracą a czekającymi w domu obowiązkami.

Jest w Polsce wiele miejscowości, do których kilka razy dziennie przyjeżdża autobus zabierający pracowników na kolejne zmiany do dużego zakładu, nie funkcjonuje jednak żaden transport, który zapewniałby dojazd do stolicy powiatu czy innych pobliskich miejscowości. Skutek jest taki, że niezmotoryzowani skazani są na jednego pracodawcę – tego, który zapewnia dowóz do pracy. To zupełnie inna rzeczywistość niż w dużych miastach, gdzie zmiana miejsca pracy zwykle wiąże się co najwyżej z tym, że tramwaj trzeba zamienić na autobus. W Polsce powiatowej decyzja o zmianie pracy często wiąże się z koniecznością zakupu samochodu.

Co po pierwszej mili

Ludzie, których sytuacja zmusiła do zakupu samochodu, często korzystają

SEBASTIAN WIELECHOWSKI / EAST NEWS

CPK: szansa dla regionów?

CENTRALNY PORT KOMUNIKACYJNY ma być skomunikowany z całym krajem – precedensowa skala inwestycji daje szansę na skok rozwojowy wielu regionom. Przynajmniej w teorii.

SPÓŁKA zapowiada powstanie aż 1981 km nowych linii kolejowych, na które składać się będzie 12 tras. Ich odnogi mają sięgać w dalekie rejony Polski; skorzystają na tym m.in. takie miejscowości jak Nysa, Nakło nad Notecią czy podlubelskie Trawniki. Modele transportowe rozpisano dla każdego województwa, w wielu przypadkach pokrywają się one z trasami zlikwidowanymi w ostatnich dekadach przez PKP jako nierentowne. Planiści CPK – widząc trend powrotu do ośrodków, gdzie koszty życia są niższe – obiecują, że do 2034 r. Polska ma być kolejowo tak skomunikowana, że możliwy i opłacalny będzie dojazd do pracy w dowolnym miejscu.

INWESTYCJE drogowe CPK to projekt 400 km nowych dróg, głównie korytarzy przystosowanych do dużego transportu, w tym obwodnic, o które mieszkańcy wielu gmin upominają się latami, protestując przeciwko przejazdom TIR-ów. Na atrakcyjności mają zyskać miejscowości postrzegane wyłącznie jako wielkomiejskie sypialnie oraz te na głównych szlakach tranzytowych.

DLA WIELU regionów budowa portu to więc szansa na dogonienie konkurencji i odwrócenie trendu migracyjnego. Protestujący, jak w Baranowie (na zdjęciu) ostrzegają jednak przed brutalnymi wywłaszczeniami i niebotycznymi kwotami realizacji inwestycji. Z pomocą ekspertów piszą i wysyłają kontrpropozycje, na które odpowiedzi od spółki i rządu nie ma. W tej chwili „wszystkie drogi prowadzą do CPK" – lecz nie wiadomo, czy ruch z lotniska będzie zgodnie z obietnicą odbywał się również w drugą stronę, opłacając się polskiej prowincji. © SŻ

z niego tylko na odcinku, na którym nie mają alternatywy. Widać to np. wzdłuż linii kolejowych Legnica–Wrocław, Siedlce–Warszawa czy Tarnów–Kraków. Choć równolegle do każdej z nich biegną bezpłatne autostrady, duża część zmotoryzowanych wcale na nie nie wjeżdża, lecz kieruje się do zapewniającej dobrą ofertę linii kolejowej. Przy stacjach, na każdym wolnym skrawku ziemi, na poboczach czy klepiskach, zaparkowane są dziesiątki samochodów.

Odpowiedzią na ten trend są parkingi *park-and-ride* (P+R), umożliwiające pozostawienie samochodu przy stacji lub pętli bezpłatnie lub w cenie biletu komunikacji publicznej. Powstają one jednak głównie w bogatszych miastach-satelitach największych metropolii. W Legionowie pod Warszawą przy stacji kolejowej miasto zbudowało dwa wielopoziomowe parkingi zapewniające ponad 1,1 tys. bezpłatnych miejsc. Była to reakcja na kryzys wywołany przez parkowane gdzie bądź samochody osób dojeżdżających z dalszej okolicy – nawet z odległych i słabo skomunikowanych ze stolicą powiatów pułtuskiego czy makowskiego – tylko po to, aby na ostatnie kilkanaście kilometrów przesiąść się do pociągu, którym będzie można wjechać do Warszawy, unikając opłat za parkowanie.

Samochód w dużej mierze wykorzystuje się tylko do pokonania odcinka, na którym transport publiczny nie kursuje albo funkcjonuje na tyle słabo, że nie pozwala na powrót wieczorem czy przejazd w weekendy. W codziennych dojazdach auto używane jest więc tylko do tego, aby pokonać tzw. pierwszą milę i dotrzeć tam, skąd z dużą częstotliwością odjeżdżają pociągi zapewniające atrakcyjny czas przejazdu do dużych miast. I możliwość powrotu z pracy nie tylko po 15, ale także po 22.

To niestety wciąż nie jest standard. Na wielu liniach kolejowych oferta jest bardzo słaba. Na przykład w kierunku Knyszyna, Moniek, Grajewa i Ełku pociągi regionalne odjeżdżają z Białegostoku wyłącznie o 5.40, 10.37, 14.53 i 17.54. Taki rozkład jazdy nie zaspokaja nawet podstawowych potrzeb jak powrót ze stolicy województwa z pracy, która kończy się po południu, nie mówiąc już o dojeździe do domu po wieczornym fajrancie.

Na wielu liniach regionalnych wciąż daleko do europejskiego standardu oferty przewozowej, czyli kursowania pociągów równo co godzinę od świtu do późnego wieczora. Regularne kursowanie wpisuje się w coraz bardziej zróżnicowane potrzeby związane z mobilnością. Już od dawna nie jest przecież tak, że wszyscy jadą do pracy na 6 i wracają po 14. Nie wszyscy pracują osiem godzin. Duża częstotliwość i regularność kursów jest to też jeden z warunków zapewnienia konkurencyjności kolei wobec samochodu. Chodzi bowiem o to, aby jak najbardziej zbliżyć ofertę transportu publicznego do elastyczności korzystania z auta, którym można ruszyć o dowolnej porze.

Za chwilę przystanek

Kluczowe jest też skracanie czasów przejazdu. Polska kolej regionalna wciąż opiera się na pociągach, które zatrzymują się na wszystkich stacjach i przystankach pośrednich. To powoduje, że przy podróży z peryferii regionu do jego stolicy czas jazdy nie jest konkurencyjny względem samochodu. W Niemczech rozwiązaniem tego problemu było uzupełnienie standardowej ↦

↦ oferty przyspieszonymi pociągami Regional-Express, które zatrzymują się tylko na wybranych stacjach. Co znamienne, budowanie tej kategorii połączeń rozpoczęto w latach 90. od dawnej NRD – była to reakcja kolei na to, że właśnie we wschodniej części Niemiec niemal z dnia na dzień dostępne stały się używane auta z zachodnich landów, a nadgryzione enerdowskim zębem czasu autostrady zaczęły przechodzić szybką modernizację. W graniczącym z Polską landzie Brandenburgia z 46 miast liczących ponad 10 tys. mieszkańców aż 32 mają bezpośrednie połączenie z Berlinem regionalnymi ekspresami, które kursują przynajmniej raz na godzinę.

Polska odstaje również od innych krajów europejskich pod względem integracji różnych środków transportu publicznego. W Niemczech czy Czechach często widać autobusy, które odjeżdżają spod stacji kolejowej kilka minut po przyjeździe pociągu. Zdarza się, że podczas takiej przesiadki pasażerowie nie muszą pokonywać schodów, bo autobusy stoją po drugiej stronie peronu, przy którym zatrzymał się pociąg. Co więcej, kolej i autobusy objęte są tą samą taryfą biletową. Transport publiczny w całym regionie organizuje jeden podmiot, który dba o dogodne skomunikowania i integrację taryfową.

Tyle linii, ile władzy

Niestety w Polsce problemem jest rozdzielenie kompetencji między wszystkie trzy szczeble samorządu terytorialnego. W tej mętnej wodzie niektórzy udają, że w ogóle nie są odpowiedzialni za transport publiczny. Sytuację zmienił Fundusz Rozwoju Połączeń Autobusowych, który skusił samorządy dotacjami, a dodatkowo wpłynął na rozwój współpracy między nimi, dając pierwszeństwo przy rozdzielaniu pieniędzy związkom samorządów.

Dofinansowany przez rząd transport autobusowy najlepiej działa tam, gdzie samorządy stworzyły związki powiatowo-gminne. Zwiększa to efekt skali i pozwala tworzyć połączenia na dłuższych trasach, przekraczających granice gmin i powiatów. Codzienne potrzeby związane z mobilnością – dojazdy do szkół średnich czy pracy – rzadko kiedy zamykają się bowiem w granicach jednej gminy.

W zamyśle rządu fundusz autobusowy – opierający się na dopłacaniu samorządom 3 zł do każdego kilometra przejeżdżanego przez autobus – miał być odpowiedzią na zanikanie połączeń na biednych i wykluczonych obszarach. Pozytywne efekty tego narzędzia odczuć można jednak przede wszystkim tam, gdzie samorządy są aktywne i bogate, a więc w zasięgu oddziaływania dużych miast. Liderzy w tworzeniu atrakcyjnej komunikacji autobusowej to Komunikacja Beskidzka, która działa wokół Bielska-Białej, oraz Grodziskie Przewozy

ALAMY / BE&W

Co dalej z samochodem?

ZMIANY są nieuchronne, jeśli mamy na serio traktować zobowiązania klimatyczne – na naszym kontynencie auta odpowiadają za 15 proc. emisji dwutlenku węgla. W marcu Komisja Europejska osiągnęła kompromis, w efekcie którego od 2035 r. nowe samochody rejestrowane w Unii muszą być zeroemisyjne (wodorowe, elektryczne) lub napędzane paliwem syntetycznym (tzw. e-paliwo). Sprzeciw wobec tych zmian zgłosiła tylko Polska.

KOŃCA ERY silników spalinowych nie wymyśliła jednak Unia, lecz sami producenci samochodów. Ich odpowiedzi na pytanie „co dalej" można podzielić na trzy kategorie:

- **tylko elektryki:** Volvo, Ford, Mercedes i Renault to niektóre koncerny, które już dawno ogłosiły zamiar przestawienia produkcji wyłącznie na auta elektryczne; część z nich planuje to zrobić nawet 5 lat przed unijnym deadline'em;
- **wodór:** o przyszłości motoryzacji można się dowiedzieć wiele obserwując tory wyścigowe, gdzie koncerny szlifują nowe technologie i nie liczą się z pieniędzmi na nowe paliwa; japońska Toyota, która uważa całkowitą elektryfikację za błąd, testuje samochód rajdowy na wodór;
- **e-paliwa:** na tych samych torach grupa producentów (m.in. Mazda i Subaru) testuje nowe paliwa syntetyczne, którymi m.in. Niemcy chcą przedłużyć życie silników spalinowych; są one uzyskiwane z biomasy albo dwutlenku węgla odzyskanego z atmosfery, nikt jednak nie produkuje ich jeszcze na masową skalę; prezes Volkswagena nazwał je ostatnio „niepotrzebnym zamieszaniem" i stwierdził wprost: „w 2035 r. silnik spalinowy będzie martwy".

W DEKADĘ od premiery pierwszego elektryka na świecie sprzedano ich 26 mln (połowę w Chinach). Zmiana dzieje się więc niezależnie od przepisów, także w Polsce. Choć mniej aut elektrycznych na mieszkańca od nas ma w samej Europie tylko Cypr, to się szybko zmieni. Tylko w ciągu ostatnich 3 lat liczba aut elektrycznych w Polsce wzrosła siedmiokrotnie. Według raportu Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych do końca dekady może być w kraju nawet 100 tys. stacji ładowania. Co więcej, skorzystamy na tej zmianie – Polska jest drugim największym producentem baterii w Europie.

©℗ KRZYSZTOF STORY

Autobusowe, obejmujące swoim zasięgiem południowo-zachodni skraj stołecznej aglomeracji: powiat grodziski, pruszkowski i warszawski zachodni. Z położonej na kresach powiatu grodziskiego i liczącej około 200 mieszkańców wsi Petrykozy – to w prostej linii 35 km od centrum Warszawy – autobusy GPA jeżdżą przez gminną Żabią Wolę do powiatowego Grodziska Mazowieckiego od 4.10 do 23.55 dwa razy na godzinę. Przedstawiciele związku informują, że liczba korzystających z autobusów wciąż rośnie. Atrakcyjna oferta przyciąga pasażerów. Na taką częstotliwość i taką rozpiętość godzin kursowania trudno liczyć nawet w komunikacji miejskiej ośrodków liczących po kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, nie mówiąc już o oddalonych od większych miast obszarach wiejskich.

Zadzwoń po busa

Czasem można wręcz spotkać się z głosami, że na słabo zaludnionych obszarach wiejskich z rozrzuconą zabudową nie da się stworzyć dobrego transportu publicznego, bo pasażerów zawsze będzie za mało. Dla takich rejonów rozwiązaniem mogą być autobusy na życzenie.

Paradoksalnie pierwszy taki system w Polsce stworzono w drugim co do wielkości mieście kraju. Działający w Krakowie już od kilkunastu lat Tele-Bus obsługuje tereny przemysłowe w Płaszowie oraz osiedla Rybitwy i Przewóz, zapewniając dojazd z tych rejonów m.in. do pętli tramwajowej Mały Płaszów. Pasażerowie telefonicznie lub przez internet z przynajmniej półgodzinnym wyprzedzeniem wskazują, między jakimi przystankami chcą przejechać, i wkrótce autobus przyjeżdża. Gdy zamówień brak, autobus nie realizuje kursów.

> Ludzie, których sytuacja zmusiła do zakupu samochodu, często korzystają z niego tylko na odcinku, na którym nie mają alternatywy.

Rozwiązanie to od lat stosowane jest w Niemczech, m.in. w luźno zaludnionym landzie Meklemburgia-Pomorze Przednie, ale również w bogatej Szwajcarii na obszarach górskich cechujących się niewielką liczbą mieszkańców w rozrzuconych przysiółkach.

Od sierpnia 2022 r. transport na życzenie działa w gminie Wierzchowo na Pomorzu Zachodnim. Busy kursują w dni robocze od 6 do 22, a w soboty i niedziele od 9 do 20, zapewniając komunikację między wszystkimi wsiami na terenie gminy, a także z najbliższymi miastami, Czaplinkiem i Złocieńcem, gdzie można zrobić większe zakupy czy przesiąść się do pociągów kursujących między Szczecinkiem a Szczecinem. Pasażerowie muszą zamówić przejazd z co najmniej 24-godzinnym wyprzedzeniem, dzwoniąc do dyspozytora albo przez aplikację internetową. Przejazd busem kosztuje, w zależności od pokonywanej odległości, od 4,40 zł do 11,80 zł. Zainteresowanie szybko przerosło oczekiwania gminy Wierzchowo i powiatu drawskiego, które wspólnie wdrożyły to rozwiązanie.

Szwajcarskie doświadczenia z systemem PubliCar pokazały, że oparcie się na połączeniach realizowanych dokładnie wtedy, kiedy ktoś ich potrzebuje, zwiększa liczbę korzystających z transportu publicznego na danym obszarze. W miejscach, gdzie liczba ludności jest niewielka, taki elastyczny system jest bowiem z natury rzeczy lepiej dopasowany do potrzeb niż kilka dziennie sztywnych kursów.

Nie ma żadnego powodu, aby przypuszczać, że sprawdzone rozwiązania z innych państw nie zadziałałyby też w Polsce. Już czas na to – po 1989 r. żaden rząd nie zdecydował się na całościową reformę komunikacji publicznej.

© KAROL TRAMMER

Autor jest redaktorem naczelnym dwumiesięcznika „Z Biegiem Szyn", autorem książki „Ostre cięcie. Jak niszczono polską kolej" (2019).

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Cztery rośliny

Tora Ustna to dla Żydów kluczowe dopełnienie Tory Pisanej, czyli Pięcioksięgu Mojżesza. To, jak bardzo jest istotna, widać choćby przy lekturze tych wersów: „od piętnastego dnia tegoż miesiąca siódmego – święto szałasów... I weźmiecie sobie dnia pierwszego owoc drzewa hadar, pąki palmowe, gałązki drzewa rozłożystego i wierzbiny porzeczne, i weselcie się przed Wiekuistym, Bogiem waszym, przez siedm dni" (Kpł 23, 34 i 40; Cylkow). Piąte wydanie Biblii Tysiąclecia oddaje pierwszą część wersu 40 tak: „Weźcie sobie pierwszego dnia owoce pięknych drzew, liście palmowe, gałązki drzew o gęstym listowiu i wierzb nadrzecznych". *Hadar* pochodzący wprost z oryginału hebrajskiego sugeruje cytrus, lecz to słowo równie dobrze może oznaczać majestat, chwałę czy też piękno. Które drzewa owocowe są piękne? Nie wszyscy wskażą ten sam gatunek, tymczasem trzeba konkretnie wiedzieć, w posiadanie jakiego owocu należy wejść przed Świętem Szałasów. Etrog – bo o niego chodzi – to owoc cytrusowy przez niewtajemniczonych mylony z cytryną. Palma (daktylowa) i wierzba nie pozostawiają wątpliwości interpretacyjnych. A „drzewo rozłożyste" / „o gęstym listowiu" to mirt.

Midrasz łączy poszczególne rośliny z częściami ciała: liść palmy odpowiada kręgosłupowi, drobne listki mirtu przypominają kształtem oczy, a podługowate liście wierzby – usta. Etrog przywodzi na myśl serce.

Prawo określa pożądany wygląd roślin. Liść palmy winien być prosty i niezbyt giętki – szczęśliwy ten, kto ma taki kręgosłup moralny. Listki mirtu mają rosnąć prosto w górę – i człowiek, miast patrzeć z góry na współziomków lub popatrywać zazdrośnie na boki, winien kierować wzrok ku niebu. Brzegi wierzbowych liści powinny być gładkie, nie wystrzępione – nie należy strzępić sobie języka obsmarowując innych, a jeśli już trzeba mówić nie o szeroko pojętej Torze, lecz o innych, to zawsze dobrze.

Midrasz proponuje jeszcze inną interpretację związaną z tymi czterema roślinami – symbolizują one cztery kategorie ludzi. Etrog roztacza przyjemną woń i można go jeść – to osoba studiująca Torę i spełniająca przykazania. Daktyle dobrze smakują, ale nie pachną – to ktoś głównie parający się Torą. Mirt ładnie pachnie, ale nie jest jadalny – taki człowiek robi wiele dobrych uczynków, lecz nie studiuje Tory. Wierzba nie może się pochwalić ani aromatem, ani smakiem – ktoś taki nie ma na koncie ani Tory, ani dobrych uczynków.

Napisane jest „weźcie" – należy wziąć te rośliny w rękę. Ręka oznacza kontrolę – panowanie człowieka nad własnymi organami. Złożenie roślin w bukiet i wzięcie ich do ręki symbolizuje pozytywne uczucia w stosunku do wszystkich. Bez wierzby nie będziemy w komplecie. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Pięknie sklejone rączki

Autor Dziejów Apostolskich pisze, że Jezus po męce i śmierci spotykał się z apostołami w Jerozolimie i tam „uniósł się do góry i widzieli Go, dopóki obłok im Go nie zakrył". Natomiast Mateusz pisze, że działo się to w Galilei. Podobnych rozbieżności mamy w Biblii pod dostatkiem. Sprawiają one kłopot zwłaszcza tym, którzy nie pamiętają, że mają do czynienia z tekstem przynajmniej sprzed dwu tysięcy lat. Autorzy biblijni pisząc, nie kierowali się – co oczywista – wymogami stawianymi współczesnym historykom. Chcąc zatem poprawnie odczytać Biblię, trzeba się z tym liczyć.

W kościołach często słyszymy, że najważniejszą częścią mszy jest konsekracja, transsubstancjacja, przeistoczenie. Głowimy się nad tym, w jaki sposób ta przemiana chleba i wina w ciało i krew Jezusa przebiega, kiedy tymczasem nie chodzi o ciało i krew w dzisiejszym rozumieniu, ale o to, że Bóg „ustanowił Go Głową całego Kościoła, który jest Jego Ciałem i Pełnią Tego, który wypełnia wszystko we wszystkim".

Jezus mówi, żeby jeść Jego ciało i pić krew, ale też, że jest On chlebem, drogą, prawdą, życiem, światłem, kamieniem węgielnym, ale też kamieniem zgorszenia, obrazy i wzgardy. Jezus mówiąc, że chleb jest Jego ciałem, mówi też, że On jest chlebem. Spożywanie tegoż ciała nie jest zagadnieniem gastronomicznym, ale dotrzymaniem słowa: „A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do końca świata". Zresztą, kto mając podstawową wiedzę o materii, potrafi dziś myśleć o niej w kategoriach istoty i przypadłości?

Podobnie ma się rzecz z niebem. Biblię pisali ludzie, którzy nie słyszeli o Koperniku, żyli na ziemi przykrytej siedmioma kryształowymi sklepieniami. Nad ostatnim mieszkał Bóg. Stąd Apostołowie „zobaczyli, jak [Jezus] uniósł się w górę, a obłok zabrał Go im sprzed oczu", dlatego „uporczywie wpatrywali się w niebo, gdy On odchodził". Musiało upłynąć trochę czasu, zanim zrozumieli, że „szczęśliwi ci, którzy nie zobaczyli, a uwierzyli". Pamiętając o tym, szukajmy Boga w dzisiejszym świecie, ale do tego potrzebna jest zmiana kierunku poszukiwań. Nie tylko góra-dół, wszerz i wzdłuż. Ilekroć uczniowie „ujrzeli Pana", zawsze rozpływał się w przestrzeni. W niebo wstępując, odszedł w przestrzeń i w przestrzeni żyje. Zadzieranie głowy przy odmawianiu „Ojcze nasz", i jak mówi Franciszek, sklejanie rączek, chyba nie jest najwłaściwszą postawą modlitewną. Samo połykanie „opłatka" i niedzielenie się słowem oraz chlebem z tym tu człowiekiem, czy wręcz izolowanie się od niego, nie jest znakiem obecności Chrystusa, czyli komunii. Słowo „komunia" pochodzi z greki i oznacza wspólnotę, a eucharystia dziękczynienie. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Przyjaciel

Twoją siłą
jest trwać spokojnie,
widząc siebie
i wszystko,
do czego jesteś
przywiązany.

GEORGE FOX

Siedź spokojnie
i słuchaj.

RUMI

Dzięki Liturgii usłyszeliśmy ostatnio skierowane do nas takie słowo Jezusa: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Sługa nie jest większy od swego pana ani wysłannik od tego, który go posłał. Wiedząc to, będziecie błogosławieni, gdy to będziecie czynić” (J 13, 16-17).

Nasz Pan zaprasza nas do życia w uniżeniu – do postawy sługi (przy czym grecki tekst Jana jest o wiele mocniejszy – pada w nim słowo *doulos*, to znaczy „niewolnik”) oraz postawy posłańca (grec. *apostolos*; niektórzy tłumaczą: „ambasador”), czyli osoby, której całe znaczenie i powaga są niemal jedynie odbiciem tego, kto jej udzielił mandatu.

Niewolnik i posłaniec – czy to jest dla nas, dzisiaj, atrakcyjny pomysł? Na miarę naszych aspiracji? Ambicji? Kompetencji? I czy to jest wszystko, co Jezus ma nam do zaproponowania?!

Nie! Kiedy próbuje wytłumaczyć Dwunastu swoje intencje i ich najgłębsze uzasadnienie, mówi tak: „Nie mówię o was wszystkich. Ja wiem, kogo wybrałem; lecz trzeba, aby się wypełniło Pismo: »Kto ze Mną spożywa chleb, ten podniósł na Mnie swoją piętę«” (J 13, 18).

Trzeba iść za tym cytatem i sięgnąć do jego źródła. Jest nim Psalm 41 – zapis modlitwy człowieka przechodzącego ciężką chorobę, a z nią, jeszcze cięższą, samotność: opuścili go wszyscy; nieprzyjaciele czekają na jego śmierć; odwiedzają go jedynie dwulicowi sąsiedzi, którzy usta mają pełne równie gładkich, co pustych frazesów; za to w sercach kryją złość. Psalmisty nie dziwi postawa tych, którzy go nienawidzą („obmyślają moją zgubę”); jego prawdziwy ból i zaskoczenie oddaje werset dziesiąty: „Nawet mój przyjaciel, któremu ufałem i który chleb mój jadł, podniósł na mnie piętę”. To właśnie ten werset przytacza Jezus.

Jakby chciał powiedzieć: „potrzebuję Was do misji jako niewolników i posłańców, ale dla Mnie zawsze wpierw pozostajecie przyjaciółmi”. To jest wasza pierwsza tożsamość. To jest godność, która Was definiuje w moich oczach: przyjaciele!

To właśnie – jak mi się wydaje – stanowi prawdziwy klucz do przeczytania interesującej nas perykopy: Jezus nie szuka przecież niewolników dla Siebie. Sam – z wyboru – jest Niewolnikiem (zapłacono za Niego cenę niewolnika: 30 srebrników; umrze śmiercią niewolnika: na krzyżu). I nigdy nikogo w ten sposób nie traktuje. Jezus szuka przyjaciół, którzy – w imię przyjaźni właśnie – potrafią wejść w Jego misję. Misję, której nie można wykonać inaczej niż w duchu pokory.

Ten, kto odkrył zaoferowaną mu przez Jezusa przyjaźń, nie zżyma się na żadne uniżenie. Jest jak święty Augustyn, który w „Wyznaniach” mówi do Jezusa: „Ty możesz nazwać mnie swoim przyjacielem; ja wiem, że jestem twoim sługą”. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (21 – 28 V)

Niedziela, uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego: Dz 1, 1-11; Ps 47; Ef 1, 17-23; Mt 28, 16-20;
Poniedziałek: Dz 19, 1-8; Ps 68; J 16, 29-33;
Wtorek: Dz 20, 17-27; Ps 68; J 17, 1-11a;
Środa: Dz 20, 28-38; Ps 68; J 17, 11b-19;
Czwartek: Dz 22, 30; 23, 6-11; Ps 16; J 17, 20-26;
Piątek: Dz 25, 13-21; Ps 103; J 21, 15-19;
Sobota: Dz 28, 16-20. 30-31; Ps 11; J 21, 20-25;
Niedziela, uroczystość Zesłania Ducha Świętego: Dz 2, 1-11; Ps 104; 1 Kor 12, 3b-7. 12-13; J 20, 19-23.

Wybrał PIOTR SIKORA

Roksana Węgiel, koncert „Tu bije serce Europy!". Warszawa, 26 lutego 2023 r.

TRZEBA SIĘ UŚMIECHAĆ

Udział w talent show może być dla dziecka przygodą lub traumą. Na pewno jest komercyjnym wykorzystywaniem: dzieci ciężko pracują na planach zdjęciowych bez żadnego wynagrodzenia.

ANNA GOLUS

Oto jak wspaniale można bawić się z dziećmi, jednocześnie bawiąc się dziećmi" – powiedział Marcin Prokop, prowadzący od 2008 r. program „Mam talent!" (TVN), o akrobacjach duetu cyrkowego złożonego z 4-letniej dziewczynki i jej ojca. Po czym zwrócił się do dziecka słowami: „Cześć, kotku. Jak ci się podobało na scenie? Jak się czułaś w roli piłeczki?". Drugi z gospodarzy, Szymon Hołownia, stwierdził z kolei: „Ale tak ryzykować? Przecież takie dziecko to jest pięćset złotych".

Tamten występ odbył się w 2016 r., ale dzieci brały udział w każdej edycji tego programu i uczestniczą w wielu innych *talent shows* – zarówno takich, w których rywalizują z dorosłymi, jak i przeznaczonych wyłącznie dla najmłodszych. Z reguły nie otrzymują za to honorariów, a producenci i nadawcy zarabiają na ich występach jeszcze długo po emisjach w telewizji.

Publiczne upokorzenie

„To nie był taniec, to była orgia nieletnich króliczków" – rzucił w stronę 11-letnich tancerek Kuba Wojewódzki, juror w programie „Mali giganci" (TVN, 2015-2017), a do 9-letniego chłopca powiedział, że ma „większe jaja niż płuca". W programie brały udział dzieci w wieku od 4 do 12 lat – starsze śpiewały i tańczyły, młodsze bawiły jurorów jako „showmani". Ówczesny dyrektor programowy TVN Edward Miszczak zapewniał, że uczestnicy są pod opieką psychologa (Marty Żysko, która pracowała m.in. przy programie „Surowi rodzice") i że „yu nikt nie przegrywa, wszyscy wygrywają. A o tym, że ktoś odpada, nie mówimy – skupiamy się na wygranych".

Ten pierwszy dziecięcy *talent show* – po stosunkowo niewinnym programie „Od przedszkola do Opola" (TVP1, 1995-2007) – wzbudził kontrowersje, które nie zapobiegły wyprodukowaniu dwóch kolejnych sezonów „Małych gigantów". Krytyka dotyczyła jednak wyłącznie tego, co widać na ekranie: żerowania na dziecięcych emocjach, rywalizacji w stresie i przed kamerami, niedostosowanych do wieku uczestników ocen jurorów. Tajemnic zza kulis nie opisywano.

– Gdy miałam 15 lat, moi rodzice zgodzili się, bym zgłosiła się do programu „Mam talent!", o co prosiłam ich od kilku lat – wspomina youtuberka Aria Martelle. – Zostałam zakwalifikowana i wzięłam udział w nagraniach. Jeszcze zanim rozpoczęłam występ, Agnieszka Chylińska skrytykowała mój wygląd, mówiąc coś w stylu: „15 lat i taka czerwona szminka? Co ty tutaj przyszłaś, uwodzić?". To było tak brutalne i niesprawiedliwe, że się rozpłakałam. Stałam na scenie, przed jurorami, kamerami i tłumem ludzi na widowni, aż przestałam płakać, po czym od razu musiałam śpiewać i tańczyć. Po występie wybiegłam stamtąd cała roztrzęsiona, a kamerzyści za mną. Mój występ nie został wyemitowany, za to do zapowiedzi wmontowano ujęcie, kiedy płaczę.

Kilka lat później Aria opowiedziała o tym doświadczeniu na swoim kanale YouTube. W filmie zamieściła też wypowiedzi rodziców. Ojciec zapewnił, że córka nie była nieodpowiednio ubrana, dodał szczegóły, o których ona z powodu stresu zapomniała (np. że występ został przerwany przez jurorów), i ocenił: „Krytykowanie osoby, która zaraz ma wystąpić – co na pewno będzie dla niej deprymujące i mega stresujące, i wpłynie na jej występ – uważam za skandaliczne". Matka wspominała, że chciała wyjść na scenę, by ochronić córkę, ale została powstrzymana.

Po publikacji tego filmu do Arii odezwało się kilkadziesiąt osób z podobnymi doświadczeniami, upokorzonych przez jurorów tego i innych *talent shows*, również jako dzieci. – Po tym upokorzeniu przez parę lat w ogóle nie byłam w stanie śpiewać i do dziś boję się chodzić do telewizji – mówi Aria. – Udało mi się z tym uporać, wróciłam do muzyki, ale wiem, że u niektórych osób zostaje uraz nie tylko do telewizji, ale też do własnych pasji.

Przecudowna przygoda

„Ja się wczuwam w tego dzieciaka, bo wiem, że te [moje] słowa są tak ważne" – mówiła Chylińska o swojej roli jurorki podczas promującej jej nową płytę rozmowy z Wojewódzkim, Miszczakiem i Prokopem. Zapewniała, że jest świadoma własnej odpowiedzialności za uczestników, i wspominała własne doświadczenia jako osoby, która rozpoczęła karierę w młodym wieku: „Otaczałam się ludźmi, którzy głównie zajmowali się tym, żeby po prostu z tej gówniary trzepać hajs, a nie bardzo żyć jej psyche i wnikać w to, czy ona to przeżywa, czy nie. Pierwsze depresje, załamania, próby samobójcze, to były pierwsze lata O.N.A. (...) Zaczęła się kariera, bardzo szybko, 18 lat. To może okrutne, co powiem, ale to było za wcześnie. Ja zostałam zniszczona, zepsuta, rozpierdolona po prostu".

Wiedza o skutkach przedwczesnej kariery w show-biznesie nie przeszkadzała jednak Chylińskiej w byciu jurorką w programach „Mali giganci" i „Mam talent!", którego najnowszą edycję (a zarazem ostatnią) wygrał 12-latek i w którym wystąpiło już mnóstwo dzieci.

– Udział w programie okazał się dla mnie wielką przygodą, ale dla moich rodziców obrót spraw był szokujący – mówi Klaudia Kulawik, która jako 11-latka zajęła drugie miejsce w pierwszej edycji „Mam talent!" i otrzymała propozycję wydania płyty, na co nie zgodzili się rodzice. – Wiedzieli, że mają wrażliwe, introwertyczne dziecko, które potrzebowało ciepła, normalnego rytmu dnia, wykształcenia, a świat show-biznesu byłby dla niego za trudny. Kocham ich i szanuję za wsparcie na każdym etapie mojego życia. Nie podważam jednak odmiennych decyzji innych rodziców. Znają swoje dziecko najlepiej i wiedzą, czy poradzi sobie z presją, przykrościami i ciężką pracą, jaką są kontrakty, trasy koncertowe czy obcowanie z mediami.

Roksana Węgiel, która w nagrodę za zwycięstwo w pierwszej edycji programu „The Voice Kids" (TVP2, od 2018 r.) podpisała kontrakt z Universal Music Polska, z pozoru wydaje się odmiennym przypadkiem. A jednak ostatnio opowiedziała publicznie o realiach tej pracy. Nie podając nazwy, mówiła, że ludzie z wytwórni, z którymi pracowała po programie, nie mieli dobrych intencji, chcieli wykorzystać ją do zarabiania pieniędzy i nie zwracali uwagi, jak ona się czuje. Doprowadziło ją to do depresji, z której wyciągnęła ją mama. Wspomniała też, że obwiniała się, iż jej ojciec zrezygnował z pracy, by jeździć z nią na koncerty, choć przecież był wtedy dorosłą osobą i podejmował świadome decyzje.

18-letnia Roksana uważa, że udział w „The Voice Kids" był dla niej „przecudowną przygodą", podczas której świetnie się bawiła jako „beztroskie dziecko, które nie zdawało sobie sprawy z tego, jak ten biznes funkcjonuje". Nie wiedziała o tym, że jeśli wygra, będzie musiała podpisać kontrakt z wytwórnią. ↦

ARTUR ZAWADZKI / REPORTER

Tajemnice regulaminów

↦ W programie „The Voice Kids" biorą udział dzieci w wieku od 8 do 14 lat. W regulaminie czytamy, iż „z uwagi na fakt, że Audycja i Konkurs są poważnym, komercyjnym przedsięwzięciem", jeśli uczestnik przyjdzie na plan „pod wpływem substancji odurzających, substancji psychoaktywnych, leków psychotropowych lub innych substancji o podobnym działaniu, uniemożliwiających normalne, prawidłowe funkcjonowanie organizmu", producent nie pomoże nieradzącemu sobie z sytuacją dziecku, za to jego rodzice będą musieli zapłacić 25 tys. zł za każdy przypadek utrudniania w ten sposób nagrań.

Producentem „The Voice Kids" jest firma Rochstar, która zastrzega, że „ponieważ nagroda główna w Konkursie realizowana będzie na podstawie umowy z osobami trzecimi", producent „nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne wady nagród" ani za ich realizację, czyli za konsekwencje podpisania kontraktu z wytwórnią.

– Przepisy prawa pracy nie określają szczególnych zasad świadczenia pracy dzieci w programach *talent show* – mówi Juliusz Głuski-Schimmer, rzecznik prasowy Głównego Inspektora Pracy. – Do tej grupy mają zastosowanie ogólne przepisy regulujące pracę dzieci. Zgodnie z nimi dzieci poniżej lat 16 mogą wykonywać pracę lub inne zajęcia zarobkowe wyłącznie na rzecz podmiotu prowadzącego działalność kulturalną, artystyczną, sportową lub reklamową, z tym że nie może to być praca stała. Świadczenie pracy odbywa się na podstawie zgody przedstawiciela ustawowego lub opiekuna dziecka oraz zezwolenia właściwego inspektora pracy. Jej rodzaj i charakter nie mogą zagrażać życiu, zdrowiu i rozwojowi psychofizycznemu dziecka ani kolidować z jego obowiązkami szkolnymi.

– Praca w show-biznesie jest ciężka – przyznaje Karolina Korwin-Piotrowska, dziennikarka i znawczyni show-biznesu. – Tresowane przez rodziców dzieci, które mają całe życie podporządkowane tzw. karierze, często są nieszczęśliwe. Wszyscy w branży o tym wiedzą, ale nikt nie zwraca na to uwagi, mimo historii Julki Wróblewskiej, która przypłaciła wczesną karierę i sławę problemami psychicznymi. O tym się nie mówi i dalej się robi te *talent shows* z dziećmi, przygotowując je do roli influencerów na Instagramie, YouTubie, TikToku, bo teraz najwięcej zarabia się w internecie. A im większe pieniądze, tym mniejsze hamulce. Te dzieci długo nie mają świadomości, w co są wkręcane. Niby świetnie się bawią, ale nikt nie myśli o tym, że zapłacą za to potworną cenę psychiczną.

> Dzieci nie mogą pracować w gastronomii. Jeśli jednak gotują i pieką na planie programu rozrywkowego dla telewizji, **nawet bez żadnego wynagrodzenia, wszystko jest OK.**

Korwin-Piotrowska sama była jurorką w „Top Model" (TVN, od 2010 r.). Poprosił ją o to Edward Miszczak, a „jemu się nie odmawia". W drugim sezonie chciała zrezygnować, ale nie było jej stać na zapłacenie kary umownej. Chęć rezygnacji nie wynikała z dylematów moralnych, bo według niej dorosłe osoby zgłaszają się do takich programów na własną odpowiedzialność. Jest natomiast zdeklarowaną przeciwniczką wykorzystywania w show-biznesie dzieci.

Korwin-Piotrowska była więc jurorką w dwóch pierwszych edycjach „Top Model". Początkowo w programie mogli brać udział wyłącznie pełnoletni, ale od siódmej edycji – również osoby od 16. roku życia (za zgodą rodziców). Dziecięcej wersji „Top Model" jeszcze nie ma, ale nic nie stoi na przeszkodzie, by powstała. Dzieci pracują przecież w modelingu, a w programach typu *talent show*, próbując zyskać popularność – robiły już prawie wszystko, co da się zaprezentować przed kamerami.

Jest super

Rodzice jednej z uczestniczek „Małych gigantów" założyli jej kanał na YouTubie, gdy miała 5 lat, i są w stanie zrobić dużo, by zwiększyć oglądalność i zysk. Wśród najpopularniejszych materiałów są filmy przedstawiające kilkulatkę w wannie (w kostiumie kąpielowym) oraz już nieco starszą bohaterkę kanału, która wraz z siostrą i koleżankami na rozkaz matki sprząta oborę oraz „bawi się" w Eggs Challenge, czyli rozbijanie surowych jajek na głowie.

W filmie ukazującym jej pracę na planie reklamy mówi, że zaczęła ją o czwartej nad ranem, a jej młodsza siostra – o siódmej. Ich matka skomentowała to słowami: „Ale po prostu genialnie sobie dają radę, mam nadzieję, że reklama wam się spodoba". Również inni uczestnicy programu „Mali giganci" „genialnie dawali sobie radę" w sytuacjach, w jakich postawili ich pragnący zarobić dorośli. Jedna z dziewczynek biorących udział w programie wspominała na YT, że próby przed finałowym odcinkiem trwały od godz. 10 do 23.

„Na planie jest zabawnie, ale męcząco" – zwierzała się jednemu z portali uczestniczka programu „MasterChef Junior" (TVN, od 2016 r.). – „Non stop są duble, cały czas trzeba się uśmiechać. Kiedy Mateusz Gessler miał problem z wymówieniem słowa »czternaście«, to chyba dziesięć razy robiliśmy duble. Przeze mnie też musieliśmy powtarzać nagranie kilka razy, bo skaleczyłam się nożem w palec, a zaraz potem wpadło mi chili do oka".

Zgodnie z regulaminem tego produkowanego przez Endemol Shine Polska programu uczestnicy i ich opiekunowie mają w trakcie emisji obowiązek udzielania wywiadów i wypowiedzi „na żądanie" producenta, a ich słowa muszą być przez niego autoryzowane. Po emisji nie muszą już zapewniać, że było super, ale nie mogą mówić, czego chcą, bo obowiązuje ich klauzula poufności. Dzieci i rodzice muszą milczeć na temat castingu i programu „przez czas nieokreślony".

W tym programie, różniącym się od przeznaczonego dla dorosłych „MasterChefa" wyłącznie wysokością nagrody (w dorosłej wersji to 100 tys. zł, a w juniorskiej – 15 tys. zł), biorą udział dzieci w wieku od 8 do 13 lat, które przed kamerami wykonują czynności, na jakie nie wyraziłby zgody żaden inspektor pracy, gdyby tych kamer nie było. Dzieci nie mogą bowiem pracować w gastronomii. Jeśli jednak gotują i pieką na planie programu rozrywkowego, bez żadnego wynagrodzenia, wszystko jest OK. A przecież wykonują czynności niedozwolone nawet dla młodzieży od 16. do 18. roku życia – znajdujące się w tzw. wykazie prac wzbronionych młodocianym (np. filetowanie ryb).

Całkowita dyspozycja

– Tylko raz na planie zdjęciowym zdarzył się poważny wypadek wymagający interwencji lekarskiej – mówi producentka Ewa Leja z TVN, która wraz z Endemol Shine Polska wyprodukowała już osiem sezonów „MasterChef Junior". – Jedna z uczestniczek pierwszego sezonu przecięła sobie palec i musieliśmy przetransportować ją do szpitala, żeby zszyto jej ranę. Drobne skaleczenia i oparzenia są na porządku dziennym, ale wymagają one tylko interwencji dyżurnych ratowników na miejscu. Dzieci są również pod opieką psychologa, który jest do ich dyspozycji 24 godziny na dobę: na planie i w hotelu, w którym mieszkają z rodzicami podczas nagrań. Także później psycholog utrzymuje kontakt z dziećmi i rodzicami tak długo, jak długo oni mają na to ochotę.

Opiekę psychologiczną nad uczestnikami programu sprawowała początkowo Marta Żysko, a od siódmego sezonu – Monika Antoniewska. Obie odmówiły „Tygodnikowi" wypowiedzi (podobnie jak reżyserzy Maciej Sobociński i Katarzyna Hummel-Cywa), za to Ewa Leja zapewnia, że wszyscy uczestnicy ośmiu sezonów (ponad sto osób) są zadowoleni i ciepło wspominają swój udział. Kryzysy i załamania trwają ledwie kilka dni i nikt nie zraził się do gotowania. Producentka zapewnia też, że dzieci mogą zrezygnować z udziału w programie i nie grozi za to żadna kara finansowa.

W regulaminie nie ma jednak o tym mowy, jest za to zapis o karach umownych za jego nieprzestrzeganie, zgodnie z którym podczas trwających 1-2 miesiące nagrań dzieci i ich opiekunowie muszą „poddać się całkowitej dyspozycji" producenta, przeprowadzić się do tzw. Domu MasterChefa (Leja mówi, że to czterogwiazdkowy hotel), zaakceptować poufny regulamin, na czas nagrań oddawać w depozyt telefony i inne urządzenia, ściśle przestrzegać harmonogramu dnia, a także zaprzestać innych aktywności, w tym zawodowych, oraz kontaktów z ludźmi niezwiązanymi z programem.

Przez kilka tygodni dzieci nie chodzą więc do szkoły, a rodzice do pracy (nikogo nie obchodzi, czy wiąże się to z urlopem bezpłatnym czy koniecznością rezygnacji z etatu). Nie otrzymują żadnego wynagrodzenia, choć muszą nie tylko nagrywać kolejne odcinki, ale również reklamować program, producenta, nadawcę i lokowane produkty. Podczas emisji nie mogą promować niczego innego, a dzieci, które odpadną, muszą wziąć udział w nagraniu odcinka finałowego.

> Przez kilka tygodni dzieci **nie chodzą do szkoły, a rodzice do pracy.** Nikogo nie obchodzi, czy wiąże się to z urlopem bezpłatnym czy koniecznością rezygnacji z etatu.

Tylko nie mów nikomu

„Do Biura Rzecznika Praw Dziecka przez ostatnie lata nie wpływały żadne skargi dotyczące opisywanych przez Panią zagadnień" – informuje biuro RPD w odpowiedzi na pytanie, czy Mikołaj Pawlak podjął jakieś działania mające na celu lepszą ochronę praw dzieci występujących w mediach. „Podkreślamy przy tym, że wzięcie udziału w programie typu *talent show* przez dziecko zawsze odbywa się za jego zgodą oraz przede wszystkim za zgodą rodziców lub prawnych opiekunów, bez której taki występ nie może mieć miejsca".

RPD nie tylko nie widzi problemu, ale jest jego częścią. W maju 2020 r. wraz z wytwórnią Universal Music Polska i siecią Biedronka wydał płytę z piosenkami dzieci z „The Voice Kids". Część dochodu ze sprzedaży przeznaczono na cele charytatywne (wsparcie szpitali podczas pandemii), a dyrektor wytwórni Maciej Kutak powiedział, że współpraca „dowodzi, że nawet w tak nietypowym i trudnym okresie warto poszukiwać niestandardowych rozwiązań i tworzyć nowe produkty".

Niedawno Pawlak wyraził „ogromne zaniepokojenie" faktem, że TVN odmówił promocji telefonu zaufania RPD. Według niego „decyzja telewizji TVN zmusza do postawienia pytania o rzeczywiste intencje tego medium". Pytań o intencje TVP rzecznik najwyraźniej nie stawia. A powinien, bo telewizja publiczna emituje obecnie dwa „poważne, komercyjne przedsięwzięcia" – nie tylko „The Voice Kids", ale również „You Can Dance – Nowa Generacja" (TVP2, od 2021 r.).

Podobnie jak „MasterChef Junior", program ten jest realizowany przez Endemol Shine Polska i przeznaczony dla dzieci w wieku 8-13 lat. Nagrania trwają kilka tygodni, podczas których dzieci i rodzice muszą przeprowadzić się do hotelu i być do dyspozycji producenta, bez wynagrodzenia. Zarówno w „MasterChefie", jak i w „You Can Dance" dzieci czekają na werdykt, stojąc w wielkim stresie i nierzadko we łzach przed jurorami, którzy po potęgującej napięcie chwili informują, kto odpada (a nie – kto przechodzi dalej).

„*Show* odnosi sukces wtedy, gdy umiemy pokazywać prawdziwe emocje" – powiedział w jednym z wywiadów Wojciech Iwański, reżyser m.in. „Mam talent!". W innym przyznawał: „Stacje komercyjne są do wytwarzania pieniędzy. Każdą złotówkę trzeba zamienić na dwa złote i żeby to robić jak najlepiej, trzeba mieć dobry produkt". Nie tylko stacje komercyjne tak działają. W regulaminie emitowanego w TVP2 „You Can Dance – Nowa Generacja" czytamy, że podczas emisji uczestnicy nie mogą brać udziału w żadnych reklamach, chyba że TVP wyrazi na to zgodę i pobierze „prowizję za udzielenie zgody".

Centrum Informacji TVP zapewnia jednak „Tygodnik", że programy „The Voice Kids" i „You Can Dance" „pozwalają młodym ludziom rozwijać talenty wokalno-taneczne, spełniać marzenia, a także promować zdrowy styl życia. Osoby odpowiedzialne za produkcję takich formatów zawsze z troską i wrażliwością traktują małych uczestników". Na planie obecny jest psycholog, a nagrania odbywają się „w porze dziennej, z przerwami na odpoczynek i posiłek".

Ale w regulaminie „You Can Dance" czytamy, że „konkurencje w ramach Konkursu i Audycji mogą być organizowane o różnych porach dnia lub nocy". I oczywiście, jak w regulaminach wszystkich innych *talent shows*: „Uczestnik jest zobowiązany do przestrzegania zasad poufności". Za złamanie regulaminu i umów z producentem grożą kary, więc uczestnicy żadnego z tych programów nie mogą powiedzieć, że wcale nie było super. Nawet jeśli doświadczą krzywdy większej niż wyzysk ekonomiczny.

© ANNA GOLUS

Sto recept dziennie

MAŁGORZATA SOLECKA

Przez internet można dziś zamówić silne leki psychotropowe oraz przeciwbólowe. I otrzymać je bez rozmowy z lekarzem. Czasem wystarczy wypełnić formularz online.

Minister zdrowia idzie na wojnę z e-receptami, by chronić bezpieczeństwo pacjenta. Cel szczytny, ale wzniosłe hasła nie przysłonią rzeczywistości: resort chce walczyć z patologią, której powstaniu winne są niedopracowane rozwiązania legislacyjne i kilkuletnia bezczynność urzędników.

Tzw. receptomaty to specjalne serwisy internetowe, poprzez które lekarze przyjmują pacjentów zdalnie (kontaktując się niemal wyłącznie przez formularze, maile lub czaty), a finalnym produktem tych „konsultacji" jest recepta, zwolnienie lub skierowanie. Wszystko odbywa się w formie cyfrowej, a Polska stała się jednym z europejskich liderów tego zjawiska.

Szalupa na czas pandemii

Jesień 2019 roku. Co dopiero opadł kurz po ciężkich walkach między Zakładem Ubezpieczeń Społecznych, ministerstwami zdrowia i pracy z jednej strony a lekarzami z drugiej – o obowiązek wystawiania zaświadczeń o niezdolności do pracy w formie elektronicznej, a już szykuje się nowa rewolucja, czyli e-recepty. Aby nie psuć lekarzom bożonarodzeniowego świętowania, odpowiedzialny w resorcie zdrowia za cyfryzację wiceminister Janusz Cieszyński ustawia „godzinę zero" na 8 stycznia 2020 r. Od tego dnia e-recepty mają wypierać tradycyjne, papierowe druki. Ani resort zdrowia, ani eksperci nie mają pojęcia, że wprowadzane właśnie rozwiązanie za kilka tygodni okaże się szalupą ratunkową dla systemu ochrony zdrowia. Usłyszymy wielokrotnie, że wprowadzenie e-recept okazało się by-passem, który podczas pandemii pozwolił utrzymać ciągłość terapii pacjentów chorujących przewlekle, bez konieczności odwiedzania gabinetów.

Ratunkiem dla systemu były też teleporady. Wprowadzono je jeszcze przed pandemią, ale sami lekarze podchodzili do nich jak pies do jeża i bynajmniej nie palili się do technicznych nowinek, mających zastąpić fizykalne badanie pacjenta. W dobie covidu teleporady stały się jednak „lekiem na całe zło", a na pewno kolejnym kołem ratunkowym. Nieczęsto się zdarza, by Polska w rankingach międzynarodowych w obszarze ochrony zdrowia miała się czym poszczycić, więc warto przywołać „Health at a Glance: Europe 2022" (publikowany przez OECD), w którym pokazaliśmy, że niemożliwe nie istnieje. Gdy praktycznie w całej UE liczba porad lekarskich na głowę mieszkańca w pierwszym roku pandemii spadła w stosunku do roku poprzedniego, Polska – obok Danii i Hiszpanii – zanotowała wzrost.

W 2019 r. wskaźnik wynosił 7,7. W 2020 r. – 8,7, właśnie dzięki teleporadom. Lekarzom i pacjentom tak się „spodobały", że po kilku miesiącach pandemii rzecznik praw pacjenta, Narodowy Fundusz Zdrowia i minister zdrowia osobiście zaczęli naciskać na ich radykalne ograniczenie, by nie zastąpiły bezpośredniej, pełnej diagnostyki w gabinetach.

Ale wtedy uderzyła jesienna fala COVID-19, która omal nie zmiotła całego systemu. Teleporady znów go uratowały.

Trudno zrozumieć dzisiejszą awanturę wokół tzw. receptomatów bez pandemicznego kontekstu. Bez konstatacji, że zarówno ci, którzy te rozwiązania wprowadzali, jak i ci, którzy z nich korzystali, zachłysnęli się ich możliwościami. Zapominając o zagrożeniach.

Jak to się robi

– Korzystacie z receptomatów? – pytam znajomych na portalu społecznościowym. Gwarantuję anonimowość, odpowiedzi jest jednak zaskakująco niewiele. X próbowała uzyskać receptę na bardzo silny lek przeciwbólowy z powodu nieustępującego, dojmującego bólu szyi. Zapłaciła 60 zł, jednak wskazanego przez nią leku lekarka nie wypisała, domagając się dostarczenia wyników badań. Receptę wypisała na inny, bezpieczniejszy lek. Y deklaruje, że dwa razy skorzystała z receptomatu, gdy na wyjeździe potrzebowała pilnie leku, który brała. – Uznałam, że tak będzie szybciej, niż dobijać się gdzieś do lekarza.

Z, dziennikarka z branży medycznej, korzysta z receptomatu dwa, trzy razy w roku. – Uważam, że to dobre rozwiązanie w sytuacji, gdy system publiczny jest niewydolny, a i prywatna opieka medyczna szwankuje lub ceny za wizytę, na której otrzymuje się tylko receptę, są zaporowe, rzędu 300 złotych – tłumaczy. Jak podkreśla, w każdej z kilku firm, w których aplikowała o recepty, musiała wypełnić ankietę, często na maila otrzymywała dodatkowe pytania. – Dwa razy leku mi nie wydano, bo nie chciałam skłamać – wyznaje.

Zanim przystąpię do pisania tekstu, spróbuję i ja dostać „e-receptę w 5 minut", jak kusi jedna z reklam. Inne obiecują, że uwiną się w kwadrans (choć we wszystkich drobnym drukiem dopisano, że czas realizacji może potrwać znacznie dłużej). Płacąc 35 zł (wygodnie, blikiem), proszę o lek na „wiosenną alergię". Nie ma żadnej ankiety, nie ma nawet sugestii, że powinnam podać objawy. Tylko PESEL jest pewną wskazówką, że lekarz powinien – być może – zadać kilka pytań, zanim wystawi receptę.

Pięć minut traktuję umownie, jednak gdy po dwóch godzinach wciąż nie dostaję SMS-a z kodem recepty, zaczynam rozważać, czy nie padłam ofiarą e-oszustwa i z taką myślą idę spać. Rano jednak znajduję pytania na czacie: czy „wiosenna alergia" objawia się wysypką, wodnistym katarem, łzawieniem? Czy mam te objawy po raz pierwszy, czy może wcześniej diagnozowałam alergię i przyjmowałam leki? Odpowiadam zgodnie ze stanem faktycznym. Mijają kolejne godziny, ale w końcu moja recepta się pojawia, a w ślad za nią lekarska porada na czacie – oprócz

tabletek ordynuje krople donosowe oraz radzi, by udać się do alergologa.

Wspólny mianownik leków wypisywanych w receptomatach? Są dla pacjenta, bez względu na źródło recepty, płatne w 100 procentach. To praktycznie do minimum ogranicza korzystanie z tego rozwiązania przez pacjentów leczących się przewlekle lekami objętymi refundacją. Ci zresztą są pod stałą opieką lekarzy prowadzących. Nawet w awaryjnej sytuacji (przeterminowanie recepty, chociażby) łatwiej im uzyskać nową z opiekującej się nimi poradni.

Z receptomatów pochodzą więc najczęściej recepty na silniejsze leki przeciwbólowe, psychotropowe, środki antykoncepcyjne – również tzw. antykoncepcję awaryjną, czyli tabletki „dzień po", które niemal od początku rządów PiS są (ponownie) dostępne wyłącznie na receptę. Nic dziwnego, że gdy minister zdrowia zaczął mówić o konieczności ukrócenia działalności takich placówek, pierwsze protesty pojawiły się się ze strony organizacji broniących praw kobiet, które nie kryły obaw, że pod płaszczykiem dbania o bezpieczeństwo pacjentów władza chce pójść o krok dalej w ograniczaniu prawa do antykoncepcji, zwłaszcza awaryjnej.

Sto recept dziennie

Luty 2020 roku. Od wprowadzenia e-recept mija pięć, sześć tygodni. Świat już drży przed wirusem z Wuhan, choć jeszcze do końca nie wie, z czym przyjdzie się mu zmierzyć. W Polsce wiceminister zdrowia Janusz Cieszyński prezentuje mediom dane. Najstarszy lekarz, który wystawił e-receptę, ma 98 lat (to ma stanowić dowód, że wiek nie jest przeszkodą w stosowaniu nowych technologii), zaś najstarszy pacjent, któremu taką receptę wystawiono – 112. Dziennikarze mogą też usłyszeć, że najwięcej e-recept wystawia się w poniedziałkowe przedpołudnia, a średni czas realizacji to mniej niż trzy dni. Jedną z korzyści z przejścia z recept papierowych na cyfrowe jest, jak cierpliwie tłumaczy wiceszef resortu zdrowia, możliwość przetwarzania danych w czasie rzeczywistym, wyciągania wniosków i szybkiej reakcji, gdy dochodzi do nieprawidłowości.

Nieprawidłowości, a w każdym razie potencjał ich powstania, wykrywa jednak nie system, a dziennikarze. Michał Janczura z TOK FM wpada na trop procederu handlowania e-receptami w internecie. Alarmuje, że są lekarze, którzy oferują wystawienie recepty na środki antykoncepcyjne, w tym antykoncepcję awaryjną, za „jedyne" 89 złotych. – W sieci widnieją strony internetowe, za pośrednictwem których można wykupić usługi nazywane „konsultacjami lekarskimi online z możliwością wystawienia e-recepty". Adresami „wirtualnych przychodni" dzielą się na forach pacjentki, które chcą uniknąć oczekiwania na wizytę u ginekologa. W praktyce oznacza to sprzedawanie recept, które – zgodnie z zapewnieniami osób oferujących takie usługi – przyjmie i zrealizuje każda apteka. Sprawa nie ma dalszego ciągu. Jest pandemia.

Receptomaty w następnych miesiącach i latach rosną w siłę wprost proporcjonalnie do skali paraliżu placówek publicznych i prywatnych, nieniepokojone przez nikogo, a już bynajmniej przez resort zdrowia. Odpowiedzialny za politykę lekową wiceminister Maciej Miłkowski w maju 2020 r., odpowiadając na interpelację poselską w sprawie ewentualnych nieprawidłowości związanych z masowym wystawianiem e-recept, pisał: „System informatyczny pozwala Ministerstwu Zdrowia na wykrycie przypadków, kiedy lekarz wystawia niepokojąco dużą liczbę podobnych recept i przekazanie stosownych informacji izbom lekarskim, gdyż (...) to samorząd lekarski jest właściwy do rozstrzygania spraw z zakresu odpowiedzialności zawodowej".

Sęk w tym, że takich zawiadomień resort zdrowia nie jest, a raczej nie był w stanie wskazać. Jednak w połowie kwietnia do Naczelnej Izby Lekarskiej trafiła lista z nazwiskami lekarzy, którzy w ciągu miesiąca wystawili minimum trzy tysiące recept. W prostym przeliczeniu – sto dziennie, i to licząc dni kalendarzowe. Resort zdrowia okłada samorząd lekarski tą informacją niczym pałką, grzmiąc na Twitterze, że do tej pory – minął miesiąc – nie ma żadnej reakcji. Reakcja, oczywiście, jest.

– Przekazaliśmy informacje do rzeczników odpowiedzialności zawodowej na poziomie okręgowych rad lekarskich – mówił mi jeszcze w kwietniu prezes Naczelnej Rady Lekarskiej Łukasz Jankowski. Stanowisko w sprawie wydała też Komisja Etyki Lekarskiej, przypominając o obowiązku dochowania staranności przez lekarza, który zakłada zbadanie pacjenta, zebranie adekwatnego wywiadu lekarskiego i wyważenie, czy ma się wystarczający zasób wiedzy do przepisywania pacjentowi określonego leku.

Rzecznicy odpowiedzialności zawodowej (pełniący zadania „prokuratorów", badających zgodność postępowania lekarzy z przepisami regulującymi wykonywanie zawodu), jak podkreślają przedstawiciele samorządu lekarskiego, prowadzą postępowania, ale to z konieczności musi potrwać. Zwłaszcza że samorząd lekarski nie ma nawet ułamka narzędzi, jakimi dysponują organy państwa, jeśli chodzi o możliwość dogłębnej kontroli. ↦

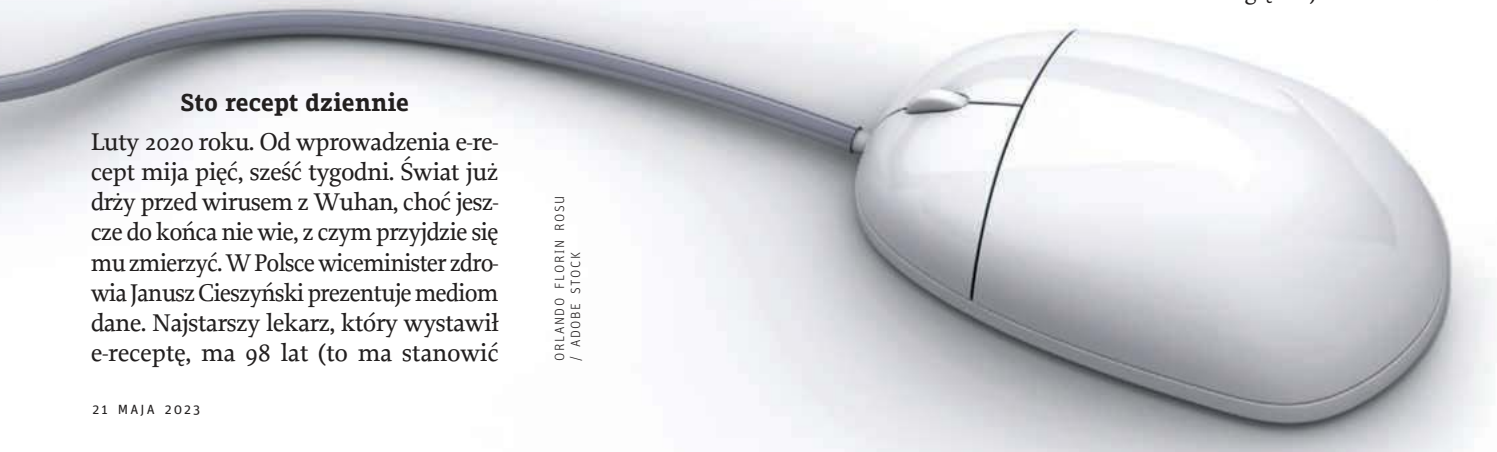

ORLANDO FLORIN ROSU / ADOBE STOCK

↦ Nie może na przykład wykazać ponad wszelką wątpliwość, że lekarz udostępnił swój numer prawa wykonywania zawodu (PWZ) firmie i dzięki temu recepty taśmowo wystawiają inne osoby – a takie sugestie formułowane są przez ministra zdrowia. Taki proceder mogłyby natomiast przynajmniej uprawdopodobnić krzyżowe kontrole świadczeniodawców, przeprowadzone przez uprawnione instytucje, w tym NFZ. Jeśli więc ktoś ponosi odpowiedzialność, to raczej nie instytucje samorządu zawodowego, tylko ministerstwo, które przez wiele miesięcy zbywało tych, którzy próbowali zwrócić uwagę na szkodliwe aspekty działania firm oferujących łatwy dostęp do recept.

Łatwość dostępu to z jednej strony wygoda, z drugiej – potencjalne zagrożenie. Bo choć zgodnie z przepisami wystawienie recepty przez lekarza w każdym przypadku powinno być poprzedzone badaniem pacjenta, a co najmniej zebraniem wywiadu, są pewne kategorie leków, w których ta staranność – i ostrożność w ordynacji – wymagane są w dwójnasób. To, między innymi, leki psychotropowe, czy też szerzej – leki stosowane w różnego typu problemach ze zdrowiem psychicznym. A także medyczna marihuana, przepisywana w receptomatach np. na depresję. Ich nadużywanie, podobnie jak nadmierne, pozostające poza kontrolą, stosowanie silnych środków przeciwbólowych, może łatwo prowadzić do uzależnienia lub w inny sposób zaszkodzić zdrowiu pacjenta. Eksperci podkreślają, że nadużywanie czy stosowanie niezgodnie ze wskazaniami praktycznie każdego leku stanowi niebezpieczeństwo, ale są też takie, które stosować trzeba z jeszcze większą starannością.

W Polsce są lekarze, którzy w ciągu miesiąca wystawili minimum 3 tysiące recept. W prostym przeliczeniu **– sto dziennie, i to licząc dni kalendarzowe.**

Fala internetowej depresji

Luty 2023. Media informują, że w 2022 r. liczba sprzedanych leków antydepresyjnych była o ponad jedną trzecią wyższa niż pięć lat wcześniej i przekroczyła 30 mln sztuk. To dane firmy analitycznej PEX PharmaSequence, niebudzące wątpliwości. Eksperci przywołują je w kontekście potężnego kryzysu zdrowia psychicznego, który przetacza się przez świat i Polskę. Również w kontekście kryzysu opieki psychiatrycznej i psychologicznej zarówno nad dorosłymi, jak i dziećmi. Pojawiają się pytania – czy ten wzrost konsumpcji antydepresantów jest wynikiem tylko załamania się zdrowia psychicznego na skutek pandemii, wojny w Ukrainie, poczucia niepewności ekonomicznej w czasach inflacji? A może jest też efektem ekspansji firm farmaceutycznych, ale przede wszystkim ułatwień w dostępie do takich środków, również dzięki receptomatom?

– Leki, które zawierają substancje psychotropowe, będą mogły być przepisywane tylko w czasie osobistej wizyty u lekarza – zapowiedział w połowie kwietnia minister zdrowia Adam Niedzielski, podkreślając, że gdy ma wybierać między „wygodą lekarza" a „bezpieczeństwem pacjenta", zawsze wybierze to drugie. Jednak projekt rozporządzenia, który resort kieruje do konsultacji publicznych w środku majowego weekendu, jest w ocenie ekspertów wadliwy i może uderzyć rykoszetem w pacjentów, którzy takich leków będą pilnie potrzebować i starać się o nie bynajmniej nie w receptomatach, ale choćby w trakcie teleporady wideo u specjalisty w dziedzinie psychiatrii.

W dodatku – jak się wydaje – proceder taśmowego wystawiania recept na leki psychotropowe (antydepresanty stanowią tylko część tej grupy leków) przynajmniej w tej chwili nie dotyczy wcale firm reklamujących jawnie swoje usługi w internecie. Przeciwnie, wiele z nich z góry wyklucza możliwość uzyskania recepty na takie leki. Można przypuszczać, że zmiany to efekt ostatnich tygodni, gdy sprawa stała się głośna, szczególnie po interwencji rzecznika praw pacjenta, który skierował zawiadomienie do prokuratury po zgonach dwóch osób, zażywających leki psychotropowe przepisane bez szczegółowego wywiadu o stanie zdrowia.

Zbadanie tych przypadków jest oczywiście konieczne. Ustalenia nie zmienią jednak faktów: to urzędnicy mają dostęp do szczegółowych danych dotyczących przepisywania leków, z możliwością ich dowolnej analizy i wyciągania wniosków. A ten generalny wniosek jest banalny: w ciągu trzech lat nie podjęli żadnych działań.

© MAŁGORZATA SOLECKA

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.† P.

Leonarda Szymańskiego

Żegnamy wielkiego Przyjaciela wydawnictwa,
osobę szlachetną i dobrą, która przez wiele lat pomagała
nam swoim doświadczeniem, także jako członek Rady Nadzorczej
Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

Rodzinie oraz Najbliższym najszczersze wyrazy współczucia składa

Rada Nadzorcza, Zarząd i Pracownicy
Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

BARTŁOMIEJ JURECKI / FORUM

Halny w Tatrach. Zakopane, 2013 r.

Wieje, ale nie zabija

DAMIAN NOWICKI

Chcąc zrozumieć problem zdrowia psychicznego na Podhalu, trzeba zrezygnować z oskarżania halnego, a na temat depresji i samobójstw spojrzeć szerzej.

Przekonanie, że natura ma duży wpływ na życie Podhalan, jest obecne w góralskiej kulturze od pokoleń. Podobnie jak opinia, że silny, surowy i ciepły wiatr jest decydującym czynnikiem rzekomo wysokich statystyk samobójstw w regionie. Z tej okazji powstało nawet powiedzenie: „Kiedy tańcują diabły, w górach wieje halny".

Zdaniem ekspertów ten czarny PR regionu podsycają nagłówki typu „Psychiatrzy wyciągają górali z knajpy" albo „Plaga samobójstw dopadła Podhale". Bezpośredni związek między halnym a liczbą osób targających się na swoje życie nie został jednak naukowo potwierdzony.

– Przez długie lata Zakopane, ale i całe Podhale żyło mitem halnego. To się jednak pozmieniało – przekonuje Jadwiga Brzosko, zakopiańska lekarka rodzinna z ponad dwudziestoletnim stażem. – Takie folkowo-magiczne myślenie, że jesteśmy zależni od sił natury, jest dzisiaj bardziej wspomnieniem. Przyczyn samobójstw czy depresji nikt już nie szuka wyłącznie w przyrodzie, ale również w zjawiskach społecznych.

Brak jednoznacznych powiązań

Halny jest wiatrem typu fenowego, czyli ciepłym i suchym, wiejącym z gór ku dolinom. W Polsce takie wiatry występują w Karpatach i Sudetach, ale z największą siłą wieją na Podhalu, osiągając nawet 60 m/s (216 km/h). Podmuchy halnego są porywiste i gwałtowne, a towarzyszą mu specyficzne chmury soczewkowe oraz tzw. wał halny zwisający nad barierą gór, co dodatkowo tworzy atmosferę grozy.

Faktem jest, że pod wpływem gwałtownych zmian ciśnienia pogarsza się stan zdrowia osób ze schorzeniami układu krążenia serca, cierpiących na migrenowe bóle głowy albo na bezsenność. Sporo ludzi odczuwa też pobudzenie, nerwowość i silne zmiany nastroju. Za najbardziej zagrożone uważa się osoby cierpiące na depresję bądź inne choroby psychiczne. Dotykające ich nagłe przygnębienie może spowodować obniżenie samokontroli, a nawet doprowadzić do kryzysów emocjonalnych.

Jednak traktowanie halnego jako wiatru niosącego śmierć nie znajduje odzwierciedlenia w nauce. W opublikowanej w 2019 r. pracy „Wiatr fenowy jako sezonowy czynnik ryzyka samobójstwa ↦

↦ w regionie górskim" zbadano hipotezę zależności między halnym a samobójstwami. Autorzy przeanalizowali liczbę samobójstw odnotowanych w latach 1999-2014 przez policję w powiecie tatrzańskim, w odniesieniu do danych meteorologicznych. Fen zdefiniowali jako zespół czynników meteorologicznych, na które składają się zmiany ciśnienia, temperatury, wilgotności, zachmurzenia, prędkości i kierunku wiatru. Zostały wzięte pod uwagę dni, w których wystąpił halny, oraz dwa dni poprzedzające to zjawisko.

„W okresie badania zarejestrowano 210 przypadków samobójstw, z czego 14,5 proc. miało miejsce w dniach ze zjawiskami fenowymi. Wskaźnik samobójstw był podobny przez cały rok, niezależnie od pory roku" – czytamy w streszczeniu opracowania dr Iwony Koszewskiej, Eweliny Walawender, prof. Anny Baran, dr. Jakuba Zielińskiego oraz prof. Zbigniewa Ustrnula.

Wniosek z badań mógł być więc tylko jeden: „brak jednoznacznych powiązań pomiędzy występowaniem halnego a samobójstwami". Badacze zaznaczyli, że względne ryzyko samobójstw może rosnąć w zależności od sezonu: najbardziej w okresie letnim, mniej w jesiennym. Wiosną natomiast radykalnie spada. Biorąc pod uwagę, że halny wieje najczęściej jesienią, zimą i wczesną wiosną – ciężko byłoby upatrywać w gwałtownym wietrze winnego.

Turystyka samobójcza

Wcześniejsze przekonanie o korelacji między halnym a samobójstwami sprawiło, że minionej dekady w Zakopanem uruchomiono szereg programów i kampanii społecznych, np. „Przegonić depresję" oraz „Aby halny nikogo nie zabrał". Zdaniem Iwony Koszewskiej, autorki i kierowniczki drugiego projektu, prowadzonego w latach 2009-2014, wdrukowanemu w podhalańskie poczucie tożsamości poglądowi sprzyja głównie zmienny i silnie bodźcujący klimat oraz model życia – człowieka zahartowanego, który sam sobie musi dawać radę z problemami i nie prosić nikogo o pomoc.

– Tytuł mojego programu, sformułowanego razem z góralami, był niejako sprzeciwem wobec natury i postawieniem się mitowi. Chciałam pokazać, że mamy wpływ na swe życie i że na Podhalu można uruchomić różne działania profilaktyczne. Zebrane wówczas dane potwierdziły inne zjawisko: nieważne, czy na swoje życie targnął się ktoś stąd czy przyjezdny z Pomorza lub Kujaw, w mediach piętnowana była cała nasza społeczność – wspomina Koszewska.

W okresie badania zarejestrowano 210 samobójstw, z czego 14,5 proc. miało miejsce w dniach ze zjawiskami fenowymi. **Wskaźnik samobójstw był podobny przez cały rok,** niezależnie od pory.

Lekarka Ewa Makieła od trzech lat pracuje w nowotarskim centrum zdrowia psychicznego, gdzie zajmuje się terapią dorosłych. Wcześniej 20 lat przepracowała w zakopiańskim szpitalu na oddziale psychiatrii, gdzie dostrzegła zjawisko tzw. turystyki samobójczej. – Ludzie z różnych części Polski przyjeżdżali na Podhale, aby się zabić, skacząc np. z Giewontu lub Nosala. Lokalni mieszkańcy wybierali zazwyczaj inne, szybsze rozwiązania. Widowiskowe samobójstwa przyjezdnych szybko zauważały media, jednak nikt nie zadał sobie trudu, aby sprawdzić, skąd pochodziła ofiara. Kolejne doniesienia o samobójstwie w górach napędzało czarną legendę Podhala, co dobrze się wpisywało w opowieści o śmiercionośnym halnym – twierdzi Makieła.

Dokładne dane szpitalne pochodzą z lat 1999-2007. W powiecie tatrzańskim odnotowano wtedy 130 prób samobójczych, z czego 117 zakończyło się śmiercią. Wskaźnik ten w powiecie tatrzańskim był 1,7 razy wyższy niż średnia dla Polski. W rekordowym 2003 r. pod Tatrami popełniono 2,7 razy więcej samobójstw niż średnio w całym kraju.

Najnowsze dane udostępnione przez Romana Wieczorka, rzecznika prasowego Komendanta Powiatowego Policji w Zakopanem, przedstawiają się niemal symetrycznie. W latach 2015-2022 r. na terenie powiatu tatrzańskiego odnotowano 130 prób samobójczych, z których 97 zakończyło się zgonem.

Iwona Koszewska podkreśla jednak, że patrząc na długoterminowe wykresy samobójstw, w każdym miejscu świata da się zauważyć, iż mają one charakter sinusoidalny: rosną i maleją w różnym tempie. Jej zdaniem jest to kluczowe dla analizy zjawiska oraz stworzenia funkcjonalnych mechanizmów przeciwdziałania.

– W tej kwestii nigdy nie ma *plateau*, jest ciągła zmiana i nie wiadomo do końca, dlaczego. Niezależnie, czy spojrzymy na małe miejscowości czy metropolie. To, że 2003 r. był dużo gorszy na Podhalu niż w reszcie kraju, nie zmienia faktu, że w następnych latach trend spadł, a nawet się odwrócił. To samo, niestety, dzieje się z programami profilaktycznymi. W pierwszym roku po ich zakończeniu widać poprawę, a później tendencje samobójcze znowu rosną – twierdzi terapeutka.

Jeszcze w końcówce lat 90. Koszewska przeanalizowała, w jaki sposób lekarze z poradni w Zakopanem rozpoznają depresje. Zrobiła tak, ponieważ statystyki wskazywały na istotnie mniejsze rozpoznawanie tej choroby niż w innych częściach kraju. Część problemu tkwiła w tym, że ludzie z kłopotami psychicznymi byli w regionie zbyt późno diagnozowani. Teraz się to zmieniło.

Pierwsza linia pomocy

Jadwiga Brzosko pochodzi z Zakopanego. Chociaż choroby psychiczne nie są jej specjalnością, tematem depresji, samobójstw i przemocy skierowanej ku sobie interesowała się niemal od początku praktyki. Dostrzegała je w najbliższym otoczeniu. Z czasem dla wielu zakopiańczyków stała się niejako pierwszą linią pomocy, praktycznie we wszystkich zdrowotnych kwestiach, w tym psychicznych. Łatwiej się przecież zwierzyć lekarzowi rodzinnemu niż psychiatrze; wizyta u tego ostatniego wiąże się wciąż z pewnego rodzaju napiętnowaniem. Zwłaszcza gdy się jest „twardym góralem".

Podobnie jak Koszewska, Jadwiga Brzosko zwraca uwagę na profilaktykę i zmiany społeczne, dzięki którym dziś już się tak nie bagatelizuje problemów psychicznych. – Ludzie zaczynają o emocjach rozmawiać i próbują nazywać pewne problemy. Słowa „depresja" czy „słabość" przestają być wstydliwe, a pacjenci chętniej zgłaszają się z różnego

rodzaju trudnościami. Dowodzi to, że kampanie społeczne i działania profilaktyczne ostatnich kilkunastu lat miały sens – podkreśla.

Jadwiga Brzosko przekonuje, że zmienia się też podejście do definiowania przyczyn zaburzeń. Jest dziś dojrzalsze. W sukurs edukacji na temat zdrowia psychicznego i zmian w mentalności podhalańskich rodzin (kiedyś obyczaj zakazywał mówienia o emocjonalnych trudnościach) idzie paradoksalnie... kryzys klimatyczny. Usprawiedliwianie depresji, psychoz i problemów emocjonalnych nadprzyrodzoną naturą przestało działać. Przyroda zaczęła ulegać zmianie.

– Z tego, co pamiętam, minionej jesieni halny wiał mocno chyba tylko raz. Czasy, gdy budził grozę, raczej minęły. Świat się zmienił, fizycznie i symbolicznie – podsumowuje Brzosko.

Profilaktyka i diagnostyka to dopiero początek skomplikowanej drogi. Aktualnie w niemal 30-tysięcznym Zakopanem znajduje się jedna publiczna poradnia zdrowia psychicznego, gdzie przyjmuje psycholog i dwóch psychiatrów na niepełnym etacie. Jest jednak szansa, że za kilka miesięcy powstanie oddział centrum leczenia środowiskowego, które działa w Nowym Targu. Ma to być punkt konsultacyjny z możliwością porad terapeutycznych.

– Zdecydowanie ułatwiłoby nam to pracę, gdyż dziś zbyt często musimy odsyłać pacjentów do prywatnych gabinetów. Na terenie Zakopanego NFZ nie gwarantuje nikomu psychoterapii czy terapii leczenia uzależnień. Można na to liczyć jedynie w ramach pilotażowych programów fundowanych przez UE. Niestety, często oznacza to konieczność wyjazdu do gabinetu znajdującego się wiele kilometrów od miejsca zamieszkania – mówi Brzosko.

Ewa Makieła dodaje, że w ciągu ostatnich kilku lat obserwuje coraz większą liczbę osób z chorobami psychicznymi. Kolejki w gabinecie się wydłużają, a terminy są coraz odleglejsze. Jej zdaniem to efekt zmian obyczajowych i dojrzalszego podejścia do spraw zdrowia psychicznego.

– Ludzie trochę mniej się wstydzą tego, że mają kryzysy psychiczne. Jest też mniejsza stygmatyzacja osób, które postanowiły pójść do psychiatry. Ma to wpływ na liczbę zgłaszających się. Dopiero teraz widzimy prawdziwą skalę zjawiska – twierdzi.

Łatwiej się zwierzyć lekarzowi rodzinnemu niż psychiatrze. Wizyta u tego ostatniego wiąże się wciąż na Podhalu z pewnego rodzaju napiętnowaniem. **Zwłaszcza gdy jest się „twardym góralem”.**

Halny paradoks

Jadwiga Brzosko dostrzega pokoleniowe przesunięcie środka ciężkości kryzysów emocjonalnych i tendencji samobójczych. 40-latkowie i starsi na Podhalu radzą sobie lepiej z problemami, które tłamsili ze względu na panujący model społeczny. Niestety, coraz częściej cierpią ludzie młodsi. Odczuwają większą samotność (wywołaną m.in. pandemią), ekonomiczną frustrację napędzaną inflacją i lęk z powodu trwającej niedaleko wojny. Ale to nie ma nic wspólnego z halnym ani ze specyfiką regionu.

– Mam 19-letnią córkę, więc siłą rzeczy byłam i dalej jestem w samym centrum tych problemów. Rozmawiam też z nauczycielami i pedagogami szkolnymi, wszyscy wskazują na wzrost problemów wśród młodzieży, egzystencjalnych kryzysów, braku poczucia sensu. Nie prowadzę statystyk, ale na oko jedna czwarta pacjentów przychodzi do mnie z psychosomatycznymi dolegliwościami na tle emocjonalnym – twierdzi Jadwiga Brzosko.

Dorota Barnaś-Majcher, psychoterapeutka i kierowniczka Ośrodka Środowiskowej Opieki Psychologicznej i Psychoterapeutycznej dla Dzieci i Młodzieży w Zakopanem, potwierdza to zjawisko. – Psychiatrzy, psychologowie i psychoterapeuci z całej Polski zauważają niepokojący wzrost kryzysów emocjonalnych wśród nastolatków i młodych dorosłych w reakcji na bieżące trudności życiowe. Ale pojawia się jeszcze kwestia traumy pokoleniowej. Ponieważ jako dorośli jesteśmy opiekunami i modelujemy zachowania następnego pokolenia, to gdy my nie dajemy sobie rady, oni również popadają w kryzys. Otwarte mówienie o trudnych doświadczeniach, słabościach czy traumach pozwala przerwać ten pokoleniowy przekaz i chroni najmłodszych – twierdzi Barnaś-Majcher. – Czasami poznanie historii rodzinnej pomaga lepiej zrozumieć nasze lęki i zachowania, co można przepracować w terapii.

Zdaniem Rafała Majchera, który jest psychoterapeutą w tym samym zakopiańskim ośrodku oraz prezesem zarządu Stowarzyszenia na rzecz Rozwoju i Aktywności Społecznej „Zrozum, by Pomagać” – to właśnie mit o zabójczym halnym paradoksalnie spowodował dużo pozytywnych zmian w podejściu do zdrowia psychicznego na Podhalu.

– Sam akt samobójstwa, czyli zaprzeczenie najbardziej podstawowemu odruchowi ludzkiemu, jakim jest pragnienie przetrwania, to na tyle niewyobrażalne zjawisko, że ciężko je zrozumieć. A tam, gdzie zawodzi logika, szybko pojawiają się siły nadprzyrodzone, które najłatwiej tłumaczą „rzeczy niepojęte” – wyjaśnia Majcher. – Oprócz naukowego zrozumienia wiatrów fenowych, ich badania uruchomiły także procesy przeciwdziałania. Doprowadziło to do organizacji na Podhalu m.in. programów szkoleń dla lokalnych specjalistów, jak reagować na kryzysy emocjonalne oraz przypadki przemocy domowej.

Za merytoryczną opiekę nad takimi kursami odpowiadali krakowscy specjaliści związani obecnie z krakowską Fundacją Dom Terapii. Dzięki współpracy z lokalnymi samorządami, np. gminą Kościelisko w 2017 r., udało się nie tylko dotrzeć do góralskich domów, ale także otworzyć emocjonalnie członków tych rodzin na rozmowy o kryzysach.

Oprócz samych szkoleń i podnoszenia kwalifikacji podhalańskich terapeutów, Majcher podkreśla również znaczenie programów socjalnych, np. Placówki Wsparcia Dziennego w Kościelisku, gdzie mogą się zgłosić całe rodziny, a pomoc psychologiczna (kiedyś z funduszy unijnych, obecnie z gminnych) jest darmowa i udzielana bez wcześniejszego skierowania.

– To symboliczne, że siła, która niegdyś miała wywoływać tyle nieszczęść i krzywd, z czasem doprowadziła do rozwoju lokalnych kadr terapeutycznych oraz, chociaż częściowo, nieodpłatnej opieki nad zdrowiem psychicznym Podhalan – podsumowuje Majcher.

© DAMIAN NOWICKI

TOMASZ

Stawiszyński:
Duchy i my

Czy duchy istnieją? Niezależnie od tego, co rozumiemy pod pojęciem „ducha" – a dałoby się tutaj naprędce sformułować co najmniej kilka bazowych definicji – zdania są, mówiąc delikatnie, podzielone. Współczesna nauka, oficjalna dawczyni obrazu świata, nie stwierdza wszak istnienia niczego innego aniżeli to, co da się zmierzyć i policzyć. Widziana dziś okiem naukowym rzeczywistość jawi się jako konglomerat cząstek regulowany prawami fizyki i ewolucji. Świadomość – coś, było nie było, fundamentalnie realnego, a zarazem niemożliwego do kwantyfikacji – jest w tej perspektywie po prostu pochodną procesów materialnych, w pełni zależną od podłoża, na którym wyrasta. Duchy zatem mogą być jedynie produktem wyobraźni, nic bowiem – w sensie jak najściślejszym – ze świadomości nie pozostaje po śmierci ciała, które jest jej wyłącznym nośnikiem i generatorem.

Oczywiście, jak to zwykle bywa w takich przypadkach – a sformułowanie „takie przypadki" obejmuje w zasadzie wszelkie zagadnienia metafizyczne – żadna naukowa perswazja nie jest w stanie przekonać tych, dla których rzeczy niewidzialne są przedmiotem wiary albo, jak im się wydaje, wiedzy. Stąd też sięgający jeszcze czasów starożytnych, na dobre rozkręcający się w okolicach oświecenia, dzisiaj zaś szczególnie intensywny spór pomiędzy ludźmi tak czy inaczej religijnymi, a przynajmniej otwartymi na duchowe jakości, oraz tymi, wedle których są to wszystko bajki. Mitologie, mające – w najlepszym razie – funkcję znieczulającą na mroki i niedogodności życia, w najgorszym natomiast służące mniej lub bardziej brutalnym praktykom kontroli jednostek i grup. Wiadomo: przekonać innych, że się ma dostęp do sił ukrytych a potężnych – i że się w związku z tym potrafi zapewnić jakieś innymi sposobami nieosiągalne benefity – to niewątpliwie jedna z najskuteczniejszych metod, żeby się w widzialnym i jak najbardziej materialnym świecie wcale nie najgorzej urządzić. Historia dostarcza na to mnóstwo przykładów.

Że jednak na podstawowym poziomie spory takie są nierozstrzygalne – bo nikt tu nikogo nie przekona, po prostu: niezależnie od badania szkiełkiem i okiem zawsze pozostanie jakiś zagadkowy obszar, jakieś niedopowiedzenie, jakaś tajemnica – to także już od dawna wiadomo. Współczesne społeczne uniwersum dzieli się z grubsza na wierzących i niewierzących oraz – to bodaj największa grupa – na generalnie nieprzekonanych ani do jednej, ani do drugiej opcji. Przy czym oś podziału na wierzących i niewierzących biegnie właśnie wzdłuż pytania, od którego ten felieton zacząłem: czy duchy istnieją? Albo w ogóle: czy istnieje jakaś rzeczywistość nadzmysłowa?

Tymczasem niewykluczone, że istnienie bądź nieistnienie duchów (oraz w ogóle rzeczywistości nadzmysłowej) jest kwestią co najmniej drugo- albo trzeciorzędną. Więcej nawet – grzęźnięcie w jałowych sporach co do ich (oraz jej) istnienia, bez względu na to, po której stajemy stronie, powoduje, że każdorazowo tracimy z oczu coś znacznie bardziej istotnego. Tak przynajmniej twierdzi Colin Dickey, autor znakomitej, wydanej u nas niedawno przez Wydawnictwo Literackie i przełożonej przez Jerzego Kozłowskiego książki „Ghostland. Ameryka i jej nawiedzone miejsca", niestrudzony tropiciel i badacz nawiedzonych domów, zdarzeń paranormalnych, strzyg, upiorów i stukostrachów. Przemierzając Stany Zjednoczone, odwiedzając dawne niewolnicze plantacje, wielkie stare hotele, dziwaczne domy budowane wbrew zdrowemu architektonicznemu rozsądkowi oraz różne inne osobliwe miejsca i obiekty, Dickey – który wobec doniesień o zjawiskach nadzmysłowych zachowuje postawę życzliwego niedowierzania – nie stara się wcale w pierwszej kolejności „weryfikować faktów". Od tego, czy jakaś uporczywie nękająca ludzi zjawa jest tylko produktem fantazji, czy też przysługuje jej walor realności, bardziej interesuje go społeczna, historyczna i psychologiczna funkcja opowieści, w której ta zjawa występuje. Pyta więc nie tyle, czy duchy naprawdę istnieją, ile do czego tych duchów potrzebujemy, do czego tych duchów używamy, jaką prawdę – być może przemilczaną, być może niewygodną, być może wstydliwą, bo stawiającą nas w fatalnym świetle – próbujemy z ich pomocą ukryć jeszcze głębiej? Albo też odwrotnie – wypowiedzieć ją wreszcie, ale tak, żeby zarazem nie zrobić tego w pełni, na poważnie, w świetle dnia, z nieodłączną od takiego gestu odpowiedzialnością za słowa i czyny.

W rezultacie, choć nominalnie „Ghostland" traktuje o duchach i nawiedzonych miejscach, faktycznie okazuje się poruszającą opowieścią o historii i teraźniejszości. O ciemnych zakamarkach zbiorowej amerykańskiej psychiki, dawnych zbrodniach i ofiarach, które nie doczekały się choćby symbolicznego zadośćuczynienia. Oraz najbardziej powikłanych i pokrętnych strategiach, które ochoczo stosujemy, żeby się z tym wszystkim wprost nie skonfrontować.

Przyznam, że taki sposób myślenia o metafizyce – bez rozstrzygania tego, co nierozstrzygalne, za to z naciskiem kładzionym na pragmatyczne efekty, jakie przy jej pomocy osiągamy – wydaje mi się wyjątkowo owocny i poznawczo, i psychologicznie. Zawiesić jałowe konflikty pomiędzy racjonalistami a irracjonalistami, zastanowić się, czym tak naprawdę one są, poszukać w nich prawd, od których na co dzień uciekamy, od których odwracamy wzrok.

Czy to rzeczywiście możliwe? Cóż, na początek wystarczy uważnie posłuchać tego, co mają nam do powiedzenia duchy. Bez względu na to – rzecz jasna – czy istnieją naprawdę, czy też zostały przez nas wymyślone. ©

„Odszedłeś cicho, bez słów pożegnania.
Tak jakbyś nie chciał swym odejściem smucić...”
ks. Jan Twardowski

Ś.†P.

Leonard Szymański

Odszedłeś... A miałeś tyle planów, tyle opowieści nie dokończyłeś,
tyle ukochanych przez Ciebie książek mogłeś przeczytać. Wraz z Tobą tyle miłości zniknęło z tego świata.
Powiedzieć o Tobie: „odszedł wspaniały człowiek” – to za mało.
Chociaż znając Ciebie, uśmiechnąłbyś się lekko zmieszany.
Byłeś wielkim patriotą, kochałeś ludzi, umiałeś słuchać, byłeś wrażliwy.
Twój uśmiech i radość życia dawały nadzieję Twoim bliskim.
Twoja dobroć i mądrość były dla nas opoką.
Byłeś przyjacielem, mentorem, częścią naszej rodziny.
Czujemy wielką pustkę w sercach i głęboki smutek.

„Ja jestem światłością świata. Kto idzie za Mną, nie będzie chodził w ciemności,
lecz będzie miał światło życia” (J 8, 12).
A Ty, Leonardzie, kroczyłeś za Nim przez całe Twoje życie. Do zobaczenia.

Reni, Dzieciom i Wnukom
składamy z serca najszczersze wyrazy współczucia

Dorota i Wojciech Pawłowscy z Rodziną

W poniedziałek 8 maja 2023 roku zmarł w Poznaniu nasz wypróbowany Przyjaciel,
Człowiek wielkiej wiary, odwagi i prawości

Ś.†P.

Leonard Szymański

Urodził się 18 czerwca 1939 roku w Poznaniu, był absolwentem I Liceum im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, a także Politechniki Poznańskiej. Pracował jako projektant i konstruktor w poznańskiej Fabryce Obrabiarek Specjalnych „Ponar-Wiepofama”. W latach 70. we współpracy z twórcą poznańskiej kardiochirurgii dziecięcej, prof. Bogdanem Szelągowiczem, opracował konstrukcję płucoserca.
Wykorzystywane w Klinice Chirurgii Dziecięcej w Poznaniu pomogło zoperować ponad pół tysiąca dzieci.
W 1980 roku wstąpił do NSZZ „Solidarność” i był współtwórcą wolnych związków zawodowych w Wielkopolsce, a także delegatem na I Krajowy Zjazd Delegatów w Gdańsku. Pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Regionu Wielkopolska NSZZ „Solidarność”. W stanie wojennym zaangażował się w działalność Prymasowskiej Rady Społecznej, a także poznańskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. W wyborach 4 czerwca 1989 roku dostał się do Sejmu jako kandydat bezpartyjny z poparciem Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. W roku 2012 został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Przez pięć lat Leonard Szymański zasiadał w Radzie Nadzorczej Tygodnika Powszechnego, dzieląc się z nami swoją mądrością i wiedzą.
W 2019 roku Rada Miasta Poznania przyznała mu tytuł Zasłużonego dla Miasta Poznania.

Pani Reginie, żonie Leonarda, ich Dzieciom i Wnukom, a także jego Przyjaciołom
składamy wyrazy najszczerszego współczucia

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego”

WIARA

MIŁOŚĆ NA ZAWOŁANIE

S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA:

– Mój przybrany syn, Artur, ma szczęście, bo się z nim dzielę rentą, a i darczyńcy coś dorzucą. Ale tysiące podobnych do niego niepełnosprawnych i chorych skazuje się w tym kraju na żebractwo.

ZDJĘCIA: GRAŻYNA MAKARA

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Co u Siostry słychać?

MAŁGORZATA CHMIELEWSKA: Jak mówiła moja mama, zależy, gdzie ucho przyłożyć. Jeśli w Warszawie, to otworzyliśmy nowy, bardzo piękny i bardzo drogi dom – dla osób w kryzysie bezdomności, dla ludzi chorych i starych. Pieniądze, 16 milionów złotych, pochodzą od darczyńców, ale też od pomagającej seniorom Fundacji Biedronka. Swoje dołożył Jurek Owsiak, którego WOŚP wyposażyła gabinet lekarski tak, że część przychodni mogłaby nam pozazdrościć.

A co słychać tu, w świętokrzyskiej wsi Zochcin?

Mniej więcej to, co widać. Mieszkamy z moim synem [chodzi o Artura, przybrane w wieku 3 lat dziecko s. Chmielewskiej, dziś dorosłego, niepełnosprawnego intelektualnie mężczyznę z autyzmem – red.] w obszernym, otoczonym roślinnością domu, razem z dwojgiem moich współpracowników. Duża przestrzeń, w sąsiedztwie drewniane domki, w których mieszkają teraz ukraińscy uchodźcy.

A pod nogami, jak pan widzi, koty i psy.

Dwa leżą u naszych nóg. Mops warczy na kolegę czy na mnie?

Na kolegę. Rywalizują o jedzenie, choć oba mają pełną miskę. A ten trzeci, czarny labrador, to pies przeszkolony do towarzyszenia Arturowi.

W ogóle wszystko jest tu jemu podporządkowane: są kamery i monitory, żeby śledzić każdy krok Artura, który w każdej chwili może dostać ataku padaczki, albo – jak to mówimy – „pójść w Polskę", czyli uciec, co kilkukrotnie się już zdarzyło.

Nastąpiła ważna zmiana w Siostry i Artura życiu: od jakiegoś czasu nie jesteście na siebie skazani 24 godziny na dobę.

Kilka miesięcy temu Artur poszedł na warsztaty terapii zajęciowej, ale to nie było miejsce dla niego, autystyka – za dużo ludzi, za wiele hałasu, on się w takich warunkach kuli i zamyka w sobie. Na szczęście później trafił do środowiskowego domu samopomocy w nieodległym Opatowie.

Przywozi go i zawozi tam specjalny bus.

Tylko przywozi – zawożę ja. Bus byłby o godzinie ósmej, a o tej porze to jaśnie pan dopiero zaczyna wstawać z łóżka *(śmiech)*. W każdym razie w Opatowie Artur czuje się świetnie, bo tam są ludzie starsi, w większości spokojni, i nie ma ich wielu. Nie musi też na zawołanie lepić jakichś garnczków – robi, co chce. Jest jedna opiekunka na kilka osób, w dodatku te pozostałe nie wymagają zbyt wiele frasunku, więc Artur stał się dla tamtejszych pań pupilkiem.

Takich miejsc dziennego pobytu, stanowiących odmianę i oddech zarówno dla osób niepełnosprawnych, jak i ich opiekunów, jest w Polsce skandalicznie mało. A są one naprawdę bezcenne. Gdyby nie ono, Artur leżałby w łóżku i oglądał na YouTubie bajki.

Albo słuchał Radia Maryja, jak opowiadała Siostra w wywiadach.

Już nie, bo polikwidowałam wszystkie radioodbiorniki.

W odruchu obronnym?

Jak by to powiedzieć...

Kiedyś się mówiło: pomidor.

Więc pomidor. ↦

S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA (ur. 1951) jest społeczniczką, prezeską Fundacji Domy Wspólnoty Chleb Życia, byłą przełożoną polskiego oddziału Wspólnoty Chleb Życia. Mieszka w Zochcinie. Założyła w Polsce dziewięć domów dla osób bezdomnych i chorych. Osoby niepełnosprawne wspiera stypendiami.

Na zdjęciu: z mopsem Aloszą, marzec 2021 r.

↦ A mówiąc poważniej, czy to jest słuchanie radia, czy oglądanie bajek, czy wylegiwanie – żadna z tych czynności nie sprzyja jego rozwojowi.

Jak zmienił się Artur, odkąd wyjeżdża?

Jest w lepszym nastroju, bardziej kontaktowy. Ma też, zdaje mi się, większe poczucie własnej wartości. Bardzo się też rozwinął, jeśli chodzi o słownictwo. Zawsze coś tam mówił, bo jednak wychowywał się we wspólnocie, od trzeciego roku jeździł też ze mną po świecie, ale używał kilku słów na krzyż. Aż tu pewnego dnia wychodzi na taras, patrzy naokoło i mówi: „Jak pięknie". Wszystkim opadły szczęki.

Co jakiś czas Artura zabiera do siebie jego przybrany brat, który prowadzi jeden z naszych domów w Warszawie [chodzi o placówki pomocowe Wspólnoty Chleb Życia – red.]. Podczas jednego z takich pobytów Artur zaczął go o coś gwałtownie prosić, na co Mikołaj – jak zwykle w takich sytuacjach – podniósł palec i powiedział: „Chwileczkę, poczekaj". A Artur na to: „Obiecaj".

A Siostry życie jak się zmieniło?

Mam teraz pół dnia „wolnego". W cudzysłowie, bo oczywiście działam, tylko inaczej niż wcześniej. To jest pół dnia bez dotychczasowych stałych punktów programu: bo Artur zawołał, bo zaczął jęczeć, bo chciał wziąć do łóżka pieska, bo się gorzej poczuł, bo znowu próbował uciec.

Mam więc trochę więcej oddechu, niezależności.

To się świetnie składa, bo przyjechałem do Siostry, by rozmawiać o niezależnym życiu.

Zgoda, tylko muszę coś na wstępie powiedzieć, żebyśmy nie mylili pojęć. W pewnym sensie taki konstrukt jak „niezależne życie" w ogóle nie istnieje – zawsze zależymy od innych i ich działań, a jeśli próbujemy się z tego wyplątać, to zazwyczaj kończy się nieszczęściem. Po prostu jesteśmy stworzeni do miłości i wspólnoty – tak uważam.

Siostra Chmielewska, synonim kobiety niezależnej – takie mam skojarzenie.

Oooo, a co to dla pana znaczy?

Na przykład ten samochód, którym mnie Siostra przywiozła z dworca w nieodległym Ostrowcu. Siostra jest dobrym kierowcą?

Uważam, że niezłym. Albo inaczej – w miarę roztropnym.

W miarę. Poprzednim razem byłem lekko spanikowany. Pędziliśmy wąską drogą, a Siostra kierowała jedną ręką – drugą trzymała za oknem papierosa.

Jeżdżę coraz ostrożniej. Lata lecą, więc gdy np. jadę do Szczecina, to biorę już ze sobą kierowcę. Co nie oznacza, że nie zdarzyło mi się dostać mandatu za prędkość. Były też wypadki, ale nigdy z mojej winy. Raz cudem z Arturem przeżyliśmy. Gdy policjant, który był zresztą świadkiem tej kraksy, podchodził do naszego wozu, był przekonany, że to koniec. Tymczasem ja miałam złamaną nogę, a Artur jakieś skaleczenia.

A wracając do niezależności, dla mnie samochód jest narzędziem pracy, czymś absolutnie podstawowym.

Dwa lata temu ks. Boniecki w tekście na Siostry 70. urodziny pisał m.in. tak o jej młodości: „(...) M., bawiąca w (odpracowywanej) gościnie u niepokalanek, postanowiła zostać trapistką. W Polsce nie ma trapistek, więc M. zdecydowała, że wstąpi do benedyktynek, i pojechała do klasztoru w Żarnowcu. W Żarnowcu zamiast do klasztoru poszła na plażę nad jeziorem. Tam ogarnęło ją przerażenie na myśl o życiu zakonnym bez możliwości kąpieli i plaży, więc uciekła do Drohiczyna i tam została nauczycielką".

Tak mniej więcej było *(śmiech)*. Ja rzeczywiście uwielbiam pływać, więc faktycznie, gdy sobie wyobraziłam życie bez tej czynności, w dodatku w zamkniętym zakonie, Pan Bóg mi uzmysłowił, że to nie dla mnie. Co nie znaczy, że uważam klasztorne życie za więzienie i zależność – po prostu wtedy uznałam, że taki rodzaj powołania do mnie nie pasuje.

Był też inny, ważniejszy powód. Stanęła na mojej drodze wymagająca pomocy dziewczynka. Miałam do wyboru: albo myśleć o benedyktynkach, albo o dziewczynce. Wybrałam dziewczynkę.

A tak w ogóle, to ja nie mam kompletnie słuchu ani głosu, nie mogłabym śpiewać w klasztornym chórze. Nie nadawałabym się.

A do reżimu: wstawania na zawołanie, jedzenia na zawołanie, modlitwy na zawołanie?

Przecież ja tak ciągle żyję! Jemy i modlimy się – mówię o naszych domach – razem z naszymi mieszkańcami. Rytm dnia jest bardzo ważny. Daje poczucie porządku, bezpieczeństwa.

A gdyby tak w klasztorze nie pozwolili wychodzić?

To bym nie wychodziła.

A jakby kazali milczeć? Nie udzielać wywiadów, nie pisać bloga?

Tobym milczała i nie pisała. Tylko bym zapytała, co z tego, co powiedziałam albo napisałam na blogu, jest niezgodne z nauką Kościoła, skoro każą milczeć.

A jakby przełożony nie miał ochoty tego uzasadniać, jak w przypadku ks. Bonieckiego?

Tobym się temu podporządkowała. Nie jestem akurat do tej sfery życia przesadnie przywiązana.

Myślałem, że dla Siostry publiczne upominanie się o osoby wykluczone jest ważne.

Owszem, jest, dlatego uważam, że za podobne zakazy i nakazy, zwłaszcza gdy są nieuzasadnione, odpowiedzialność bierze ten, który je nakłada. Ja na szczęście z niczym takim się nie spotkałam. Chyba że liczymy komentarze w internecie, zgodnie z którymi jestem „katolewaczką" albo „pożyteczną idiotką", gdy piszę o skandalu pozostawiania potrzebujących pomocy ludzi na granicy polsko-białoruskiej.

Siostra, choć złożyła we Wspólnocie Chleb Życia śluby, nie jest zakonnicą. Czy Kościół daje siostrom zakonnym w Polsce niezależność?

Bywa różnie, ale na pewno się to zmienia. Jest coraz więcej sióstr, które się wypowiadają publicznie, i które mają coraz mocniejszą pozycję.

A stereotyp siostry-służącej? Biskupowi, proboszczowi...

Bywa prawdziwy. Czasami zresztą same zakonnice się na takie życie godzą. Przy czym nie chodzi mi o służenie, np. pranie, które sama niejednokrotnie robię, tylko o służalczość. O godzenie się na coś,

co mi nie odpowiada albo co przekracza moje możliwości.

I tyle ma Siostra do powiedzenia tym zakonnicom? Przecież one nie żyją w próżni, tkwią w jakimś systemie zależności, z którego często nie ma ucieczki.

To prawda, ale to też się powoli zmienia. To już nie są czasy takie jak wtedy, gdy śp. ks. Marcin Popiel, sławny proboszcz parafii Szewna, brał do seminarium w Sandomierzu jedną z urszulanek szarych, mądrą i wykształconą kobietę, a następnie toczył z nią na oczach kleryków rozmowę na temat Kościoła, filozofii i teologii...

Chciał coś zademonstrować?

Że kobieta, zakonnica to nie jest „idiotka od mycia toalet".

Pamiętam pewną historię z własnego życia, gdy pracowałam w duszpasterstwie niewidomych w Warszawie. Na kolonie dla dzieci seminarium przysyłało nam – w ramach praktyk – kleryków, którzy później prosili o wypisanie opinii. Raz zrobiłam to ja, ale wkrótce się okazało, że opinia sygnowana przez kobietę jest nieważna.

To już jest dziś, na szczęście, niewyobrażalne.

Sama Siostra kiedyś opowiadała o biskupie, który Siostrę zrugał, że pali papierosy, mając dzieci...

Załatwiłam to krótko i na temat. „Ekscelencjo – powiedziałam – jeśli ma ekscelencja pewność, że w jego diecezji nie ma księży, którzy palą i mają dzie...". „No już dobrze, dobrze" – przerwał biskup.

Potem żyliśmy w dobrych relacjach.

Czym jest niezależne życie dla ludzi, którym Siostra od dekad pomaga – bezdomnych, starych, chorych?

To życie w godnych warunkach, z możliwością wyrażenia własnego zdania, wpływania na bieg zdarzeń. To są fundamentalne rzeczy – dla każdego.

Stoję w sklepie przed ladą, mówię do Artura, żeby wybrał, którą chce kiełbaskę. On pokazuje palcem, a potem jeszcze przez jakiś czas powtarza z satysfakcją: „Artur kupił baskę".

W kościele też chce być niezależny. Dlatego chodzimy do naszego, w Zochcinie – gdzie indziej byłby lekki przypał.

Rzeczywiście uwielbiam pływać, więc faktycznie, gdy sobie wyobraziłam życie bez tej czynności, w dodatku w zamkniętym zakonie, **Pan Bóg mi uzmysłowił, że to nie dla mnie.** Co nie znaczy, że uważam klasztorne życie za więzienie.

Siostra Małgorzata Chmielewska, maj 2023 r.

Bo?

Bo w tutejszej kaplicy wszyscy wiedzą, że Artur zapala świece, dzwoni w dzwonki, obmywa księdzu dłonie. I przyjmuje komunię pod dwoma postaciami – ksiądz specjalnie zostawia dla niego kielich na ołtarzu. Więc gdy Artur tego wszystkiego żąda w innym kościele, zapada lekka konsternacja. Włącznie z tym, że gdy zakrystian ominie nas idąc z tacą, to muszę go gonić, gnając aż do zakrystii, żeby przyjął od Artura pieniążek – bo inaczej zrobi mi piekło.

A wracając do pana pytania o niezależność. Kiedy przyjechali tu do nas uchodźcy i było naprawdę dużo ludzi, to dla logistycznej sprawności wypełniłam lodówkę po brzegi, a oni sobie z niej brali, co chcieli. Aż sobie uzmysłowiłam, że to są przecież ludzie, którzy jeszcze do niedawna wiedli niezależne życie. Mieli pracę, swoje nawyki. A skoro tak, to dla nich godne życie oznacza między innymi możliwość pójścia do sklepu i kupienia wszystkiego samemu. Dlatego każdy dostał specjalną kartę sklepu sieciowego.

Da się wieść niezależne życie w placówce pomocowej?

Zacznijmy od tego, że nie da się wieść nawet godnego – a co dopiero niezależnego – życia za 719 zł zasiłku stałego, który jest jedynym źródłem utrzymania większości naszych bezdomnych mieszkańców. Część z tych pieniędzy nam oddają, choć wiadomo, że za te kilkaset złotych nie kupimy im np. leków, więc musimy dokładać.

A warunki pobytu? Weźmy dom w nieodległych Nagorzycach, gdzie jeszcze kilka lat temu Siostra mieszkała, i gdzie jest jedna z kilkunastu placówek pomocowych Wspólnoty.

Mieszkają tam starzy, schorowani ludzie, matki z niepełnosprawnymi dziećmi. Mają swój kąt, żyją niezależnie, choć nie ma mowy, by sobie sami gotowali – choćby ze względów zdrowotnych.

A co do naszych bezdomnych mieszkańców, sytuacja jest trochę inna. Mieszkają w pokojach kilkuosobowych, również z przyczyn bezpieczeństwa. ↦

↦ Kiedyś np. pewien pan dostał wylewu – gdyby mieszkał sam, nie zostałby odratowany.

Coraz głośniej mówi się o zasadzie „najpierw mieszkanie": pomagamy osobom w kryzysie bezdomności, przyznając im po prostu własne lokum, zamiast koszarowania w placówce. W innych krajach to się podobno sprawdza.

Pomagam od lat i wiem, że wszystko zależy od człowieka. Wśród naszych bezdomnych mieszkańców są tacy, którzy na początkowym etapie na pewno by sobie sami w mieszkaniu nie poradzili. Na przykład zapiliby się bez placówkowego reżimu na śmierć. Ale bywa też, że ktoś po jakimś czasie przebywania w placówce dostaje mieszkanie i normalnie, niezależnie funkcjonuje. Bo przez ten czas oderwał się od życia na ulicy, nauczył się pracy, współdziałania, zdrowych relacji, nabył nowe nawyki.

Mieliśmy w Zochcinie pana, który wyszedł z więzienia, potem trafił do nas, a później dostał mieszkanie socjalne. Po jakimś czasie przychodzi i mówi: „Ja tego nie chcę, siostro. Nie zniosę samotności". Alkoholik, poradziłam mu, żeby zatrzymał mieszkanie i jeździł tam co jakiś czas, ale żeby pracował i pomieszkiwał u nas.

A DPS? Taki przeciętny, gminny, z kilkuset mieszkańcami i kilkuosobowymi pokojami. To dobre miejsce do życia?

To też zależy od człowieka. Ale na pewno niedobre, jeśli zamieszkanie w nim nie wynikało z czyjegoś wyboru, tylko z musu.

W Polsce często wynika z musu: rodziny brak albo jest za granicą; niepełnosprawny, stary człowiek nie może liczyć na pomoc w mieszkaniu, więc idzie do placówki. I cierpi.

To jest dramat, wielka pomyłka oraz porażka państwa. I Kościoła.

W parafiach?

Tak, zwykle ta sfera wspólnotowego życia jest na tym poziomie kompletnie zaniedbana. Mieszkają między nami starzy, schorowani ludzie, którymi nikt się nie interesuje. Oczywiście nie zawsze tak jest. Znam parafię na południu Polski, gdzie organizuje się nawet starszym ludziom darmowe naprawy sprzętów domowych.

> W kraju dość bogatym dopuszcza się do tego, by osoba niepełnosprawna miała 1400 zł renty socjalnej.
> **To jest plama na honorze tego państwa. I Kościoła.**

Ale to są akcje – system nie funkcjonuje. Opieka środowiskowa, czyli pomoc społeczna dochodząca do mieszkania, jest najczęściej fikcją.

Jeśli na miejsce w jednym ze znanych mi środowiskowych domów samopomocy czeka w kolejce trzydzieści osób, a zwalnia się ono tylko w jednym przypadku – śmierci – to coś jest chyba z tym państwem nie tak.

Skoro jesteśmy przy państwie, to śledziła Siostra na pewno kolejny protest osób niepełnosprawnych i ich opiekunów w Sejmie...

Śledziłam. I myślę o nim to samo, co poprzednio – fakt, że doprowadzono tych ludzi do takiej desperacji, jest absolutnym skandalem. W kraju – nie oszukujmy się – dość bogatym, dopuszcza się do tego, by osoba niepełnosprawna miała 1400 z okładem złotych renty socjalnej. To jest plama na honorze tego państwa. I Kościoła.

Co mógłby zrobić?

Mówić. Przecież to jest sama esencja nauczania Kościoła. Sama istota nauczania świętego Jana Pawła II – o pomaganiu starym, chorym, bezradnym, uciekającym przed wojnami.

Można by JPII cytować, zamiast bronić przed filmem dokumentalnym?

Nie tylko JPII, także Franciszka. Niestety, nie słyszałam wypowiedzi żadnego biskupa o sytuacji osób niepełnosprawnych.

Protestujący walczyli o podniesienie renty socjalnej.

O te nędzne 1400 złotych, które dostaje Artur, wraz z dodatkiem 500 zł. Również dlatego śledzę sejmowe protesty – ci ludzie walczyli także w imieniu Artura.

Jego 1900 zł wystarcza?

Oczywiście, że nie. Na samo jedzenie i ubranie by wystarczyło. Ale jemu do godnego życia trzeba zapewnić różne rzeczy. Musi mieć T-shirty z postaciami z bajek – Scooby-Doo i innymi. Jedna bluza sto złotych. Musi mieć inne ukochane gadżety, np. ostatnio lupy. Musi mieć fryzjera, dentystę, lekarza. I leki.

Artur i tak ma szczęście, bo się z nim dzielę własną rentą, a i darczyńcy coś dorzucą. Ale tysiące podobnych do niego, niepełnosprawnych i chorych ludzi skazuje się w tym kraju na żebractwo.

Rząd obiecał tzw. świadczenie wspierające. To dla tych, którzy zmieszczą się w nowej, stupunktowej skali potrzeb między 70. a 100. punktem.

Już widzę uzdrowiciela z Zakładu Ubezpieczeń Społecznych...

Uzdrowiciela?

Tak, kolejnego orzecznika, który jak zobaczy, że Artur sam idzie do ubikacji, to orzeknie, że się w tej skali potrzeb nie mieści. W ten sposób ZUS uzdrawia ludzi od dawna. Wyobrażam sobie też tych znękanych rodziców, opiekunów, którzy znowu gromadzą pliki papierów, zaświadczeń, tylko po to, by na koniec się dowiedzieć, że dziecko dostało 69 punktów...

„Znękany opiekun"... Niektórzy z nich mawiają, że są uwięzieni.

Bo są: taka kobieta – bo to zwykle są kobiety – nie pracuje, urywa kontakty społeczne, rodzina przestaje się odzywać. I coś, co znam z autopsji: ciągła, 24-godzinna czujność, ciągłe kontrolowanie. Taki opiekun, jeśli nie jest odporny, może zwariować.

Psychika działa tak, że pewnych nawyków, niepokojów czy lęków nie da się już wymazać. Mimo iż Artur od kilkudziesięciu dni opuszcza na kilka godzin dom, to nawet jeśli w tym czasie wsiadam w samochód, by zrobić zakupy, pojawia się odruchowa myśl: trzeba szybko wracać. A ja i tak mam luksus. Ludzi, którzy mi w razie czego pomogą. Jest pani Wiola,

współpracownicy, moje pozostałe przybrane dzieci.

To taka Siostry prywatna opieka wytchnieniowa – kolejny element systemu, który nie działa.

A nawet jeśli w jakimś samorządzie działa, to takim osobom jak ja i Artur do niczego się nie przyda. Bo żeby ktoś mnie zastąpił w opiece nad nim, muszę mieć pewność, że z tą osobą dobrze poczuje się Artur. A na to trzeba czasu.

Środowisko osób niepełnosprawnych i ich opiekunów czeka na ustawę o asystencji osobistej – obiecane dawno temu przez kancelarię prezydenta i rząd prawo, które każdemu potrzebującemu zagwarantuje asystenta, pomagającego mu lub jej pracować, wychodzić, robić zakupy, normalnie żyć.

Bardzo by się coś takiego przydało. Znam człowieka jeżdżącego na wózku, który dzięki naszej pomocy – właśnie takiej asystencji – skończył studia, a teraz pracuje. Jest niezależnym, fantastycznym facetem, ekonomistą. Więc takie rozwiązanie popieram, choć równocześnie wątpię, by ktoś przed wyborami wyłożył na to pieniądze. Bo u nas pomoc to jest głównie zestaw głodowych świadczeń: za dużo żeby umrzeć, za mało żeby żyć.

Artur, powtarza Siostra często, nie mógłby żyć w placówce.

Umarłby tam w ciągu dwóch, może trzech miesięcy. Udusiłby się w wyniku ataku padaczki albo faszerowaliby go psychotropami, żeby go „uspokoić". Raz był przez chwilę w szpitalu, to go zastałam na łóżku z potłuczoną twarzą, i jeszcze mi wmawiano, że takiego go przywiozłam...

Placówka jest więc wykluczona. A co innego przyniesie przyszłość, gdy mnie już nie będzie, nie wiem. Jedno z moich przybranych dzieci zadeklarowało, że się Arturem zaopiekuje – ale to bardzo trudne zadanie.

Na razie, na ile potrafię, staram się zabezpieczyć Artura na przyszłość. Żeby mój koniec nie był też początkiem jego końca.

©℗ Rozmawiał
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ANGLICAN CHURCH IN NORTH AMERICA / MATERIAŁY PRASOWE

Obrady Global Anglican Future Conference w Kigali, kwiecień 2023 r.

Anglikanie na progu schizmy

ŁUKASZ OSTRUSZKA

We wspólnocie anglikańskiej trwa spór o błogosławienie par homoseksualnych. Kościoły afrykańskie grożą rozłamem.

Publiczne oświadczenia arcybiskupa Canterbury i innych przywódców Kościoła Anglii popierające błogosławieństwa osób tej samej płci są zdradą ich święceń" – czytamy w oświadczeniu grupy konserwatywnych anglikańskich przywódców kościelnych, którzy spotkali się pod koniec kwietnia w Kigali, stolicy Rwandy.

To kolejna konferencja Global Anglican Future Conference (GAFCON), zrodzonej po części ze sprzeciwu wobec liberalnych zmian w niektórych Kościołach Wspólnoty Anglikańskiej. Pierwsza edycja konferencji odbyła się w 2008 r. Jednym z głównych tematów była wtedy reakcja na święcenia biskupie Gene'a Robinsona, otwartego homoseksualisty odmawiającego życia w celibacie. Duchowni obradujący w Kigali stwierdzili, że stracili zaufanie do arcybiskupa Canterbury, Justina Welby'ego.

Synod radości i smutku

To odpowiedź na decyzje Synodu Generalnego Kościoła Anglii, pierwszego anglikańskiego Kościoła, mającego szczególną, symboliczną rolę we Wspólnocie Anglikańskiej. Synod przyjął w lutym wniosek biskupów dotyczący planowanego wprowadzenia błogosławieństwa par jednopłciowych, które wcześniej wzięły ślub cywilny, ale jednocześnie potwierdził brak zgody na udzielanie małżeństw takim osobom.

– Zapadła decyzja, że na kolejne posiedzenia Synodu Generalnego biskupi przygotują propozycje możliwych liturgii do rozpatrzenia przez Synod – mówi ks. Dominik Chmielewski, pochodzący z Polski duchowny Kościoła Anglii.

Nastroje po decyzji Synodu najlepiej podsumowała biskupka Londynu – Sarah Mullally, która prowadziła debatę na Synodzie i przewodniczyła grupie nadzorującej opracowywanie propozycji. Po głosowaniu stwierdziła ona, że choć to krok naprzód dla wielu niewystarczająco daleki, to dla innych zbyt daleki.

Ale do napięć anglikanie są przyzwyczajeni, zgodnie z zasadą, że „zgadzają się nie zgadzać ze sobą". Rozdzierające debaty na temat ordynacji kobiet na duchownych czy homoseksualizmu nie są niczym nowym i trwają dobre kilkadziesiąt lat.

↦

Izby zdecydowały

– Zaczęły się rozmowy o możliwości zmiany kanonu dotyczącego małżeństwa, ale to nie jest takie proste, jak w wielu innych Kościołach, bo Kościół Anglii jest państwowy. Wszystkie zmiany liturgiczne i dogmatyczne muszą być zatwierdzone przez parlament i podpisane przez naczelnego zwierzchnika Kościoła, którym jest król – tłumaczy ks. Dominik Chmielewski. – Nie mamy ksiąg doktrynalnych. Jedyną pozycją o takiej wadze jest „Modlitewnik powszechny" opracowany przed wiekami przez Thomasa Cranmera wraz z 39 Artykułami Wiary. Nie zawiera orzeczeń doktrynalnych, ale używana przez nas liturgia jest jednocześnie doktryną. Inaczej mówiąc, jeśli ktoś chce się dowiedzieć, jak Kościół Anglii rozumie Eucharystię, to patrzy na porządek nabożeństwa, w którym teologia jest mocno akcentowana.

To samo dotyczy małżeństwa. „Modlitewnik powszechny" określa jasno, że jest to związek mężczyzny i kobiety, więc jeśli miałoby dojść do zmiany prawa kościelnego, to najpierw konieczna byłaby zmiana w tej księdze, co jest niemożliwe. Synod Generalny próbuje więc wprowadzić zmiany w inny sposób, np. proponując różnego rodzaju alternatywne porządki liturgiczne, które byłyby suplementem. Na ostatnim posiedzeniu zgodził się, że eksperymentalne porządki liturgiczne błogosławiące istniejące związki partnerskie będą przedstawione Synodowi pod rozwagę na kolejnych sesjach. Chodzi *de facto* o status prawny par jednopłciowych, bo błogosławieństw w praktyce udziela się już od dawna.

– W chwili obecnej, jeśli przyjdzie do proboszcza para jednopłciowa, która wzięła ślub cywilny, i poprosi o błogosławieństwo związku, to odpowiedź, jakiej udzieli, jest jego decyzją. Niektórzy duchowni robią wielką ceremonię wyglądającą jak ślub, inni decydują się na skromną, prywatną uroczystość tylko dla najbliższych, a jeszcze inni odmawiają – mówi ks. Chmielewski.

Inny Kościół, inny świat

Zmiany w społeczeństwie zachodzą jednak błyskawicznie, a Kościół Anglii jest już w mniejszości, jeśli chodzi o liczbę wiernych. Pokazał to ostatni spis powszechny w Anglii. Konserwatyści używają tego argumentu przeciwko liberałom, wskazując jako przykład Kościół anglikański w Ameryce Północnej, który został uformowany kilkanaście lat temu, na fali sprzeciwu wobec podejścia do kwestii moralnych w liberalnym Kościele episkopalnym. Temu pierwszemu przybywa wiernych, drugiemu ubywa w zastraszającym tempie.

Decyzja Kościoła Anglii, choć dotycząca na razie wstępnych tekstów modlitw i porządków liturgicznych znanych jako „Prayers of Love and Faith", doprowadziła do ostrej reakcji konserwatystów, którzy w globalnej wspólnocie stanowią zdecydowaną większość z 85 mln anglikanów mieszkających w 165 krajach. W obradach w Kigali wzięło udział ponad 1300 delegatów z 52 państw. Ton nadają prężne i szybko rosnące Kościoły z Afryki, a przypomnijmy, że w 30 tamtejszych krajach homoseksualizm jest nielegalny i karany. Kościoły razem się modlą, współpracują ze sobą, ale zarządzają sobą zupełnie niezależnie, mają inne porządki liturgiczne. Większość stanowią Kościoły konserwatywne pod względem teologii i moralności.

Czy dojdzie do schizmy?

– Kościół Anglii nie jest już tak wpływowy we Wspólnocie Anglikańskiej, więc podejmowane decyzje w kwestii seksualności nie wpłyną na całość. O wadze Kościoła Anglii decyduje co prawda urząd arcybiskupa Canterbury i tutejsza katedra, która jest „matką" wszystkich katedr, ale mimo liberalizacji katedra pozostanie tam, gdzie jest, bo unia, która nas łączy, jest duchowa – nie wiernopoddańcza, tylko braterska. Arcybiskup Canterbury jest pierwszym wśród równych. Wierzymy głęboko, że to model pierwszych chrześcijan – zapewnia Chmielewski.

Innego zdania jest Kazimierz Bem, polski duchowny i teolog kalwiński, pastor Zjednoczonego Kościoła Chrystusa w USA, który twierdzi, że rozłam już istnieje, i to od dość dawna.

– Ostatnie spotkanie w Rwandzie pokazało, że część biskupów prze do tego, żeby stworzyć konserwatywne ciało anglikańskie. Ale nie wszyscy obecni na tym zgromadzeniu biskupi chcą zupełnego zerwania, bo bez Canterbury co też niby ich łączy poza homofobią? Przypuszczam, że powstanie mała, głośna i agresywna grupa tzw. prawdziwych anglikanów, ale część Kościołów, jak np. Kenii czy Sudanu, nie zerwie kontaktów z Anglią – mówi Bem.

Linia podziału przebiega geograficznie – bogaty Zachód, biedniejsze globalne Południe, choć może to być mylące. Prawdą jest, że Kościoły z Południa rosną, a na Zachodzie pustoszeją. Skąd bierze się konserwatyzm Południa i liberalizm Zachodu? Oprócz spraw społeczno-politycznych i większej tolerancji dla różnorodności w zachodnich demokracjach, powody mogą być też inne.

– Musimy pamiętać o islamskich fundamentalistach i misjonarzach w takich krajach jak Nigeria czy Uganda. Od lat głoszą oni „zepsucie Zachodu" i oferują „prostą odpowiedź". Kościoły muszą więc z nimi konkurować. W Nigerii Kościół od lat zwalcza i homoseksualizm, i poligamię. Jeśli do tego dodamy fasadową demokrację, jak np. w Ugandzie, gdzie prezydent na biskupów mianował swoich zwolenników i z homofobii uczynił hasło w kampanii, to mamy toksyczną mieszankę – uważa Bem.

Warto pamiętać jednak o Kościołach umiarkowanych, np. w Kenii czy RPA, gdzie ten podział nie jest taki prosty – to one mogą zdecydować o tym, jak anglikanie, w ujęciu globalnym, przepracują napięcia i pęknięcia. Z jednej strony liberalizacja może pogrążyć Kościoły afrykańskie, w których sytuacja społeczna nie dopuszcza tak radykalnych zmian, a z drugiej konserwatyzm może to samo zrobić z Kościołami zachodnimi, gdzie Kościół kojarzy się młodym pokoleniom z homofobią i zacofaniem.

– Zdaje sobie z tego sprawę abp Welby, który jest dość konserwatywnym anglikaninem i poparł obecny kompromis. Kościoły na Zachodzie straciły już co najmniej dwa pokolenia, upierając się przy wiktoriańskiej moralności. Wiele z nich, jeśli straci trzecie, nie będzie miało czwartego. Kompromis to przyznanie, że się różnimy, nawet w obrębie jednego wyznania, i że żadna ze stron nie może narzucać drugiej swojego zdania. Tylko to może w dzisiejszym świecie zadziałać – podkreśla Kazimierz Bem.

© ŁUKASZ OSTRUSZKA

Autor (ur. 1987) jest dziennikarzem, proboszczem parafii ewangelickiej w Krakowie. Publikował w „Pulsie Biznesu", „Polityce", „Przekroju", „Bloomberg Businessweek" i „Gazecie Wyborczej".

ANDRÉ HELD / AKG-IMAGES / EAST NEWS

Neobizantyjska ikona ukrzyżowania, przed 1692 r. (Georges Abou Adal Collection w Bejrucie).

Zranione boskie życie

PIOTR SIKORA

Uroczystość wniebowstąpienia Jezusa może być opowieścią o tym, że Bóg na wieczność przyjmuje każde cierpienie.

Kto choć raz skręcał szafkę przywiezioną w częściach ze sklepu, ten wie, że film instruktażowy, pokazujący kolejne kroki mechanicznego procesu, powie więcej niż czysto werbalna instrukcja. Obrazy i historie przemawiają bardziej niż abstrakcyjne formuły. Dotyczy to nie tylko prostych czynności codziennego życia, ale także głębokich prawd o egzystencjalnym znaczeniu. Dlatego właśnie w niemal każdej religijnej tradycji centralne miejsce zajmują plastyczne opowiadania, pełne religijnych symboli.

Zmiany obrazu świata, jego – jak mówią niektórzy badacze kultury – „odczarowanie" utrudnia poważne traktowanie wielu obrazów dotąd kształtujących życie. Jak lamentował poeta: „Jakie przestronne niebiańskie pokoje! / Wstępowanie do nich po stopniach z powietrza. / Nad obłokami rajskie wiszące ogrody. / Dusza odrywa się od ciała i szybuje, / Pamięta, że jest wysokość / I jest niskość. / Czy naprawdę zgubiliśmy wiarę w drugą przestrzeń? / I znikło, przepadło i Niebo, i Piekło? / Bez łąk pozaziemskich jak spotkać Zbawienie? / Gdzie znajdzie sobie siedzibę związek potępionych? / Płaczmy, lamentujmy po wielkiej utracie. / Porysujmy węglem twarze, rozpuszczajmy włosy. / Błagajmy, niech nam będzie wrócona" (Czesław Miłosz, „Druga przestrzeń").

Nie kosmita

Czy da się jeszcze dziś namalować wniebowstąpienie Jezusa tak, by nie narazić się na śmieszność? Druga przestrzeń znikła bezpowrotnie i obrazy, które zdominowały naszą kulturę, naszkicowane piórem ewangelisty Łukasza, mogą znaleźć swoje miejsce w muzeum, mogą też wzbudzać skojarzenia o sensie dalekim od zamierzonego przez biblijnego autora – dla tych, którzy preferują ekran komputera nad ściany muzeum, człowiek wznoszący się w powietrze to co najwyżej Superman, może Neo z „Matriksa", albo mandaloriański wojownik ze świata „Gwiezdnych wojen".

Na szczęście ewangelie mamy cztery, nie jedną, możemy porzucić narrację Łukasza (który, swoją drogą, plącze się w zeznaniach: w Ewangelii umieszcza wniebowstąpienie w dzień zmartwychwstania, w Dziejach Apostolskich – czterdzieści dni po odkryciu pustego grobu; nie może się też zdecydować, czy przedstawiać Zmartwychwstałego cieleśnie, tak jak Mel Gibson w zakończeniu swojej „Pasji", czy przyznać, że Jego prawdziwa tożsamość jest teraz niewidzialna – możliwa do doświadczenia w gościnności i łamaniu chleba). Pozostali synoptycy, Mateusz i Marek, o wniebowstąpieniu w ogóle nie wspominają (wzmianka w przedostatnim wersie Ewangelii Marka jest późniejszym dopiskiem). Pisze o nim jednak Czwarta Ewangelia – ale w sposób zupełnie inny niż Łukasz.

Gdyby spytać autora Ewangelii Jana, jak namalować wniebowstąpienie, odpowiedziałby zapewne: tak jak na ikonach malujecie ukrzyżowanie. Przyzwyczajonym do chronologii o wyraźnie rozdzielonych etapach – śmierć na krzyżu, ↦

↦ zmartwychwstanie, wniebowstąpienie, zesłanie Ducha – ta odpowiedź może się wydać dziwna. Ale autor Czwartej Ewangelii poświęca wiele miejsca w swoim dziele, by połączyć wszystkie tamte wydarzenia w jednym czasowym momencie. By to dostrzec, trzeba uważnie się przyjrzeć, jak ewangelista łączy cztery obrazowe pojęcia: wywyższenia, wstąpienia do nieba, przejścia/odejścia do Ojca oraz uwielbienia/otoczenia chwałą (*doxadzo*).

Już w jednym z pierwszych rozdziałów, podsumowując dialog Jezusa z Nikodemem, wkłada w usta tego pierwszego słowa: „I nikt nie wstąpił do nieba, oprócz Tego, który z nieba zstąpił – Syna Człowieczego, [który jest w niebie]. A jak Mojżesz wywyższył węża na pustyni, tak potrzeba, by wywyższono Syna Człowieczego, aby każdy, kto w Niego wierzy, miał [teraz] życie wieczne" (J 3, 13-15). Wstąpienie do nieba Syna Człowieczego jest tu ściśle powiązane z wywyższeniem.

Fragmentem, który łączy wywyższenie i uwielbienie, jest Jezusowa zapowiedź swojej śmierci, wypowiedziana tuż po tryumfalnym wjeździe do Jerozolimy. W Czwartej Ewangelii brzmi ona tak: „»Nadeszła godzina, aby został uwielbiony/otoczony chwałą (*endoxadzo*) Syn Człowieczy. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeżeli ziarno pszenicy wpadłszy w ziemię nie obumrze, zostanie tylko samo, ale jeżeli obumrze, przynosi plon obfity. Ten, kto lgnie do swojego życia, traci je, a kto gardzi swoim życiem na tym świecie, zachowa je na życie wieczne. (...) Teraz dusza moja doznała lęku i cóż mam powiedzieć? Ojcze, wybaw Mnie od tej godziny? Nie, właśnie dlatego przyszedłem na tę godzinę. Ojcze, wsław (*doxason*) Twoje imię!«. Wtem rozległ się głos z nieba: »Już wsławiłem (*edoxasa*) i jeszcze wsławię (*doxaso*)«. Tłum stojący [to] usłyszał i mówił: »Zagrzmiało!«. Inni mówili: »Anioł przemówił do Niego«. Na to rzekł Jezus: »Głos ten rozległ się nie ze względu na Mnie, ale ze względu na was. Teraz odbywa się sąd nad tym światem. Teraz władca tego świata zostanie precz wyrzucony. A Ja, gdy zostanę nad ziemię wywyższony, przyciągnę wszystkich do siebie«. To powiedział zaznaczając, jaką śmiercią miał umrzeć" (J 12, 23-33).

Jezus *explicite* mówi, że godzina uwielbienia jest godziną jego śmierci. Ewangelista zaś wprost komentuje, że gdy Jezus mówi o swoim wywyższeniu, opisuje własną śmierć. Mając świadomość, że wywyższenie Syna Człowieczego to Jego śmierć na krzyżu, oraz pamiętając o bliskim związku obrazu wywyższenia nad ziemię i wstępowania do nieba (skąd przedtem zstąpił) możemy lepiej zrozumieć kolejny fragment, który bezpośrednio – choć w nieco zakamuflowany sposób – utożsamia wniebowstąpienie Jezusa z Jego śmiercią.

Człowiek wznoszący się w powietrze to najczęściej Superman, Neo z „Matriksa", albo mandaloriański wojownik ze świata „Gwiezdnych wojen".

Czy da się dziś przedstawić wniebowstąpienie?

Transgresja

Oto po mowie, w czasie której Jezus mówił o konieczności jedzenia jego ciała i picia krwi, wielu słuchających odwróciło się od Niego, zgorszonych obrazoburczym wydźwiękiem tych słów. Ich skandaliczność nie polegała tylko na użyciu kanibalistycznej metaforyki, ale także na zderzeniu z bardzo ważnym dla Prawa Izraela zakazem spożywania krwi zjadanych zwierząt (stąd przepisy uboju rytualnego). Zakaz spożywania krwi sformułowany był nie tylko w Prawie Synajskim – był także elementem wcześniejszego przymierza z Noem.

Gdy część uczniów, oburzona tym, że rabbi z Nazaretu głosi konieczność transgresji fundamentów Przymierza, Jezus pyta pozostałych: „To was gorszy (*skandalizei*)? A gdy ujrzycie Syna Człowieczego, jak będzie wstępował tam, gdzie był przedtem? Duch tworzy życie; ciało nic nie daje. Słowa, które Ja wam powiedziałem, są duchem i są życiem" (J 6, 61-63).

Dlaczego – można spytać – Jezus porównuje zgorszenie, skandal swoich słów o piciu krwi, z widokiem wstępowania Syna Człowieczego tam, gdzie był przedtem – i to w sposób sugerujący, iż ten drugi moment może być jeszcze bardziej skandaliczny i gorszący? Porównanie stanie się jasne, gdy uświadomimy sobie, że śmierć na krzyżu traktowana była przez większość Żydów tamtego czasu jako jednoznaczne świadectwo, iż krzyżowany został uznany przez Boga za przeklętego, zgodnie z zapisem z Księgi Powtórzonego Prawa („Jeśli ktoś popełni zbrodnię podlegającą karze śmierci, zostanie stracony i powiesisz go na drzewie – trup nie będzie wisiał na drzewie przez noc, lecz tegoż dnia musisz go pogrzebać. Bo wiszący jest przeklęty przez Boga", Pwt 21, 22-23), interpretowanego tak, jak pisał były faryzeusz Paweł: „Przeklęty każdy, którego powieszono na drzewie" (Ga 3, 13).

Słowa Jezusa o piciu krwi zderzały się z fundamentalnymi przekonaniami religijnymi słuchaczy – wymagały albo gotowości do przekroczenia i zmiany swojej religijności, albo były skandalem skłaniającym do odrzucenia obrazoburczego nauczyciela. Jeszcze większym wyzwaniem miała być śmierć Jezusa na krzyżu: mogła być albo ostatecznym potwierdzeniem bluźnierczego charakteru Jego nauki, albo impulsem do całkowitej przemiany ówczesnej religijnej wizji świata – przemiany tworzącej zdolność dostrzeżenia, że ukrzyżowanie jest wniebowstąpieniem.

Janowa narracja o ukrzyżowaniu potwierdza wcześniej zapowiedzianą wizję. Jezus nie tylko zachowuje postawę pełną godności, panując nad każdym dialogiem z oprawcami – zarówno w domu arcykapłana, jak i w rozmowie z Piłatem. Jest królem, który sam z siebie oddaje życie, by „dać świadectwo prawdzie". Znamienny jest też kulminacyjny moment samej śmierci: „Potem Jezus świadom, że już wszystko się dokonało, aby się wypełniło Pismo, rzekł: »Pragnę«. Stało tam naczynie pełne octu. Nałożono więc na hizop gąbkę pełną octu i do ust Mu podano. A gdy Jezus skosztował octu, rzekł: »Wypełniło się!« (*tetelestai*). I skłoniwszy głowę oddał/przekazał (*paredoken*) d/Ducha" (J 19, 28-30). Kluczowe jest ostatnie słowo Jezusa: *tetelestai*. Pochodzi ono od *telos* – czyli cel, spełnienie; znaczy, że co miało się stać, to się stało, że wszystkie etapy dzieła zbawienia dokonały się, że nie ma już nic, na co trzeba by czekać (np. na zmartwychwstanie, wniebowstąpienie albo zesłanie Ducha).

Ostatecznym potwierdzeniem ostatniego słowa Jezusa jest kończący zdanie komentarz ewangelisty, który mówi

o przekazaniu Ducha, nawiązując do wcześniej zapisanej nauki: „W ostatnim zaś, najbardziej uroczystym dniu święta, Jezus stojąc zawołał donośnym głosem: »Jeśli ktoś jest spragniony, a wierzy we Mnie – niech przyjdzie do Mnie i pije! Jak rzekło Pismo: Strumienie wody żywej popłyną z jego wnętrza«. A powiedział to o Duchu, którego mieli otrzymać wierzący w Niego; Duch bowiem jeszcze nie był, ponieważ Jezus nie został jeszcze uwielbiony" (J 7, 37-39).

Dwie strony życia

Czy jednak nie jest to tylko pobożna gra symbolami? Jakie egzystencjalne znaczenie może mieć taka zmiana pojmowania historii Jezusa? Odpowiedź na te pytania wymaga zauważenia jeszcze jednego wątku Janowej Ewangelii. Przewija się przez wiele fragmentów, wyraźnie widać go np. w tym: „Jeszcze chwila, a świat nie będzie już Mnie widział. Ale wy Mnie widzicie. Ponieważ Ja żyję i wy żyć będziecie. W owym dniu poznacie, że Ja jestem w Ojcu moim, a wy we Mnie i Ja w was" (J 14, 19-20).

Śmierć na krzyżu jest kresem widzialnej egzystencji Jezusa. Nie jest jednak kresem Jego życia ani obecności. Wręcz przeciwnie. Odejście do Ojca okazuje się likwidacją wszelkiego dystansu pomiędzy Jezusem a uczniami. Jest nie tylko z nimi, jest w każdej i każdym z nich. Jego obecność rozpoznać zaś można nie przez ogląd jakiejś postaci (każda taka postać byłaby zewnętrzna wobec patrzącej/patrzącego), ale przez doświadczenie życia, którym On jest i które płynie w nas.

Ewangeliczne historie o spotykaniu Zmartwychwstałego są symbolicznymi opowieściami o stopniowym rozpoznawaniu tej rzeczywistości przez uczennice i uczniów. Choć czytamy w nich o widzeniu postaci Jezusa, wszystkie zmierzają ku uwolnieniu się od tego sposobu odnoszenia się do Niego: „nie chwytaj mnie" wypowiedziane do Marii Magdaleny (por. J 20, 17) i „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli" – skierowane do Tomasza (por. J 20, 29).

Historia Tomasza jest tu o tyle ważna, iż plastycznie powraca do związku ukrzyżowania i uwielbienia/wniebowstąpienia Jezusa. Didymos zwraca pozostałym uczniom uwagę na kluczowy szczegół – Zmartwychwstały, jeśli to naprawdę On, zachowuje rany ukrzyżowania.

Ewangelia Jana powstała we wspólnocie żyjącej w trudnych warunkach – w niespokojnych czasach, w autorytarnym wrogim państwie, w oddaleniu od innych wspólnot chrześcijańskich, prześladowanej przez swoje otoczenie. Jednocześnie odkrywającej obecność Boskiego Życia w głębi serc i w międzyludzkich relacjach. Doświadczenie to wiązało się z odkryciem, że przejście do Ojca nie oznacza ucieczki od bólu i cierpienia, lecz że wejście w sferę Królestwa Nieba – głębokiego pokoju i miłości – dokonuje się przez przyjęcie w wolności także ciemnej strony życia, zdolność do zachowania godności również w sytuacji opresji, umiejętność solidarnego współczucia z wszystkimi cierpiącymi. Pokazał to jasno Ten, który jest Drogą do pełni boskiego życia – przeszedł do Ojca, wstąpił tam, gdzie był przedtem, w ten sposób, że całkowicie i do końca czasu utożsamił się z wszystkimi cierpiącymi tego świata.

Trzeba tu jednak – zgodnie z przesłaniem Ewangelii – zachować dialektyczną równowagę. Nie chodzi o samo cierpienie, o masochistyczne zatracenie się w nim. Chodzi o to, by rozpoznać jednocześnie dwie strony życia: tę zranioną, ułomną i tę świetlistą, będącą ruchem, rozwojem pełnym pokoju. Trzeba rozpoznać te dwie strony życia w sobie – bo tylko wtedy nabywa się zdolności do współczucia, które nie jest wspólnym utknięciem w rozpaczy, bólu i beznadziei, lecz może być siłą przeprowadzającą innych z ciemności do światła, ze śmierci do życia.

Te dwie strony życia wydają się nam często nie do pogodzenia: tak w osobistym doświadczeniu, jak i w rozumieniu świata wyrażanym w międzyludzkiej komunikacji. Miotamy się pomiędzy cierpiętnictwem a udawaniem, że cierpienia nie ma. W kulturze duchowej ta egzystencjalna szarpanina wyraża się napięciem pomiędzy ekscytacją rozmaitymi wersjami utopii a zapatrzeniem się w przygnębiającą sztukę Grünewalda, Ge lub Beksińskiego.

Jedność dwóch – ciemnej i jasnej, ułomnej i boskiej – stron życia bardzo trudno wyrazić w jednym obrazie. Autor Czwartej Ewangelii pisał o niej utożsamiając wniebowstąpienie i ukrzyżowanie. Chyba jedynym w miarę udanym sposobem namalowania nieprzedstawialnego jest kanoniczna ikona ukrzyżowania. Są na niej i rany, i krew, i łzy, i skręcone z bólu ciało. Jednocześnie zmiana proporcji, harmonijna geometryzacja przestrzeni i wszechobecne złote światło nie pozwalają zatrzymać się na cierpieniu – w sercu patrzącym w ikonę tworzą zdolność przyjęcia bólu w sposób otwierający na Życie silniejsze od śmierci. A wtedy nawet ikonę trzeba zostawić – i zanurzyć się w Życie.

©℗ PIOTR SIKORA

„TP" 20/2023

Dwieście tysięcy

W ostatnim numerze „TP" ukazał się artykuł „Dłoń w ogniu" Michała Okońskiego, będący próbą obrony prof. Barbary Engelking, która padła ofiarą urzędowej nagonki. Red. Okoński zdecydował się równocześnie podać w wątpliwość, w sposób nierzetelny, oparty na insynuacjach i zwykłej ignorancji, kilkadziesiąt lat mojej pracy badawczej. Nie mając innego wyjścia, prosiłbym redakcję „TP" o zamieszczenie poniższych uwag. Okoński pisze w sposób bardzo stanowczy o moich błędach badawczych: „efektem może być wówczas przenoszenie standardów emocjonalnej wymiany na portalu społecznościowym do dyskursu naukowego, a czasami błąd, z którego trudno się wycofać". Zacznę od tego, że jeżeli Okoński „ma wrażenie", że tkwię w błędzie, to nic prostszego, jak do mnie zadzwonić, wysłać maila. Ale bardziej na serio: szacunki strat żydowskich z rąk polskich są rzeczą ważną. Więcej: próby takich szacunków są naszym obowiązkiem jako badaczy Zagłady. Ogłosiłem na ten temat szereg artykułów naukowych w językach konferencyjnych oraz po polsku. Ostatni z tych artykułów ukazał się niecały rok temu w jednym z czołowych międzynarodowych pism naukowych poświęconych badaniom nad Szoa. Gdyby Okoński wyszedł poza zaklęty krąg swoich informatorów, to dowiedziałby się, że moje szacunki ofiar nie są oparte na Datnerze (którego cytuję w kontekście liczby uciekinierów z gett), lecz na własnych badaniach, i są nie tylko trafne, lecz niewykluczone, że wręcz ostrożne, zachowawcze. Spór o liczby ofiar Zagłady jest bardzo ważny i nie godzi się, żeby dziennikarska dezynwoltura rzucała się cieniem na istotę dotyczących tego zagadnienia badań. Reasumując: nie godzi się moich wieloletnich badań porównywać do „wymian na portalach społecznościowych", tak jak nieporozumieniem jest określanie moich szacunków jako „niedającą się obronić tezę". Okoński zastanawia się również, dlaczego ataki władzy koncentrują się na prof. Engelking, a nie na profesorze Janie T. Grossie oraz na mnie, i dochodzi do wniosku, że to może dlatego, iż – w odróżnieniu od warszawskiej badaczki – obaj „mieszkamy na innej półkuli". Być może z perspektywy red. Okońskiego Berlin, w którym profesor Gross mieszka od ponad sześciu lat, jawi się jako inna półkula, ale ja mieszkam od szeregu lat w Warszawie, o czym świetnie wie wzywająca mnie na przesłuchania ABW, o czym wiedzą szczujący na mnie nastawieni „judeosceptycznie" dziennikarze prasy prawicowej, czy też dosyłające mi wezwania organy sądowe. Wiedziałby o tym również red. Okoński, gdyby – przed przystąpieniem do pisania rzeczy napastliwych i przede wszystkim niemądrych – wykonał niewielki wysiłek, jakim jest próba nawiązania kontaktu mailowego czy telefonicznego.

JAN GRABOWSKI,
profesor historii
University of Ottawa

OD AUTORA:
Wyznaję ze skruchą: przeprowadzek prof. Jana Grabowskiego nie śledzę równie pilnie, jak robi to ABW (skądinąd fakt, że działalność publiczna autora „Judenjagd" stała się przedmiotem zainteresowania takich służb, uważam za bulwersujący, a o tym, co sądzę o zagrożonej wolności badań naukowych, napisałem w swoim tekście wystarczająco wiele słów). Pocieszam się jednak, że była to w artykule „Dłoń w ogniu" kwestia kompletnie marginalna, i chciałem zapewnić Pana Profesora, że „kilkadziesiąt lat jego pracy badawczej" zajmuje mnie znacznie bardziej. Znam również artykuł prof. Grabowskiego, który „ukazał się niecały rok temu w jednym z czołowych międzynarodowych pism naukowych poświęconych badaniom nad Szoa", czyli „Estimates of the Losses of Polish Jews in Hiding, 1942-1945: Revisiting Yehuda Bauer's Observations", opublikowany na łamach „The Journal of Holocaust Research". I pozostaję przy swojej opinii, że powtarzana również w nim teza (sam Autor używa słowa „hipoteza") o dwustu tysiącach Żydów, którzy stracili życie za sprawą Polaków, nie daje się udowodnić. Ciekawe zresztą, że przywoływany w tym artykule cytat z prof. Yehudy Bauera jest powołaniem się na ustalenia „liberalnych polskich historyków, socjologów, antropologów"; czy aby tutaj właśnie nie mamy do czynienia z „zaklętym kręgiem"? W pełni się zgadzam, że próba oszacowania strat żydowskich z rąk polskich jest rzeczą ważną, choć mocno się obawiam, że w gąszczu liczb ginie ludzki los. Problem w tym, że w kolejnych publikacjach i wywiadach prof. Grabowskiego znajduję wciąż tę samą metodę: jako punkt wyjścia szacunki Szymona Datnera, następnie przywołanie własnych badań w powiecie Dąbrowa Tarnowska, a później także danych – różniących się zresztą istotnie między sobą – z dziewięciu powiatów opisywanych na kartach „Dalej jest noc". Dywagacjom naukowca, budzącym – co zrozumiałe – duży rezonans w światowych mediach, towarzyszy aż nadto publicystyki. Także w przypisach do tekstu na łamach „The Journal of Holocaust Research" równie często jak na badaczy Zagłady, natrafiam na Mateusza Morawieckiego, Jana Żaryna, IPN i Oko.Press. Prof. Jan Grabowski zarzuca mi dezynwolturę – tak się składa, że myślę o jego ostatnich publikacjach właśnie jako o pełnych dezynwoltury. Staram się zrozumieć, co ją zrodziło, nie chcę jednak tracić z horyzontu tego, co najistotniejsze. Przed pięcioma laty napisałem: „W debacie o sprawach dotyczących życia i śmierci trzeba być precyzyjnym. (...) Trudno także zachować spokój, gdy np. premier Morawiecki rozmnaża liczbę pomagających Żydom do setek tysięcy. Przystępując do licytacji, nie doprowadzi się jednak do żadnego oczyszczenia".

MICHAŁ OKOŃSKI

Skróty w obu głosach – od redakcji. Całość: **powszech.net/200tysiecy**

Sprostowanie

Z powodu błędu w adiustacji zostało zmienione zakończenie tekstu Karola Tarnowskiego „Papieskie alibi", opublikowanego w „TP" nr 18-19/2023. Ostatnie zdanie powinno brzmieć: „I nie sposób mu tego zapomnieć". Za zmianę Autora i czytelników serdecznie przepraszamy.

REDAKCJA

ZUZANNA

Radzik:
Nasza litania

Zwykle przed maryjnymi świętami kulę się w sobie, czekając, jaką mądrość o Maryi i wynikające z niej zalecenia dla kobiet wygłoszą duszpasterze – na czele z biskupami.

A teraz jeszcze chodzą za mną te sukienki, które ponoć należałoby nosić dla Maryi w maju. Przejaw tej samej choroby duszpasterstwa: Matka Boska wciąż służy za foremkę do wypieku pobożnych kobiet i dziewcząt. Przykroi się i nas, i ją, i wyjdzie z tego postać skromna, cicha, posłuszna, ubrana jak trzeba. Pastele, kwiaty, rękaw za łokieć, sukienka za kolano. No i pozamiatane.

Z drugiej strony jest maryjny maj, miesiąc odświeżonych kapliczek, wstążek we wszystkich kolorach tęczy. Czas religijności wspólnotowej, ale potencjalnie bezklerykalnej, do której nie potrzeba księdza, mogą być same kobiety przy kapliczce. Biorę to i chętnie się skrzyknę z koleżankami, ale najpierw jeszcze spojrzę na słowa litanii niosącej setki lat tradycji. Z tradycją trzeba uważać, bo przetkana jest nicią kobiecości wprost wyjętej z patriarchalnych snów. A my, umówmy się, już nie chcemy wcielać niewieścich cnót ani być miłe i ładne. I ciche. Chcemy całego życia. Jestem przekonana, że nasza siostra Miriam chce go dla nas.

Odzyskać Marię z Nazaretu to feministyczna praca intelektualna i duchowa wykonywana od dziesięcioleci. Nieufność, wręcz podejrzliwość, jest w tej pracy podstawowym narzędziem. Obwąchuję więc litanię loretańską, zaglądam pod każdą linijkę, zastanawiam się, czy zagraża, jest neutralna albo czy karmi. Czy karmi moją wiarę, niesie się do nieba, czy splątuje i grzęźnie? I tak przez 55 maryjnych tytułów.

Sama już nie wiem. Jak wszyscy lubię piosenki, które znam, modlitwy też. Ale czy chcę się modlić tekstem, który chwali ją (Panno czcigodna, wsławiona, można...), obsesyjnie podkreśla czystość (Matko nieskalana, najczystsza, dziewicza, nienaruszona) i jeszcze pochyla się nad tą dziwną kobiecą istotą (najmilsza, przedziwna)? Czy bycie królową czegokolwiek, a aniołów zwłaszcza, jeszcze kogokolwiek porusza?

Litania loretańska jest jednak formą plastyczną, zmieniającą się ze względu na wydarzenia w świecie i teologii. Dodano do niej wezwanie „Królowo bez zmazy pierworodnej poczęta" (1846), gdy wszedł dogmat o niepokalanym poczęciu. Potem „Królowo pokoju" (1917), bo trwała Wielka Wojna. „Królowo Wniebowzięta" (1950), bo ogłoszono kolejny dogmat. „Matko Kościoła" (1980), „Królowo rodzin" (1995) – dodał Jan Paweł II. Papież Franciszek dopisał ostatnio kolejne: „Matko miłosierdzia", „Matko nadziei" i „Pociecho migrantów". Aktualizacja litanii w sam raz na czas kryzysu uchodźczego i polityki polskiego państwa skutkującej cierpieniem i śmiercią. Tę ostatnią wyobrażam sobie, jak leży pod naszym granicznym płotem razem z chłopakiem z Afryki Subsaharyjskiej ze złamaną nogą i karteczką, że błaga o azyl. *Kyrie eleison...*

To skoro tak można sobie dopisywać i zmieniać, i skoro Watykan wciąż nie odkrył teologii feministycznej, a nawołuje ustami papieża, by ją tworzyć, to ja sobie przepiszę tę litanię po swojemu. Nie wystarczy czytać krytycznie ani pisać teologiczne pełne przypisów książki, potem trzeba to przekuć na praktykę, również praktykę liturgii i modlitwy.

W wyobraźni rozsypuję przed sobą maryjne wezwania litanii jak loteryjkę. Jedne odkładam na bok, inne dopisuję. Moim wewnętrznym dekretem na miejsce „Panno nad Pannami" wpisuję „Siostro nasza, Mario, módl się za nami!". Zamiast „święta Boża Rodzicielko" wołam: „Która zgodziłaś się zostać Bożą matką". Na dźwięk wezwania „Matko łaski Bożej" staje mi przed oczami scena u Elżbiety, więc notuję: „Kobieto solidarna z innymi kobietami. Troskliwa kuzynko, która idziesz wspierać Elżbietę, i która pokrzepiłaś się jej siłą. Nauczycielko międzypokoleniowej solidarności kobiet". A potem dopisuję dalej:

Maryjo, Matko Jezusa, która usłyszałaś wezwanie Boże
i na nie odpowiedziałaś.
Dziewicza, nietknięta ludzką ręką jak pierwotna puszcza.
O, niezawisła, suwerenna, decydująca o sobie.
Pragnąca naszej wolności, takiej, jaką Ty byłaś wolna.

Maryjo, która dzięki Duchowi Świętemu utworzyłaś
i nosiłaś w sobie ciało i krew Chrystusa.
Matko, która brałaś Go w swoje kobiece ręce i nikogo
to nie oburzało, módl się za nami, doświadczającymi
nierówności w Kościele.

Matko Kościoła, która pierwsza ufałaś,
że nadchodzi Chrystus.
Panno wierna, która nie zwątpiłaś w misję syna,
gdy życie było zupełnie zwyczajne.
Przewodniczko wskazująca w Kanie, kiedy już
nadszedł czas.
Opoko i matko nadziei, stojąca na przekór rozpaczy
pod krzyżem.

Prosta dziewczyno z Nazaretu, która nie potrzebujesz
zbyt wielu naszych słów.
Prorokini, wyśpiewująca zapowiedź nadejścia mesjasza,
pierwsza teolożko.
Żydowska matko, w której spotykają się
Stary i Nowy Testament.
Ty, w której krzyżują się dzieje historii zbawienia,
nadzieje i oczekiwania całego świata.

Wniebowzięta, przecierasz szlak, którym, jak Ty,
pójdziemy, by żyć wiecznie.

Módl się za nami, Siostro! ©

Dylemat Ameryki: Europa czy Chiny?

WOBEC KONIECZNOŚCI wysyłania coraz większych ilości sprzętu dla Ukrainy w USA rosną naciski na zwiększenie wydolności przemysłu obronnego. Okazuje się bowiem, że Stany nie są przygotowane na szybką produkcję broni w sytuacji przedłużającego się konfliktu konwencjonalnego. Dziennik „New York Times" donosi, że przy obecnym tempie produkcji USA potrzebowałyby aż 13 lat, by uzupełnić zapasy rakiet przeciwlotniczych Stinger, które dostarczono Ukrainie w pierwszych 10 miesiącach inwazji. Do uzupełnienia zapasu rakiet przeciwpancernych Javelin potrzeba pięciu lat. Wyzwaniem jest produkcja odpowiedniej liczby pocisków artyleryjskich. Są również obawy o rezerwę pocisków balistycznych i systemów obrony przeciwlotniczej.

ADMINISTRACJA BIDENA przedstawiła w marcu projekt nowego budżetu resortu obrony, opiewający na rekordowe 842 mld dolarów. Część pieniędzy ma być przeznaczona na rozwój przemysłu. W planie budżetowym za priorytet uznano rywalizację z Chinami i zmniejszenie wydatków na Europę, co jest zgodne z opublikowaną w 2022 r. amerykańską strategią bezpieczeństwa narodowego. Potrzeba obrania takiego kierunku podnoszona jest zwłaszcza przez rosnącą w Partii Republikańskiej grupę przeciwników interwencjonizmu. Przekonują oni, że USA muszą skupić się na przygotowaniach do potencjalnego konfliktu z Chinami, a wojna w Ukrainie jest sprawą drugorzędną.

NASZEGO ROZMÓWCĘ pytamy właśnie o ten amerykański dylemat. Elbridge A. Colby to były zastępca asystenta sekretarza obrony ds. rozwoju strategii i sił zbrojnych; w Pentagonie służył za administracji Trumpa w latach 2017-18. Był współodpowiedzialny za tworzenie strategii bezpieczeństwa narodowego – dokumentu, w którym za najwyższy priorytet polityki zagranicznej uznano rywalizację Stanów z Chinami i Rosją. Colby jest też współzałożycielem i szefem Marathon Initiative, think tanku stawiającego sobie za cel przygotowanie USA do rywalizacji mocarstwowej. To wpływowy ekspert w skrzydle Partii Republikańskiej, które chce ograniczenia pomocy wojskowej dla Ukrainy. Jest wnukiem Williama Colby'ego, szefa CIA w latach 1973-76. © MZ

PEKIN NIE MOŻE NAS DOGONIĆ

ELBRIDGE A. COLBY, ANALITYK DS. WOJSKOWOŚCI:

Chiny robią postępy w każdej sferze militarnej. Są dla nas groźniejsze niż Rosja. Musimy skupić się na Azji.

MARTA ZDZIEBORSKA: Od lat ostrzega Pan, że USA nie są gotowe na długą wojnę konwencjonalną z takim mocarstwem jak Chiny. Chce Pan powiedzieć, że w przypadku inwazji Pekinu na Tajwan Amerykanie nie zdołaliby go obronić?

ELBRIDGE A. COLBY: Sprawa nie jest przesądzona. To nie są już czasy, gdy – jak przez ostatnie 70 lat – można było stwierdzić, że z łatwością obronimy Tajwan. Oczywiście mamy prawo uważać, że w przypadku niezmiernej precyzji i dobrej taktyki nasze siły wygrałyby to starcie, choć ponosząc prawdopodobnie bardzo duże straty. Nie zapominajmy, że Chiny będą coraz lepiej przygotowane do potencjalnego konfliktu, podczas gdy Ameryka nie robi wystarczająco dużo, aby być pewną zwycięstwa.

JASON WAITE / US NAVY / MATERIAŁY PRASOWE

Tankowanie helikoptera Sea Hawk na pokładzie niszczyciela „USS John Finn" z amerykańskiej 7. Floty, która operuje na Pacyfiku. Cieśnina Tajwańska, marzec 2021 r.

Z symulacji waszyngtońskiego think tanku Center for Strategic and International Studies wynika, że Amerykanie zdołaliby odeprzeć chiński atak na Tajwan, ale za cenę ogromnych ofiar.

W tej symulacji założono, że Chiny nie zaatakowałyby amerykańskich satelitów, a moim zdaniem nie można tego wykluczyć. Nie jest też jasne, czy Stany dysponowałyby każdym rodzajem broni, której użycie przewidziano w symulacji.

CSIS szacuje, że amerykańska marynarka prawdopodobnie wyczerpałaby zapasy niektórych precyzyjnych pocisków dalekiego zasięgu w niecały tydzień. Eksperci już wcześniej ostrzegali, że Stany nie byłyby wydolne w razie przedłużającego się konfliktu konwencjonalnego. Jak do tego doszło?

Uważam, że to skutek naszego zadufania.

Akurat Amerykanie z niego słyną...

Arogancja jest mocno zakotwiczona w naszym systemie. Przez lata kolejnym administracjom, bez względu na ich opcję polityczną, towarzyszyło myślenie, że nie będziemy mieć rywala, który dorówna nam zdolnościami wojskowymi, i z którym potencjalnie trzeba będzie stoczyć wojnę. Uważam też, że popełniliśmy ogromny błąd wpuszczając Chiny do Światowej Organizacji Handlu, tym bardziej że nie zdołaliśmy dopilnować, by wywiązały się ze swoich obietnic. Taka polityka handlowa była być może dobra dla amerykańskich konsumentów, ale jednocześnie ułatwiliśmy wzrost ekonomiczny rywalowi, który po raz pierwszy w historii może nam dorównać. Tymczasem zamiast skupić się na Chinach, przez ostatnie 20 lat żyliśmy głównie wojnami na Bliskim Wschodzie. Dopiero w 2018 r. w narodowej strategii bezpieczeństwa zidentyfikowaliśmy główne obszary zagrożeń ze strony Chin, ale nie doprowadziło to do reform w przemyśle obronnym.

W „Wall Street Journal" pisał Pan, że w rejonie Pacyfiku Amerykanie mają tylko dwie stocznie marynarki wojennej, co w przypadku konfliktu utrudniłoby naprawę okrętów. Kiedy zaczęto zmniejszać zaplecze wojskowo-techniczne w tej części świata?

Na początku lat 90. XX w., po upadku Związku Sowieckiego, Stany ograniczyły przemysł obronny, co zresztą miało wtedy sens. W późniejszych latach podczas wojen bliskowschodnich kładziono nacisk na bieżące działania wojskowe i antyterrorystyczne, a jednocześnie słabła nasza cywilna baza przemysłowa. To oznacza, że mieliśmy coraz mniej inżynierów i spawaczy, potrzebnych w sektorze zbrojeniowym. Pamiętajmy, że w czasie II wojny światowej dysponowaliśmy ogromną bazą przemysłową i dlatego w krótkim czasie mogliśmy przerzucić się na produkcję bombowców, czołgów czy statków transportowych. Teraz to Chiny mają niezwykłą możliwość mobilizacji produkcji przemysłu zbrojeniowego.

Przemysł zbrojeniowy to jedno, a drugie to chińska dominacja w obszarze metali ziem rzadkich,

↦

↦ **kluczowych dla produkcji sprzętu wojskowego.**

Uzależnienie naszego łańcucha dostaw od Chin jest niebywałe. Kilka miesięcy temu Pentagon musiał wstrzymać produkcję nowego modelu F-35, bo okazało się, że jeden z komponentów pochodzi właśnie z Chin.

Czy zatem jest realne, że USA staną w obronie Tajwanu? W razie wstrzymania przez Chiny eksportu metali ziem rzadkich Stany zostałyby z zapasami, które starczą na trzy miesiące produkcji sprzętu wojskowego.

Obrona Tajwanu jest dla nas kluczowa. W przypadku chińskiej okupacji wyspy ucierpiałby cały nasz system sojuszy w Azji. Gdybyśmy okazali bierność, podważyłoby to zaufanie naszych sojuszników – Filipin, Japonii i Korei Południowej. Co więcej, w ramach inwazji na Tajwan Chińczycy zaatakowaliby prawdopodobnie także siły amerykańskie, japońskie i australijskie. Gdybyśmy w razie ataku nie byli w stanie lub nie chcieli obronić Tajwanu, wyglądałoby to z naszej strony żałośnie. Z perspektywy strategii bezpieczeństwa USA zachowanie równowagi sił w Azji jest bardziej istotne niż to, co dzieje się w Ukrainie.

Trudno tego słuchać, gdy za polską granicą trwa wojna. Prawda jest jednak taka, że zarówno administracja Bidena, jak i wcześniej Trumpa dawały sygnały, że to Chiny są dla nich priorytetem, a Europa powinna w większym stopniu odpowiadać za swoje bezpieczeństwo.

Jesteśmy dziś w sytuacji nadzwyczajnej. W Ukrainie trwa wojna i nie da się zaprzeczyć, że głównie tam pompujemy pieniądze, zamiast wspierać Tajwan. Chińska inwazja może nastąpić za trzy-pięć lat! Jeśli nie zdołamy powtrzymać Pekinu przed atakiem na Tajwan i dojdzie do wojny na wyczerpanie, może się okazać, że Chińczycy mają bardziej wydolny przemysł zbrojeniowy. Spójrzmy, jak dużym wyzwaniem jest dla nas uzupełnienie zapasów w pociskach Javelin i Stinger po tym, jak wysłaliśmy ich dużo na Ukrainę. Jesteśmy zmuszeni do trudnych kompromisów: wsparcie dla Ukrainy obniża wydolność naszego przemysłu zbrojeniowego i zmniejsza dostępność broni potrzebnej w razie potencjalnego sporu o Tajwan.

Rozmawiamy o słabych punktach Stanów, ale takie starcie byłoby niewiadomą także dla Chin. Ich armia walczyła po raz ostatni w 1979 r., podczas krótkiego konfliktu z Wietnamem. Dużo pisze się o niskim morale chińskich żołnierzy. Czy obawy przed zdolnościami wojskowymi Pekinu nie są na wyrost?

Nierozsądnie byłoby polegać na niskim morale ich żołnierzy. Bardziej zasadne jest mówienie o wątpliwościach dotyczących sprawności chińskiej armii. Nie zapominajmy, że podczas wojny koreańskiej [w latach 1950-53 – red.] nie byliśmy w stanie pokonać Chińczyków i konieczne było zawarcie rozejmu. Wprawdzie Chiny nie toczyły żadnej wojny od 1979 r., ale my też mamy słabe punkty: ostatnią poważną bitwą, jaką stoczyła nasza marynarka wojenna, była bitwa o Okinawę w 1945 r. Nie zapomnijmy też, że Chiny są bogatsze niż kiedyś. Wielu amerykańskich oficerów uważa, że chińska armia robi duże postępy. Boję się, że doświadczenia z Rosją, która podczas wojny w Ukrainie okazała słabość, uśpi czujność naszego establishmentu. W efekcie możemy nie doszacować możliwości Chin, które mają dziesięć razy większą gospodarkę niż Rosja. Do tego ich system jest bardziej wydolny w sferze przemysłu obronnego i technologii.

Waszyngton zapewne nerwowo śledzi doniesienia o rozszerzaniu przez Chiny arsenału hipersonicznego. Co wiemy o ich ultraszybkich pociskach?

Chiny zrobiły w tej kwestii bardzo duży postęp. Gdy w 2021 r. wyciekła informacja o teście ich nowego pocisku hipersonicznego, wielu amerykańskich ekspertów przecierało oczy, że można zastosować przy tym modelu taką technologię.

Mówi się, że Waszyngton jest w tyle za Pekinem, choć prowadzi testy nad bronią hipersoniczną od lat 50. XX w. Ile czasu potrzeba, by dogonić Chiny?

To nie jest kwestia ich dogonienia. Trudno powiedzieć, jaki jest w tym obszarze rozkład sił między USA a Chinami, bo niewiele mówi się publicznie na ten temat. Ale bezsprzecznie Stany ostatnio mocno inwestują w broń hipersoniczną.

Kiedy Amerykanie zaczęli kłaść nacisk na rozwój tej technologii?

Co najmniej pięć lat temu, choć nad niektórymi programami pracujemy już od 15 czy 20 lat.

Za administracji Trumpa był Pan jednym z autorów strategii bezpieczeństwa USA, w której za priorytet uznano zagrożenie ze strony Chin i Rosji. Które obszary rywalizacji spędzają Panu sen z powiek?

Wszystkie. Chińczycy robią postępy w każdej dziedzinie. To nie tylko broń hipersoniczna. Pekin modernizuje armię, pracuje nad nowymi pociskami, rozwija marynarkę wojenną, siły powietrzne i arsenał nuklearny, a jednocześnie inwestuje w półprzewodniki i architekturę kosmiczną.

Niektórzy eksperci twierdzą, że Chiny są u szczytu swoich możliwości i właśnie dlatego mogą stanowić dla świata zagrożenie. Że chcą poszerzyć swoją strefę wpływów, dopóki są do tego zdolne pod względem ekonomicznym i wojskowym.

Nie sądzę, aby to był mocny i roztropny argument. Spójrzmy choćby na demografię: eksperci, o których mowa, wieszczą kryzys demograficzny w Chinach, ale ten czynnik może mieć kluczowe znaczenie dopiero za kilka dekad. Jednocześnie chińska gospodarka odkuwa się po okresie spowolnienia w czasie pandemii i należy spodziewać się jej dalszego wzrostu. Jest mało dowodów na to, iż Chińczycy uważają, że ich kraj wyhamowuje. Przeciwnie, oni myślą w ten sposób o Ameryce. Ich ambicją jest uzyskanie pozycji wiodącej światowej potęgi do połowy tego stulecia.

Dziś trudno jednak oszukać rachunek ekonomiczny: wydatki Chin na obronę mają wzrosnąć w tym roku o 7,2 proc., powyżej prognozowanego wzrostu gospodarczego.

Ale wydatki Pekinu na obronność mają mniejszy udział w PKB niż w przypadku Stanów – przynajmniej tak wynika z oficjalnych danych. Oczywiście Pekin nie osiągnie już wzrostu gospodarczego na poziomie 7 proc., ale jest na dobrej drodze, by

dalej się rozwijać. Duża część chińskiego społeczeństwa żyje za mniej niż 10 tys. dolarów rocznie, co gwarantuje nowe obszary gospodarki do wzrostu. Pekin lideruje też w obszarze sztucznej inteligencji. Nie chcę powiedzieć, że Chiny to siła nie do zatrzymania, ale jest prawdopodobne, że utrzymają obecny trend i będą mieć znacznie większą gospodarkę niż Europa.

Wróćmy do arsenału wojskowego, bo mam wrażenie, że w doniesieniach o potencjale Chin niekiedy brakuje kontekstu. Np. pisze się, że Chińczycy mają więcej wyrzutni do międzykontynentalnych pocisków balistycznych, ale za to Stany mają więcej głowic i pocisków. Czy może Pan powiedzieć więcej o tych dysproporcjach?

Spojrzałbym na to inaczej. Po pierwsze, nasze wyrzutnie są z lat 70., więc są znacznie starsze niż chińskie. Obecnie prowadzimy prace nad nowym sprzętem, ale mogą się one opóźnić o co najmniej dwa lata. Druga sprawa to marynarka wojenna. Nasze okręty w wielu przypadkach mogą być lepsze technologicznie, ale nie da się ukryć, że chińskie są nowsze. Do tego szacuje się, że do 2028 r. Chińczycy będą mieli półtora raza więcej okrętów niż my. W przypadku Chin, kraju mającego 1,4 mld ludności i rozwiniętą bazę przemysłową, ilość sama w sobie jest jakością. Za to my mamy trudności z szybkim uzupełnieniem strat, co w przypadku konfliktu jest kluczowe.

Dlatego chciałbym podkreślić jedną rzecz: Stany muszą skupić się przede wszystkim na Azji. To nieuniknione. Myślę, że Joe Biden jest ostatnim prezydentem działającym w duchu transatlantyckiego romantyzmu. W długofalowej perspektywie Europa jest dla Amerykanów mniej istotna niż Azja. Do tego Chiny są dla nas o wiele bardziej niebezpieczne niż Rosja. Boję się, że teraz, w obliczu wojny w Ukrainie, Europa znów przyzwyczai się, że zawsze może polegać na naszej wiodącej roli w zapewnianiu bezpieczeństwa. To nie jest realistyczne podejście. Lepiej jest przewidzieć czekające nas realia i się do nich razem przystosować.

Porzucenie Europy i skupienie wysiłków na Azji to droga na skróty. Czy w interesie USA nie jest budowanie gotowości do walki z Rosją i Chinami na dwóch frontach jednocześnie?

CHRISTOPHER R. THOMPSON / ARCHIWUM PRYWATNE B. COLBY'EGO

Elbridge A. Colby, 2021 r.

Nie możemy pozwolić na to, by wojna w Ukrainie odciągnęła naszą uwagę od Azji, a na to właśnie liczą Chiny. Same niewiele inwestują w ten konflikt: wspierają Rosję, ale nawet nie dostarczają jej sprzętu wojskowego. Taka strategia mało ich kosztuje, a mogą na niej wiele zyskać.

Tymczasem w cieniu wojny w Ukrainie rozkręca się wyścig zbrojeń na Pacyfiku. Kraje regionu zwiększają wydatki wojskowe, bojąc się, że w razie wojny o Tajwan Amerykanie nie zdołają obronić ich przed Chinami.

I to jest dobry trend. Japonia, tak jak Polska, zdaje sobie sprawę, że gwarancje bezpieczeństwa ze strony USA mają większe szanse na powodzenie, jeśli sojusznicy wezmą odpowiedzialność za swoją obronność. Widzę tu inny problem: Japonia zaczęła działać zbyt późno. Jej wydatki na zbrojenia wyniosą 2 proc. PKB dopiero w 2027 r., czyli w momencie, gdy zgodnie z zapowiedziami Xi Jinpinga może dojść do ataku na Tajwan. Ten ostatni robi też za mało, by zwiększyć swoją gotowość wojskową. Uważam, że świat zachodni zbyt wiele wysiłku wkłada w symboliczne gesty: mamy mocne słowa na temat Chin ze strony NATO, krajów G7 i Unii Europejskiej, ale znacznie mniej robi się, by realnie równoważyć ich zapędy mocarstwowe.

Administracja Bidena przedstawiła rekordowo wysoki projekt budżetu obronnego, wzmacnia relacje wojskowe z Filipinami i Wietnamem, a dwa lata wcześniej zawarła sojusz obronny z Australią i Wielką Brytanią (AUKUS). To dobre ruchy.

Tak, ale pamiętajmy, że rywalizujemy z krajem, który ma ogromny potencjał przemysłowy i otwarcie przygotowuje się do wojny ze Stanami. Spójrzmy na pakt AUKUS: on zagwarantuje nowe okręty podwodne, ale nie wcześniej niż w 2030 r.! Nasz Kongres chce mieć co roku dwa bojowe okręty podwodne i jeden okręt z rakietami balistycznymi. Ale to obecnie niemożliwe, bo nasz przemysł jest w stanie wyprodukować w tym czasie statystycznie tylko 1,2 okrętu podwodnego. Musi minąć dużo czasu, by AUKUS przyniósł realne efekty.

Rozmawiamy o błędach administracji Bidena, a jakie były błędy za rządów Donalda Trumpa?

Napisaliśmy dobrą strategię bezpieczeństwa, ale niestety nie została ona wdrożona. Nie da się jednak zaprzeczyć, że to za administracji Trumpa dokonano przełomu, identyfikując, że to zagrożenie ze strony Chin musi być dla naszej polityki zagranicznej priorytetem.

W jednym z artykułów pisał Pan, że służąc w Pentagonie napotykał opór, by stawiać na pierwszym miejscu Chiny.

To prawda. Część ludzi forsowała dalsze skupianie się na Bliskim Wschodzie, Europie, Korei Północnej czy działaniach antyterrorystycznych.

Zgadza się Pan z opinią, że przez zbyt długi czas patrzono na Chiny jak na niesfornego ucznia, który kopiuje amerykańskie rozwiązania technologiczne?

Tak, oczywiście. Ludzie nie wierzyli w zdolność Chin do innowacji i dogonienia Stanów. To było błędne założenie. Oczywiście Chińczycy nadal kradną i kopiują nasze technologie, ale jednocześnie pracują nad własnymi. Mają teraz dużo świetnie wyszkolonych inżynierów i naukowców specjalizujących się w dziedzinach technicznych. Wystarczy spojrzeć na cytowania ich artykułów w czasopismach naukowych. Najwyższa pora zacząć traktować Chiny jeszcze bardziej poważnie.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

Prawda o Rwandzie

DARIUSZ ROSIAK

To państwo, założone na micie odkupienia po ludobójstwie z 1994 r., jest często przedstawiane jako oaza sukcesu i pokoju w Afryce. Michela Wrong dowodzi, że to kłamstwo.

W wieczór sylwestrowy roku 2013 Patrick Karegeya, były pułkownik armii rwandyjskiej i były szef wywiadu tego kraju, został zamordowany w pokoju nr 905 hotelu Michelangelo Towers w Johannesburgu. Zwłoki odkryto następnego dnia. Policja znalazła ciało na łóżku, a w pokojowym sejfie schowane były zakrwawiony ręcznik i wiązanie do zasłon, którym prawdopodobnie uduszono Karegeyę. Na drzwiach pokoju wisiała kartka „*Do not disturb*" (nie przeszkadzać).

„Do Not Disturb" to tytuł książki Micheli Wrong z 2021 r., brytyjskiej reporterki, która od prawie 30 lat pisze o współczesnej Afryce. Życie i zabójstwo Patricka Karegeyi stanowi oś narracyjną książki, z której wyłania się opowieść o historii Rwandy i regionu Wielkich Jezior ostatnich 40 lat.

Do dziś nie znaleziono zabójców Karegeyi, jednej z najważniejszych postaci Patriotycznego Frontu Rwandyjskiego (RPF). Ugrupowania, które – jak głosi powszechnie przyjęta wersja historii – w lipcu 1994 r. położyło kres ludobójstwu Tutsi, wyzwalając Rwandę i wprowadzając demokratyczne rządy. Policja przeciągała dochodzenie, prokuratura przez pięć lat nie była w stanie przedstawić podejrzanych. Ostatecznie w 2019 r. ministerstwo sprawiedliwości RPA wydało listy gończe za dwojgiem podejrzanych, których władze Rwandy nigdy nie wydadzą. Nie wydadzą, bo według Wrong morderstwa dokonała czteroosobowa grupa rwandyjskich agentów działających za zlecenie prezydenta kraju Paula Kagamego.

KAREGEYA NIE BYŁ JEDYNY. Michela Wrong opisuje więcej zabójstw dokonywanych przez reżim Kagamego na wrogach politycznych. Jednak przypadek Karegeyi jest wyjątkowy. Po pierwsze był Tutsim, czyli z definicji ofiarą ludobójstwa. W rzeczywistości urodził się i wychował w Ugandzie, a jego rodzice nie byli ofiarami prześladowań władz Rwandy, tylko przyjechali do Ugandy za chlebem – Patrick był trzecim pokoleniem migrantów zarobkowych, jego językiem ojczystym był runyankole z zachodniej Ugandy, a nie kinyarwanda, którym posługują się Hutu i Tutsi, porozrzucani na obszarze od wschodniego Konga do Tanzanii i od Ugandy do Burundi.

Po drugie, Karegeyi od wielu lat blisko znał Kagamego – chodzili razem do średniej szkoły, a potem przyjaźnili się. Co najważniejsze, Patrick Karegeya był jedną z kluczowych postaci środowiska rwandyjskich uchodźców w Ugandzie, którzy w latach 80. XX w. pomogli zdobyć władzę Yoweriemu Museveniemu, najpierw rebeliantowi, a od 1986 r. prezydentowi Ugandy. Wdzięczny za wsparcie, Museveni pozwolił młodym Rwandyjczykom zbudować własną armię w Ugandzie – to ona w 1990 r. pod szyldem RPF dokonała inwazji na Rwandę i przez następne cztery lata prowadziła wojnę z legalnym rządem prezydenta Juvénala Habyarimany.

Patrick Karegeya był zatem jednym z twórców RPF i brutalnego autorytarnego reżimu kierowanego przez Paula Kagamego. 31 grudnia 2013 r. padł jego ofiarą.

RWANDA TO NIEZWYKŁY KRAJ. Wciśnięty między większych sąsiadów, pozbawiony bogactw naturalnych (poza naturalnym pięknem „kraju tysiąca wzgórz"), kojarzy się z dwoma rzeczami. Najpierw z ludobójstwem dokonanym przez ludność Hutu na Tutsi. Od kwietnia do lipca 1994 r. kilkaset tysięcy ludzi zostało zamordowanych w okrutny sposób przez sąsiadów, z którymi żyli od wieków. Potem, w lipcu, władzę w Rwandzie przejął

RPF, czyli armia Tutsich z Ugandy. Nowi liderzy zapowiadali narodowe pojednanie i budowę nowoczesnego państwa, w którym nie będzie już Tutsi i Hutu, lecz tylko Rwandyjczycy.

I tu miejsce na drugie skojarzenie z Rwandą. Nie ma afrykańskiego kraju, który w ostatnich dekadach miałby lepszą prasę. Rwanda jest podziwiana przez polityków Zachodu. Bill Clinton uważał Kagamego za „jednego z największych liderów naszych czasów", Tony Blair nazwał go „wizjonerem". Rząd brytyjski ma tak duże zaufanie do władz w Kigali, że chce przy ich pomocy rozwiązać problem nielegalnej imigracji: ci, którzy przepłyną La Manche, mają być odsyłani do Rwandy, by tam czekać na rozpatrzenie wniosków o azyl.

Dwie piłkarskie potęgi europejskie, kluby Arsenal i Paris Saint-Germain, promują turystykę w Rwandzie, a ich gwiazdy objeżdżają tamtejsze parki narodowe, wzywając Europejczyków do odwiedzania tego pięknego kraju.

Organizacje pomocowe uwielbiają pracować w Rwandzie: nie ma tam korupcji

YASUYOSHI CHIBA / AFP / EAST NEWS

Czuwanie modlitewne na stadionie w Kigali, stolicy Rwandy, które rozpoczęło trwające sto dni obchody 25. rocznicy ludobójstwa, kwiecień 2019 r.

ani poważniejszych zagrożeń. Według Banku Światowego w pierwszej dekadzie XXI w. Rwanda rozwijała się w tempie 8,4 proc. rocznie – trzy razy szybciej niż średnia krajów Afryki Subsaharyjskiej. Statystyki śmiertelności niemowląt, szczepień i szkolnictwa (niemal 100 proc. dzieci chodzi do szkół) budzą podziw światowych donatorów. „Zielona rewolucja" sprawia, że plony są tu kilkukrotnie wyższe niż w innych państwach Afryki. Kobiety stanowią 64 proc. parlamentu. Nie szkodzi, że parlament nie ma żadnej władzy. Kto by się tym przejmował w kraju, który zaledwie 30 lat temu zszedł do piekieł i powstał z popiołów.

Zachodni dziennikarze, którzy przyjeżdżają do Rwandy, piszą pełne ekstazy teksty, które wyglądają, jakby wyszły spod jednego pióra (zarzut nie dotyczy „Tygodnika", który publikował teksty o reżimie Kagamego i jego destabilizującej roli w regionie). Autorzy tych panegiryków podziwiają czyste ulice, równo położony asfalt, policję, która nie bierze łapówek, i brak żebraków nagabujących turystów. Jak nie w Afryce...

TEN LUKIER Z OBRAZU Rwandy, który dominuje w mediach i literaturze, zdziera w swojej książce Michela Wrong. I nie tylko: dokonuje też weryfikacji współczesnej historii tego kraju i sposobu, w jaki jest opisywany w zachodnich relacjach. Nie chodzi tylko o to, że pokazuje kłamstwa, na których zbudowany jest mit współczesnej Rwandy i zbrodnie dokonywane przez reżim Kagamego na przeciwnikach – to robili już inni autorzy.

„Do Not Disturb" to odważna próba zmierzenia się z mitem historycznym, którego dekonstrukcja nie jest na rękę nikomu: ani jego rwandyjskim twórcom, ani zachodnim dziennikarzom, badaczom, pisarzom, którzy od 30 lat go rozpowszechniają. Ta książka to odrzucenie legendy o Rwandzie jako afrykańskiej enklawie postępu i przypomnienie, że ceną za rezygnację z wolności w zamian za złudne poczucie bezpieczeństwa jest czyjeś cierpienie.

Dlaczego świat chce wierzyć w mit Rwandy jako kraju pokoju i sukcesu? Zachód – z poczucia winy za to, że nic nie zrobił w trakcie tych trzech miesięcy roku 1994. Ale nie tylko. Dla liberalnych zachodnich badaczy, dziennikarzy, pisarzy historia przestaje być dziś kroniką wydarzeń i procesów, z której możemy czerpać wiedzę na temat kondycji ludzkiej. Zamiast tego staje się coraz bardziej pęczniejącym katalogiem win popełnionych przez białych heteroseksualnych mężczyzn, które domagają się odkupienia.

W TYM KATALOGU rwandyjscy Tutsi – obok rdzennych Amerykanów, Pierwszych Narodów Kanady, czarnych i innych nie-białych ludów na świecie – są idealnym obiektem ekspiacji Zachodu za czasy kolonialnej opresji. Do tego dochodzi metafizyka: Afryka w oczach Zachodu była zwykle traktowana jak kontynent tajemniczy, niepodlegający zasadom racjonalności. *Hic sunt leones*, dalej są lwy – pisali rzymscy kartografowie, gdy nie wiedzieli, co dalej na mapie. Teraz już wiemy, ale niepewność pozostaje. Lwy, ciemność, groza...

I nagle w tej ciemności ukazuje się światło. Jak pisze Michela Wrong, „niewiele historii posiada tak uwodzącą moc, jak serwowana przez RPF opowieść o odkupieniu, w której grupa upokorzonych wcześniej wygnańców, odrodzonych w roli rycerzy sprawiedliwości, wraca do ojczyzny, by wyzwolić swoich braci z piekła Absolutnego Zła, a następnie zbudować na gruzach toksycznego, rasistowskiego społeczeństwa nieskazitelną, zdyscyplinowaną i nowoczesną Afrykańską Utopię".

Jeśli raz zdecydowaliśmy, że Kagame i jego reżim to bohaterowie, którzy powstrzymali odrażającą zbrodnię, każda próba zmącenia tego obrazu wydaje się pogwałceniem fundamentalnego rozróżnienia między dobrem a złem. „Nie przeszkadzać" – kartkę z napisem tej treści wywiesili zabójcy Patricka Karegeyi na drzwiach jego pokoju. Nie przeszkadzamy więc: RPF jest z definicji dobry, a każde zło, które popełnił w przeszłości bądź popełnia teraz, da się usprawiedliwić. Przecież w końcu Rwandyjczycy przestali się mordować, a na dodatek Kagame oduczył zacofanych rodaków używać plastikowych torebek i sikać na chodnik. ↦

↦ Jest w tym podejściu postkolonialny rasizm: owszem, Kagame bywa brutalny wobec tubylców, ale to w końcu Afryka, czego innego się spodziewać? A już sugestia, że ludzie, którzy powstrzymali ludobójstwo, mogli mieć wcześniej udział w jego wywołaniu i przebiegu, musi być traktowana jako skandaliczna.

Książka Micheli Wrong jest skandalem, bo właśnie taką tezę stawia.

„DO NOT DISTURB" udokumentowana jest dziesiątkami wywiadów z głównymi postaciami Patriotycznego Frontu Rwandyjskiego, które w ciągu prawie 40 lat od powstania organizacji tworzyły ją, a dziś w większości żyją poza krajem albo – jak Karegeya lub Seth Sendashonga (szef MSW w pierwszym rządzie powołanym po ludobójstwie) – już nie żyją, zabici przez agentów Kagamego. Michela Wrong zabiera czytelników w podróż historyczno-reporterską od czasów tworzenia zrębów RPF w Ugandzie, przez walkę Rwandyjczyków – najpierw u boku Yoweriego Museveniego w trakcie wojny domowej w Ugandzie, po której Museveni przejął władzę – do inwazji i wojny domowej w Rwandzie w latach 1990-94, rwandyjskie ludobójstwo i potem ustanowienie oraz utrwalenie władzy przez RPF.

Wrong nie cofa się przed pytaniami, które w wielu opracowaniach na temat Rwandy zbywane są jako nieistotne, mało znaczące albo rzekomo służące relatywizowaniu zbrodni na Tutsich. To pytania dotyczące np. zbrodni dokonywanych przez żołnierzy RPF w trakcie inwazji od roku 1990, w czasie ludobójstwa w 1994 r. i po jego zakończeniu. Wrong zauważa, że choć ludobójstwo przygotował i zorganizował zbrodniczy reżim Hutu i machina propagandowa ówczesnego rządu Habyarimany, nie wolno się na tym zatrzymać. Cytuje Primo Leviego: „Być może to, co się wydarzyło, nie może być zrozumiałe, a może nie powinno być zrozumiałe, bo to prawie jak usprawiedliwienie" po to tylko, by zauważyć, że właśnie Levi całe życie poświęcił npróbując zrozumieć, czym był Holokaust.

WRONG ODRZUCA bezkontekstowość rwandyjskiego ludobójstwa. Każde wydarzenie historyczne podlega interpretacjom, jakie są wyrazem politycznych i kulturowych napięć czasów, w których prowadzona jest debata na ich temat. Takim

PETER CHAPPELL / HARPER COLLINS / MATERIAŁY PRASOWE

Michela Wrong o Afryce pisze od 30 lat.

wydarzeniem jest również ludobójstwo rwandyjskie i rządy RPF, które nastąpiły w jego wyniku. „Ludobójstwa – pisze – nie wydarzają się w próżni". W przedstawionej przez Wrong historii masakr z roku 1994 kluczową rolę odegrało propagandowe przygotowanie Hutu do mordowania Tutsich, ale także toczona od 1990 r. wojna domowa z udziałem RPF, polityczne otoczenie Rwandy, a zwłaszcza strach Hutu przed eksterminacją. Ostateczny kształt zbrodni był wynikiem wszystkich tych czynników.

Strach, do którego Wrong nawiązuje, potęgowany był nie tylko masakrami popełnianymi przez żołnierzy RPF na północy kraju po 1990 r., ale też pogromami, których ofiarami byli Hutu, a które Tutsi dokonywali regularnie w sąsiednim Burundi. Kilka miesięcy przed rwandyjskim ludobójstwem, w październiku 1993 r., Tutsi, którzy dominowali w armii Burundi, zabili prezydenta tego kraju, przewodniczącego parlamentu, jego zastępcę i dwóch członków rządu. Siły RPF nacierały na rwandyjskich Hutu z północy, siejąc popłoch na okupowanych przez siebie terenach. Gdy 6 kwietnia 1994 r. samolot, którym lecieli prezydent Rwandy Juvénal Habyarimana i prezydent Burundi Cyprien Ntaryamira (obaj z plemienia Hutu) został zestrzelony podczas lądowania w Kigali, propagandowa machina rządowa uznała to za dzieło Tutsich z RPF i za ostateczny sygnał do obrony. „Zabijaj albo cię zabiją" – głosiły hasła propagandystów Hutu. Mordowanie sąsiadów miało być aktem samoobrony.

WRONG PRZYPOMINA, że na początku lat 90. także Zachód traktował ataki sił RPF jako inwazję na Rwandę, którą rządził wtedy reżim Habyarimany. Owszem, dyktatorski i rasistowski, jednak otwarty na demokratyczne reformy i na dopuszczenie Tutsi do władzy. Jednak w 1994 r. Zachód stracił zainteresowanie Rwandą – w RPA trwał demontaż apartheidu, a na dwa tematy afrykańskie w tym samym czasie nie było miejsca w gazetach.

Wrong odrzuca przyjętą powszechnie wersję, że zbrodnie dokonywane przez Tutsich z RPF na Hutu w trakcie ludobójstwa i po nim miały wyłącznie odwetowy charakter. Powołując się na zeznania świadków i raport sporządzony przez amerykańskiego prawnika Roberta Gersony'ego (na podstawie kilkuset rozmów z ofiarami ataków RPF), Wrong pisze o „systemowym" charakterze zbrodni Tutsich, gdzie nie było miejsca na rozróżnienie między zbrodniarzami faktycznie winnymi śmierci sąsiadów a innymi Hutu.

Widoczne było to zresztą także później – podczas inwazji armii rwandyjskiej w Zairze, gdzie żołnierze Kagamego wymordowali prawdopodobnie setki tysięcy Hutu. Piszę „prawdopodobnie", bo nikt nie zna dokładnej liczby ofiar RPF zarówno poza Rwandą, jak też w samej Rwandzie. Tutaj masakr, takich jak w Kibeho – gdzie w kwietniu 1995 r. żołnierze z armii Kagamego (Tutsi) rozstrzelali co najmniej kilka tysięcy cywilów Hutu – dokonywano jeszcze długo po ludobójstwie.

WBREW WERSJI rozpowszechnianej na potrzeby zewnętrzne przez RPF i późniejszej propagandowej narracji Kagamego, w której w Rwandzie nie ma podziału na Hutu i Tutsi, bo wszyscy są Rwandyjczykami, RPF od początku przyjął zasadę zbiorowej odpowiedzialności, w której wszyscy Hutu ponoszą winę za ludobójstwo, a wszyscy Tutsi są jego ofiarami.

Widać to także w nazewnictwie. Dziś wydarzenia z 1994 r. określane są jako „ludobójstwo dokonane przez Hutu". W tej wersji nie ma miejsca na ofiary z plemienia Hutu, bo z definicji należały one do sprawców ludobójstwa, więc nie ma co nad nimi ubolewać. Nie mają nawet grobów – wszystkie miejsca pamięci w Rwandzie poświęcone są ofiarom z plemienia Tutsi. Nawet te na terenach zajmowanych w 1994 r. przez siły RPF, gdzie nie było milicji Interahamwe odpowiedzialnych za większość rzezi na Tutsich.

Wprawdzie po ludobójstwie kilku przedstawicieli Hutu znalazło się na

ważnych stanowiskach w państwie, jednak od początku nie mieli nic do powiedzenia ani w rządzie, ani w armii, gdzie teoretycznie Kagame stosował zasadę etnicznej bezstronności. Wcześniej czy później większość z nich – podobnie jak inni przeciwnicy prezydenta – kończyła w więzieniu, na emigracji albo w grobie.

CZYTELNIK KSIĄŻKI Micheli Wrong może mieć pewien problem z przyjęciem jej tez. Większość jej źródeł to osoby, które zbudowały reżim Kagamego i mit Rwandy – ten, który dziś zwalczają. Patrick Karegeya był szefem „Congo Desk", nieformalnego departamentu do spraw plądrowania Konga. To on usprawiedliwiał i prawdopodobnie organizował zabójstwa przeciwników politycznych. Seth Sendashonga – Hutu, który uwierzył Kagamemu i zgodził się zostać ministrem w pierwszym rządzie po ludobójstwie – kłamał publicznie na temat zbrodni dokonywanych przez siły RPF na Hutu. Generał Kayumba – inne ważne źródło Wrong, niedoszła ofiara zamachu zorganizowanego przez agentów Kagamego – był szefem sztabu armii w latach 1998-2002. David Himbara, dziś jeden z liderów opozycji na wygnaniu, w pierwszej dekadzie XXI w. był doradcą ekonomicznym Kagamego i to głównie on odpowiada za obraz kraju jako enklawy sukcesu gospodarczego na mapie afrykańskiej nędzy; dziś twierdzi, że to propagandowe kłamstwa.

Dlaczego mamy im wierzyć? Skoro kłamali pół życia, a niektórzy popełniali zbrodnie, dlaczego mielibyśmy traktować ich jako wiarygodne źródło na temat tak skomplikowanej historii? W sądzie wystarczy, że obrona wykaże choćby jedno kłamstwo świadka, by kwestionować jego zeznanie. Skłamał raz, zawsze będzie kłamcą – głosi ten argument.

„To zbyt proste spojrzenie na naturę ludzką – pisze Wrong. – Ludzie kłamią, bo znajdują powód, by kłamać. Odnalezienie tego powodu – dzięki dogłębnym wywiadom, porównywaniu słów wypowiedzianych w różnych sytuacjach, zestawianiu ich z literaturą i innymi dostępnymi źródłami – pozwala na oddzielenie części fałszerstw od prawdy".

ZADANIE REPORTERA to docieranie do prawdy, jakkolwiek głęboko byłaby ona ukryta pod gruzem dezinformacji, konformizmu i mitu. Współczesna Rwanda jest państwem założonym na micie odkupienia. Ale mit, co wiemy też z polskiego doświadczenia, nie jest historią. W micie jedna ze stron ma zawsze rację, tymczasem historia pokazuje, że zwykle tak nie jest. Możemy dla świętego spokoju albo kierowani tzw. realizmem politycznym przyjąć, że jedna czy druga masakra, zniknięcie dziennikarza czy zabicie opozycjonisty to rzeczy niewarte wzmianki, bo gdyby nie reżim Kagamego, cały region Wielkich Jezior byłby dziś takim „jądrem ciemności" jak wschód Demokratycznej Republiki Konga. Czy ktoś chciałby zaryzykować demokratyczny eksperyment w Rwandzie, jeśli ceną mogłyby być znów cierpienie i śmierć tysięcy ludzi?

Tyle że, jak zauważa Wrong, to właśnie reżim Kagamego jest głównym powodem, dla którego nie ma spokoju w DR Konga, a Rwanda – wbrew propagandowym sloganom – pozostaje tyglem napięć między Hutu a Tutsi. To Rwanda wspiera kongijskie bojówki, które są przyczyną nieszczęść kolejnego pokolenia mieszkańców północnego i południowego Kivu, to Rwanda bezkarnie plądruje wschód DR Konga przy bezczynności opinii międzynarodowej. To reżim rwandyjski więzi i zabija przeciwników politycznych oraz tłamsi wolność słowa, a jego zachodni partnerzy odwracają wzrok, uznając, że gdyby Paul Kagame nie trzymał wszystkich za twarz, mogłoby być gorzej. Nie wolno mierzyć Rwandy miarą Szwecji czy Kanady – głoszą „trzeźwi realiści".

TYLKO CZY RZECZYWIŚCIE taka postawa jest przejawem politycznego realizmu? 65-letni dziś Kagame zapewnił sobie dożywotnie rządy, ale nie ma następcy, bo wszystkich zdolnych do tej roli usunął. Może rządzić jeszcze długo, ale co będzie, gdy jego władza kiedyś się skończy?

Przez 30 lat Zachód zainwestował w mit Rwandy tak wiele, że jakakolwiek poważna próba weryfikacji tego mitu musi spotkać się z niechęcią i irytacją. Tym większa zasługa Micheli Wrong, że taką próbę podjęła. © DARIUSZ ROSIAK

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

WARSZAWA, czwartek 18 maja, spotkanie z Marią Dąbrowską-Majewską i Moniką Ochędowską, „Czytanie bez granic"/ stacjonarne /

OGÓLNOKLUBOWE, poniedziałek 22 maja, spotkanie dyskusyjne wokół książki Tomáša Halíka „Popołudnie chrześcijaństwa" – rozdział „Wiara niewierzących i okno nadziei", cykl „Wspólne czytanie"/ online /

KATOWICE, środa 24 maja, spotkanie z Małgorzatą Płoszaj, „Piękni i młodzi. Opowieści o rybnickich Żydach" / stacjonarne /

GLIWICE, czwartek 25 maja, spotkanie z Tomaszem Maćkowiakiem, „Katolicyzm w komunistycznej Czechosłowacji: katakumby i aggiornamento" / stacjonarne /

RZESZÓW, czwartek 25 maja, spotkanie z Wojciechem Bonowiczem, „Historia na czarną godzinę" / stacjonarne /

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ADAM HRIBAL / MATERIAŁY PRASOWE

Na plaży dla nudystów, ale z obowiązkową maseczką – kadr z filmu „Wielkie nic", reż. Vít Klusák i Marika Pecháčková, 2023 r.

Autoterapia po czesku

MARTYNA WASIUTA Z CZESKIEGO CIESZYNA

Jak radzić sobie z traumą pandemii? Czesi pokazują, że wciąż potrafią mówić w komiczny sposób nawet o rzeczach śmiertelnie poważnych.

Zbieg obu dat jest przypadkowy, ale symboliczny. Niemal na tydzień przed tym, jak Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła – po ponad trzech latach – koniec globalnego stanu zagrożenia spowodowanego przez koronawirusa, w sobotę 29 kwietnia w Czeskim Cieszynie odbyła się projekcja niezwykłego filmu dokumentalnego pt. „Wielkie nic".

Zaprezentowany w ramach corocznego przeglądu filmowego „Kino na granicy", opowiada o tym, jak Czesi przeżywali epidemię SARS-CoV-2. A także pokazuje, że najwyraźniej potrzebują tej szczególnej formy (auto)terapii, by rozprawić się z traumą pandemii, która boleśnie wymknęła im się spod kontroli.

Film jest niezwykły, tak jak jego twórcy, a szczególnie jeden z dwojga jego reżyserów: 43-letni Vít Klusák, w przeszłości autor wielu dokumentów o problemach społecznych. Klusák był głównym reżyserem i scenarzystą, a współpracowała z nim dokumentalistka Marika Pecháčková, jego żona (Klusák sam stawał także za kamerą). Obraz ten ma odwagę przypomnieć nam o najgorszych chwilach ostatnich lat i robi to w momencie, gdy udało się nam wymazać pandemiczne obrazy, i gdy oczy świata oraz naszego regionu zwrócone są już na nowy dramat – ten, którego doświadcza najechana przez Rosję Ukraina.

Nudysta w maseczce

„Wielkie nic" powstawało od wiosny 2020 r. i składa się ze scen kręconych niemal od początku epidemii. Zaczyna się w szpitalu, gdzie na covid umiera pierwszy w Czechach pacjent. Później nie jest już tak tragicznie, przeciwnie – Klusák w zabawny wręcz sposób pokazuje, jak i z czym zmagano się w Czechach w tym czasie. Pandemia staje się tragikomedią.

Okazuje się, że Czesi nadal potrafią w komiczny sposób mówić o rzeczach poważnych. Sam Klusák w jednym z wywiadów twierdzi, że potrafią zrobić tragikomedię ze wszystkiego, nawet z pandemii. Dlatego w filmie nie brakuje pływaka trenującego w lockdownie ze specjalną uprzężą w basenie ogrodowym czy wspinacza, który pnie się po elewacji swojego domu. Śpiewaczka operowa, by się utrzymać, podejmuje pracę w supermarkecie jako kasjerka. Pewna młoda kobieta opowiada, jak nie może się umówić na randkę, bo nie wie, z kim wcześniej spotykał się mężczyzna, i boi się zakażenia. Inna szyje maseczki, popijając przy tym wino.

Klusák pokazuje, jak w trakcie przeciągających się lockdownów dochodziło do absurdów. Rząd nakładał restrykcje, ale ich nie precyzował lub nagle je od-

woływał. Jedne obostrzenia obowiązywały, podczas gdy inne znoszono – brakowało w tym logiki. Świetnie oddaje ten stan scena na plaży nudystów, którzy bez ubrań, ale w maseczkach rozmawiają o sprawach życia codziennego. Można się spotykać i kąpać także w basenie, ale w maseczce.

Kolejnym przykładem tego stanu jest scena nakręcona w *call center*, kiedy na specjalną covidową infolinię dzwoni sprzedawca sklepu odzieżowego z pytaniem, czy jego klienci mogą przymierzać w sklepie ubrania. Mężczyzna nie wie, jak ma interpretować zakaz przymiarek, uzasadniany przez służby sanitarne tym, że kropelki wydzieliny z nosa lub śliny mogą osiadać np. na przymierzanych bluzkach i być przenoszone na kolejne osoby. Na koniec dodaje, że przecież sprzedaje tylko spodnie, a zakaz mówi o bluzkach. Pracowniczka infolinii nie jest w stanie rozwiać tych wątpliwości.

W filmie pokazano również ciągnące się ulicami kolejki do punktów, gdzie wykonywano testy na koronawirusa. Miałaby to być część profilaktyki, tymczasem gromadziły tylu ludzi, że należałoby się zastanowić, czy nie naruszano zakazu zgromadzeń powyżej pewnej liczby osób.

Bojkot jawny, bojkot utajony

To również takie absurdy, choć w tamtym czasie niespecjalnie zabawne, stały się jedną z przyczyn protestów w Czechach w trakcie kolejnych lockdownów: przeciwko noszeniu maseczek, zamykaniu restauracji, a potem przeciwko szczepieniom. Niedostateczna komunikacja rządu ze społeczeństwem i słaba koordynacja obostrzeń powodowały ich jawny lub utajony bojkot. Jawny jak maseczka z siatki, którą widzimy u jednej z uczestniczek demonstracji koronasceptyków, a także ukryty, jak niepojawiające się w filmie, ale opisywane w mediach przypadki zakamuflowanej działalności knajp i gromadnego picia piwa w garażach.

Jedna z bohaterek dokumentu to była już dziennikarka, która zamieszcza w mediach społecznościowych filmy krytykujące rząd i szerzące dezinformacje o pandemii. W jednym z nich kobieta twierdzi, że covid nie istnieje, a żeby to udowodnić, wybiera się do szpitala, gdzie zamierza... lizać klamki. Ostatecznie polizała klamkę, którą wcześniej kupiła w sklepie. W filmie Klusáka kobieta przekonuje kolegów, że wraz ze szczepionką ludziom aplikowany jest do organizmu wrogi mikrochip. Zbiera na ulicy podpisy, gdyż chce startować w wyborach prezydenckich. Widzimy też byłego prezydenta Václava Klausa, który podczas jednej z demonstracji deklaruje ze sceny na placu Wacława, że się nie zaszczepi.

Można odnieść wrażenie, że Klusák celowo pokazuje postacie, które swoimi wypowiedziami same się pogrążają. Koronasceptycy i antyszczepionkowcy w „Wielkim nic" to ludzie skompromitowani, zapomniani, ale wciąż zabiegający o medialną atencję. Film dyskretnie ostrzega przed zgubnym wpływem środowisk lubujących się w teoriach spiskowych. Przypomnijmy, że Václav Klaus kwestionuje też globalne ocieplenie i krytykuje działalność Zielonych w kraju i na świecie, upatrując w niej zagrożenia dla wolności.

„Zagłębie" covidu w Europie

Klusák dokumentuje także protest, który przerodził się w bitwę kibiców z policją. W październiku 2020 r. – po tym, jak demonstracja została rozwiązana przez magistrat z powodu przekroczenia liczby zgromadzonych – niektórzy protestujący kibice próbowali przedrzeć się przez kordon policji i rzucali w funkcjonariuszy petardami. Policja użyła armatek wodnych i aresztowała kilkunastu demonstrantów.

Filmowe ośmieszanie koronasceptyków ma też wymiar aktualny, gdyż istnieje personalna ciągłość między nimi a antyukraińskimi wystąpieniami w Pradze, które przedstawiano też jako protesty przeciw biedzie. Niektórzy rzecznicy ostatnich demonstracji antyrządowych w stolicy występowali wcześniej podczas protestów przeciw restrykcjom pandemicznym. Widać, że zagospodarowali antysystemową niszę, mocno ocierającą się o prorosyjskość. W zawoalowany sposób Klusák ostrzega przed wpływem protestów przeciw biedzie, które mogą być na rękę środowiskom prorosyjskim.

Skutki nawoływania do bojkotu obostrzeń i szczepień są już powszechnie znane. W przypadku Czech były tragiczne. Z kraju uważanego początkowo za „best in covid" uczyniły „zagłębie" covidu w Europie. W najbardziej krytycznym momencie, na początku marca 2021 r., Czechy odnotowywały najwięcej zakażeń dziennie w całej Unii Europejskiej i były na drugim miejscu pod względem liczby zgonów w przeliczeniu na 100 tys. mieszkańców, po Słowacji. Łącznie w 10-milionowych Czechach na koronawirusa zmarło ponad 40 tys. osób.

Pandemiczny szok

„Wielkie nic" pokazuje, jakim szokiem była dla Czechów pandemia. Pierwszą jej falę przeszli bowiem najłagodniej w Europie i nie spodziewali się, że kolejna ich przygniecie.

Vít Klusák pokazuje tę sinusoidę emocji. Najpierw mamy fenomen „maseczkowej solidarności", a więc powszechnego szycia maseczek z przeznaczeniem dla szpitali i innych placówek opiekuńczo-zdrowotnych, które wiosną 2020 r. cierpiały na niedostatek materiałów ochronnych. Skutecznie promowano wówczas zasadę „Moja maska chroni ciebie, twoja maska chroni mnie". W czerwcu na praskim moście Karola urządzono nawet wspólne biesiadowanie, aby oficjalnie pożegnać epidemię – co tylko potwierdzało, jak bardzo nie spodziewano się w Czechach tego, co nastąpiło kilka miesięcy później.

Nie spodziewał się tego także rząd. Głośnym echem w Czechach odbiły się słowa ówczesnego premiera Andreja Babiša z sierpnia 2020 r., gdy podczas międzynarodowego spotkania w słoweńskiej Bledzie chwalił się swoimi osiągnieciami w zakresie zarządzania pandemią. „Best in covid" – powiedział. Dlatego Czesi liczyli, że kolejne fale również przejdą łagodnie. Stało się inaczej. W świetle kolejnych wydarzeń słowa premiera nabrały nowego znaczenia.

„Super podstęp, gratuluję"

Być może „Wielkie nic" nie spotkałoby się z tak dużym zainteresowaniem, gdyby nie postać reżysera: Vit Klusák jest w Czechach twórcą uznanym i popularnym, a to za sprawą zarówno autorskich filmów, jak i szczególnego związku z polityką.

Klusák współpracuje z czeską telewizją publiczną, regularnie tworząc dla niej filmy dokumentalne. Takie produkcje rzadko przyciągają do kina tłumy, tymczasem Klusákowi się to udaje. Co więcej, inicjują one powszechne debaty w kraju, ponieważ reżyser dotyka problemów ↦

↦ społecznych – takich jak religijność, konsumpcjonizm, a także pedofilia.

W ramach cyklu dla Telewizji Czeskiej w 2015 r. zrobił film „Matrix AB", opowiadający o Andreju Babišu, ówczesnym ministrze finansów, właścicielu koncernu Agrofert i założycielu partii ANO. Wówczas jeszcze nie było wiadomo, że zostanie on premierem. Trwały w najlepsze rządy Bohuslava Sobotki z Czeskiej Partii Socjaldemokratycznej. Klusák towarzyszył z kamerą Babišowi przez rok. Był z nim podczas słynnego rozdawania pączków na ulicy, na wiecach wyborczych i spotkaniach z politykami, a także na przyjęciu bożonarodzeniowym, które ten organizował dla pracowników ministerstwa.

Dzieło nie zachwyciło Babiša. „Super podstęp, panie Klusák, gratuluję" – powiedział po obejrzeniu. Był niezadowolony, że nie miał możliwości odnieść się do słów na swój temat, które padły z ust jego współpracowników i znajomych. Historia tego filmu wiele mówi zarówno o pozycji Klusáka, jak też o autentycznej niezależności czeskiej telewizji publicznej.

W kręgu Bocianiego Gniazda

Jakiś czas temu Klusák zaprzyjaźnił się z Andrejem Babišem młodszym, synem ówczesnego premiera z pierwszego małżeństwa. Zamierzał nakręcić film dokumentalny o potomku, o którym zrobiło się głośno w listopadzie 2018 r. Wówczas był on jednym ze świadków w sprawie wyłudzenia dotacji unijnej przez Andreja Babiša seniora.

Jeden z portali internetowych opublikował reportaż, w którym młody Babiš twierdził, że współpracownicy jego ojca przetrzymywali go z powodu tzw. afery Bocianiego Gniazda. Babiš uznał syna za chorego psychicznie i zaprzeczył oskarżeniom o porwanie. Media zalała fala niewybrednych żartów i memów. „To nie mój syn, tylko syn holdingu" – głosił jeden z nich. Nawiązywał do tego, że ojciec przepisał na syna jedną ze spółek, żeby spełnić unijne kryteria i uzyskać dofinansowanie na budowę

ANONYM 147 / CC 4.0

Vít Klusák

wspomnianego Bocianiego Gniazda, kompleksu rekreacyjnego w Olbramovicach w Kraju Środkowoczeskim.

Reportaż o rzekomo uprowadzonym synu premiera wywołał kryzys polityczny i wydawałoby się, że poważnie naruszy wizerunek premiera. Ostatecznie rząd przetrwał, a opinia publiczna stanęła po stronie szefa rządu, uznając materiał za naruszenie jego prywatności.

Aferę Bocianiego Gniazda można określić mianem niekończącej się historii – śledztwo rozpoczęto jeszcze w 2015 r. Co prawda w sprawie podejrzeń o wyłudzenie dotacji miejski sąd w Pradze w styczniu 2023 r. uniewinnił byłego premiera, ale wyrok nie był prawomocny, więc w kwietniu prokuratura złożyła odwołanie do sądu drugiej instancji.

Warto wiedzieć, że Klusák jest spowinowacony z najsłynniejszym PR-owcem w Czechach, Markiem Prchalem – ich żony są siostrami. O Prchalu sporo się mówi i pisze w czeskich mediach, ponieważ pracował dla Babiša, który zawdzięcza mu wygraną partii ANO w wyborach parlamentarnych jesienią 2017 r.

Wówczas media obiegły zdjęcia z wieczoru wyborczego w sztabie ANO, podczas którego lider partii i przyszły premier serdecznie dziękował Prchalowi, nazywając go swoim „guru" i obcałowując go przy tym oraz przytulając. Kilka lat później Klusák napisał list otwarty do swojego „prawie szwagra" Prchala z okazji jego urodzin. W trosce o jego dobro i dobro Czech próbował go odwieść od dalszej współpracy z Babišem. Bezskutecznie.

Gdy o śmiech coraz trudniej

Niektórzy zarzucają Klusákowi, że kręcąc filmy aranżuje różne sytuacje. Wprawdzie w przypadku „Wielkiego nic" nie widać takich zabiegów, ale np. w najgłośniejszym jak dotąd filmie reżysera „W sieci" (2020) mamy do czynienia z eksperymentem, który został przeprowadzony i sfilmowany przez zespół Klusáka. Zdjęcia do tego filmu odbyły się z udziałem ekspertów z dziedzin psychologii, seksuologii i prawa, a podczas kręcenia twórcy kilkakrotnie komunikowali się z policją.

Tematem filmu są zagrożenia, z jakimi dzieci mogą spotkać się w internecie. Pełnoletnie aktorki wcieliły się w role dwunastolatek, założono im fikcyjne konta w mediach społecznościowych. W ciągu kilku godzin odezwało się do nich ponad 80 mężczyzn, większość z ofertą seksualną. Jedni zapraszali je do wspólnej masturbacji, inni wysyłali im fotografie swoich genitaliów lub linki do filmów pornograficznych. Dziesięcioma z nich zajęła się policja (dziewięciu zostało już skazanych albo postawionych w stan oskarżenia pod zarzutem usiłowania doprowadzenia do niedozwolonego kontaktu z dzieckiem).

Film „W sieci" odniósł największy sukces w historii filmów dokumentalnych w Czechach; wygrał nawet ze słynnym „Obywatelem Havlem" z 2008 r. W ciągu dwóch tygodni od premiery obejrzało go w kinach 266 tys. osób (o 100 tys. więcej niż dokument o prezydenturze Václava Havla).

„Wielkie nic" nie powtórzyło już tego sukcesu, jednak wiele mówi o Czechach, którzy w dalszym ciągu potrzebują śmiechu – w czasach, gdy o śmiech coraz trudniej.

© MARTYNA WASIUTA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

najprościej

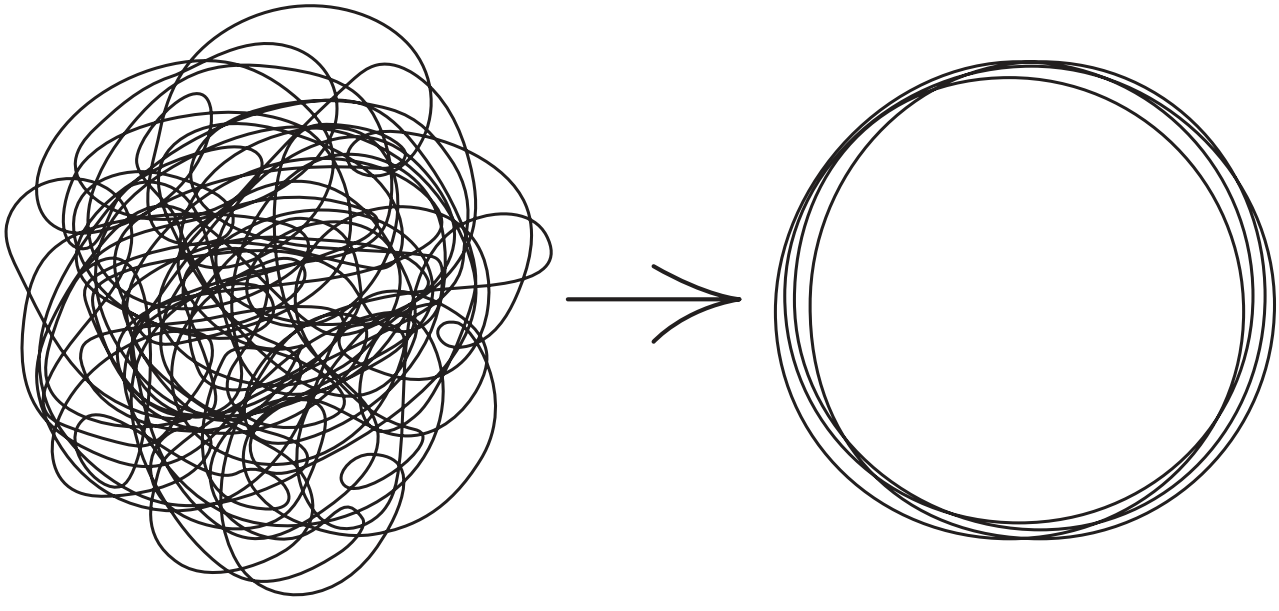

Zamów prenumeratę, a „Tygodnik” sam trafi w twoje ręce.

PRENUMERATĘ WYDANIA DRUKOWANEGO MOŻNA ZAMÓWIĆ PRZEZ:

- internet na **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11–15 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 10–14 pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640 zł**	**770 zł**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	100 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WOJTEK LASKI / EAST NEWS

Zofia Hertz w siedzibie „Kultury". Maisons-Laffitte, lata 90. ub. wieku.

Adiutantka Redaktora

WOJCIECH KONOŃCZUK

Do spraw praktycznych Jerzy Giedroyc nie miał głowy, ale miał Zofię Hertz. „Bez niej po prostu nie dałbym sobie rady" – mówił po latach. Bez niej mogłoby także nie być fenomenu paryskiej „Kultury".

Zofia Neuding urodziła się w Warszawie kilka lat po Jerzym Giedroyciu – ona w roku 1910, on w 1906 r. – i w zupełnie innym środowisku niż późniejszy redaktor „Kultury" (ten na świat przyszedł w Mińsku, w rodzinie o arystokratycznych korzeniach). Ona, wcześnie osierocona przez matkę i opuszczona przez ojca, wychowywała się u krewnych w Łodzi, od początku wykazując wielkie ambicje, podparte ciężką pracą.

W 1933 r. jako pierwsza kobieta w Polsce zdała egzamin na notariusza i rozpoczęła pracę w zawodzie. Wkrótce poślubiła Zygmunta Hertza, syna zamożnych łódzkich kupców. Choć była pochodzenia żydowskiego (jako dziecko wraz z rodziną przyjęła chrzest), to po latach miała napisać, że „absurdem" byłoby uznawanie jej za Żydówkę.

Po agresji Hitlera i Stalina na Polskę trafiła wraz z mężem pod okupację sowiecką i razem zostali zesłani na daleką północ Związku Sowieckiego. Podpisany w lipcu 1941 r. – po tym, jak Hitler zaatakował dotychczasowego sojusznika – układ Sikorski-Majski otworzył przed polskimi zesłańcami łagry i miejsca zesłania, a także drogę do powstania polskich sił zbrojnych, które miały przejść do historii jako Armia Andersa. Zofia Hertz została zatrudniona w wojskowym Biurze Propagandy i Oświaty, pracując m.in. w redakcji tygodnika „Orzeł Biały". Po kilku miesiącach została ewakuowana na Bliski Wschód.

Jej życiowe ścieżki pracowicie odtworzyła Kamila Łabno-Hajduk w wydanej właśnie przez Kolegium Europy Wschodniej i Association Institut Littéraire Kultura książce „Zofia Hertz. Życie na miarę »Kultury«". Aż trudno uwierzyć, że wcześniej nikt nie pochylił się nad biografią, przez którą widać całą historię tego wyjątkowego pisma. Choć pokazaną z zupełnie innej perspektywy niż liczne już książki o redaktorze „Kultury".

Giedroyc „dość ponury"

W 1943 r. Jerzy Giedroyc objął kierownictwo Sekcji Czasopism i Wydawnictw Wojskowych Polskich Sił Zbrojnych na Bliskim Wschodzie, gdzie wówczas pracowała Zofia Hertz. Znajomość została zawarta bez zbytniej sympatii, gdyż – jak po latach wspominała – robił on „wrażenie dość ponurego". Po pewnym czasie została jednak zawiązana nić sympatii, która z czasem doprowadziła do wyjątko-

wego przywiązania i lojalności przez całe życie obojga.

Po 1945 r. Giedroyc nie wierzył w wybuch nowej wojny światowej, która wyzwoli Polskę i Europę Środkową spod władzy komunizmu. Uznawał, że należy przygotowywać się na długą emigrację i, jak mówił, „tworzyć jakieś ośrodki". Wynikało to z jego przekonania, że – jak pisze Kamila Łabno-Hajduk – „emigracja powinna pełnić funkcję laboratorium idei, a jej orężem jest słowo drukowane".

Dzięki również zabiegom Giedroycia 11 lutego 1946 r. rozkazem gen. Władysława Andersa powołano do życia Instytut Literacki w Rzymie, który miał „służyć pracy politycznej polskiej za granicą, jako narzędzie walki o niepodległość w zakresie propagandowym" (odnotujmy tu, że w tamtym czasie pojęcie „propaganda" rozumiano inaczej niż dziś; chodziło o coś, co nazwalibyśmy pracą edukacyjno-przedpolityczną).

Z Rzymu do Paryża

W tym czasie Hertzowie rozważali powrót do pojałtańskiej Polski. Zygmunt bardzo przy tym obstawał, ale zdecydowało stanowisko Zofii, która oświadczyła: „Jeśli chcesz, wracaj, ja zostaję". W rezultacie ona zajęła się prowadzeniem sekretariatu, księgowości i redakcją tekstów, on zaś administracją i kolportażem wydawnictw Instytutu Literackiego i „Kultury", której pierwszy numer ukazał się 19 czerwca 1947 r. Również w tym roku Instytut przeniósł się z Rzymu do Paryża i tam miał już pozostać.

Kamila Łabno-Hajduk, opierając się na świetnej bazie źródłowej, wydobyła na światło dzienne prozę życia redakcji „Kultury", która mozolnie, krok po kroku, zaczynała budować jedną z najważniejszych kart w XX-wiecznej historii Polski. Jeden przykład: w okresie włoskim finanse Instytutu Literackiego w wydatny sposób podtrzymywał Zygmunt Hertz, zajmując się... czarnorynkową sprzedażą benzyny pochodzącej z zasobów armii polskiej stacjonującej we Włoszech. Aż do swojej śmierci w 1979 r. miał pozostać jednym z filarów tego niezwykłego projektu intelektualno-politycznego.

Osoba najważniejsza

13 grudnia 1947 r. Hertzowie przenieśli się do Maisons-Laffitte, które miało stać się siedzibą „Kultury". Kamila Łabno-Hajduk pokazuje, jak wielką pracę musieli wykonać Zofia i Zygmunt, aby redakcja mogła funkcjonować. Ona zajmowała się wszystkim, czym nie zajmował się Giedroyc. A był tego ogrom: od redagowania i tłumaczenia tekstów, przez kontakty z drukarnią i prenumeratorami, aż po szereg najróżniejszych obowiązków administracyjnych, jak zapisywanie na maszynie listów dyktowanych przez Redaktora, a także prowadzenie kuchni.

Sprawowała również pieczę nad książkami wydawanymi przez Instytut Literacki, których czasami było nawet trzydzieści rocznie. W 1974 r. Irena Vincenzowa pisała o Zofii Hertz: „Trzeba przyznać, że umie pracować. Korekty robi do drugiej w nocy. Podobno dzięki niej tu wszystko się trzyma, ale też wygląd[a na] bardzo zmęczoną".

Nie do przecenienia była również jej rola jako doradcy Giedroycia. Jej opinie i uwagi miały dla niego niebagatelne znaczenie i niejednokrotnie nazywał ją najważniejszą osobą w „Kulturze". Już w latach 90. XX w., gdy pismo stało się legendą, mówił o jej „całkowitym oddaniu się naszej sprawie", oraz że „jej wpływ na politykę »Kultury« i na mnie był zawsze bardzo wielki. (...) Jest widomą ilustracją mojej teorii, wedle której w Polsce najważniejsze są kobiety".

O ile Zofia Hertz niewzruszenie wierzyła w wielką misję Instytutu Literackiego, o tyle Zygmunt początkowo powątpiewał w powodzenie, uznając działalność „Kultury" za donkiszoterię. Poza zajmowaniem się kwestiami administracyjnymi, prowadził również bibliotekę Instytutu, a z czasem stał się też „odźwiernym" Domu „Kultury". Nieformalną zasadą było bowiem, że zanim goście z Polski zostali zaproszeni za próg Giedroycia, wcześniej spotykali się na neutralnym gruncie z Zygmuntem Hertzem. Przy tym nie miał on najłatwiejszych relacji z Giedroyciem. Pisał do Czesława Miłosza, z którym się przez długie lata przyjaźnił, że „Giedroyc jest człowiekiem upartym, trudnym do współżycia, z maniami prześladowczymi, z kompleksem, że »niezrozumiany«, »niekochany«".

Kibuc „Kultura"

Łabno-Hajduk diagnozuje, że Zygmunt Hertz z miłości do żony wyzbył się własnych ambicji, ona zaś całkowicie oddała się dziełu „Kultury". Życie prywatne Hertzów do końca ich dni miało przeplatać się z życiem „Kultury", z pozostawaniem we wspólnie dzielonej przestrzeni, która dla Giedroycia i Hertzów była nie tylko miejscem pracy, ale i domem, miejscem do życia.

A było to życie bez poczucia prywatności, bez osobnego życia rodzinnego i bez zdolności do rozdzielenia czasu wolnego od pracy. Co więcej, utrzymanie się Instytutu Literackiego możliwe było także dlatego, że jego zespół pobierał zaledwie niewielkie wynagrodzenie. Patrząc po ludzku, fragmenty mówiące o codziennościach mieszkańców Domu „Kultury", który Konstanty Jeleński porównał do kibucu, są jednymi z najciekawszych w tej książce. Pokazują, jaka była cena stworzenia wielkiego dzieła.

„Kultura", jej rozwój i sukces, stały się całym życiem Zofii Hertz. Jej stanowczość, konsekwencja, rzetelność i odpowiedzialność w ogromny sposób przyczyniły się do sukcesu Instytutu Literackiego, choć była ona wtedy i pozostaje dziś w cieniu Giedroycia. Hertzowie nie mieli dzieci – cała ich energia szła na „Kulturę". „To zupełnie nie wchodziło w rachubę. (...) Naprawdę nie było na to czasu" – mówił Zygmunt po latach.

Wierna adiutantka Redaktora zawsze pozostawała po jego stronie, wierząc w ich posłannictwo. Gdy w 1979 r. zmarł Zygmunt, jeszcze bardziej zbliżyło to ich oboje. Giedroyc napisał wówczas: „Zbytnio zamknęliśmy się między sobą, wystarcza, że wszystko uzgadniamy czy dyskutujemy między sobą, zatracając kontakt z innymi".

■ ■ ■

Zofia Hertz zmarła 20 czerwca 2003 r., trzy lata po śmierci Redaktora i niemal dokładnie 55 lat po ukazaniu się pierwszego numeru „Kultury". Jej zajmująca biografia może stanowić potwierdzenie słów Wacława Zbyszewskiego, jednego z najciekawszych emigracyjnych publicystów: „Bez niej nigdy by się ten zespół [»Kultury«] czy grono nie utrzymały". ©

Kamila Łabno-Hajduk
ZOFIA HERTZ. ŻYCIE NA MIARĘ „KULTURY"
Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Association Institut Littéraire Kultura, Wrocław-Wojnowice-Paryż 2023.

OBALMY PRAWA PRZYRODY

W kółko o nich słyszę. Nikt mi jednak nie wyjaśnił, gdzie zostały opublikowane, co grozi za ich złamanie i czy zbliża się jakaś nowelizacja. A może światem nie rządzą prawa, tylko obyczaje, natręctwa albo mody?

ŁUKASZ LAMŻA

ZOEL DZUL / MEDIA DRUM WORLD / EAST NEWS

Metafora prawa przepełnia świat – luźno wzorując się na prawach stanowionych, które sami stworzyliśmy, wyobraziliśmy sobie następnie prawa boskie, a ostatecznie również prawa przyrody. Wyraźnie lubimy myśleć tymi kategoriami; być może daje nam to słodkie poczucie bezpieczeństwa, że ktoś nad nami czuwa?

Starożytni tylko z tą wizją flirtowali: Grecy czasem widzieli w świecie *nomos* (prawo), choć częściej *logos* (słowo); rzymskie zamiłowanie do prawa sprawiło jednak, że Cyceron bez wstydu rozciągał już słowo *lex* na rzeczywistość ziemską, naturalną i boską. Od czasów nowożytnych „prawa przyrody" przyjęły się już na dobre. Newton zatytułował co prawda swoje najsłynniejsze dzieło „Matematyczne zasady filozofii przyrody", a nie „Matematyczne prawa", jednak w środku znajdziemy słynne „prawa ruchu" – *leges motus*. Wychodzi zresztą na jedno: *logos* przyrody czy kosmiczne *principia* są tylko o rzut kamieniem od *leges naturales*. To wciąż ta sama metafora.

Od czasu Newtona utrwaliło się też utożsamienie praw przyrody z matematycznymi prawami fizyki: dla wielu do dzisiaj jest wręcz oczywiste, że prawa przyrody to tak naprawdę jakieś równania, wklejone w bliżej nieokreślony sposób w tkaninę rzeczywistości. Stephen Weinberg, fizyk noblista, w „Śnie o teorii ostatecznej" już w pierwszym zdaniu pisze o „wielkiej przygodzie intelektualnej, jaką jest poszukiwanie ostatecznych praw przyrody" i ledwie kilka stron dalej upewnia nas, co konkretnie ma na myśli, z właściwą fizykom noblistom skromnością. „Siedząc przy biurku lub kawiarnianym stoliku i manipulując wyrażeniami matematycznymi, czuję się jak Faust ze swymi pentagramami przed przybyciem Mefistofelesa". Nie w tym rzecz jednak, czy prawa przyrody koniecznie muszą mieć postać matematyczną. Grunt, że metafora się spodobała, podczas gdy jest z nią sporo problemów.

Na dnie kapelusza

Zacznijmy od fundamentalnej różnicy między prawem naukowym a prawem przyrody. Prawo naukowe (np. prawo fizyki, chemii czy geologii) to konkretne wyrażenie językowe, sformułowane przez konkretnego człowieka w określonym tekście; jest częścią porządku historii ludzkiej – po prostu obiektem literackim jak Kubuś Puchatek. Prawa fizyki są ewidentnie ludzkim wynalazkiem: o ich umownym charakterze świadczy już choćby fakt, że potrafimy często odtworzyć historię ich powstania (takie np. prawa Maxwella były wielokrotnie przeformułowywane, a w najpopularniejszej dzisiaj postaci wcale nie są autorstwa Maxwella, lecz Olivera Heaviside'a) i wiemy o ich umowności (studenci fizyki szybko uczą się sprowadzać cztery równania Maxwella-Heaviside'a do dwóch).

Prawa przyrody miałyby być natomiast częścią porządku świata, a człowiek by ich nie wymyślał, lecz odkrywał. W samej istocie prawa – w wąskim sensie określonego przepisu prawnego, traktowanego jako obiekt językowy – leży tymczasem zaś to, że jest ono sformułowane, dookreślone. Prawo nie może być domyślane, musi być jednoznacznie i publicznie wyrażone. Wiara w istnienie praw przyrody to więc wiara w to, że nasze wyrażenia językowe są odzwierciedleniem czegoś zanurzonego w samej rzeczywistości, co przynajmniej trochę te nasze równania przypomina.

Fizyk, który marzy o „teorii wszystkiego", prawdopodobnie wyobraża sobie jakiś matematyczno-kosmiczny odpowiednik kodeksu Hammurabiego, spisanego w punktach – jak trzy prawa dynamiki Newtona albo cztery prawa elektrodynamiki Maxwella – już po to choćby, aby można było później odpowiedzieć studentowi: „Hola, hola! Łamiesz paragraf szósty, punkt trzy Kodeksu Barionowego". Jeśli więc wierzyć, że takie prawa przyrody istnieją, to warto zapytać, gdzie je znajdziemy, i kto je sformułował.

Hammurabi otrzymał swoje przepisy od boga Szamasza i wykuł je na bazaltowej steli; Mojżeszowi przykazania podyktował Jahwe, przewidująco wybierając dyskretne miejsce na uboczu, aby ich boskie pochodzenie było dla wszystkich oczywiste. W Dzienniku Ustaw RP każde, najtrywialniejsze rozporządzenie wieńczy podpis takiego czy innego ministra. Fizycy zwykle nie życzą sobie jednak, aby za równaniami ich teorii stała jakaś Inteligencja. Nic dziwnego. Inteligencja taka – bez względu już na jej konkretną tożsamość – byłaby metafizycznie z grubsza równym partnerem dla świata. Idea praw przyrody stoi więc w sporej sprzeczności z innym ulubionym mitem założycielskim fizyki współczesnej: przekonaniem, że wszystko uda się ostatecznie zredukować do świata fizycznego.

Świat funkcjonuje tymczasem według praw przyrody – gdyby więc prawa wyłaniały się dopiero w toku funkcjonowania świata, otrzymalibyśmy paskudną sprzeczność logiczną, przyczynową i metafizyczną. Co miałoby decydować o tym, jakie prawa wyłaniają się w świecie? Kolejne prawa? A skąd brałyby się te z kolei? Świat, który generowałby prawa swego własnego funkcjonowania, byłby jak ów sprytny baron, który sam siebie wyciągnął z wody za włosy. Oj, nie, prawa przyrody ewidentnie nie mogą być ze świata. Możemy więc albo je wypchnąć poza świat – tego jednak grzeczny fizyk redukcjonista raczej nie zniesie – albo mimo wszystko w jakiś sposób w tym świecie ukryć. Filozofowie przyrody, którzy próbują tę drugą opcję wyrazić precyzyjnie, zwykle konkludują, że prawa przyrody to regularności w zachowaniu i właściwościach obiektów fizycznych – pogląd taki określa się jako „regularyzm". Prawa elektrodynamiki miałyby więc być sposobem, w jaki zachowuje się elektron, i kryć się w jego tożsamości.

Przejście od elektronu, który jako żywo nie jest obiektem językowym, do prawa, które ma ewidentnie charakter językowy, jest jednak procesem co najmniej podejrzanym. Sformułować na podstawie obserwacji elektronu nowe prawo naukowe – to zrozumiałe. Odkryć w elektronie wieczne i niezmienne Prawo Przyrody – to już brzmi podejrzanie.

Naukowiec wpatrujący się w najnowsze wyniki zderzeń ciężkich jonów, a następnie formułujący na ich podstawie nowy człon do równania modelu standardowego cząstek elementarnych, robi to po długiej rundzie przybliżeń statystycznych i procedur obliczeniowych, opierając się na zastanych konwencjach matematycznych, bagażu historii i aktualnej modzie. Nijak tu dostrzec bezpośredni tunel łączący go z Najwyższą Rzeczywistością. Zresztą jego wersję równania za kilka lat znowu ktoś zmodyfikuje.

W dzisiejszych czasach wizja fizyków, którzy w swych tajemnych cyferkach ↦

Rzekotka czerwonooka (Agalychnis callidryas), fotografia z kolekcji najbardziej zabawnych zdjęć przyrody 2022 r. agencji Media Drum World.

↦ odnajdują Prawdziwe Prawa Przyrody, jest równie podejrzana i archaiczna, co Mojżesz znikający na tajemniczym odludziu i otrzymujący tam bezpośredni przekaz od Boga, albo Joseph Smith, wyczytujący nowe wersety Księgi Mormona ze złotych płyt wręczonych mu przez aniołów i umieszczonych na dnie kapelusza. Pośrednictwo człowieka mocno podważa zaufanie do idei ponadludzkiego pochodzenia praw. Gdzie ten oryginał Słowa Bożego? Gdzie te złote płyty? Gdzie te prawa przyrody?

Atom-rzezimieszek

Wszystkie te głębokie problemy metafizyczne wynikają ostatecznie z faktu, że bardzo trudno jest wyobrazić sobie coś zasadniczo językowego w rzeczywistości przyrodniczej. Prawo musi być językowe, a język jest wynalazkiem człowieka, przez co „prawa przyrody" brzmią trochę jak „limeryki przyrody". No bo jak to brzmi: „Czy prawa przyrody się rymują?". To jednak nie koniec problemów: nawet już przy założeniu, że jakoś nam się udało z tej metafizycznej matni przeskoczyć, prawo jako takie ma szereg cech, które kompletnie nie pasują do opisu porządku w świecie.

Pierwszy przykład z brzegu: praw przyrody, w przeciwieństwie do praw ludzkich, nie sposób złamać. Tak w każdym razie zakładamy: prawo zachowania energii nie byłoby prawem przyrody, gdyby działało tylko czasem. Gdy zaś okazało się, że masa nie zawsze jest zachowana, prawo zachowania masy zostało od razu zdetronizowane – to już nie jest „prawo przyrody"! Tymczasem prawo, którego nie da się złamać, nie ma sensu. Po co publikować w Dzienniku Ustaw, że surowo zabrania się lewitacji? Prawo opisuje to, co jest możliwe, lecz niewskazane – nie należy do porządku „tego, jak jest", lecz „tego, jak powinno być" (jest preskryptywne, a nie deskryptywne).

Gdybyśmy więc chcieli naprawdę poważnie zastosować metaforę prawa do rzeczywistości przyrodniczej, wypadałoby nam się zastanowić, czy obiekty przyrodnicze mogą łamać prawa przyrody, czy istnieje jakiś system wykrywania takich wykroczeń oraz jaka jest za nie kara. W „Opowieściach z Narnii" C.S. Lewisa Ramandu opowiada o Koriakinie, który był niegdyś gwiazdą, jednak za swoje przewiny został strącony na Ziemię. Wymiar kary znamy: Koriakina skazano na rządzenie grupą wyjątkowo nierozumnych poddanych. Przewina jest jednak poza naszym pojmowaniem. Na pytanie Kaspiana, za jakie winy pokutuje Koriakin, Ramandu, sam zresztą będący „gwiazdą na emeryturze", napomina go łagodnie: „Wiedza o tym, jakie błędy może popełnić gwiazda, nie jest przeznaczona dla ciebie, Syna Adama".

Kusi jednak, aby wyobrażać sobie kosmiczne wykroczenia, a opis wszechświata z pewnością wzbogaciłaby teoria przestępczości i kar. Czy gdzieś w przestrzeni kosmosu może kryć się szajka buntowniczych, zdemoralizowanych atomów, bezczelnie łamiących zasady zachowania, podkradających sąsiadom ich masę i spin albo produkujących nowe leptony bez poszanowania dla zasady zachowania liczby leptonowej? Może te słynne hipotetyczne tachiony, podróżujące z prędkością szybszą od światła, to po prostu kosmiczni piraci drogowi? Bez tego typu ewentualności „prawa" przyrody naprawdę w niczym nie przypominają praw!

A spróbuj nie uścisnąć!

Zrzędzić łatwo, trudniej zaoferować coś konstruktywnego – ktoś mógłby odpowiedzieć. Spróbujmy więc pofantazjować. W poszukiwaniu kontroferty warto najpierw zastanowić się, jaką funkcję pełni to coś, dla czego szukamy nazwy? Jaką cechę świata ubraliśmy w piórka metafory prawa? Wydaje się, że najogólniejsza odpowiedź brzmi: szukamy nazwy dla czegoś, co ogranicza wolność.

Każde prawo stanowione to zawsze próba ograniczenia wolności. Przepisy ograniczają, gdzie i kiedy wolno mi łowić ryby, i które ryby, i jakiej wielkości, i jaką metodą, i jak mam je przechowywać, i po jakim czasie mogę je sprzedać, i gdzie mogę je sprzedawać, i jak ma przebiegać transakcja. Podobnie – prawa przyrody miałyby ograniczać cząstki ze względu na to, z jaką prędkością mogą się poruszać, i w jakim kierunku pofrunąć, i jakie są ich dozwolone stany końcowe, gdyby przyszło im się rozpaść. W poszukiwaniu kontrkandydatów dla idei prawa przyrody sięgnijmy do naszego własnego życia. Co jeszcze ogranicza naszą wolność?

Gdy pomyśleć o realiach życia codziennego, okazuje się, że siłą jeszcze potężniejszą od prawa jest obyczaj. Złamanie prawa przychodzi nam łatwo, a nikogo tak szczerze nie oburza anegdotka o panu z suszareczką, który właśnie uszczuplił nasz budżet domowy. Spróbujcie jednak kiedyś nie uścisnąć podanej wam ręki. Z wyjątkiem rzadkich sytuacji, gdy gest ten stanowi dobrze umotywowaną demonstrację, jest to praktycznie niewyobrażalne, a i wtedy prawdopodobnie utrzymanie ręki przy boku mocno podniosłoby nam ciśnienie. Siłą, która podnosi naszą rękę, nie jest ani antygrawitacja, ani przepis Kodeksu cywilnego, lecz zwyczaj. „Tak się robi". Gdy tylko zamykamy drzwi za światem prywatnym, każdy aspekt naszego zachowania zaczyna podlegać przemożnej kontroli, do tego stopnia, że, jak mówi klasyk, stajemy się nieledwie marionetkami w „teatrze życia codziennego".

Obyczaj można oczywiście kontestować, jednak nie jest to łatwe. Za jego złamanie czeka nas wyłącznie „miękka" kara społeczna, jednak często znacznie boleśniejsza niż mandat. Któż z nas zniósłby bez szwanku wszystkie te formy dezaprobaty, gdybyśmy postanowili przez tydzień nie ściskać wyciągniętych do nas rąk? Ba, być może „obyczaje przyrody" wiązałyby cząstki elementarne nawet silniej od „praw przyrody"? Zastosujmy na próbę tę metaforę do rzeczywistości przyrodniczej.

Elektron bezceremonialny

Pierwsza ciekawa cecha obyczaju – wykształca się on spontanicznie w toku docierania się ze sobą ludzi. Nikt go nie ogłasza i nie formalizuje; obyczaju nie trzeba spisywać, aby obowiązywał. Obyczaj należy do nas wszystkich. To wielka zaleta – przecież właśnie sformułowanie przez prawodawcę, formalizacja na piśmie i publiczne ogłoszenie tak mocno nas uwierały w metaforze prawa! Gdyby więc sposób zachowywania się cząstek, atomów i gwiazd był „obyczajem przyrody", powinniśmy zakładać, że wyłonił się stopniowo, spontanicznie, w toku wzajemnego docierania się obiektów przyrody. Od tego momentu rzeczy dzieją się już tak, jak się dzieją, bo dzieją się tak, jak się dzieją.

Elektron, zapytany o to, dlaczego odsuwa się od innych elektronów, albo trzyma w pewnej określonej odległości od jądra, prawdopodobnie byłby zdziwiony: przecież tak się zawsze robiło! A może zakaz Pauliego, ograniczający możliwość wskoczenia dwóch cząstek w ten sam stan kwantowy, to po prostu

tabu, podobne do tego, przez które nie siadamy w kinie obcemu człowiekowi na kolanach? Teoretycznie można by, ale to się po prostu nigdy nie dzieje.

Podobnie jak i w przypadku praw przyrody, metafora „obyczajów przyrody" ma dalsze interesujące konsekwencje. Prosty przykład: obyczaj obowiązuje tylko do granic danej kultury. Być może w innych regionach kosmosu elektrony trzymają się bliżej jąder? Gdyby do naszej Galaktyki wpadł taki bezceremonialny elektron z gorącego Południa Kosmosu, prawdopodobnie nasze jądra reagowałyby na jego poufałość dziwnie, jak Szwed odsuwający się podświadomie na imprezie od gadającego do niego z ożywieniem Hiszpana. Takie odsuwanie się można by już zmierzyć, hipoteza kosmicznego obyczaju jest więc falsyfikowalna!

Ostatni wniosek: obyczaj nie wiąże nas, gdy znika drugi człowiek. To jedna z ulubionych idei egzystencjalistów – piekło to inni, a gdy znikają, znika też wywierany przez nich ciężar, który Sartre lubił ilustrować poprzez poczucie wstydu. Samotna cząstka w głębokiej pustce kosmicznej mogłaby więc robić, co jej się żywnie podoba – dopóki oczywiście ktoś jej nie podgląda.

Oto i dowód pośredni na koncepcję „obyczajów przyrody": w mechanice kwantowej mówi się o tym, że obserwacja cząstki nieodwracalnie zaburza swobodny rozwój jej falowego rozpływania się w przestrzeni, wymuszając na niej chwilowe przybranie charakteru cząstkowego i lokalizację. W ramach tej nowej metafory redukcja funkcji falowej byłaby więc odpowiednikiem pracownika biurowego, który, słysząc kroki za plecami, „ogarnia się" – nagle prostuje się w fotelu i wstydliwie wycofuje rękę z któregoś z tych miejsc, gdzie ręce lubią bezwiednie zawędrować, gdy nikt nie patrzy. A gdy kroki ucichną, stan znów swobodnie ewoluuje, rozpływając się po przestrzeni prawdopodobieństwa.

A bariony rozbijam tak

Kolejne zadanie dla chętnych czytelników: dzisiaj wieczorem przed pójściem spać wykonać wszystkie zwyczajowe czynności higieniczne jak w odbiciu lustrzanym. Jeśli myjesz zęby prawą ręką, umyj lewą. Włóż najpierw prawą (lewą?) nogawkę piżamy. Przedziwne uczucie, prawda? A cóż to za siła ogranicza tym razem naszą wolność – zasada zachowania momentu pędu, rozporządzenie ministra właściwego, polska tradycja? Nie, to przyzwyczajenie. W ramach modelu „przyzwyczajeń przyrody" można by wyobrazić sobie, że gorący Wielki Wybuch to faza spontanicznego eksperymentowania, w której dochodziło do wszystkich możliwych kombinacji procesów przyrodniczych, jednak z czasem pewne sposoby dziania się utrwaliły poprzez czystą siłę przyzwyczajenia.

MATERIAŁY PRASOWE

Z filmu „Puchatek: Krew i miód", 2023 r.

Prawo naukowe – np. prawo fizyki – to konkretne wyrażenie językowe, sformułowane przez konkretnego człowieka w określonym tekście. Jest częścią porządku historii ludzkiej **– obiektem literackim jak Kubuś Puchatek.**

Z jednej strony „przyzwyczajenia przyrody" naturalnie uzupełniają „obyczaje przyrody". Elektrony, popatrując po sobie nawzajem, z czasem ustaliły sobie pewien sposób postępowania. Każdy z nich natomiast dziś zachowuje się już regularnie po prostu z przyzwyczajenia. Dużą zaletą tej metafory jest jednak niezależność przyzwyczajenia od innych. Robinson Crusoe też miał swoje małe rytuały! Gdy jakąś czynność wykonało się setki razy, po prostu łatwiej jest ją ponownie wykonać w ten sam sposób, jednak wygoda to nie wszystko: często kieruje nami czysta potrzeba konsekwencji, która w wynaturzonej postaci może przemienić się w obsesję albo wewnętrzny przymus.

Najłatwiej zrozumieć te Przyzwyczajenia Przyrody, które są „logiczne" i „naturalne", jak choćby zasadę, wedle której cząstki swobodne wędrują po najkrótszej trajektorii pomiędzy dwoma punktami. Metafora przyzwyczajenia jest jednak pojemna – fizyk szukający wytłumaczenia dla którejś z nieintuicyjnych, ekscentrycznych cech świata, mógłby zawsze powołać się na działanie kompulsyjne, jeśli nie wręcz nałogowe.

Od kilku dekad nikt nie potrafi wytłumaczyć niepokojącej asymetrii we wszechświecie: choć bariony i antybariony wydają się być swoimi doskonałymi lustrzanymi odbiciami i żadna z tych klas nie powinna być faworyzowana, z jakiegoś powodu w kosmosie jest znacznie więcej tych pierwszych. Być może po prostu świat jakoś już tak ma, że zawsze przy rozpadzie cząstki odsuwa bariony lewą ręką, podobnie jak my zawsze przekładamy prawą sznurówkę pod lewą – choć przecież moglibyśmy w przeciwną! A może produkowanie barionów w rozpadach jest jak przebijanie bąbelków w folii bąbelkowej: gdy już zaczniesz, nie tak łatwo przestać?

Czysta forma

Tego typu arbitralna decyzja, z której niełatwo się wycofać, naprowadza nas na ostatni trop: styl. To rzecz niedoceniana, a jakże potężna. Niewielu z nas ma naprawdę konsekwentny styl – jakiego bowiem wysiłku wymaga utrzymanie go! – tym bardziej jednak podziwiamy tych, którzy zawsze mają pasek dopasowany do obuwia, preferują określony typ kołnierzyka i kolor sznurowadeł.

Konsekwentny, a jednak elastyczny styl wyrabia się też dobrym artystom. Literaturoznawca, przeczytawszy połowę powieści dobrze znanego mu autora, albo historyk sztuki postawiony przed odkrytym do połowy, dopiero co ukończonym płótnem wybitnego malarza, mogą poczynić pewne przypuszczenia co do niewidzianej części. Zauważmy, że znajomość stylu daje koneserowi tak szanowaną przez naukowców moc predykcji i falsyfikacji.

Doświadczony geolog, obejrzawszy odsłoniętą połówkę jakiegoś fałdu, prawdopodobnie potrafi sobie nieźle wyobrazić, jaka może być jego kontynuacja i co jest wykluczone. Czy przewidywanie to wyłania się po ilościowych kalkulacjach, opierających się na prawach mechaniki skał, ↦

↦ reologii i fizyki ciała stałego? Nie, jest to raczej intuicyjna ocena człowieka, który napatrzył się już na wystarczająco dużo formacji skalnych, aby wyczuć, jaki jest styl geologiczny naszej planety.

Metafora stylu odsyła nas oczywiście ponownie do pytania o Artystę, podobnie jak metafora prawa odsyłała nas do Prawodawcy. W tym przypadku jednak nieco łatwiej jest nam utrzymywać, że świat jest sam sobie i płótnem, i pędzlem, i farbą. Można mieć pewną trudność z dostrzeżeniem językowego charakteru przyrody, jednak jej wymiar artystyczny jest zrozumiały: oczywiście, że świat to dzieło sztuki!

Również i ta metafora ma swoje zabawne konsekwencje. Naprawdę dobrzy artyści nie dają się zamknąć w jednym stylu i często przechodzą przez rozmaite okresy. Wielki Wybuch, z tymi wszystkimi geometrycznymi oscylacjami i chaosem przecinających się trajektorii, to ewidentny romans z op-artem. Na szczęście mamy też za sobą brutalny ekspresjonizm wczesnych kwazarów, a dojrzały Artysta pięknie już operuje minimalizmem (ach, te pustki między galaktykami!), a także liryczną, niemal secesyjną formą geometryczną. Ewidentnie nie brakuje mu też humoru, lubi szokować (ten turpizm!), a jedyne, czego nie można znaleźć w świecie, to realizm. Oj, tak, świat zdecydowanie jest co najmniej surrealistyczny!

Idea praw przyrody stoi w sporej sprzeczności z ulubionym mitem założycielskim fizyki współczesnej: przekonaniem, że wszystko uda się ostatecznie zredukować do świata fizycznego.

Światem sztuki wstrząsają też mody. Pamiętacie jeszcze te czasy, gdy kontynenty masowo stroiły się w prowincje granitowo-gnejsowe? Pierwsza była chyba Australia, a potem trudno było znaleźć większą masę lądową, która by nie paradowała z tonalitami na wierzchu. To na szczęście mamy już za sobą i od paru miliardów lat królują bazalty wylewne. Ale, kto wie, może archaiczna geologia wróci i znów będzie *chic*?

Tym, którzy tęsknią do językowego fundamentu rzeczywistości, warto przypomnieć o manifestach, którymi sto lat temu zwyczajowo obsikiwało się swoje poletka na rynku sztuki. „Manifest Przyrody" – to brzmi dumnie! Trochę przesadzony i pretensjonalny, tchnący jednak życiem i pewnością siebie, a później przestrzegany tylko w zarysie i tylko przez pierwszą dekadę.

I co, wierzycie jeszcze w istnienie praw przyrody?

© ŁUKASZ LAMŻA

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Wincentym Wróblewskim zm. 30 września 2020 r. w Drożdżówce, ostatnio stale zamieszkałym w Mieni, gmina Cegłów. Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. Sygn. akt I Ns 819/22

Sąd Rejonowy dla Krakowa-Podgórza w Krakowie I Wydział Cywilny prowadzi sprawę o sygn. akt I Ns 711/22/P z wniosku Justyny Czaplińskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Oldze Czaplińskiej z d. Bryk, c. Mariana i Heleny, zm. 31 grudnia 1994 r. w Krakowie. Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosiły się w Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Podgórza w Krakowie i wykazały swoje prawo do dziedziczenia, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postanowieniu stwierdzającym nabycie spadku.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 34/23 toczy się postępowanie z wniosku Jerzego Małeckiego i Anny Kowalskiej-Małeckiej o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w miejscowości Wrzelowiec, obręb 0040, stanowiącej działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 975, o powierzchni 0,05 ha. Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych do wylegitymowania praw do ww. nieruchomości w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi, albo zgłosiwszy się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 14/23 toczy się postępowanie z wniosku Jerzego Cięszczyka o stwierdzenie nabycia spadku po Rozalii Cięszczyk, z d. Knap, c. Franciszka i Rozalii, ur. 25 stycznia 1894 r. w Godowie i zm. 10 maja 1986 r. w Godowie, ostatnio stale zamieszkałej w Godowie, oraz po Władysławie Cięszczyku, s. Karola i Salomei, ur. 26 czerwca 1889 r. w Godowie, zm. 12 lutego 1972 r. w Godowie, ostatnio stale zamieszkałym w Godowie, po których pozostał majątek spadkowy w postaci nieruchomości położonych w Godowie, gminie Chodel, stanowiących działki oznaczone w ewidencji gruntów numerami 159, 160 i 389/2.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy Rozalii Cięszczyk i Władysława Cięszczyka w ciągu 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 369/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Anieli Jakubowskiej z d. Smalec, zm. 9 maja 2014 r. w Krakowie, ostatnio przebywającej w DPS w Biskupicach. Sądowi wiadomym jest jedynie o wchodzących w skład spadku pieniądzach w kwocie 585,03 zł złożonych w depozycie DPS w Biskupicach. Sąd wzywa spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ELIZA

Kącka:
Pani tu postoi

Metro Politechnika, peron. przy mnie dwójka kiele siedemdziesiątki z gościem w moim wieku. nadjeżdża pociąg w przeciwną. starszy w jesionce pędem obraca się, truchta, wskakuje i uśmiecha się zza szyby. odjechał. zamarliśmy. matka: „aaa, syn, a ty co!". syn: „?". „ojciec się pomylił!". „pomylił?! zwiał". „łap pociąg i goń go". „zwariowałaś". „dzwoń do metra, żeby ojca wysadzili!". matka do mnie na desperacji: „pani tu postoi, a my przejedziemy trasę". syn: „odwaliło ci?! to obca babka!". „ale nie uciekła z ojcem!". do mnie na bezradności: „myśli człowiek, że zawsze będzie jak zawsze".

Instytut Onkologii, dziewiąte piętro. ja między korytarzami, w przelotówce. z oddziału wychodzą dwie w szlafrokach. starsza z turbanem na głowie, młodsza prowadzi kroplówkę. oplastrowane. idą w korytarzyk z windą, ku oknom. starsza: „to mój blok". „tak?! o masz". „nie chciałam się tu przenosić, wolałam Grochów. ale mąż powiedział, że ten Imielin to taka bezpieczna okolica". śmiech młodszej, gorzki. „a ja wiedziałam". pauza z kaszlem. młodsza: „masz, pij". starsza po uspokojeniu: „przed przeprowadzką miałam sen. wstałam i powiedziałam: »Ursynów leży bliżej końca«". „ech". „i koniec".

dwie starsze w 116. „jutro majówka, pani Grażynko". „niech pani tak nie mówi". „ale jak?". „bo to poganizm". „eeetam". „nasz ksiądz naucza, że to nowa religia". „majówka?!". „wyjazdy. to przyszło na nas z Zachodu". „jak wszystko". „od bezbożników. doba wolnego – już jadą". „dobrze, ale czy to grzech?". „niech pani pomyśli: leży pani pod palmą. a kościół to gdzie?". „może za rogiem?". „paaani Jolu, tu już nie ma miejsca na wiarę. a za dwa dni jest święto obowiązkowe". „aaa, więc o to chodzi, żeby Polak nie poszedł na mszę". „tak! żeby odciągnąć. ja powiem: wierzący niech się wystrzega wyjazdów".

autobus 119, dosiadam się do trójki na oko trzydziestolatków. para z kolegą. dziewczyna głaszcze chłopaka kompulsywnie, jakby chciała wyprać mu spodnie na kolanie. łapka szopa w tipsach. chłopak w tiszercie ze Stańczykiem, podgolony na Bohuna. drugi w czarnej bluzie z orłem, z kotwicą wytatuowaną na karku. stańczykowy: „też mam orła". dziewczyna: „w seksimiejscu". kotwicowy: „moja Aga powiedziała, że zerwie, jak zrobię kotwicę na tyłku". dziewczyna: „głupia. to superseksihot". stańczykowy: „gwarantuję cię, nie zerwie". kotwicowy: „no, nie wiem, Kris jest dostępny". dziewczyna: „to golas". „zero dziar? chamówa". kotwicowy: „e, Juro, a co to za krasnal?". „to Stańczyk, chłopie". „nie znam". „żałuj, ja bym z nim pogadał". dziewczyna na wzmożeniu głasków adoracyjnych: „bo ty filozof jesteś". kotwicowy: „no, nie wiem, po mojemu to za dużo tego myślenia ogólnie".

Wiata przystankowa przy Chełmskiej, para kiele pięćdziesiątki, nadżarci losem. migdalą się. on do niej, na zachrypniętej czułości: „no to jeszcze raz mi opowiedz, co jemy jutro". „resztę kiełbaski białej z udkiem kurczaka z patelni. ziemniaczki z sosem z fasolki. i mam jeszcze jajko, jakby coś". „a surówka?". „po...ało cię. wiesz, ile pomidor wynosi?". „słoiki jeszcze masz od matki". „z wiśniami". „ja nimi dojem". „po...ało cię". „to będzie ta, fuzja". „fuzja?!". „no, a jak się nazywa, co oglądałaś z Beatą?". „fjużyn. ale to nie fjużyn". „bo?". „to resztki. polskie". gość z uśmiechem w głosie: „jak dla mnie kuchnie świata".

autobus 141, zakorkowana Chełmska. przy oknie rosła babka z ratlerkiem na ręku. ćwieki, koturny, biały irokez. równamy z kościołem zmartwychwstańców. rosła żegna się zamaszyście, robi psu krzyżyk na czółku i wraca do iskania. staruszka: „też coś!". staruszek: „prowokacja!". rosła do mnie: „a tym o co znów chodzi?". staruszka: „psa do modlitwy nie mieszać!". staruszek: „z czubem na łbie". rosła: „Czaki też chwali Pana". staruszka: „Boże". hamowanie, znosi staruszkę. rosła rzuca staruszkowi psa na kolana i podnosi ją sprawnie z podłogi, sadza. staruszek: „Bogu dzięki". po chwili: „o Jezu!". Czaki zmoczył staruszkowi spodnie. rosła: „aaa, to pojednanie". podnosi psa: „błogosławię was Czakim". starsi z zezem rozbieżnym. „kochajcie się!" – wysiada na rogu Czerniakowskiej.

Skwer Chorwacki. „tu pani siedzi, tam wolne, chodź!" – przy mojej ławce zatrzymują się drobna starsza i dorosły zwalisty z białą laską. oczy bezradnie zezujące. „ja tutaj chcę" – on stanowczo. ona przepraszająco: „zawsze chce się dosiadać, na moją udrękę". ja, że wszystko dobrze. „co ty się tak upierasz!" – ona do niego – pani chce mieć spokój". ja, że nie szkodzi. on: „przepraszam, jak panią trącę laską". ja znów to samo. on do niej: „idź sobie, to ja tej pani coś powiem". „nie!". „to ja powiem: mama się mnie wstydzi". „przestań!". „ja żałuję mamy, ona chciałaby sobie chodzić wolna jak koleżanki". „Witek!". „a ja chcę się dosiadać, bo łapię aurę". „Witek!". on do mnie: „pani ma niebieską, ładną". pauza na manewry z laską. „najlepiej dosiadać się w parku. ja park pani polecam, kościół mniej". „Witek!!". „kościół zaburza aurę. autobus najgorszy, najgorszy". śmieję się. „mama się wstydzi, ale ja muszę się czasem dosiąść". ©

CZEGO ONA TU SZUKA

Prób zaanektowania Masłowskiej było sporo. Wiadomo, każdy by chciał. Ale ona miała zawsze gotowe wyjście ewakuacyjne. Bo gdy robi się stabilnie, czas na wymyk. Tak jak teraz.

OLGA DRENDA

To była, być może, zbawienna kraksa. W maju 2022 r. na kanale wytwórni SBM, założonej przez raperów Solara i Białasa i specjalizującej się w nowym hip-hopie, pojawił się teledysk do utworu „Motyle" Doroty – nowego muzycznego wcielenia Doroty Masłowskiej. Wyreżyserowana przez Aleksandrę Terpińską miniatura zapowiadała nowy sublabel wytwórni – SBM A, której specjalnością miała być muzyka bardziej eksperymentująca, skierowana do nieco starszego odbiorcy niż bestsellerowe wydawnictwa Maty czy Kinny'ego Zimmera.

Wyprodukowane przez Solara „Motyle", rzecz raczej *à propos* rapu niż należąca do gatunku, bliższa outsiderskiej poezji w duchu Synów czy Niwei, potwierdziły, że za sprawą różnych źródeł dystrybucji nie ma już jednej polskiej (pop)kultury. Jest wiele odległych planet, które nie komunikują się ze sobą. Ich mieszkańcy mają swoje oczekiwania, bardzo zresztą konkretne, i egzekwują ich realizację. Rapowa publiczność zderzona z propozycją z innej bajki zupełnie nie chciała słuchać Doroty, czemu ochoczo dawała wyraz.

Ale przejście przez tę dyslajkową („Śniło mi się, że mam dużo dyslajków / Same dyslajki, bardzo niewiele lajków" – z płyty „Wolne") ścianę ognia okazało się dla Masłowskiej niespodziewaną szansą. Tak, to był reset. Jej nowa publiczność powiedziała nie, ale też ujawniła, że nie ma pojęcia o całym wizerunkowym bagażu autorki, stojącej za tą sceniczną kreacją, że dorastała wśród zupełnie innych punktów odniesienia i nie ma dla niej znaczenia „jakaś nagroda Najki" (jak powiedział raper i streamer Young Multi).

To oznaczało ulgę. Można wreszcie przestać być tym wszystkim, czym dotąd Masłowska była: cudownym dzieckiem, okropnym dzieckiem, wirtuozem językowego nasłuchu, przenikliwą komentatorką rzeczywistości, pisarką dresiarską, maszyną do mielenia języków polskich, warzycielką esencji z Polski, a nawet pastiszową artystką okołorapową znaną uprzednio z projektu Mister D – i zrobić sobie, zgodnie z tytułem nowej płyty, „Wolne" od wizerunku.

– Przez te dwadzieścia lat obecności publicznej, a przecież ja dorastałam publicznie, więc wygadywałam i robiłam mnóstwo głupot publicznie, moja persona stała się ciężkawa, męcząca, dusząca. Myślę że trochę tak jest, że próbuję się wywinąć zarówno z uścisków, jakie niewątpliwie się na mnie sypią, ale też z rozmaitych agresji, które mnie spotykają od ludzi, którzy coś tam sobie na mój temat wyobrażają. To bywa przytłaczające, bo jedni i drudzy mają względem mnie jakieś oczekiwania, roszczenia, wyobrażenia, i próbują je wyegzekwować. A ja chcę być wolna od nich, bo mnie trzymają w miejscu, w ryzyku samopowielania się, kiedy ja chcę się rozwijać i w muzyce właśnie szukam takiego przekroczenia tego, co umiem dobrze i znam, i pójścia w nieznane. Szukam w tym wolności – mówi Dorota Masłowska.

Głód bigosu

Reset – no bo ile w końcu można funkcjonować jako autorka „wiecznie młodzieżowa", owszem, zasłużona, z solidnym dorobkiem i do tego taka, z którą strach dyskutować, bo wiadomo, że się przegra pojedynek na gadane, ale cały czas nawiedzana przez widmo bezprecedensowego debiutu? Od „Wojny polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną" (2002), transmisji na gorąco z dziwnego, przygnębiającego, ale toksycznie zajmującego czasu początku naszego milenium, minęło przecież dwadzieścia lat.

Doskonale pamiętam, jak siła rażenia „Wojny" przyprawiła rówieśników Doroty Masłowskiej, ale i moich (urodzonych w pierwszej połowie lat 80.), o powszechny kryzys ćwierćwiecza, bo z tak mocną już na dzień dobry literaturą trudno było stawać w szranki. Z drugiej strony książka zadziałała jednak jak katalizator i pomogła wydawnictwu Lampa i Iskra Boża, którego obdarzony wybitnym instynktem założyciel Paweł Dunin-Wąsowicz zaryzykował i wydał wywrotowy debiut. Sukces „Wojny polsko-ruskiej" utorował drogę kolejnym Lampowym autorom, jak Agnieszka Drotkiewicz, Małgorzata Rejmer czy Jakub Żulczyk – spora część spośród dzisiejszych trzydziesto- i czterdziestolatków ↦

Dorota Masłowska, sierpień 2020 r.

GRAŻYNA MAKARA

↦ miała jakiś epizod związany przynajmniej z czasopismem „Lampa" (ukazywało się do 2015 r.).

Ten „kawał lekko nadpsutego literackiego mięsa", jak określił powieść zafrapowany nią Marcin Świetlicki, zdumiewał jako popis języka wówczas w literaturze niespotykanego, fuzji mowy osiedla, ulicznej antysystemowości, chłopskiego rozumu, treści marketingowych, teleturniejów i telezakupów zarazem. To był zapis języka i myślenia pozostawionych własnej, swobodnej ewolucji, polszczyzny, która „sama się zepsuła", a raczej dopasowała się do wyrażania paradoksów i niekonsekwencji.

Nieco niefortunnie nazywano debiutancką powieść Masłowskiej „dresiarską" lub „blokerską", bo też tematyka młodzieży bez perspektyw, za to z tendencją do agresji i drobnych wykroczeń, należała wówczas do gorących. Główny bohater, Silny, ze swoim bigosem sprzecznych wewnętrznie przekonań, nieufnością i ustawicznym szukaniem wroga, to nie był typowy dla swoich czasów dresiarz, tylko *everyman*, jakiego spotykamy i dzisiaj w świecie oraz w internecie. Przecież i nam samym zdarza się tak samo jak jemu chałupniczo radzić sobie z własnym dysonansem poznawczym. W ten sposób powieść można czytać jako wykrzywiającą czasy własne, a zarazem nieco profetyczną. Ale „dresiarska" etykietka przykleiła się też do samej Masłowskiej, którą pomimo konsekwentnych wypraw w różne tematyczne rejony wciąż wysyłano na symboliczne osiedle, gdzie miała pełnić funkcję ekspertki od tego, co kostropate, pospolite, niezgrabne, gdzie konsumowano ofertę supermarketów i telewizję. I nic więcej.

Bez powiek

Skoro osiedle, to i hip-hop; to skojarzenie w pełni wybrzmiało przy okazji triumfu nagrodzonego Nike „Pawia królowej" (2005), eposu powykręcanego z języków zasłyszanych i zapożyczonych, spisanego rytmiczną frazą i upstrzonego nieprzypadkowym i celowo niedoskonałym rymem („celem naszym dla każdego było książkę stworzyć, książkę, którą czyta się w ten sposób, że nie trzeba tego wcale robić").

Związki „Pawia królowej" z gatunkiem wydają się mocno umowne – żywiołem książki jest wchłaniający wszystko monolog, którego hip-hop – wówczas bezwzględny monopolista polskiej kultury popularnej, wraz ze swoim landrynkowym krewnym hip-hopolo – jest tylko jednym z wielu składników. Na tę polifonię składa się też podstępny język marketingu, lizusowskie strategie show-biznesu, doskonale pozbawiony właściwości język europejsko-urzędowy, dlatego naturalnie splata się ze sobą tu mowa trawa teflonowa i dydaktyzująca („zawiera ona liczne udogodnienia mające stworzyć warunki intelektualne dogodne dla osób mentalnie chromych lub wyjałowionych z przyczyn od siebie niezależnych i przez siebie niezawinionych"), oraz niespójne, ale naładowane emocjami manifesty, ujawniające przy tym pewną bezradność („opluwa chłopak chłopaka, opluwa dziewczynę dziewczyna, dziecko nie słucha matki, kierowca pieszego zabija, a ty znowu pytać zaczynasz, na co ci te kombinacje, o co ci w ogóle chodzi, na o co chodzi pytanie to ty mi dziś odpowiedz (...) Wiesz co ci na pytanie to odpowiem? Czasem śni mi się, że chcę zamknąć oczy, ale w tym śnie nie było powiek").

DOROTA MASŁOWSKA:

Jeśli coś robi się nagle żenujące, to tylko znaczy, że jest w tym coś zaklętego, emocjonalnego. Trzeba wziąć taki symbol śmieć i użyć, by stał się literacko głęboki i zawiesisty.

Takie z jednej strony koślawe, a z drugiej wygładzone i utarte formuły dopiero zaczynały wówczas zapełniać naszą językową rzeczywistość. Masłowska zsamplowała je do swojego poematu, by zilustrować jałowienie ludzkich relacji, marzeń, żadność show-biznesu, daremność aspiracji, zjadanie świata przez swoje własne symulacje. Strategia niby oczywista i przez to w swoim czasie budząca czasem irytację, a jednak trudna do spastiszowania, o czym przekonał się sam Tadeusz Różewicz, próbując „pisać »Pawiem«" w tomie „Kup kota w worku".

Jan Gondowicz pisał niegdyś o „Pawiu królowej", że to „przyłapanie na gorącym uczynku narzucanej nam wszechobecnej mowy, za pomocą której nie sposób powiedzieć prawdy". Dzisiaj, niemal dwadzieścia lat później, mowa, o której wspominał Gondowicz, wydaje się już wyściełać wszystko szczelnie. Literatura wyprzedziła rzeczywistość i nietrudno trafić dziś na wypowiedzi publikowane z pełną powagą, również na piśmie, które przypominają fragmenty z wczesnych powieści Masłowskiej. To, wraz z niewątpliwym i wielokrotnie ujawnianym zamiłowaniem pisarki do pochłaniania wyrobów z obrzeży pola widzenia kultury wysokiej, za to z samego środka kosza z promocjami albo serca najkomercyjniejszej telewizji („Jak przejąć kontrolę nad światem, nie wychodząc z domu"), groziło utkwieniem na wieki w roli ironistki, obnoszącej po polskich miastach bardzo krzywe zwierciadło.

Córka Rydzyka

Jednak to, co dzięki autopastiszowemu *flow* MC Doris w „Pawiu królowej" mogło budzić współczucie i śmiech, w późniejszych o trzynaście lat „Innych ludziach" (2018) zmieniło się już w dojmujący chłód, samowstręt, który teflonowa mowa jedynie nieudolnie znieczula, ale widać zbyt wyraźnie, że to próby daremne. Bohaterowie wcześniejszych książek Masłowskiej są w swoim miotaniu się nieporadni, ale i dzięki temu niezbyt groźni; w „Innych ludziach" panuje mróz, wyobcowanie, twarde łokcie i traktowanie siebie wzajemnie jak meble, a konsumpcja już nie cieszy, nawet przewrotnie, jedynie zagłusza.

„Inni ludzie" i oparty na książce ponury musical (tak!) filmowy w reżyserii Aleksandry Terpińskiej (2021) oznaczał pierwszy krok w stronę ponownego zmierzenia się z tym, co realnie niemiłe, a nie tylko umownie i umiarkowanie, jak np. społeczeństwo w tytule płyty Mister D. Na tym albumie z 2014 r. celowo chałupniczo brzmiący elektroniczny pop (nieco w tradycji łódzkiej – jednym z współtwórców albumu był Kuba Wandachowicz z Cool Kids of Death) akompaniował śmieszno-strasznym obrazkom z Polski, wyciągniętym z uniwersum powieści Masłowskiej, ale celowo ukiczowionym w sposób wręcz radosny. Ich bohaterami stali się kobieta, która od kiedy „chleb swój wypieka, o śmierci już nie marzy", Kinga Rusin, Ryszard Kalisz oraz

YOUTUBE.COM / THE_DOROTA

Kadr z teledysku Doroty „Weź i skręć”

sama Dorota Masłowska w wielu wcieleniach, m.in. jako „córka Rydzyka”.

– To było po „Między nami dobrze jest”, że prawicowi dziennikarze rozważali cofnięcie ekskomuniki na mnie, bo „Między nami” było o wartościach takich jak Polska i został tu wyczuty potencjał uprawicowienia i unarodowienia mnie. No ale wydaje mi się, że się do tego jednak nie nadawałam i szybko się z tego pomysłu wycofano – wyjaśnia pisarka.

Prób zaanektowania autorki przez rozmaite stronnictwa i grupy było więcej, jednak za każdym razem Masłowska skutecznie znajduje wyjście ewakuacyjne. To najbardziej konsekwentny rys w jej karierze: gdy robi się zbyt stabilnie, to oznacza, że czas na wymyk. „Inni ludzie”, czyli ponowna konfrontacja z hiphopową frazą, ale też z medium filmu, przyniosła nagłe spoważnienie po zdystansowanej publicystyce i fascynacji światem *reality TV*. Wcześniej hip-punkowy kabaret Mister D. powstał dla odreagowania wyprawy na terytorium powagi, po napisanej na zamówienie Teatru Rozmaitości w Warszawie i Schaubühne am Lehniner Platz w Berlinie sztuce „Między nami dobrze jest” (2008) i próbie zmierzenia się z językiem psychopapki w „Kochanie, zabiłam nasze koty” z 2012 r. (tu teflonowy język okazał się podstępnym przeciwnikiem, co uczyniło powieść zaskakująco konwencjonalną).

Ta uparta odmowa osiadania na przewidywalnej pozycji oznacza jednak rezygnację z niewątpliwych profitów. Ironiczny dystans czy wystawianie współczesnemu światu diagnoz to bowiem postawy, które gwarantują wygodną pozycję, nienaruszalność i nieustanne brawa z offu. Kpiarza trudno traktować poważnie, ale też łatwo się ośmieszyć atakując go; etatowy malkontent za to bywa traktowany jako szczyt ewolucji pisarza czy intelektualisty w ogóle, do tego zyskuje glejt na nurzanie się w przyjemnościach zgorzknienia i narzekania na świat. Odrzucenie tych pokus to śmiały ruch, który zapewnia jednak coś bezcennego: wolność od zaskorupienia.

– Myślę, że skutecznie broni mnie przed tym coś takiego, co nazwałabym „dreszczem sztuki”. Czuję, że to jest coś, czego doświadczyłam parę razy, że praca artystyczna zaszła nagle tak daleko, że był to rodzaj lotu i poczucia przenikania rzeczywistości, wglądu. No i to jest głód, coś jak pierwsza dawka heroiny: że zawsze już tego szukasz całą sobą, a rzeczy w rodzaju odcinanie kuponów, brylowanie towarzyskie, pisanie książek podobnych do innych książek tego nie dają. Więc ja znalazłam na to taki sposób, że ciągle szukam jak najprawdziwszego, najbardziej trafionego wyrazu siebie w danym momencie. To wiąże się z pewną czasem niezgrabnością, coś się nie uda, wykrzaczy, ludzie mnie krytykują, obrażają, no ale mobilizuję całą swoją odwagę, jestem w zgodzie ze sobą, powiem więcej: tak ryzykując, doświadczam jakiejś pełni. No i nagrodą jest właśnie, że jestem bardzo nierozgoryczona – tłumaczy Masłowska.

Co mówi masło

Płyta „Wolne”, nagrana już jako Dorota, jest z tych wszystkich konfrontacją najodważniejszą, bo z samą sobą i z tym, co uznawała za niezręczne, z językiem prostym, piosenkowym, takim, który wcześniej pewnie stanowiłby paliwo ledwie dla pastiszu. Tu rzeczy pozornie banalne nastręczają trudności twórczyni znanej z wyrafinowanego obchodzenia się z banałem, co obserwujemy w czasie rzeczywistym.

Słychać, że to zapis zmagań, jakby prób wejścia gołą nogą do bardzo zimnej wody: rymy jawnie z typowej muzyki pop, jakby celowo te najbardziej oczywiste („to, o czym marzyłam po nocach, dziś się zdarzy”, „Ale teraz przyszła wiosna / Patrzę w słońce / Jestem radosna”), a jednocześnie odruchowe wywracanie, wybebeszanie frazy „po Masłowsku” („Przez pustynie i akweny / Przez Orleny”, „Po klatce piersiowej jak lampart krąży miłości mej bękart”) czy jeszcze chwytanie się sprawdzonych rozwiązań, czyli mielenia produktów popkultury (przez nawiązanie do piosenki z „Klanu”). To zapis niełatwego procesu upraszczania własnej artystycznej wypowiedzi, właśnie procesu – bo to, co słyszymy na płycie, to właśnie kadry z przepoczwarzania.

Utwory noszą ostentacyjnie proste i popowe tytuły, jak z poradnika ABC pisania przebojów: „Motyle”, „Światło”, „Serce”. Jak przyznaje Masłowska, proces ten jest kuszący: – To się wzięło z naturalnej dla mnie potrzeby pójścia w miejsca skompromitowane, wstydliwe. Wychodzę z założenia, że jeśli coś robi się właśnie takie ogólnie żenujące, to znaczy, że coś tam jest zaklętego, ukrytego, emocjonalnego. I tak jest moim zdaniem z „sercem” i innymi tego typu przeeksploatowanymi popsymbolami, że zostały zużyte przez piosenki disco polo, reklamy, Disneye itp., aż do przezroczystości. Może robię sobie taki *challenge*, żeby wziąć taki symbol śmieć i użyć go tak, żeby stał się częścią czegoś literacko głębokiego, zawiesistego.

Wraz z płytą „Wolne” zakończył się eksperymentalny żywot wytwórni SBM A, nic nie wskazuje jednak na to, by ten los miały podzielić poważne próby muzyczne Doroty Masłowskiej. Starcie z dezaprobatą, ale przede wszystkim mocowanie się z własnymi ograniczeniami tym bardziej budzi w niej artystkę przekorną. I koniec końców wygraną – ulubiona inwektywa niemile zaskoczonych słuchaczy Doroty brzmiała bowiem „asłuchalny”, co jak na wyjątkowo przewrotną ironię wiele zawdzięcza „mówieniu Masłem” (określenie pożyczone od Jerzego Pilcha). W końcu to w „Wojnie polsko-ruskiej” pojawiła się „aempatia”.

© OLGA DRENDA

Gniewni przeciw gnuśnym

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Vuillard jest piszącym fikcje dokumentalistą. Opiera się na źródłach historycznych, pamiętnikach i protokołach sądowych. Przerzuca mosty między wtedy a dziś, stojąc zawsze po lewej stronie dziejów.

PABLO MARTIN / EFE / FORUM

Éric Vuillard. Segowia, Hiszpania, 19 września 2022 r.

Ten, kto przyszedł na świat wraz z rewolucją, nie może bać się historii. W dzień narodzin Érica Vuillarda, 4 maja 1968 r., Paryż płonął. Niedługo później pokoleniowa rewolta dotarła do jego rodzinnego Lyonu. Jednak dzieciństwo i wczesna młodość upłynęły mu z dala od społecznej pożogi i politycznych prób jej wygaszania. Zjeździł Półwysep Iberyjski, chciał zamieszkać w Afryce, a w pierwszej „dużej" powieści pt. „Konkwistadorzy" opisywał podbój inkaskiego Peru przez wojska Francisca Pizarra. Od tamtej pory diagnozy teraźniejszości szuka, patrząc w przeszłość.

Historii nie boi się też kapituła Nagrody Goncourtów. Vuillarda nagrodzono w 2017 r. za „Porządek dnia" (pol. wyd. 2022), rozgrywający się w Niemczech, Anglii i Austrii w przytłaczających dekoracjach kilku lat poprzedzających wybuch II wojny światowej. Dwa lata później opublikował „Wojnę biedaków", nominowaną do Międzynarodowej Nagrody Bookera. Właśnie trafia do polskich księgarń w bardzo dobrym tłumaczeniu Katarzyny Marczewskiej.

Powidoki hańby

Początkowo Vuillard szukał środków wyrazu w poezji i prozie poetyckiej, próbował też pisać *à la* Kafka. Wreszcie znalazł tworzywo – historię uciśnionych. I formę – powieść-esej, toczącą się na stu kilkudziesięciu stronach, niewiele dłuższą niż mikropowieści noblistki Annie Ernaux, a krótszą niż niemal każda z siedmiu części „Łaskawych" Littella. Ta oszczędna forma jest metodą samodyscypliny i dość skutecznie chroni przed patosem, który czyha na kilkusetstronicowe, rozdęte fabuły. Zwłaszcza te pisane w słusznej sprawie, ku korekcie zbiorowej pamięci.

Przepisywanie historii stało się znakiem rozpoznawczym Vuillarda. Asymetriom wpisanym w tragedię Wielkiej Wojny poświęcił „La bataille d'Occident" („Bitwa Zachodu", 2012), a tropiąc źródła ludowego gniewu, cofnął się w „14 juillet" („14 lipca", 2016) do szturmu na Bastylię. W „Kongu" (2012) zrekonstruował ciąg zdarzeń, które doprowadziły do zniewolenia tego afrykańskiego państwa. Do Ameryki wrócił w „Tristesse de la terre. Une histoire de Buffalo Bill Cody" („Smutek ziemi. Historia Buffalo Billa Cody'ego", 2014), gdzie pretekstem do krytycznej lektury przeszłości są wymyślone przez Cody'ego objazdowe inscenizacje podboju tzw. Dzikiego Zachodu. Jego najnowsza książka, „Une sortie honorable" („Wyjście honorowe"), ukazała się we Francji na początku zeszłego roku. Dotyka bolesnej pamięci długiej wojny indochińskiej, która przypieczętowała wycofanie się Francuzów z Wietnamu, Laosu i Kambodży i była preludium wojny wietnamskiej. Tytułu, jak przyzwyczaił nas Vuillard, nie należy odczytywać dosłownie.

Największy do tej pory rozgłos przyniósł mu „Porządek dnia". Ten niewielkich rozmiarów fabularyzowany esej mógłby nosić podtytuł: „Rzecz o grote-

skowości zła". Podobnie jak Zygmunt Bauman, Vuillard widzi w zachodniej cywilizacji i jej instytucjach chimerę, która wypluła Hitlera i Zagładę. Ze szczególną ostrością przygląda się elitom władzy i pieniądza, biorącym udział w maskaradzie zwanej dyplomacją i sprawami zagranicznymi. Kogóż tam nie ma! Z jednej strony bawią się Hermann Göring, Joachim von Ribbentrop i Arthur Seyss-Inquart. Z drugiej tańczą, jak im zagrają, Neville Chamberlain, przewodniczący Izby Lordów lord Halifax czy kanclerz Austrii Kurt von Schuschnigg. Dyrektorem tego osobliwego cyrku jest Adolf Hitler we własnej osobie.

Na pierwszy rzut oka „Wojna biedaków" to książka diametralnie różna od poprzedniczki. Przenosi nas do początków XVI wieku, w epicentrum reformacji i buntów chłopskich. Tu nie ma dobrych i złych bohaterów, są tylko gniewni i gnuśni. Ironia, choć nadal wszechobecna, zostaje zepchnięta na dalszy plan. Jednak obie książki łączy styl i kompozycja, które u Vuillarda nie są wyłącznie literackie. Francuz jest piszącym fikcję dokumentalistą. Opiera się na źródłach historycznych, pamiętnikach i protokołach sądowych. Domyśla to, co w nich nienapisane albo nadto uładzone. Jest też twórcą filmowym, reżyserem i scenarzystą. Właściwą dla dziesiątej muzy wrażliwość wizualną i rygor scenopisu można dostrzec w jego powieściowych esejach, podzielonych na symboliczne sceny.

Scena 1: Gniew

Od jedenastego roku życia Tomasz Münzer przeczuwa, jak umrze. Widzi ojca, powieszonego lub spalonego na stosie (relacje potomnych są sprzeczne), bo sprzeniewierzył się swojemu panu, hrabiemu Stolbergu. Syn podzieli los ojca, ale zanim to nastąpi, nie będzie wyrzutkiem. Nauczy się czytać i pisać. W Lipsku ukończy studia, zostanie wikarym, a potem predykantem w Zwickau. Biblia, którą ma przed oczyma, opowiada inne rzeczy niż te, które słyszał z ust kapłanów, nawet Lutra. Vuillarda fascynuje słowo pisane nie tylko jako tworzywo literackie, ale także jako wehikuł ludzkiej percepcji. Zmienia dobrych w złych, mętne epifanie w klarowny ideologiczny przekaz, a urojone wizje w rozkaz do wykonania.

Dlaczego Münzer? Protagonistami szkolnych lekcji o reformacji są częściej Marcin Luter, Jan Hus, Jan Kalwin czy Huldrych Zwingli. Münzer to heretyk, anarchista i radykał w jednym. Uwielbiają go za to filozofowie, pisarze, twórcy teatralni i filmowi. Sekret uroku niemieckiego kaznodziei kryje się w jego gniewie, jak pisze Vuillard „impulsywnym i nieuładzonym". Jego niezgoda dotyczy spraw fundamentalnych – tego, czy Bóg jest z biednymi czy z bogatymi, i kogo bardziej ukochał. Jego gniewne „nie pozwalam" nie ma końca, bo za jednym grzechem tego świata Münzer odkrywa dziesięć kolejnych. Wendeta staje się jego powietrzem, wodą i pokarmem. W ojczyźnie Jana Husa pisze „Manifest praski", który ma jego gniew zamienić w roszczenie, ale staje się wypowiedzeniem wojny niemieckim książętom i biskupom. „Münzer tym różni się od Husa – tak stwarza go Vuillard – że jest (...) straszliwie spragniony i głodny, i nic go nie może nasycić, ugasić jego pragnienia: będzie pochłaniał stare kości, gałęzie, kamienie, błoto, mleko, krew, ogień. Wszystko".

Dlatego idą za nim inni, aż w 1524 r. wybucha konflikt, który przejdzie do historii jako wojna chłopska, najkrwawszy w dziejach Niemiec bunt przeciw panom mającym się za bogów.

Scena 2: Maniery

Joachim von Ribbentrop chce oddać klucze do wynajmowanego w Londynie mieszkania. Mieszkał tam kilka lat jako ambasador III Rzeszy, ale wraca do Berlina, już jako minister spraw zagranicznych. Przedtem zostaje zaproszony z małżonką na pożegnalny obiad. Klucze oddaje właścicielowi lokalu, premierowi Neville'owi Chamberlainowi, który dorabia jako rentier.

„W tym samym czasie, kiedy nadchodziły niepomyślne wiadomości, kiedy padały ciosy poniżej pasa, Chamberlain regularnie odbierał czynsz" – ironizuje Vuillard. Ale to nie klucze są tu „słoniem w salonie". To notatka, przyniesiona przez posłańca między pulardą burgundzką a ptifurkami serowymi, informująca o tym, że niemieckie wojska wkroczyły do Austrii. Premier nie robi nic, pozwala niewygodnemu gościowi dalej paplać. Ale ten nie żegna się ani po kawie, ani po tym, jak wielu gości w pośpiechu wychodzi. Świetnie się bawi, grając impertynenta – a może wtedy właśnie jest sobą. Wreszcie zirytowany Chamberlain wymawia się pilnymi obowiązkami. Siedząc już w aucie, Ribbentropowie śmieją się do łez z tego, jak długo udało im się odciągać premiera od działań politycznych, tak koniecznych w tamtej chwili. Dobre maniery nie idą w parze z racją stanu.

Takich satyrycznych scen w „Porządku dnia" nie brakuje. Ostatni przed Anschlussem kanclerz Austrii udaje się w lutym 1938 r., w przebraniu narciarza, do alpejskiego kurortu na nierówne pertraktacje z Hitlerem. A ze swoim następcą, narzuconym przez nazistów, rozmawia o muzyce Brucknera zamiast o przyszłości Austrii. Śmieszyć mogą też inscenizacje rozmów telefonicznych, jakie zaraz po Anschlussie wykonują Ribbentrop i Göring po to, by obce wywiady podsłuchały korzystną dla nich, choć zupełnie niewiarygodną wersję zdarzeń. Vuillard, ↦

Francja: historia jest w cenie

NAGRODA GONCOURTÓW jest najważniejszym wyróżnieniem literackim we Francji. W ostatnich latach jej kapituła często nagradzała powieści historyczne.

2006 Jonathan Littell, „Łaskawe" – fresk o perwersjach ciała i duszy nazisty rzuconego na główną scenę teatru zbrodni.

2011 Alexis Jenni, „Francuska sztuka wojny" – kilkusetstronicowy obrachunek z wojnami, które Paryż oczył w Indochinach i Algierii.

2012 Jérôme Ferrari, „Kazanie o upadku Rzymu" – także z wątkiem afrykańskich kolonii Francji.

2013 Pierre Lemaitre, „Do zobaczenia w zaświatach"– pierwszy tom trylogii „Dzieci katastrofy" o losach społeczeństwa naznaczonego okrucieństwem I wojny światowej i nie dość czujnego, by ustrzec się przed kolejnym wybuchem przemocy.

2014 Lydie Salvayre, „Pas pleurer" („Nie płacz") – powieść córki hiszpańskich uchodźców osnuta wokół wspomnień matki o wojnie domowej z lat 30.

2017 Éric Vuillard, „Porządek dnia".

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Thomas Münzer i protesty chłopskie w 1525 r. Ilustracja z książki „Ostatnie trzy stulecia Niemiec", 1858 r.

↦ choć nie epatuje obrazami nazistowskich zbrodni, pilnuje, żeby ten śmiech szybko zastygł nam w gardle. „Jeśli humor staje się tak mroczny, mówi prawdę" – podkreśla i przenosi akcję do Norymbergi, gdzie każe przyglądać się ławie oskarżonych.

W „Porządku dnia" Francuz zawarł wyjątkowo gorzką satyrę na niemieckich przemysłowców: Carla von Siemensa, Gustava Kruppa, Wilhelma von Opla i wielu innych, którzy już na początku lat 30. wsparli kapitałem reżim Hitlera, wierząc przy tym, że podjęli tę decyzję samodzielnie, niekierowani strachem. Celem pisarza jest ukazanie trwałości tego, co haniebne. Choć skrupulatnie wymienia wielkoprzemysłowych „kapłanów Ptaha", którzy zimą 1933 r. przybyli do pałacu przewodniczącego Reichstagu, to przypomina, że za nazwiskami kryją się znane do dziś firmy. Giganci, którzy w latach 40. produkowali dzięki wycieńczonej sile roboczej więźniów w Auschwitz, Dachau czy Mauthausen. Jeśli pisałby „Porządek dnia" już po agresji Moskwy na Ukrainę, z pewnością wymieniłby koncerny, które zwlekały z wycofaniem się z Rosji albo nadal prowadzą tam interesy. Zwłaszcza że historia części z nich, jak Siemensa, Bayera czy Allianzu, sięga epoki układania się z Hitlerem.

Gdyby na podstawie książek Vuillarda nakręcić jeden długi film, sceny przedstawiające możnych z XVI-wiecznych Niemiec mogłyby sąsiadować z tymi pochodzącymi z „Porządku dnia". Choć dwory Filipa Heskiego i Hitlera dzieli czterysta lat, łączy je podobna buta, która skrywa strach przed sprawiedliwym gniewem. Jednak w „Wojnie biedaków" książęta i arystokraci są nie tylko zadufani i zdradzieccy, lecz zwyczajnie nudni. Wypełniają trzeci plan, ale bez nich akcja nie posunie się dalej. Hrabia Albrecht von Mansfeld jest siódmym hrabią tego imienia w swym rodzie, powiela skazy i małość poprzedników. Lecz pokona Münzera w bitwie pod Frankenhausen, która wyznacza początek końca wojny chłopskiej w Niemczech.

W 1524 r. wybucha konflikt, który przejdzie do historii jako wojna chłopska, najkrwawszy w dziejach Niemiec bunt przeciw panom mającym się za bogów.

Scena 3: „Ani władza, ani książęta"

„Gdyby kto chciał twierdzę zdobyć, ten nie może dokonać tego samym gadaniem, słowem ulotnym, ale musi tam pójść z wojskiem". Nie, to nie słowa Münzera, lecz Jakuba Franka, opisanego przez Olgę Tokarczuk w „Księgach Jakubowych". Vuillard wspomina tych, którzy przed Münzerem toczyli wojnę o Boga dla biedaków. Człowieka nie zbawią „ani pieniądz, ani władza, ani książęta" – powtarzali kolejni trybunowie ubogich. Z Watykanem i tronem walczyli John Wycliffe, John Ball, Wat Tyler, Jack Cade, Jan Hus. Gdyby pisarz nie zamknął narracji wraz ze śmiercią Münzera, ściętego w 1525 r., pewnie w tej galerii umieściłby Jakuba Franka. Choć ten nie jest już zatraconym w gniewie „niszczycielem bezbożnych", szuka wyznawców wśród wyższych sfer i kłania się cesarzom na wiedeńskim dworze. Münzer, jako postać z powieści Vuillarda, rozpadłby się na kawałeczki, gdyby zgiął kolano przed możnymi. Nie, to on im rozkazuje „ukorzyć się przed maluczkimi".

O ile Tokarczuk w „Księgach Jakubowych" chowa się za Frankiem i ogląda go zza kulis, pozwalając mu samodzielnie popełniać błędy, Vuillard jest reżyserem, który siedzi na widowni, komentuje i ocenia działania swoich aktorów. Jego proza jest bardzo samoświadoma. Wyjaśnia czytelnikom, czemu w danym momencie kończy scenę, porzuca bohaterów i uwalnia ich z pętli czasu, do której sam ich zaprosił. Mimo to obie przetłumaczone na polski powieści Vuillarda są nierówne. Owszem, zachwycają precyzją opisu tego, co ukryte w mrokach historii, i wielopostaciowością ironii, którą Vuillard hojnie się z czytelnikami dzieli. Jednak w „Porządku dnia" co kilka stron przemyca górnolotne myśli, które trącą banałem. A to „słońce świeci bezlitosnym blaskiem", a to Niemcy, którym jest „za ciasno", spoglądają „ku zamglonym horyzontom".

W „Wojnie biedaków" styl jest mniej ozdobny i bliższy ziemi. Szkoda tylko, że pisarz nie może się powstrzymać przed wplataniem w narrację truizmów, które mogą zszokować chyba tylko tych, którzy mocno spali na lekcjach historii (np. że kiedyś oficjalnym językiem chrześcijańskiego świata była łacina). Patrzy na chłopów idących po sprawiedliwość oczami nierozumiejącej ich szlachty, a następnie z tej szlachty drwi. Nie próbuje, jak chociażby Radek Rak w „Baśni o wężowym sercu albo wtórym słowie o Jakóbie Szeli", usłyszeć myśli tych, którzy „idą rżnąć pana". W zamian wyszlifowuje ich polityczny program i nie czyni tego wyłącznie dla efektu.

Między przesłaniem książek Vuillarda-pisarza a postawą polityczną Vuillarda-Francuza nie ma dysonansu. W ostatnich latach nie raz stawał w obronie ruchu żółtych kamizelek, apelując o wolność dla zatrzymanych przez policję i sądzonych za wywoływanie zamieszek. Podczas zeszłorocznej kampanii prezydenckiej wsparł kandydata Frontu Lewicy Jeana-Luca Mélenchona. Dziś wypowiada się krytycznie o reformie emerytalnej Emmanuela Macrona. Angażuje się także (obok m.in. Annie Ernaux) w sprawę ekstradycji Vincenza Vecchiego.

Ten włoski antyglobalista był uczestnikiem brutalnie tłumionych przez policję protestów podczas szczytu G8 w Genui w 2001 r. Na podstawie prawa pamiętającego czasy Mussoliniego został w swojej ojczyźnie skazany na 10 lat więzienia. Wcześniej wyemigrował do Francji, gdzie od 2019 r. sądy ważyły decyzję o przekazaniu go Włochom. Kiedy w marcu sąd apelacyjny w Lyonie odmówił ekstradycji Vecchiego, autor „Wojny biedaków" nie krył satysfakcji. Rolę, jaką francuscy intelektualiści odegrali w budowaniu publicznego wsparcia dla Włocha, porównał do manifestów solidarności z czasów sprawy Dreyfussa.

Jednak Tomasz Münzer z mikropowieści Vuillarda nie jest osobą, dla której tłumy chodziłyby na marsze, a intelektualiści pisali z zapałem listy protestacyjne. Vuillard tworzy postać, którą orędownicy równości, wolności i sprawiedliwości społecznej mogą lubić tylko wbrew sobie. Przywódca chłopów zatraca się w nienawiści do władzy politycznej, ekonomicznej i kościelnej. Żąda ostatniej krwi. Jego „hagiografia na opak" zawiera nienachalny, ale bardzo współczesny morał. Otóż historia lubi się powtarzać nie dlatego, że nie wyciągamy z niej wniosków, ale ponieważ nie potrafimy odeprzeć uroku, jaki posiada gniew.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Éric Vuillard **WOJNA BIEDAKÓW**
przeł. Katarzyna Marczewska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023

ULLSTEIN BILD / GETTY IMAGES

Grigorij Sokołow poczas koncertu w filharmonii w Kolonii. Niemcy, 31 maja 2016 r.

Człowiek stamtąd

DOROTA KOZIŃSKA

Już w marcu 2022 r. ofiarował całe honorarium za występ w wiedeńskim Musikverein na rzecz Ukraińskiego Czerwonego Krzyża. Rosjanin, który właśnie został obywatelem Hiszpanii.

Polscy melomani bywają okrutni. Wielbią do granic bałwochwalstwa, a potem strącają z cokołów, albo – w najlepszym razie – wstydliwie porzucają swoje bożyszcza. O Grigoriju Sokołowie, zdaniem wielu najwybitniejszym pianiście naszych czasów, mówili kiedyś, że na fortepianie śpiewa, że muzyką oddycha, że jego interpretacji nie sposób opisać, bo wymykają się słowom. Chyba nie w pełni zdawali sobie sprawę, jakie mieliśmy szczęście, mogąc obcować ↦

↦ ze sztuką Sokołowa w miarę regularnie: w Dusznikach, w Filharmonii Narodowej, na festiwalu Chopin i jego Europa, na koncertach Muzyki w Starym Krakowie. Te ostatnie zapowiadał kiedyś Jakub Puchalski w swoim „Tygodnikowym" blogu, mobilizując czytelników do licznego stawiennictwa w gmachu przy Zwierzynieckiej. Komentował przy tym filuternie, że „na sali jest przecież mnóstwo miejsca, z reguły połowa foteli pusta". Po recitalu w 2014 r. pisał w zachwycie, że „Sokołow przeszedł wręcz samego siebie".

Rosyjskiemu pianiście zdarzało się wielokrotnie przechodzić nie tylko samego siebie, ale i wszelkie granice ludzkiego pojmowania. Zdecydowana większość krytyków i wielbicieli Sokołowa wciąż trwa w podziwie dla jego wirtuozerii, która nigdy nie przesłoniła jego wrażliwości na barwę, umiejętności kształtowania narracji muzycznej oraz wyczucia architektury wielkich form: symetrii poszczególnych części, dramaturgii ich następstw, wewnętrznych zmian i kontrastów.

W Polsce wiele się jednak zmieniło od inwazji Rosji na Ukrainę i zapoczątkowanego w naszym kraju bojkotu rosyjskiej kultury muzycznej. Prawie rok przed wybuchem wojny, kiedy występ Sokołowa w katowickiej siedzibie NOSPR udaremniła pandemia, organizatorzy zamieścili na stronie komunikat, że recital odwołują z przykrością, bo podobnie jak wszyscy nie mogli się doczekać tego spotkania. Koncert przełożony na marzec 2022 r. odwołano bez żadnych wyjaśnień. A wtedy przydałby się bardziej niż kiedykolwiek – choćby po to, żeby zapobiec panoszącym się w sieci insynuacjom, jakoby Sokołowa należało wpierw wyleczyć z poparcia dla kremlowskiego reżimu.

Zwykłe dziecko

Kulturowe embargo ma swoje blaski i cienie, może też z sobą nieść długotrwały efekt psychologiczny, którego skutki będzie z czasem coraz trudniej odwrócić. Świat to już dostrzegł, dostrzegła też Ukraina, tworząc „białą listę" rosyjskich artystów, jawnie potępiających inwazję. Coraz częstszych decyzji o przywróceniu do łask niektórych muzyków i stopniowej reintrodukcji rosyjskiego repertuaru do programów oper i sal koncertowych nie da się wytłumaczyć jedynie hipokryzją i doraźnym interesem ekonomicznym.

Czym innym jest kazus sopranistki Anny Netrebko, która w 2014 r. fotografowała się z flagą Federacji Noworosji u boku Olega Cariowa, premiera efemerycznej republiki i samozwańczego kandydata na prezydenta Ukrainy; czym innym sprawa wybitnych nieraz artystów, nie tylko rosyjskich, którzy z przekonaniem zaangażowali się w kampanię kulturalno-propagandową Kremla po napaści na Ukrainę w roku 2022; czym innym indywidualne losy muzyków zatrzaśniętych w Rosji, rozdartych między uzasadnionym strachem o los własny i swoich najbliższych a niewyartykułowaną potrzebą sprzeciwu wobec okrucieństwa reżimu.

Czym innym wreszcie jest przypadek Sokołowa, wirtuoza mieszkającego od lat za granicą, który gorzkiego smaku bojkotu doświadczył już w wieku lat szesnastu, kiedy otrzymał złoty medal na III Konkursie im. Piotra Czajkowskiego w Moskwie. Publiczność nie kryła oburzenia niespodziewanym werdyktem jurorów. Młodziutkiego laureata powitano na estradzie huraganem gwizdów i szyderczych komentarzy. Wszyscy spodziewali się wygranej starszego o pięć lat Amerykanina Mishy Dichtera, wyróżnionego ostatecznie medalem srebrnym, który prawie natychmiast otworzył mu wrota do błyskotliwej kariery. Niespełna dwa lata później Dichter występował już z najważniejszymi orkiestrami w Stanach Zjednoczonych.

Tymczasem Sokołow – do dziś najmłodszy zwycięzca moskiewskiego konkursu, którego triumfatorami byli przed nim Van Cliburn i Władimir Aszkenazi – zyskał prawdziwe uznanie i niemal kultowy status wśród koneserów pianistyki dopiero w końcu lat 80. Mimo dość częstych występów za granicą, które przeszły na tyle bez echa, że w niektórych źródłach wciąż można znaleźć bałamutną informację, jakoby przedtem grał prawie wyłącznie w Związku Radzieckim. Sokołow odbył co najmniej cztery trasy koncertowe po Stanach: pierwszą trzy lata po Konkursie im. Czajkowskiego, ostatnią w 1979 r. Kolejną planowano na rok 1980.

Wcześniej jednak Sowieci wkroczyli do Afganistanu. Stany Zjednoczone odpowiedziały rozbudowanym pakietem sankcji: począwszy od embarga na dostawy zboża, poprzez bojkot olimpijski, skończywszy na drastycznym ograniczeniu współpracy naukowo-artystycznej. Sankcje dotknęły także muzyków, wśród nich Sokołowa. Wyjątkowo mocno to przeżył. Jego kariera pianistyczna zaczęła się właśnie rozkręcać i każdy tydzień bez koncertu wydawał się czasem straconym.

Kilkanaście lat później, już po rozpadzie ZSRR, kiedy publicysta brytyjskiego dziennika „The Independent" zadał mu pytanie, czego teraz oczekuje od swej ojczyzny, odpowiedział prostodusznie, że poczucia bezpieczeństwa. Kresu ekstremizmu. Żeby już wreszcie było spokojnie. Zagadnięty niezbyt taktownie, czy tęskni za utraconą stabilizacją, żachnął się, że w Sowietach nigdy stabilizacji nie było. Zawsze był terror. Lęk, że ktoś doniesie. Wrażenie odarcia z wszelkiej podmiotowości.

Szczerość słów Sokołowa potwierdził przy innej okazji Anatolij Grindenko, kolega „Griszki" z podstawówki, znany polskim melomanom jako założyciel fenomenalnego chóru Drewnierusskij Raspiew. Zdaniem Grindenki Sokołow nie miał w sobie nic z wunderkinda. Był najzwyklejszym w świecie dzieckiem, obdarzonym najniezwyklejszym w świecie talentem. Jedynakiem, ale nie rozpieszczonym. Synem rodziców zakochanych w muzyce, ale nie parających się nią zawodowo. Chłopcem spokojnym, może odrobinę nieśmiałym i ślamazarnym, który wśród rówieśników wyróżniał się właściwie tylko jednym: od początku wiedział, że muzyka jest celem jego życia.

W niej się zatracał, z nią czuł się naprawdę wolny i bezpieczny. W zamian traktował ją jak żywą istotę. Otaczał miłością i zrozumieniem, oszczędzał jej własnego bólu i strachu. Pewnie dlatego nigdy już nie wrócił do Stanów, nawet po zakończeniu zimnej wojny – choć zdarzało mu się później zasłaniać wymówką, że źle znosi nagłe zmiany stref czasowych. Pewnie dlatego przestał jeździć do Wielkiej Brytanii – żeby uniknąć wymogu składania danych biometrycznych, który kojarzył mu się z sowieckim systemem kontroli. Wychowany w tych samych realiach Grindenko nie dostrzegł w tym żadnego dziwactwa. Jeśli już, to chwalebną niezgodę na kompromis.

Sześć bisów

Na Zachodzie – także w Polsce – Sokołow zyskał opinię ekscentryka. Wielbiciele

zaczęli budować jego legendę, mieszając fikcję z rzeczywistością (często nieświadomie i w najlepszej wierze), przeciwnicy dostrzegli w nim zręcznego manipulatora, nurzającego kontrowersyjne interpretacje w ciężkostrawnym sosie tajemnych znaków i mistycyzmu.

Pianista unika występów z orkiestrą, wysuwając słuszny, choć w dzisiejszym świecie pośpiechu i blichtru trudny do przyjęcia argument, że nie starcza mu czasu na rzetelne przygotowanie utworu z tak licznym zespołem muzyków. Z innych powodów wymawia się od grania kameralistyki, twierdząc – znów poniekąd słusznie – że tego rodzaju twórczości nie można wykonywać w gronie obcych, niepracujących ze sobą na co dzień wirtuozów. Fortepiany do własnych występów dobiera z niewiarygodną wręcz pieczołowitością: potrafi dosłownie rozebrać instrument na części, nim się przekona, „z kim ma do czynienia".

Spytany kiedyś, jak długo ćwiczy przed koncertem, odparł bez namysłu, że 24 godziny na dobę, budując interpretację w głowie, śniąc o niej i dopiero w ostatniej kolejności przenosząc wszystko na klawiaturę. Programy swoich recitali zmienia co roku, czasem zestawiając utwory w tak zaskakujący sposób, że fani doszukują się ukrytego przesłania w jego muzycznych opowieściach.

Nie rozumie fenomenu popularności nagrań studyjnych. Przez blisko dwie dekady, aż do podpisania wyłącznego kontraktu z Deutsche Grammophon w 2015 r., nie wypuścił na rynek żadnej płyty. Nie jest jednak prawdą, że jego dorobek fonograficzny obejmuje wyłącznie nagrania dokonane na żywo podczas koncertów. W archiwach radzieckiej Miełodii zachowała się nawet dokonana tuż po moskiewskim konkursie rejestracja I Koncertu Czajkowskiego – z Państwową Orkiestrą Symfoniczną ZSRR pod batutą Neeme Järviego. Kiedy jednak nagrywał Preludia Chopina dla wytwórni Opus 111, w paryskim Théâtre Adyar, zażądał przygotowania sali jak przed prawdziwym recitalem i zasiadł do instrumentu w koncertowym ubraniu.

Występując przed publicznością, od lat odprawia ten sam rytuał. Wychodzi na estradę ze wzrokiem skupionym na fortepianie, kłania się zdawkowo i rozpoczyna swoje misterium. Kiedy jest już po wszystkim, znika za kulisami

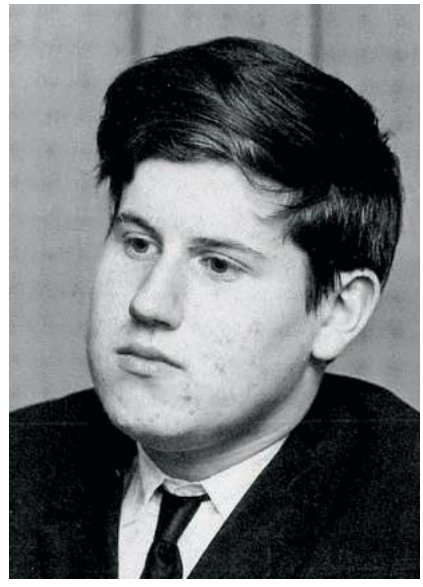

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

17-letni Grigorij Sokołow. 1967 r.

Był najzwyklejszym w świecie dzieckiem, ale obdarzonym najniezwyklejszym w świecie talentem. **Chłopcem nieśmiałym i ślamazarnym,** który od początku wiedział, że muzyka jest celem jego życia.

i długo daje się prosić o bisy. Publiczność nie ustaje w oklaskach, bo wie, że się doczeka. Ba, ma nawet pewność, że bisów będzie sześć, a ich kolejność też okaże się nieprzypadkowa. Jak po koncercie sonat Haydna oraz impromptus Schuberta w pałacu Esterházych w Eisenstadt w 2018 r., kiedy Sokołow zagrał na wety „Le rappel des oiseaux" Rameau, „Melodię węgierską" i jeszcze jedno impromptu Schuberta, Preludium „deszczowe" Chopina, Walc e-moll Gribojedowa i „Des pas sur la neige" Debussy'ego. Dzięki staraniom Deutsche Grammophon, które wypuściło dwupłytowy album na rynek w kwietniu 2022 r., można przeżyć tamten recital choćby w wyobraźni.

Krzesełko

Problem w tym, że w Polsce jest wielu słuchaczy, którzy po te nagrania nie sięgną. Z najrozmaitszych zresztą powodów, poczynając od zacietrzewienia ideologicznego, skończywszy na wątpliwościach natury moralnej. Niepewni odłożą Sokołowa na lepsze czasy, „kiedy już będzie po wszystkim", kiedy artyści z Rosji odetną się definitywnie od swych korzeni i staną się znów obywatelami świata. Mało kto się zastanawia, ile to potrwa, czy skończy się powrotem do przedwojennego *status quo*, czy za toczącą się w zachodnich mediach dyskusją o celowości i skuteczności sankcji kulturalnych stoją wyłącznie chciwość i koniunkturalizm.

Trudno zresztą oczekiwać rzetelnej debaty w kraju, gdzie media podają informację o niedawnym uzyskaniu obywatelstwa Hiszpanii przez Sokołowa w tym samym komunikacie, w którym donoszą o naturalizacji sportowców, umożliwiającej im grę w obcych reprezentacjach narodowych. Gdzie krytycy próbują „usprawiedliwiać" stojące za Sokołowem instytucje muzyczne i samego pianistę, rzekomo tak pogrążonego we własnym, autystycznym świecie, że mógł nawet nie zauważyć, że Rosja napadła na Ukrainę. Gdzie chyba nikt się nie zająknął, że Sokołow już w marcu 2022 r. ofiarował całe honorarium za występ w wiedeńskim Musikverein na rzecz Ukraińskiego Czerwonego Krzyża.

Na szczęście ludzie, którzy znają „Griszkę" od lat, doskonale wiedzą o jego wielkoduszności i wrażliwości wobec innych. Pamiętają, że jeszcze w czasach sowieckich wracał do domu z walizami pełnymi partytur dla znajomych muzyków, że dokonywał cudów, by zdobyć niedostępne w Rosji lekarstwa, ilekroć ktoś z przyjaciół podupadł na zdrowiu. Tymczasem agenci nie mogli się doprosić, żeby pianista przynajmniej raz na dziesięć lat kupił sobie nowy garnitur.

Sokołow z równym wdziękiem rozdawał prezenty, jak je przyjmował. Cieszył się jak dziecko, gdy po którymś przyjeździe do Londynu zastał w pokoju stos darów od swego wielbiciela, a zarazem aspirującego pianisty: m.in. zapas wina i czekolady, komputerową grę w szachy i egzemplarz „Mistrza i Małgorzaty" Bułhakowa. Następnym razem odwdzięczył mu się kryształową miniaturką fortepianu z kolekcji Swarovskiego. „Pan popatrzy – zachwalał to cacko – nawet krzesełko jest! Maciupcie, tycie, też z kryształu, pan patrzy!".

Takie maleńkie krzesełko. Taki wielki pianista. Taki ubogi ten świat, w którym nie możemy swobodnie podyskutować o jego sztuce. © DOROTA KOZIŃSKA

Za lasem

ANITA PIOTROWSKA

W „Prześwietleniu” swój wyraz znajduje styl wnikliwy i nienachalny – w sposobie opowiadania i gry aktorów nieomal szeptany. Sprawdza się w ukazywaniu pojedynczych losów oraz luźnej, karpackiej mozaiki kultur.

MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

Łacińska nazwa „Transylwania” podpowiada znacznie więcej aniżeli jej pierwotne znaczenie. I więcej niż swojsko brzmiący „Siedmiogród”. Miała oznaczać obszar położony „za lasem”, lecz kojarzy się także z kulturową transgranicznością, z ciągłą transformacją, a może nawet, przywołując mroczne legendy tego regionu, ze swoistym transem na granicy snu i jawy.

Wszystkie te konteksty można odnaleźć w filmie „Prześwietlenie”, w którym Cristian Mungiu raz jeszcze wykonuje rezonans magnetyczny rumuńskiej duszy. Nie tak drapieżnie jak wtedy, gdy poprzez temat zakazanej aborcji rozliczał się z traumatycznym dziedzictwem Ceaușescu. Albo gdy piętnował rzeczywistość postkomunistyczną, z jej opresyjną religijnością i ślepą gonitwą za sukcesem. Tym razem interesuje go stan umysłu mieszkańców europejskich rubieży, rozdartych między starymi przesądami i wyzwaniami nowoczesności, uwięzionych w tradycji, a zarazem w bezwzględnej logice globalnego kapitalizmu. I nawet jeśli sam wpada przy okazji w publicystyczne wnyki, z pomocą, oprócz jasnowidzących dzieci, przychodzą mu... karpackie niedźwiedzie. Czyli natura, która bierze odwet, i natura jako karykatura – ludzkiej pychy, stadnych instynktów, kultu siły.

Pokazane na ekranie rumuńskie miasteczko uosabia paradoksy i nastroje ciągle żywe w naszej części Europy. Oto po zamknięciu kopalni, pod wpływem masowych wyjazdów zarobkowych na Zachód, zaczyna brakować rąk do pracy. Ale tych, którzy mogliby wypełnić ową lukę, raczej nie wita się chlebem i solą. Przeciwnie: lepiej, żeby tego chleba w ogóle nie dotykali. Kiedy piekarnia sprowadza pracowników ze Sri Lanki (zwiększenie zatrudnienia jest warunkiem otrzymania funduszy unijnych), w wielokulturowej populacji, złożonej z Rumunów, mniejszości węgierskiej i potomków niemieckich osadników, zaczyna wrzeć. Dopiero co udało się definitywnie rozwiązać problem romski, a już najeżdżają ich jacyś inni „obcy”. Jak na ironię, główny bohater, Matthias (w tej roli Marin Grigore), powrócił właśnie do miasteczka z saksów w Niemczech, gdzie Rumuna, nawet niemieckojęzycznego, nie odróżnia się od Roma. Z kolei dla dalekowschodnich gastarbeiterów mało gościnna Transylwania staje się urzeczywistnieniem wymarzonego Zachodu. W ten tygiel nacji i racji, odcieni skóry i religii, języków, stereotypów i uprzedzeń wrzuca jeszcze Mungiu młodego francuskiego ekologa, który zajmuje się liczeniem okolicznych niedźwiedzi. Szkoda, że owa postać, przybyła z trochę innej cywilizacji, nie odgrywa w tej historii większej roli, prócz zdziwionego świadka, obwinianego za to, że przecież w jego kraju „biją Murzynów”.

Skupia się Mungiu na eskalacji atmosfery pogromowej w miasteczku i na dziwacznym związku erotycznym między prężną menedżerką piekarni Csillą (Judith State) a żonatym Matthiasem. Ten drugi wątek przynosi sporo ironicznych obserwacji, bowiem twórcy spoglądają z ukosa i na kosmopolityczną singielkę, która upija się przy muzyce ze „Spragnionych miłości” Wonga Kar-waia, i na jej kochanka, sfrustrowanego karpackiego macho. Jej zaangażowanie w obronę Lankijczyków przed rasistowskim „ciemnogrodem” ma w sobie coś z pokazówki (wszak „Zachód patrzy!”) i ma związek z interesem firmy, zaś jego obojętność wobec narastającej ksenofobii wynika nie tylko z konformizmu. Te indywidualne „prześwietlenia”, właśnie dlatego, że nie przynoszą oczywistych diagnoz, z pewnością udały się rumuńskiemu reżyserowi.

Dużo bardziej jednoznacznie przedstawia zbiorowego ducha transylwańskiego Mordoru. Nasiadówki z udziałem mieszkańców deliberujących pod egidą wójta i plebana nad pozbyciem się obcego elementu, również z powodów sanitarnych, brzmią groźnie i znajomo, choć ze względu na swój metraż oraz dosłowność niepotrzebnie dociążają tę historię. Przypominają pod tym względem tendencyj-

POŻEGNANIE

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Mateusza Zegadłowicza

koordynatora Klubu TP w Wadowicach.

Żegnaj.

Redakcja „Tygodnika Powszechnego” i Klub „Tygodnika Powszechnego”

PRZEŚWIETLENIE („R.M.N.")
– reż. Cristian Mungiu. Prod. Rumunia/ /Francja/Belgia 2022. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 19 maja.

Cristian Mungiu to jeden z czołowych przedstawicieli tzw. rumuńskiej nowej fali. Zwrócił uwagę debiutanckim „Zachodem" (2002), ale rozgłos przyniosły mu „4 miesiące, 3 tygodnie, 2 dni" (2007) nagrodzone m.in. Złotą Palmą w Cannes. Na tym samym festiwalu otrzymał potem nagrodę dla najlepszego scenarzysty („Za wzgórzami", 2012) i reżysera („Egzamin", 2016).

nie ustawiony sąd rodzicielski z filmu „Niefortunny numerek lub szalone porno" (2021) Radu Jude, innego fabularyzowanego eseju o rumuńskim DNA. U Mungiu bez wątpienia robi wrażenie mistrzostwo inscenizacji – w jednym kilkunastominutowym ujęciu odbija się patowość społecznej polaryzacji. Dla takich ustawień warto się pomęczyć na zebraniach.

Lecz tym, co przesądza o oryginalności „Prześwietlenia", jest jego niespodziewany surrealistyczny skręt, jakby reżyser sabotował swój brutalny realizm (świniobicia, polowania na zwierzęta, nagonki na ludzi), dodając mu odcień magiczny i bynajmniej nie ocieplający. Wnosi taką aurę ośmioletni synek głównego bohatera o imieniu Rudi, który niedawno stracił mowę pod wpływem tajemniczego zdarzenia w lesie. Film rozgrywa tę postać, podobnie jak i las, i wątek niedźwiedzi, nie na zasadzie orientalizującego ozdobnika. Poprzez chłopięce medium odbywa się dyskusja na temat wzorców męskości czy coś w rodzaju świeckich egzorcyzmów, obnażających rozpad wspólnoty, kryzys dotychczasowych autorytetów czy tamtejszy mit multi-kulti. Nie jest także przypadkiem, że przyjazd azjatyckich „intruzów" i związane z tym dramatyczne incydenty mają miejsce w okolicach Bożego Narodzenia, w czas jasełek, barwnych korowodów, wspólnego obdarowywania się i muzykowania w kościele. Na krótką chwilę wszyscy, z Francuzem włącznie, spotykają się przy świątecznym stole.

Kino z naszej części Europy, fabularne i dokumentalne, od czasu do czasu wpada w pułapkę „świata przedstawionego", mając pewnie na uwadze długie dekady z różnych powodów przed kamerą nieprzedstawione. Owocuje to wybrzmieniem nadmiernie deklaratywnym – i tak bywa w tym przypadku. Zdecydowanie najlepiej wychodzi Rumunom styl wnikliwy, acz nienachalny, nieomal szeptany w sposobie opowiadania i gry aktorskiej, co i w „Prześwietleniu" znajduje czasem swój wyraz. Sprawdza się w ukazywaniu pojedynczych losów, ewentualnie luźnej mozaiki kultur, gorzej przy prześwietlaniu Europ różnych prędkości, postkolonialnych resentymentów i tożsamościowych wzmożeń. Inne ambicje miał Damian Kocur w filmie „Chleb i sól", też inspirowanym faktami, też z niechcianymi imigrantami w tle. I osiągnął mocniejszy efekt. Odwoływał się raczej do naszych i swoich emocji, mocniej wierzył w postacie i w rzeczywistość. Mungiu woli chłodne, pokawałkowane i zarazem bardziej groteskowe studium plemiennej mentalności czy cywilizacyjnego rozkroku. I zdystansowaną formę „oni" niż po prostu „my" czy „ja". ©

Lektor:
Dwie twarze Elizy K.

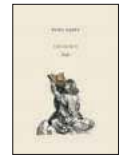

■ *Eliza Kącka*
IDIOMY. ESEJE
Wydawnictwo Austeria, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2023, ss. 370

Pracuje u podstaw. Prowadzi stały nasłuch mowy codziennej naszego plemienia i zdaje z tego sprawę w książkach (ostatnio w „Strefie zgniotu") oraz na łamach „Tygodnika". Łączy to z pracą na wysokościach. Bo Norwid, Leśmian, Witkacy, Schulz, Gombrowicz, Białoszewski, Różewicz i Przybylski, Maria Janion, Brach-Czaina, że o Borgesie czy Susan Sontag nie wspomnę... Jej mistrzowskie podsłuchania cudzych rozmów są zabawne, choć też nieco przerażające, ale bliższe przestrodze niż szyderstwu. Jej eseje o literaturze to dzisiaj najznakomitsze przykłady gatunku. Warto sięgnąć po „Idiomy", kolejny tom eseistycznej serii wydawnictwa Austeria. Ta seria liczy dopiero pięć tytułów, a już można powiedzieć, że jest wybitna.

Na początku Eliza Kącka przypomina opowiadanie Stanisława Lema „Terminus". Pojawia się w nim robot, który przetrwał katastrofę statku kosmicznego i reprodukuje teraz komunikaty jego nieżyjącej dawno załogi. Bohater włącza się na chwilę w tę rozmowę zmarłych – i nagle okazuje się, że trajektoria głosów się zmienia, że docierają doń emisje żywych osobowości. Bohater zrywa kontakt – bo o co pytać nieistniejących? Ale może ten ułomny dialog jest metaforą literatury, jedynego miejsca – pisze Kącka – „gdzie nieistniejący i zmarli chcą i mogą z nami rozmawiać, przekraczając granice zastygłego na papierze tekstu". W eseju zaś łatwiej niż w nauce odkryć to, co u danego autora idiomatyczne, swoiste, osobne; przeżyć magię obcowania z czyjąś postacią i jej myślą. To próba nawiązania dialogu po katastrofie anakaliptycznej, jak ją autorka nazywa, związanej z kryzysem potrzeby rozumienia, erozją sensu i stopniową utratą pamięci. Idzie o rzeczy elementarne: „Co nowego mają nam do powiedzenia autorzy, których zdecydowaliśmy się czytać. Z jakimi problemami – realnie – musieli się mierzyć. W jaki układ współrzędnych można – faktycznie – ich wpisać. Jaka była rozpiętość ich intelektualnych tęsknot i aspiracji". To powrót do literackiego portretu, do jednostki w jej niepowtarzalności.

Wymieniłem na początku nazwiska z wyżyn, gdzie przebywają Wielcy Zmarli – ale Kącka nie porzuca Żywych. Ani Olgi Tokarczuk, ani Jacka Dehnela („Inwazja porywaczy Polski"), ani pisanych w konwencji dramaturgicznej tekstów Weroniki Murek. Czasem zaś zanurza się w sny – nie tylko cudze. I to także jest piękne! ©℗

OLGA

Drenda:
Sto lat, Babciu

9 MAJA SZEŚĆDZIESIĄTE URODZINY obchodziła pewna Babcia, szczególna, bo kolejowa. Takiego przydomku dorobił się najstarszy elektryczny zespół trakcyjny EN57 jeżdżący po polskich torach (przeciętny pasażer zapewne powie po prostu „pociąg", ale to potoczne uproszczenie – EZT w odróżnieniu od np. składów wagonowych ma wspólną przestrzeń pasażerską). Należącą do taboru Kolei Mazowieckich Babcię można podziwiać w oryginalnej, granatowo-żółtej malaturze. To ona sprawiła, że jednostki EN57 nazywa się czasem „minionkami" – to mimo wszystko sympatyczniejsza nazwa niż obowiązujący przez wiele lat niesławny przydomek „kibel". Dziś zresztą jeździmy i tak głównie zmodernizowanym taborem (Babcia również przeszła generalny lifting), więc do przeszłości odeszła większość ekstremalnych wrażeń związana z podróżami, takich jak toaletowy zapaszek, od którego pochodziło wspomniane wyżej przezwisko. Ale też nie ma drugiego pojazdu, szynowego czy nie, który wzbudzałby tyle emocji i tak mocno wrył się w materię pamięci: podróż EN57 oznaczała pakiet nieoczekiwanych atrakcji, z którymi nauczyliśmy się żyć, a niektórym z nas (w tym mnie) udało się je polubić. Jak mawiają miłośnicy tych jednostek, szczególna subkultura w świecie mikoli (czyli miłośników kolei): „EN57 – i czujesz, że jedziesz".

Tak, chłodek, ale zaraz będzie bardzo, bardzo ciepło w nogi i tylko w nogi.

OLGA DRENDA

Najeździłam się w życiu EN57 – z Katowic do Krakowa, a potem dokądkolwiek z mojej najbliższej stacji na linii S7. Czułam, że jadę na wiele różnych sposobów, miłych i przykrych: najlepiej byłoby zaopatrzyć się w czapkę i klapki zarazem, gdyż okna często bywały nieszczelne, mrożąc uszy, a ogrzewanie umieszczone pod siedzeniami niemal rozpuszczało obuwie. Bałam się niespodziewanie otwierających się drzwi, bo zdarzały się wypadki. W ciepłe dni przyklejałam się do siedzisk z dermy lub plastiku, odpoczywałam przy kojącym, jednostajnym tykaniu słynnej sprężarki – z hałasów świata ten jest mi chyba najmilszy. Szok termiczny w jakimś stopniu rekompensowały duże siedzenia i obszerne miejsce na bagaże; z podróżą „kiblem" kojarzy mi się poczucie, że nawet w tłoku nie brakowało pola manewru, że można było się wręcz swobodnie rozwalić, jak swawolny Dyzio, jak wagarowicz. Ale może to też wspomnienie po bardzo tanich przejazdach w czasach, kiedy taki tabor dominował na polskich trasach – poczucie swobody mogłam kupić sobie za kilka złotych.

Mikole mają wiele osobistych powodów, by kochać „jednostkę", nie tylko nostalgicznych. Pracownicy kolei cenią w EN57 odporność na pogodę, trwałość, stosunkowo niską awaryjność i cechę, którą miały też stare samochody – mało subtelna, za to mocna konstrukcja sprawiała, że wiele dało się naprawić samodzielnie i przy odrobinie pomysłowości. To konstrukcja spod znaku „Polak potrafi", bo produkcją przez wiele lat zajmował się wrocławski Pafawag (w tamtejszej galerii BWA właśnie trwa malutka wystawa o wczasach i rekreacji pracowników tego olbrzymiego zakładu). Przemawia do poczucia, że czasem coś mało wyrafinowanego działa solidnie, a czasem nawet sprawdza się lepiej od zaawansowanych technicznie nowości. To niedoceniane uczucie, a bardziej złożone, silniejsze i konkretniejsze niż zwyczajna nostalgia: przywiązanie i tęsknota związane z praktycznością. „Po co wyrzucać coś, co działa". Łatwo je zbywać jako sentyment, ale skrywa się w nim coś więcej: zapobiegawczość, przytomność, odporność na łatwe zaczarowanie nowością.

Dzisiaj podróże koleją są z wielu przyczyn inne – bardziej komfortowe i sterylne, również na pokładzie odświeżonych jednostek EN57. Można jednak przypuszczać, że nie będzie żadnego nowego modelu pojazdu, na kolei czy gdziekolwiek indziej, który doczeka się równie hucznych urodzin jak Babcia. Nasze czasy charakteryzuje bowiem anonimowość i przezroczystość. Przez to jakby trudniej stworzyć więź z rzeczami, bo w nowych projektach brakuje często elementu niewygody, paradoksu, jakiegoś drobnego zgrzytu – tego samego, co sprawia, że zauważamy i zaczynamy lubić siebie nawzajem. Ale zgodnie z planami przewoźników kolejowych czeka nas jeszcze co najmniej kilkanaście lat z EN57 i kto wie, może przeżyją nas wszystkich. Zatem Babciu, jeździj nam sto lat. ©

PAWEŁ

Bravo: *Kucharz dobrze usposobiony*

Trzydzieści cztery procent prawdopodobieństwa, że w połowie maja zrobi się zimno i paskudnie, to jest mocny dowód na istnienie światów równoległych, gdyż uczeni z UJ, którzy na podstawie analizy danych meteo wyliczyli ten wskaźnik, żyją niewątpliwie w innej, łaskawszej Polsce. W naszej bowiem zimni ogrodnicy napadają niechybnie każdej wiosny, najwyżej nieco spóźnieni. Dlatego darowane od losu parę ciepłych dni przesiedziałem w ogródkach. Bardzo umownych, ponieważ kawiarniane stoliki zazwyczaj stoją na gołym trotuarze. Ale to drobiazg, gdy miasto jest ogrodem, obecna stolica przecież swą wizualną niezborność kompensuje wyspami pysznej zieleni.

Takimi jak skwer wokół kina Stolica przy Narbutta, siedziby Iluzjonu, instytucji skądinąd już wygasającej, skoro trzy czwarte skarbów kina, których oglądanie w tamtej sali uformowało wrażliwość osób obecnie po czterdziestce, jest dostępne w sieci. Przylegająca do kina przestrzeń, od kiedy pamiętam, bywała towarzyskim i rozrywkowym tyglem. Piszę „przestrzeń", a nie „bufet" czy „bistro", bo z racji swojej służebnej funkcji i bycia częścią modernistycznego holu stanowi to miejsce formę otwartą, dookreślającą się w konkretnych sytuacjach. Lubię w gastronomii taką chwiejność, stylowe rozmazanie, przyciasno się czuję w lokalach o jasnym charakterze.

O tym, do jakich zaskoczeń prowadzi rozszczelnienie formy, wie dobrze Bogdan Gałązka, nietuzinkowy szef kuchni, znany kiedyś z restauracji na zamku malborskim, osadzonej w klimacie miejsca, i z rekonstrukcji krzyżackich receptur. Tamte spójne ramy „gotyckiego" konceptu rozsadzały w karcie naleśniki, takie najserdeczniejsze, mamusine, z serem i owocowym musem. Nic „gwiazdkowego", ale kiedy pewnego dnia ekipa prestiżowych stołecznych kucharzy jechała do Gdańska, poprosiła przez telefon o podwiezienie paru porcji do pociągu, gdy się zatrzyma na miejscowej stacji. Happening przekształcił się rychło w stałą usługę – grono wtajemniczonych łasuchów wiedziało, że może sobie po drodze nad morze zamówić na peron naleśniki. Choć samo danie niewyszukane, Gałązka umiał je tak dopracować w szczegółach dodatków i opakowania, że otwierał na moment okienko w czasy, gdy przydworcowe restauracje karmiły pasażerów obitych pluszem pulmanów.

Jedzenie na kolei to ważny dla mnie temat, ale nie idźmy w tę bolesną dygresję, bo swoje naleśniki Gałązka smaży dziś zupełnie stacjonarnie w Stolicy, wystarczy kupić bilet na metro i wysiąść na stacji Pole Mokotowskie.

W poprzedniej naszej rubryczce rzuciłem niewczesny pomysł, by wokół tego dania zorganizować jakiś uliczny bankiet. Zachciało mi się naleśników, a że nigdy nie nauczyłem się ich sam dobrze robić, ruszyłem na Narbutta. Po czym, ugasiwszy nostalgię, powracałem, by próbować typowo śniadaniowych i wieczornych przegryzek, tostów i sałat, z lekkimi wtrętami egzotycznymi (a może szakszuka to już europejska rzecz?), ale głównie osadzonymi w swojskości. Jak pietruszkowe pesto, w którym po raz pierwszy poczułem, że płatki drożdżowe mogą na serio zastąpić parmezan. Normalnie na dźwięk słów „wegańskie miętowe majo" wchodzę na wyższy stopień szyderstwa, ale Gałązce na tyle ufam, żeby to zjeść nieironicznie.

Wspominając, niestety, o bzdurach, jakie wygadywano tuż przed przejęciem miejsca przez obecną ekipę. Rzecz w tym, że Iluzjon podlega resortowi kultury, znanemu z rozmaitych ideologicznych decyzji, łatwo było więc puścić plotkę, że nowe bistro będzie propagować słuszne, narodowe „mięcho". Powtarzali to ludzie, którzy nie zainteresowali się, kim będzie nowy szef. Owszem, zapatrzony w tradycję – robił wszak doktorat z badań nad XIX-wiecznymi, pionierskimi w naszej kuchni poradnikami Jana Szyttlera – ale też jeżdżący na Bliski Wschód po inspiracje. Choć w niedzielę zestaw obiadowy stanowi potężny rosół i schabowy ze złotnickiej świnki, to karta została w większości niezwierzęca.

W roku wyborczym mamy pełno takich „inb", czyli momentalnych awantur złożonych w całości z „nie wiem, ale się wypowiem". Smutno mi jednak, kiedy bryzgają pianą na jedzenie. Bez polityki można zdrowo przeżyć wiele miesięcy, a do stołu jednak trzeba zasiąść codziennie – i warto, żeby, jak głosi tytuł jednej z książek Szyttlera, gotował nam „kucharz dobrze usposobiony". ©℗

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

W zeszłym tygodniu zachęcałem, byśmy w naszej facebookowej grupie Smaki komentowali koronacyjną tartę ze szpinakiem i bobem. Zostanie mi po tym jedna znakomita sugestia, w sam raz na sezon szparagowy – oto Michał Kuźmiński podzielił się swoim przepisem, jak je zapiec na tarcie, żeby nie zabić zwiewnego smaku „normalną" masą żółtkowo-serową. Otóż na podpieczony kruchy spód kładziemy, uprzednio pozbawione zdrewniałej końcówki, obrane i zblanszowane w osolonym i posłodzonym wrzątku szparagi – można je pociąć na krótsze kawałki, aby dały się regularnie ułożyć (łatwiej nam będzie w formie prostokątnej). Zalewamy je tak, by prawie przykryć, masą z mocno zmieszanych widelcem białek i mleka (w proporcji 1 białko na 60 ml mleka) przyprawionych solą i gałką muszkatołową. Pieczemy 20-25 minut, aż się ładnie zrumieni.

KRÓLOWA SŁOŃCE

Joan Collins jest diwą moszczącą się w łożu z odpadków popkultury. Ale w tej pośledniej jakości pościeli ona sama jaśnieje niedościgłym blaskiem.

SEBASTIAN SMOLIŃSKI

EDDIE SANDERSON / GETTY IMAGES

Joan Collins w swoim apartamencie w Hollywood. Marzec 2015 r.

W listopadzie 1981 r. narodził się demon. Średnio popularna wówczas opera mydlana „Dynastia" powróciła z drugim sezonem. Po czołówce, stanowiącej zestaw standardowych pocztówek z Denver w Kolorado, widzowie trafiali na salę sądową, gdzie pierwszą przesłuchiwaną była Brytyjka w białym kapeluszu z szerokim rondem i czarną woalką. Oto Alexis w wykonaniu Joan Collins: arcymodliszka o ciętym języku, pogardliwym spojrzeniu i nienagannym stylu. Kreacja aktorki była tak charyzmatyczna, a jej rola tak soczysta, że „Dynastia" poszybowała w górę w rankingach oglądalności, stając się jednym z najpopularniejszych seriali wszech czasów.

Joan Collins kończy właśnie 90 lat. Co przez te wszystkie dekady robiła aktorka, która do dzisiaj uosabia postać zepsutej, nienawistnej, perfidnej, ale jednocześnie nieskończenie fascynującej kobiety?

Diwy i drapieżcy

W 2015 r. Collins została uhonorowana przez królową Elżbietę II tytułem szlacheckim. Zdjęcia z tego dnia ukazują dwie zupełnie inne od siebie damy: monarchinię stawiającą rację stanu na pierwszym miejscu i ubierającą się z rozmachem gwiazdę telewizji, prawdziwą królową życia. W odróżnieniu od innych wyróżnionych przez Pałac Buckingham, np. Laurence'a Oliviera i Emmy Thompson, Collins nie zdobyła sławy dzięki rolom szekspirowskim – lub jakimkolwiek innym, które kojarzyłyby się z tzw. sztuką wysoką.

Chociaż kształciła się w szacownej Royal Academy of Dramatic Art i wciąż okazjonalnie występuje w teatrze, szybko trafiła na plan filmowy, specjalizując się w rolach dziewczyn ponętnych i niebezpiecznych. Brytyjscy i amerykańscy filmowcy wpisywali ją w te klisze, bo pewnie nie mieli lepszego pomysłu, co zrobić z tak zjawiskową osobowością. Miała burzę ciemnych włosów, wijących się jak trujący bluszcz; wyraźnie zaznaczone, zwykle ironicznie uniesione brwi; delikatne rysy twarzy i wydatne usta. W połączeniu z zadziornym, silnym charakterem wygląd Collins stanowił mieszankę wybuchową. Nic dziwnego, że porównywano ją z Elizabeth Taylor i że ubiegała się o rolę Kleopatry w słynnej hollywoodzkiej megaprodukcji, w której w końcu wystąpili właśnie Liz i Richard Burton.

Joan Collins także miała na swoim koncie „sandałowe widowiska". Trafiła do Hollywood pod koniec złotej ery, kiedy studia produkowały kosztowne, koturnowe spektakle, próbując konkurować w ten sposób z telewizją. Rzadko wracamy do tych ramot, a sama Collins nie stworzyła też wówczas roli, która przeszłaby do historii. Ale ziarenko, z którego wykiełkuje nasza straszna Alexis, zostało zasiane właśnie tam i wtedy.

Warto zobaczyć, jak aktorka rozprawia się z bohaterami „Ziemi faraonów" Howarda Hawksa z 1955 r., jednego z najmniej cenionych dzieł mistrza, który dwa lata wcześniej wyreżyserował Marilyn Monroe w „Mężczyźni wolą blondynki". W Egipcie czasów Cheopsa, jako cypryjska księżniczka Nellifer, Collins najpierw wkupia się w łaski faraona, by potem nawiązać romans i spiskować z jego kapitanem, doprowadzić do śmierci żonę władcy, a na końcu – jego samego. Wydaje się, że nie ma żadnej siły zdolnej poskromić pazerną i pewną siebie Nellifer, w której oczach szaleją diabełki. Tak, to już jest cokolwiek starożytna „Dynastia", choć pomimo knowań księżniczki mężczyznom udało się zbudować solidną piramidę.

Po latach Collins będzie wspominać, że przetrwała w Hollywood, w którym „wszyscy mężczyźni byli drapieżnikami". Aktorka już jako nastolatka doświadczyła przemocy seksualnej, a w wywiadach podkreśla, że w tej branży trzeba ↦

WPA POOL / GETTY IMAGES

Totalne aktorstwo Collins nie zna umiaru, miesza blichtr z kiczem, afektację z ironią, pewność siebie z nieskończonym dystansem do rzeczywistości i własnej osoby. Prawdziwa diwa zawsze będzie postacią większą niż życie.

Królowa Elżbieta II i Joan Collins na przyjęciu w Pałacu Buckingham. Londyn, 2014 r.

wykształcić grubą skórę i silny charakter. Łatwiej powiedzieć niż zrobić, ale dobiegająca trzydziestki Joan chyba naprawdę nie miała innego wyjścia. Hollywoodzki *glamour* dokonywał żywota i zaczynała się era, w której będzie mniej miejsca dla prowokujących *femmes fatales* – przynajmniej przez pewien czas.

Mrówki i ogiery

Lata 60. i 70. były dla Collins czasem nieudanych małżeństw, odejścia od kariery na rzecz dzieci oraz występów w drugorzędnych filmach i czerstwych komediach. Kiedy w 1977 r. zagrała główną rolę w „Imperium mrówek", tanim horrorze opowiadającym o – zgadliście! – gigantycznych mrówkach atakujących ludzi, kariera aktorki zabrnęła w ślepą uliczkę. Film o przerośniętych insektach ma dzisiaj status kultowy, ale chyba nie takie były aspiracje gwiazdy, która widziała siebie jako pełnoskalową władczynię Egiptu.

Zapamiętajmy jednak ten kryzysowy moment, bo z dzisiejszej perspektywy artystyczna wszystkożerność Collins może być źródłem inspiracji. Jeśli bowiem jest ona diwą – a kto miałby być, jeśli nie ona? – to właśnie diwą moszczącą się w łożu z odpadków popkultury, przykrytą kołderką ze szmirowatego kina gatunkowego, śpiącą smacznie pod baldachimem sklejonym z odpadków telewizyjnych tasiemców drugiej świeżości. W tej pośledniej jakości pościeli jaśnieje jednak niedościgłym blaskiem.

Dwa filmy z końca lat 70. dały karierze Collins nowy impet – „Ogier" i „Dziwka". Tytuły obu brytyjskich hitów jasno wskazują, że jesteśmy jeszcze w królestwie kina podrzędnego, ale widzowie z epoki dostali w pakiecie dwie wielkie atrakcje: rozbudzoną seksualnie bohaterkę po czterdziestce oraz garderobę, na czele z futrami i obcisłymi gorsetami, tworzącą rewię mody godną szemranego klubu nocnego. Postać graną przez Collins w „Ogierze" najczęściej określa się jako nimfomankę, ale powinniśmy być bardziej życzliwi. To po prostu ktoś o dużym apetycie i kolorowej wyobraźni, żądny rozrywki i akcji. Z tą kobietą można konie kraść. Aktorka dowiodła, że wkraczając w dojrzały wiek czuje się w swoim ciele niezwykle pewnie.

Kawior i dolary

Wchodzi Alexis – dokładnie taki tytuł miał pierwszy epizod „Dynastii", w którym wystąpiła Collins. Ikoniczna dziś nienawistnica pojawia się w sądzie, by pogrążyć swojego byłego męża, potężnego Blake'a Carringtona. Fałszywa cnota na potrzeby publiki, w połączeniu z trującym językiem zawsze w użyciu za kulisami, określiła postać zdolną do największych świństw – zawsze dokonywanych w białych rękawiczkach. „Dynastia" pozostaje punktem odniesienia dla współczesnych opowieści o obrzydliwym bogactwie. Dorobiła się też wyjątkowego statusu w Polsce, gdzie zaczęto ją nadawać na początku lat 90. W czym tak właściwie tkwiła magia serialu?

Podobnie uwodzicielskiej wizji codziennego luksusu, rozpisanej na ponad 200 odcinków, chyba wcześniej w telewizji nie było (któż dziś pamięta o „Dallas", czyli konkurencyjnej operze mydlanej?). Szczególnie w transformacyjnej Polsce fantazje epoki prezydenta Ronalda Reagana trafiły na podatny grunt. „Dynastia" jawiła się jako pozłacana instrukcja obsługi zamożnego Zachodu. Widzowie pochłaniający serial w latach 90. często wspominają, że z jednej strony określił on aspiracje i imaginarium kroczących ku kapitalizmowi Polaków, a z drugiej – w jakimś sensie normalizował eksces, nadwyżkę i absurdalne bogactwo.

Oglądana po latach „Dynastia", pełna niespójności i zawikłanych zwrotów akcji, z pewnością działa bardziej na poziomie wyobrażeń i fantazji niż jakiegokolwiek społecznego konkretu. A jednak pomimo fundamentalnego odrealnienia jest w sadze o Carringtonach sporo wrzutek rzeczywistości, które przypominają nam o różnicach klasowych, strajkach pracowników naftowego magnata, problemach na Bliskim Wschodzie, a nawet o ekologii i polityku Ralphie Naderze, który do dziś działa na rzecz ochrony środowiska.

Oczywiście, nie ma to tak naprawdę znaczenia w przypadku opowieści, w której centrum znajduje się Alexis w arcy-

dzielnej interpretacji Joan Collins. Do sennej telenoweli wniosła ona wigor i inteligencję, wytrącając pozostałych bohaterów z samozadowolenia i prowokując: „Jesteście w stanie mnie pobić”? Postać i publiczny wizerunek aktorki zaczęły się ze sobą stapiać, co nie do końca napawało ją dumą. To przecież kłopotliwe, kiedy niemal wszyscy zdają się myśleć, że jesteś po prostu ową wzorcową „zimną suką”. W wieku 50 lat i w trakcie przygody z „Dynastią” Collins wystąpiła w pamiętnej sesji dla „Playboya” z 1983 r. John Forsythe, grający główną rolę Blake’a Carringtona, był ponoć oburzony, że ktoś w ten sposób kala jego poczciwe serialowe gniazdko. Collins była niewzruszona: nie na mieszczańskiej wstrzemięźliwości jej wtedy zależało.

Alexis/Collins wcielała sobą dwie przeciwstawne siły. Na jednym poziomie sprawdzała się jako chodząca metafora zachłannego kapitalizmu. Pracując nad rolą aktorka inspirowała się „swoim przyjacielem” Donaldem Trumpem, już wówczas medialną ikoną wielkiego biznesu. Co więcej, milioner z grzywką miał ją przekonywać, że świetnie sprawdziłby się jako ekranowy kochanek Alexis. Collins zanurzała się więc w neoliberalne klimaty, by stworzyć postać nieprzejednanej i chciwej indywidualistki, telewizyjny odpowiednik wszystkich Trumpów tego świata. Była to kreacja o tyle ciekawa, że ze strony Brytyjki wydawała się pozbawiona krytycyzmu lub moralnej oceny.

Wielka moc Alexis/Collins to także kobiecość i jej forma. W odróżnieniu od wielu aktorek z jej pokolenia ona sama nie miała problemu, by określać się jako feministka. Zawsze promowała też model, w którym kobieta powinna być niezależna ekonomicznie od mężczyzn. Alexis jest przecież specjalistką w podkopywaniu wielkiego męskiego ego, stanowi potężną przeciwwagę dla patriarchalnego i, przyznajmy, nudnawego Carringtona.

Można powiedzieć, że działała „po męsku”, ale byłoby to pójściem na skróty. Władza bohaterki ma inne źródło: jest nią potęga stylu. Widać to na każdym kroku, i w ekranowym życiu Alexis, i w publicznym spektaklu, jaki buduje wokół siebie Collins. Dyskusje o kawiorze, żarty o szampanie i zabójcze ciuchy, w tym kostiumy współtworzone przez samą gwiazdę – Alexis była estetyczną petardą i widowiskiem. Jej styl bycia wydawał się wzięty z komiksu, który w alternatywnym świecie mogliby napisać Oscar Wilde na spółkę z Rudolphem Valentino. Jeśli ślamazarna „Dynastia” pozostaje żywa, to właśnie dzięki barokowej, bezbłędnej i jednocześnie rozkosznie tandetnej roli Collins.

Kochajmy nasze diwy

90-letnia dziś gwiazda stworzyła w „Dynastii” kreację, którą udowodniła, że w telewizji może zakwitnąć aktorstwo totalne. Nie chodzi przy tym o psychologiczną głębię, niuanse motywacji, autentyczność – nie na tych hołubionych przez inteligenckich widzów wartościach zasadza się fenomen Collins. W czasach, kiedy publicyści rytualnie lamentują nad brakiem „prawdziwych gwiazd”, Alexis przypomina nam, że tym bardziej powinniśmy kochać nasze diwy.

Totalne aktorstwo Collins nie zna umiaru, miesza blichtr z kiczem, afektację z ironią, pewność siebie z nieskończonym dystansem do rzeczywistości i własnej osoby. Pod koniec lat 80. w audycji BBC Joan opowiadała o swoim życiu – z zaskakującą skromnością – i wybierała ulubione utwory muzyczne. Słuchacze dostali od niej Pucciniego, Franka Sinatrę, Andrew Lloyda Webbera: zestaw, w którym opera spotyka się z musicalem, włoski liryzm z manierystyczną melodyką. Prawdziwa diwa, nawet diwa małego ekranu, zawsze będzie postacią większą niż życie – dopiero wtedy może poczuć się sobą.

W licznych książkach wspomnieniowych i wywiadach Collins snuje barwną narrację o elitarnych bankietach i spotkaniach z celebrytami. Radzi przy tym, jak „wyglądać dobrze, czuć się świetnie”. Ostatnio, w filmie „The Time of Their Lives” z 2017 r., zagrała natomiast starzejącą się, zapomnianą gwiazdę – trudno nie odbierać tej roli w kluczu autobiograficznym. Może zatem sama Collins nie do końca wierzy w błyszczący, opływający luksusem świat, w którym jakoby zamieszkuje. Ale czy to w ogóle ważne? Powab jej persony polega również na tym, że podziwiając ponadczasową elegancję aktorki, przez chwilę pomieszkujemy na wysokościach razem z nią.

© SEBASTIAN SMOLIŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU” SPECJALNY DODATEK

Poznańska Nagroda Literacka

jedno z najważniejszych wyróżnień literackich w Polsce

- PNL ustanowili wspólnie w 2015 r., po śmierci Stanisława Barańczaka, prezydent Miasta Poznania Jacek Jaśkowiak oraz prof. Bronisław Marciniak, ówczesny rektor UAM. Składa się ona z dwóch części. Nagroda im. Adama Mickiewicza w wysokości 60 tys. zł przyznawana jest za całokształt twórczości, natomiast Nagroda im. Stanisława Barańczaka (40 tys. zł) trafia do twórcy, który nie ukończył 35. roku życia.
- Laureatką tegorocznej Nagrody im. Mickiewicza została ZYTA RUDZKA, pisarka, dramatopisarka, scenarzystka.
- Nominowani do Stypendium Barańczaka to: poeta i prozaik ŁUKASZ BARYS, poeta IVAN DAVYDENKO, dramatopisarka ANNA WAKULIK.

„TYGODNIK” Z DODATKIEM W SPRZEDAŻY OD ŚRODY 24 MAJA

STANISŁAW

Mancewicz:
Zgniła rakietka

Okazuje się, że w kraju, w którym każdy wie wszystko, nikt nie wie, gdzie spadła rakieta. Dziwi oszczędność komentarzy tych, którzy zawsze, przy najmniejszej okazji kompulsywnie dzielą się swoją rozległą wszechwiedzą. Proszeni i nieproszeni.

Weźmy M. Morawieckiego, który w dowolnej sprawie wygłasza dowolnie niemądre przemówienia, w tej akurat mówił mało i bardzo mądrze. Premier RP oświadczył, że nic o rakiecie manewrującej, mogącej przenosić ładunek nuklearny, sorki, ale nie wiedział, aż się dopiero co dowiedział, po wielu miesiącach, od jadącego konno znalazcy. Jest to klimat jakby westernowy. Ale jest to western, którego akcja toczy się zdecydowanie na wschodzie. Można rzec nawet, że jest to wschód w każdym sensie, od dosłownego po umysłowy i paraboliczny. Jest to jakby „Lemoniadowy Joe" oglądany w klubie dyskusyjnym ministra P. Glińskiego, jeżeli jeszcze ktoś pamięta tę miłą w odbiorze ekranizację. Oto – powtórzmy, bo nas to silnie kręci: premier dużego kraju członkowskiego NATO, kraju znanego dziś w świecie z wielkich zakupów wszelkiego oręża, szokującego ilością sprzętu bojowego, jego zaawansowanymi technologiami i wydanymi nań gigantycznymi sumami, dowiaduje się o upadku na rządzonym przezeń terytorium wystrzelonej przez wroga rakiety po wielu miesiącach. Od człowieka na koniu. Jest to znakomity temat na maturze z przedmiotu o nazwie historia i teraźniejszość, z naciskiem na teraźniejszość. A teraźniejszość jest i taka – jak tu i ówdzie czytamy – że najwyższa władza zabroniła szukania rakiety. Bo jej niekontrolowany lot – ponoć leciała nad Krainą Uśmiechu przez 20 minut – i także niekontrolowany upadek w krzaki źle by wpłynął na wizerunek PiS-u przed wyborami. Dobre? Aż za bardzo.

Cisza, przerywana niespójnymi, słabymi logicznie komunikatami, musiała się skończyć. Gdzie hałas i lista winnych? Długo to trwało, aż w końcu M. Błaszczak wydał oświadczenie. Wynika z niego, zdaje się, że wojsko polskie zdradziło Polskę. Chyba. Sumując: dla pewnej grupy obywateli rakieta Błaszczaka to fundament i klasyka prawicowo uformowanej jaźni czy też teraźniejszości, oderwanej nieodkażonymi szczypcami od rzeczywistości. Dla innych, mniej skłonnych do żartów, to jednak zapowiedź katastrofy. Kompletnej.

W tej historii zaskoczyło nas wszystko, ale najbardziej chyba niemrawa reakcja ludu miast i wsi. W ogóle reakcje na różne genialne w swym potencjale dramatycznym czyny dziś rządzących są niemrawe, a jest to bardzo różnie tłumaczone. Wiadomo, panuje plemienność, totemizacja, wszystko jest pokryte powłoką nieprzywierającą, a świat jest ogólnie i w każdym wymiarze niepokojący. To oczywiście ma sens, ale chyba nikt jeszcze nie powiedział, że ludzie po prostu bardzo kochają propagandę sukcesu. Przeszkadzanie w propagowaniu sukcesów jest jak namolne opowiadanie człowiekowi pijącemu o szkodliwości picia. To drażni. Budzi niechęć uzależnionych, bo oczywiście propaganda sukcesu uzależnia. Nietrawiący jej są wrogami ludu i zwyrodnialcami na obcym żołdzie. Wszyscy niemal wchłaniają to, co przyjemne, również dlatego, to ważne, że żyjemy w czasach nieprzyjemnych.

No więc, skoro lubimy propagandę sukcesu, a rzec z naciskiem trzeba, że w Polsce taką propagandę tradycyjnie kochamy, też z sentymentu, to oszczędna reakcja ogółu na upadek rakiety jest dla takich upodobań modelowa. Wyprzeć. Nic się nie stało, a zresztą – jak powiadają w tzw. mediach publicznych i im podobnych, mamy już faktury na genialny sprzęt wojenny i te faktury, co zrozumiałe, są nam dziś puklerzem. A poza tym oczywiście ktoś zdradził. I to się świetnie sprzedaje, więc upadła rosyjska rakieta mogłaby zgnić w krzakach, komu to wadziło? Wiadomo. Mącicielom. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

Nagroda im. Adama Mickiewicza —— Nagroda im. Stanisława Barańczaka

Poznańska Nagroda_Literacka

2023

Laureatka Nagrody im. Adama Mickiewicza

ZYTA RUDZKA

Stypendium im. Stanisława Barańczaka

ŁUKASZ BARYS

IVAN DAVYDENKO

ANNA WAKULIK

organizator:

POZnań

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

PPNT Fundacja Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza

Centrum Kultury Zamek

REKLAMA

GRAND Press PHOTO 2023

XIX OGÓLNOPOLSKI KONKURS FOTOGRAFII REPORTERSKIEJ

NAGRODA INTERNAUTÓW

ZAGŁOSUJ DO 22 MAJA

www.press.pl/glosowanie/gpp-2023/

GALA WRĘCZENIA NAGRÓD 23 MAJA 2023 ROKU

TRANSMISJA NA WP.PL, PRESS.PL I W MEDIACH SPOŁECZNOŚCIOWYCH

Zapraszamy na profil Press i Grand Press Photo na Facebooku oraz na Press.pl

ORGANIZATORZY

Press

GRAND Press FOUND.

AMBASADORZY KONKURSU I GALI

FUJIFILM Value from Innovation

Nikon

Canon

PARTNERZY KONKURSU I GALI

KRUK

Provident

zaiks sprzyjamy wyobraźni

GDAŃSK

ERGO HESTIA

Wydział Dziennikarstwa Informacji i Bibliologii Uniwersytet Warszawski

KRUPA ART FOUNDATION

PATRONI MEDIALNI

WP

Digital Camera POLSKA

fotopolis

NATIONAL GEOGRAPHIC POLSKA

PARTNERZY GALI

BAT POLAND

COLOR OFFON

COCO SOUND

COPERNICUS
FESTIVAL

TYGODNIK POWSZECHNY

Nr 21/2023

KATALOG FESTIWALOWY

WWW.COPERNICUSFESTIVAL.COM

23-28.05

KOSMOS

Copernicus Center

Jest takie miejsce w kosmosie...

gdzie czytamy naturę
szukamy naszych przodków
odwiedzamy mikrogabinet
rozmawiamy o życiu, umyśle i świadomości
i zawsze zaczynamy od zera

COPERNICUS

Kanał Youtube z programami popularnonaukowymi i wykładami na żywo

youtube.com/copernicuscenter

Transmisje wszystkich wydarzeń Copernicus Festival tylko na kanale Copernicus

NASA // OGŁOSZENIE WSPÓŁWYDAWCY

COPERNICUS FESTIVAL 2023 / KOSMOS

Coś się zaczęło 13,8 mld lat temu – a może wcześniej coś się skończyło? W każdym razie tak daleko jesteśmy w stanie cofnąć się, rekonstruując historię wszechświata zgodnie z regułami, które odgadnął Albert Einstein. Wtedy wszystko było prostsze: nie było jeszcze gwiazd i planet ani żadnych istot, którym mogłoby się śnić odkrywanie tajemnic kosmosu. Materia wirowała w tańcu kwantowych fluktuacji. Możemy sobie to wszystko wyobrażać dzięki temu, że zbudowaliśmy wielkie zderzacze cząstek, w których na chwilę odtwarzamy warunki panujące we wczesnym wszechświecie.

Potem musiały wypalić się całe pokolenia gwiazd, by narodziły się Słońce i Ziemia – ok. 4,5 mld lat temu. Już po kolejnym miliardzie lat nasza planeta tętniła życiem. A 2-3 mln lat temu pewna populacja małp weszła – a raczej została wepchnięta zmieniającym się klimatem – na ścieżkę prowadzącą do człowieka. Dzięki temu być może po raz pierwszy w historii wszechświata pojawiły się istoty, które są w stanie ten wszechświat podziwiać i rozumieć. Ale może jesteśmy po prostu zarozumiali – może kosmos jest pełen życia, nie mniej rozumnego niż to ziemskie?

W tegorocznej, jubileuszowej (już dziesiątej!) edycji Copernicus Festival postawimy pytania o kosmos i nasze w nim miejsce. Zastanowimy się, czy we wszechświecie panuje nieokiełznany chaos, czy doskonały porządek – i w jaki sposób próbowaliśmy i próbujemy się tego porządku doszukiwać. Porozmawiamy o tym, co już wiemy i na odkrycie czego ciągle musimy czekać.

O tym wszystkim mówią teksty zawarte w tym katalogu. Prezentujemy w nim również kandydatów na Mądrą Książkę Roku, a w środku znajdą Państwo program festiwalu. Główne wydarzenia odbywają się wieczorami od 23 do 28 maja w Muzeum Inżynierii i Techniki w Krakowie przy ul. św. Wawrzyńca 15. Są one otwarte dla wszystkich i transmitowane na żywo na kanale Youtube.com/CopernicusCenter. Wydarzenia dodatkowe – wystawy, projekcje filmów, zajęcia szkolne, warsztaty – rozsiane są po siedzibach instytucji, które życzliwie podjęły z nami współpracę. Udział w niektórych z nich wymaga wcześniejszych zgłoszeń (szczegóły w programie). Zachęcamy także do zapoznania się z materiałami wideo, które przygotowaliśmy przed festiwalem – one dostępne będą wyłącznie w internecie.

Zapraszamy na wspólną podróż w najciekawsze regiony wszechświata i konfrontacje z najdonioślejszymi pytaniami, jakie możemy postawić. To będzie pełna doznań, ważna i pouczająca wycieczka: nie możemy przecież zrozumieć samych siebie, jeśli nie zrozumiemy kosmosu, który nas zrodził.

© ZESPÓŁ COPERNICUS FESTIVAL

COPERNICUS FESTIVAL

4. Mit o początku
Marcin Napiórkowski

9. Wszechświat nas zaskoczy
Rozmowa z Davidem Grinspoonem

14. Materia: co to takiego?
Michał Ecstein

20. Najtrudniejszy projekt świata
Mateusz Hohol

23. Kto potrzebuje fundamentów
Marek Jakubiec

26. Program festiwalu

30. Wygraliśmy w kosmicznej loterii
Rozmowa z Bernardem Carrem

36. Środek jest wszędzie
Michał Heller

42. Dzieci planet
Magdalena Łanuszka

WSPÓŁWYDAWCY

Copernicus Center

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

REDAKCJA: ŁUKASZ KWIATEK, ŁUKASZ LAMŻA | OPISY MĄDRYCH KSIĄŻEK: KAMIL KOPIJ, MARTA ALICJA TRZECIAK
OPIEKA WYDAWNICZA: ANNA DZIURDZIKOWSKA | WSPÓŁPRACA: SABINA JANECZKO, ANNA PAJĄCZKOWSKA, DIANA SAŁACKA | PROJEKT GRAF. MAREK ZALEJSKI | FOTOEDYCJA: GRAŻYNA MAKARA, EDWARD AUGUSTYN, JACEK TARAN | TYPOGRAFIA: ANDRZEJ LEŚNIAK | KOREKTA: GRZEGORZ BOGDAŁ, KATARZYNA DOMIN, SYLWIA FROŁOW, MACIEJ SZKLARCZYK | GRAFIKA NA OKŁADCE: ANNA SKOCZEŃ I ANETA KUBIK

KRAKÓW 2023, ISBN 978-83-65610-28-7

NATALIA POLASIK / MOONWATERPL

Natalia Polasik, „Cosmic Dance”, 2022 r.

Mit o początku

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Żeby dostrzec kosmos, nie trzeba patrzeć w niebo. Być może po raz pierwszy odkryto go bardzo nisko, przy samym gruncie. I to nie oczami, a uszami.

Pitagoras spacerował sobie przez miasto, gdy jego uwagę zwróciły dziwne tony. To pięknie współbrzmiące, to znów przeszywające uszy paskudnym dysonansem. Podążając za dźwiękiem, filozof dotarł do kuźni, gdzie grupa kowali tłukła młotami. Pitagoras uwielbiał uczciwą pracę. Mógł na nią patrzeć godzinami. Stał więc i patrzył. A raczej słuchał. Aż doszedł do fascynującego wniosku. Gdy jednocześnie uderzały młoty, których rozmiar miał się jak 2:1 lub 3:2, rozlegało się piękne, harmonijne współbrzmienie. Gdy proporcje młotów były inne – dwa dźwięki nie brzmiały tak dobrze.

Filozof wrócił do domu i wraz z uczniami postanowił to sprawdzić. Nie mieli młotów, użyli więc monochordu, czyli prostego instrumentu z jedną struną. Skracając ją i wydłużając, spróbowali odtworzyć te same proporcje. W ten sposób odkryli interwały, które dziś nazywamy oktawą (2:1) i kwintą czystą (3:2) – dwa podstawowe składniki harmonii muzycznej występujące w naturze. Na tym jednak nie poprzestali. Zadali jeszcze jedno fascynujące pytanie: ile razy musielibyśmy odmierzyć kwintę od pewnego dźwięku, żeby dojść do (wielokrotności) oktawy?

Dwanaście! Mogę sobie tylko wyobrazić, w jaki zachwyt to odkrycie wprawiło Pitagorasa i jego uczniów. Przecież dokładnie tyle samo cykli lunarnych mieści się w jednym cyklu solarnym, czyli – mówiąc prościej – jeden rok to (mniej więcej) dwanaście pełnych księżyców, zwanych też miesiącami. Czyżby cały porządek świata był w rzeczywistości porządkiem muzycznym? Może sfery niebieskie, obracając się, również rozbrzmiewają muzyką, której nie słyszymy tylko dlatego, że towarzyszy nam bez przerwy od narodzin do śmierci?

Z tych dwunastu półtonów budujemy dziś każdą muzykę – i disco polo, i operę. Jednak sama anegdota o młotach jest nieco zbyt dobra, żeby była prawdziwa. Znamy ją od Nikomachosa z Gerazy, neopitagorejczyka z II w. n.e. Od Pitagorasa dzieliło go mniej więcej tyle, ile nas od Kazimierza Wielkiego. Miał więc prawo pomylić pewne szczegóły. Fizycy zwracają uwagę, że obserwacja, choć prawdziwa w przypadku strun, nie potwierdziłaby się wcale z młotami. Historycy muzyki z kolei dodają, że dwunastostopniowa skala, a także jej powiązanie z astronomią, zostały opracowane znacznie, znacznie wcześniej przez Babilończyków. Wtórują im historycy filozofii, których najnowsze badania sugerują, że Pitagoras – wbrew wcześniejszym tropom – zapewne nie był nawet twórcą pojęcia „kosmosu" w znaczeniu, o którym tu mowa.

Trudno. Nie zmienia to faktu, że samą ideę, która nas tu interesuje, pitagorejczycy wyrazili z wyjątkową jasnością. Istotą świata są relacje – współbrzmienia. Kosmos to porządek rzeczy – niewidzialne na pierwszy rzut oka połączenia między dźwiękami, ludźmi albo gwiazdami. Pajęcza sieć, która oplata i przenika wszystko wokół nas. Kosmos to po prostu sens. Widzenie albo słyszenie kosmosu to umiejętność czytania i interpretowania znaczeń. Dlatego właśnie językiem kosmosu okazują się najczęściej matematyka i muzyka, choć idea poszukiwania „właściwych współbrzmień" błyskawicznie rozlała się na kolejne domeny – astronomii (wpierw: astrologii), medycyny, no i oczywiście moralności i polityki. Do tych ostatnich jeszcze wrócimy. Najpierw przyjrzyjmy się jednak kosmosowi astrologicznemu i astronomicznemu oraz nieoczywistej i zaskakująco późnej różnicy między nimi.

Przekleństwo przypadku

Mniej więcej od czasów Pitagorasa kosmos oznaczał obszar wypełniony sensem – sferę porządku, w której rzeczy mają się do siebie w sposób możliwy do dostrzeżenia i zrozumienia dla człowieka. Poznawanie kosmosu było więc odkrywaniem współbrzmień – podobieństw, analogii, nawiązań.

Patrząc w niebo widzimy, że pewne zjawiska powtarzają się okresowo. Poznajemy i opisujemy więc rytmy kosmosu, szukając współbrzmień między nimi. Podobnie rzecz się ma z ludzkim ciałem. Przykładów takiego myślenia dostarczają dzieła medyczne zebrane w tzw. „korpusie hipokratejskim" (V-IV w. p.n.e.). Gorące pokarmy podgrzewają temperament. Zimne – ochładzają, sprzyjając np. melancholii. Dobre samopoczucie okazuje się niczym innym, jak harmonijnym współbrzmieniem między pokarmem, naturalnymi predyspozycjami organizmu oraz otaczającym go środowiskiem – np. pogodą. Zdrowie i choroba – czytamy w dziele „O diecie" wchodzącym w skład wspomnianego korpusu – są jak dzień i noc albo fazy księżyca czy następstwo ognia i wody. „Światło dla Dzeusa, mrok dla Hadesa" – wyjaśnia anonimowy autor. Zrozumienie porządku rzeczy i poszukiwanie harmonii to klucz do sukcesu w medycznym fachu.

W przemożnym głodzie analogii kryje się jednak pułapka. Nasz mózg jest bowiem skonstruowany tak, że przy niewielkiej pomocy dostrzeże intrygujące podobieństwa niemal we wszystkim. Owszem, dwanaście kwint prowadzi nas z powrotem do tego samego dźwięku (przesuniętego o kilka oktaw), a dwanaście pełnych księżyców mieści się w roku. Pomiędzy tymi dwunastkami nie ma jednak zależności przyczynowo-skutkowej. Podobieństwo jest w tym ↦

przypadku dziełem czynnika, który do teorii kosmosu wybitnie nie pasuje. Dziełem przypadku.

Przypadek to domena chaosu. Czynnik szpetny, rozbijający wzory. Wróg piękna i dobra. Znienawidzony przeciwnik uzdrowicieli, astrologów i alchemików. Chaos kojarzono z chorobą, rozkładem, pierwotnymi mocami starszymi niż dobro i zło, a więc w ogóle unieważniającymi estetykę i moralność. Taki Chaos, którego lęka się nawet sam Szatan, znajdziemy jeszcze w „Raju utraconym" Miltona.

Ignorując przypadek, tropiciele kosmicznych harmonii szybko dochodzą do sytuacji, w której wszystko łączy się ze wszystkim. Świat astrologii i wczesnej medycyny stał się zatem przestrzenią wszechogarniającego sensu, gdzie zjawiska w jednej domenie (np. układ gwiazd) mogły bez ograniczeń wpływać na wydarzenia w innej (np. ludzkie życie) mocą samej tylko zasady analogii.

Ostatni czarnoksiężnik

Kosmiczny słuch stał się przekleństwem i błogosławieństwem tych wczesnych form poznawania świata. Przekleństwo wiązało się z tym, że odporne na weryfikację opowieści obrastały wciąż nowymi sensami, tworząc gigantyczne, samopotwierdzające się systemy. Błogosławieństwo polegało w zasadzie na tym samym. Bo to właśnie dzięki tej niezmienności reguły starożytnej astrologii czy hipokratejskiej dietetyki mogły dotrwać do naszych czasów, wygodnie moszcząc się po drodze w światach pracowitych skrybów, przedsiębiorczych drukarzy, charyzmatycznych sprzedawców z telezakupów i gwiazd mobilnego internetu. Elementy tych systemów znajdujemy dziś na portalach astrologicznych, w pseudonaukowych dietach oraz w książkach Ericha von Dänikena i innych tropicieli starożytnych kosmitów, dostrzegających uderzające podobieństwo między wizerunkami starożytnych bogów a współczesnymi skafandrami kosmicznymi.

Jednak w pewnym momencie, który umownie nazywamy dziś oświeceniem, poszukiwaczom kosmicznych analogii przydarzyło się coś interesującego. Nastąpiła zmiana, która trwale rozdzieliła ścieżki nauki i pseudonauki.

Najlepiej widać to na przykładzie Izaaka Newtona, który na rozwidlających się ścieżkach stanął okrakiem. Jak to malowniczo ujął John Maynard Keynes, fan Newtona i posiadacz kilku jego rękopisów: „Newton nie był pierwszym człowiekiem wieku rozumu. Był ostatnim czarnoksiężnikiem". Tak, tak! Mało kto dziś pamięta, że ojciec nowoczesnej fizyki był jednocześnie astrologiem i alchemikiem owładniętym pragnieniem odnalezienia kamienia filozoficznego. Jak to możliwe, że ten sam człowiek był jednocześnie w stanie niezwykle wnikliwie weryfikować własne założenia w jednej dziedzinie i bezkrytycznie podążać za mrzonkami w innych? Historycy nauki proponują interesującą odpowiedź.

Otóż wygląda na to, że Newton funkcjonował równolegle w dwóch zupełnie różnych środowiskach. W jednym, zgłębiającym np. naturę światła czy grawitacji, normą była transparentność. W fizyce normę stanowiło szczegółowe opisywanie przeprowadzonych eksperymentów, wymiana rezultatów i wzajemna krytyka badaczy. W drugim świecie, skupionym na poszukiwaniu eliksiru wiecznego życia i sekretu transmutacji w złoto, panowała tymczasem zacięta konkurencja. Badania odbywały się w ścisłej tajemnicy, a ewentualne notatki sporządzone były z użyciem wymyślnych szyfrów. Dwa zupełnie różne królestwa! „Światło dla Dzeusa, mrok dla Hadesa".

Nauka to zatem wspólna obserwacja kosmosu oparta na zaufaniu i krytycyzmie. Znajdowanie analogii i współbrzmień wciąż jest kluczowe. Ale tym razem praca odbywa się kolektywnie – gdy jeden badacz coś ogłasza, zadaniem pozostałych nie jest potwierdzenie jego słów, lecz próba ich obalenia, a więc wykazania, że dostrzeżone analogie są zaledwie przypadkiem. Rzetelny badacz to adwokat chaosu – w ten nieoczywisty sposób można dziś streścić istotę metody naukowej.

Dopiero w tym momencie – zaskakująco późno! – rozwidliły się ścieżki astrologii i astronomii, alchemii i chemii, pseudomedycyny i medycyny opartej na dowodach, która dzisiaj ratuje życie milionom pacjentek i pacjentów w szpitalach na całym świecie.

Fizykę od magii dzieli więc nie jakaś głęboka istota, lecz system zaufania i weryfikacji. Ścieżki nauki i przesądu zaczęły się w jednym punkcie i rozwidliły bardzo

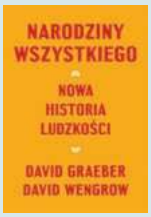

▪ *David Graeber, David Wengrow* **NARODZINY WSZYSTKIEGO** *Zysk i S-ka*

Nie wierzcie w proste opowieści

PALEOLIT, neolit, epoka brązu, epoka żelaza, średniowiecze, nowożytność, epoka plastiku (fachowo: antropocen) – od jaskiń i narzędzi krzemiennych, przez rolnictwo i narzędzia metalowe, aż po samoloty, stacje kosmiczne i wszechobecny plastik. Oto dzieje ludzkości w największym skrócie. Tylko czy taka prosta, liniowa historia jest prawdziwa? Antropolog David Graeber i archeolog David Wengrow wywracają do góry nogami dotychczasowy sposób patrzenia na historię i teraźniejszość. Ich zdaniem historia naszego gatunku nie jest liniowym procesem postępu (i okazjonalnych upadków cywilizacji), raczej plątaniną różnych dróg, po których kluczymy. Wbrew temu, co wyczytać możemy w większości podręczników z zakresu archeologii, nie istnieje jedna uniwersalna ścieżka rozwoju. Ludzie w różnych miejscach i czasach tworzyli różnorodne formy organizacji społecznej i politycznej, często oparte na zasadach równości i współpracy. Autorzy przekonują, że różne grupy łowców-zbieraczy mogły nie tylko znacznie różnić się od siebie wewnętrzną organizacją, ale również wznosić monumentalne budowle, a nawet zamieszkiwać osady, które bez mrugnięcia okiem moglibyśmy nazwać miastami. Wskazują, że powstanie rolnictwa wcale nie było drogą, z której nie było odwrotu, a wiele społeczności świadomie porzuciło te „nowinki" i wróciło do gospodarki opartej na zbieractwie i łowiectwie.

© KK

późno. Warto o tym pamiętać, próbując zrozumieć współczesne triumfy pseudonauki i teorii spiskowych.

Triumf Marduka

A teraz wróćmy do moralności i polityki, bo kosmos to znacznie więcej niż chłodna kalkulacja i opis rzeczywistości. Jako piękno, stosowność czy proporcja kosmos ma także swój wymiar etyczny. W „Enuma elisz", babilońskim eposie o stworzeniu świata, możemy przeczytać o epickiej walce boga Marduka z potworzycą Tiamat, która uosabia pierwotny chaos poprzedzający stworzenie świata. Marduk pokonuje Tiamat, a z jej ciała tworzy znany Babilończykom świat z górami i rzekami. Archeolodzy przekonują, że historia ta była odczytywana na rozpoczęcie każdego nowego roku. Nie tylko jako przypomnienie najodleglejszej przeszłości, lecz jako wskazówka moralna – przepis na kolejne dobre dwanaście miesięcy. (Babilończycy uwielbiali liczbę dwanaście, dostrzegali ją wszędzie!). Proces stworzenia świata staje się tym samym paradygmatem – wzorem do naśladowania dla każdego wierzącego. Chaos nie został pokonany raz na zawsze. Czai się gdzieś tam – w głębinach, w podziemiach, na rubieżach naszego świata – gotów w każdej chwili powrócić i zaatakować kosmos.

Podobne rozumienie kosmosu jako zobowiązania moralnego wyczytać możemy u Platona i neoplatoników. Piękno i dobro otaczającego nas świata łączy się z boskim intelektem Stwórcy, który chaos materii ukształtował w szlachetny porządek.

Ten akt mogą i muszą powtarzać ludzie – od rzemieślników, przez rolników, aż po rządzących. Wiele z tych koncepcji przejęła potem filozofia chrześcijańska.

Taka wizja sprawia, że kosmos staje się nie tylko przedmiotem zachwytu, lecz również lęku i niepokoju. Świat, który widzimy, jest wynikiem nietrwałej równowagi między porządkiem i zepsuciem. Nawet najbardziej prozaiczne budowle wznoszone przez kamieniarzy okazują się twierdzami, na które chaos naciera w postaci ulew, śnieżyc i upałów. Uprawa roli to wojna z chaosem, który przybywa do nas w postaci głodu i niedostatku. Państwa zabezpieczają nas przed chaosem, którym jest – by powtórzyć słynne sformułowanie Thomasa Hobbesa – „wojna wszystkich przeciw wszystkim". Zresztą wieloznaczne greckie słowo „kosmos" od początku mogło znaczyć także „porządek społeczny", a więc rządy czy ustrój. W tym znaczeniu posługiwał się nim na przykład Tukidydes.

Przypadek to domena chaosu.
Czynnik szpetny, rozbijający wzory. Wróg piękna i dobra. Znienawidzony przeciwnik uzdrowicieli, astrologów i alchemików.

To prowadzi nas do kolejnego znaczenia kosmosu, jako przestrzeni wspólnej. Tego, co łączy „naszych" i wyklucza „obcych".

My i oni

Heraklit nauczał, że „ci, którzy czuwają, mają kosmos wspólny", sugerując w domyśle, że każdy ze śpiących znajduje się w swym własnym, oddzielnym świecie. To właśnie ta intersubiektywność jest kluczową różnicą między snem a jawą. Wspólny kosmos oznacza dla śmiertelników także wspólny logos – sens, rozum, zasady, prawdę... Kosmos to więc po prostu to, względem czego jesteśmy się w stanie dogadać. Na zewnątrz kosmosu – a więc w domenie chaosu – znajdują się (czasowo) śpiący, szaleńcy albo... barbarzyńcy.

Współczesna językowa intuicja ukształtowana przez zdjęcia z teleskopów i filmy z lądowania na Księżycu podpowiada nam, że kosmos jest gdzieś tam, daleko. Pierwotnie jednak słowo to oznaczało przede wszystkim właśnie ↦

■ *Peter Hand*
POZAZIEMSKIE OCEANY
CCPress

Gdzie oni są?

DOSTRZEŻENIE w połowie XIX w. na powierzchni Marsa sieci kanałów rozpaliło wyobraźnię nie tylko naukowców, ale również opinii publicznej. Czy były dziełem wody? A może pozaziemskiej cywilizacji? Ostatecznie okazały się jedynie złudzeniem optycznym, nie zniechęciło to jednak do dalszych spekulacji dotyczących potencjalnego marsjańskiego życia. Dziś już wiemy, że na powierzchni Czerwonego Globu płynęła kiedyś woda. Dotychczas nie udało się odnaleźć żadnych dowodów na istnienie dawnego życia, a największe nadzieje na znalezienie pozaziemskich organizmów w Układzie Słonecznym wiążą się nie z Marsem, ale księżycami gazowych olbrzymów, pod powierzchnią których znajdują się oceany.
Ta książka zabiera czytelnika w podróż do tych najbardziej niezwykłych i tajemniczych miejsc w naszym kosmicznym sąsiedztwie. Autor pokazuje czytelnikom, w jaki sposób naukowcy korzystają z trzech rodzajów danych uzyskanych przez sondy kosmiczne – spektroskopowych, grawimetrycznych i magnetometrycznych – aby odkryć pozaziemskie oceany. Hand tłumaczy trudne koncepcje techniczne przy użyciu prostych przykładów i technologii znanych z codziennego życia, co pomaga w zrozumieniu podstawowych zasad fizyki wykorzystywanych w planetologii. Pokazuje też, jakie misje, które pomogą nam w dalszej eksploracji tych tajemniczych światów, są obecnie w przygotowaniu, a o jakich marzą astrobiolodzy.
© KK

■ *Agnieszka Krzemińska*
GRODY, GARNKI I UCZENI
Wydawnictwo Literackie

Groby, garnki i wampiry

NIEMAL KAŻDY zainteresowany archeologią miał okazję sięgnąć po klasyczną książkę C.W. Cerama „Bogowie, groby i uczeni. Powieść o archeologii". Dzięki niej wiele osób poznało bliżej historię odkrycia Troi, rozszyfrowywania hieroglifów czy sekrety grobowca Tutenchamona. Czerpiąc inspirację z książki Cerama, Agnieszka Krzemińska przygotowała podobną opowieść o najważniejszych odkryciach archeologicznych dokonanych w Polsce.

Nasz kraj nie jest może mekką dla archeologów, ale też nie mamy się czego wstydzić. Na ponad 350 stronach książki Krzemińskiej znajdziemy wystarczająco dużo treści, by docenić naszą przeszłość i jej różnorodność. Ilu z nas wie, że w Jaskini Obłazowej znaleziono paleolityczny bumerang, a w Bronocicach gliniane naczynie z najstarszym na świecie przedstawieniem wozu czterokołowego?

Książka ta to ponadto barwna opowieść o ludziach, którzy poświęcili życie badaniu przeszłości. Autorka przedstawia sylwetki i dokonania wielu polskich archeologów. Opisuje wyzwania i trudności, z jakimi musieli się zmagać w swojej pracy: brak funduszy, wojny czy cenzura. Przeprowadza czytelnika przez różne etapy historii: od najstarszych śladów obecności człowieka na polskich ziemiach po średniowiecze. Pisze też o badaniu dołów kloacznych, pochówkach antywampirycznych, poszukiwaniu skarbów, archeologii podwodnej, paleogenetyce i archeologii cyfrowej.

© KK

↦ to, co się znajduje tutaj. Środek kosmosu – pępek świata czy *axis mundi* – niemal zawsze znajdował się blisko, gdzieś w sercu naszego terytorium. To wokół naszego świętego wzgórza czy drzewa krążyły nie tylko ziemskie sprawy, lecz nawet planety i gwiazdy przytwierdzone do kolejnych sfer.

Ale, wracając na Ziemię, im dalej od tego wyobrażonego centrum, tym mniejszy porządek.

Bo czyż obcy mieszkający za granicą naszego królestwa nie zachowują się trochę jak śniący albo szaleńcy? Oczywiste dla nas rzeczy postrzegają inaczej, mówią niezrozumiałymi językami, nie dopełniają świętych obrzędów i spożywają pokarmy, które uznajemy za nieczyste. Jeszcze dalej, za krainami obcych, na rubieżach świata kosmiczny porządek rozsypuje się jeszcze bardziej. Żyją tam jednonodzy, psiogłowcy, kanibale i wszelkie monstra, których istnienie podsuwa nam wyobraźnia. Idea kosmosu pozwalała w ten sposób na uporządkowanie świata na płaszczyźnie poziomej. Blisko, wewnątrz – dobrze; daleko, na zewnątrz – źle.

Jednocześnie wyobrażenie kosmosu pozwala wielu kulturom dokonać stratyfikacji świata, a więc jego wartościowania na osi pionowej. Na górze jest niebo, w środku nasz, zwyczajny świat, na dole zaś jakiś rodzaj piekła. Eleazar Mieletinski, badacz mitów, streszcza powtarzającą się strukturę mitów kosmogonicznych następująco: „Przejście od bezkształtnego wodnego żywiołu do lądu pojawia się w mitach jako ważny akt, niezbędny do przekształcenia chaosu w kosmos. Następny krok w tym kierunku stanowiło oddzielenie nieba od ziemi. (...) Powtórzenie aktu ukierunkowanego za pierwszym razem w dół, a za drugim w górę doprowadziło do wyodrębnienia trzech sfer – ziemi, nieba i podziemi".

Świat może być zbudowany z ciała pradawnej bestii lub rozwieszony na kosmicznym drzewie. Wszystkie te historie łączy jedno – łatwo znajdują przełożenie na wizje porządku społecznego. Kosmicznym poziomom odpowiadają wyższe i niższe kasty; lepsi i gorsi ludzie; ci, którym bliżej jest do nieba, i ci, którzy urodzili się bardziej związani z ziemskim żywiołem. Powołaniem jednych jest rządzenie lub modlenie się, losem drugich – ciężka praca.

Stare mity kosmogoniczne – wszystkie te dziwaczne walki z potworami – przetrwały bardzo długo i zyskały tak wiele postaci przede wszystkim dlatego, że stanowiły praktyczne narzędzie wymuszania i utrzymywania porządku społecznego. Myśląc o kosmosie, warto pamiętać, że nadawanie sensu światu i hierarchizacja ludzi to dwie strony tego samego medalu.

Wszyscy jesteśmy z kosmosu

Kosmos i chaos okazują się zatem kluczowymi figurami wyobraźni. Rozpowszechnienie lub równoległe wytworzenie się bardzo podobnych historii w niezwykle odległych kulturach może dowodzić dwóch rzeczy. Albo na początku świata faktycznie jakiś bóg pokonał pradawnego potwora, albo tak skrojona historia z jakiegoś powodu doskonale odpowiada na ludzkie potrzeby i świetnie sprawdza się jako „system operacyjny" kultury i społeczeństwa. Rozważmy drugą z tych możliwości.

Sporo intuicji w tej kwestii znaleźć można w książce „Prawy umysł" psychologa moralności Jonathana Haidta. Haidt przywołuje wyniki licznych badań potwierdzających, że niezwykle silne emocje odczuwane w reakcji na świętokradztwo, podważanie autorytetu, nielojalność czy zniewolenie są kulturowymi uniwersaliami – fundamentami różnorodnych „matryc moralnych", które obserwujemy w systemach etycznych i religijnych na całym świecie. Lęk przed chaosem i zachwyt pięknem kosmosu to jedna z takich źródłowych emocji. Każdy z nas na swój sposób wsłuchuje się w muzykę sfer, każdy po swojemu szuka ukrytych sensów i powtarza walkę Marduka z Tiamat, od czasu do czasu wszyscy czujemy też potrzebę obrony naszego świata przed jakiegoś rodzaju barbarzyńcami. Opowiadamy różne mity i słuchamy odmiennej muzyki, ale łączy nas potrzeba wypatrywania sensu i wsłuchiwania się we współbrzmienia.

Kosmos nie jest „ostateczną granicą", celem naszych marzeń i podróży. Nie jest przyszłością ludzkości, lecz ojczyzną, z której wszyscy przybyliśmy. Nasi przodkowie osiedlili się w kosmosie dawno, dawno temu, na długo przed tym, jak greccy filozofowie ukuli tę poręczną nazwę.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

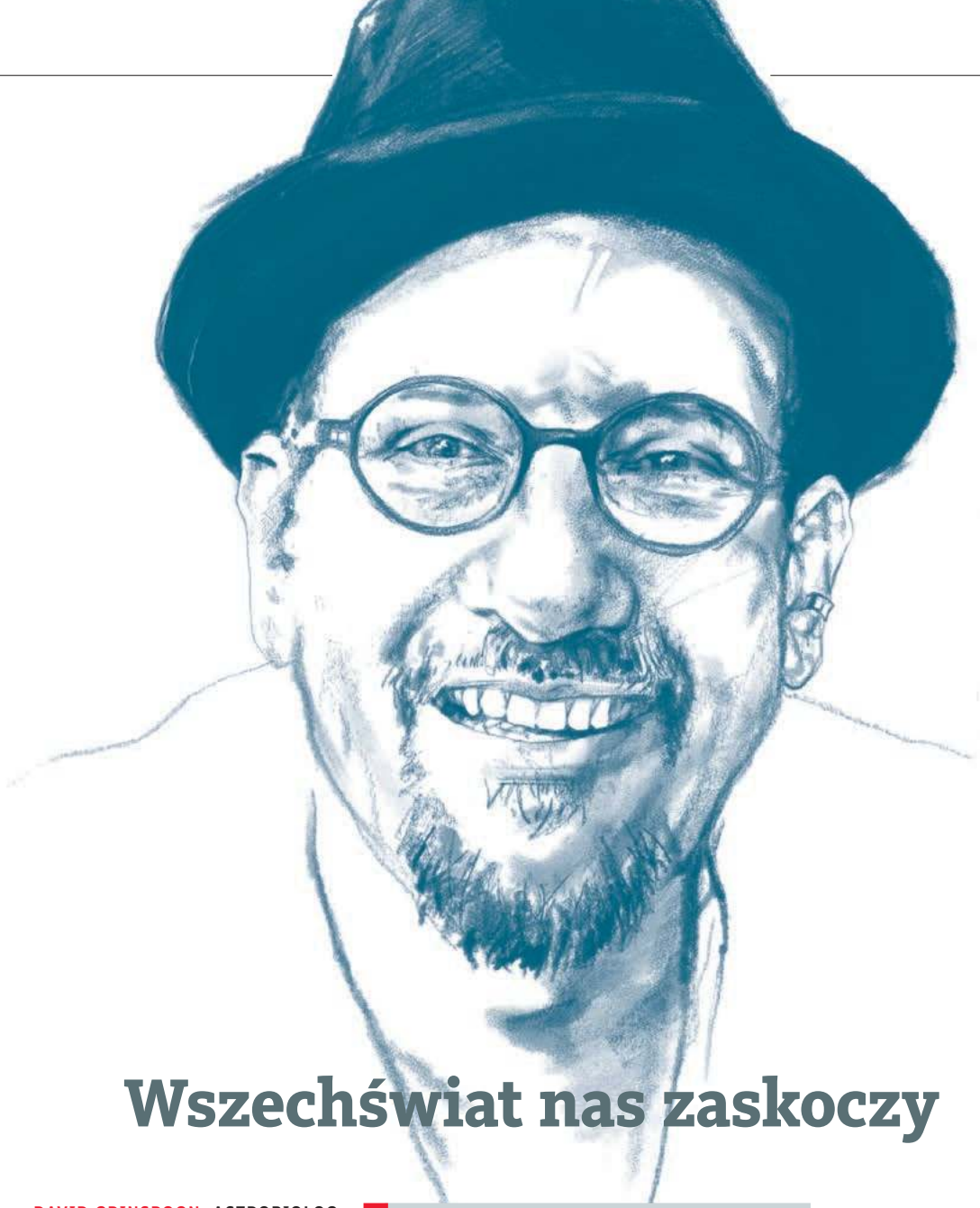

MICHAŁ DYAKOWSKI

Wszechświat nas zaskoczy

DAVID GRINSPOON, ASTROBIOLOG:

Zawiedliśmy się na planetach, bo nie spełniały naszych naiwnych oczekiwań. Ale dziś wiemy, że w kosmosie istnieje wiele miejsc przyjaznych życiu. Nawet niedaleko.

MICHAŁ GIKOWSKI: W 2015 r. Ellen Stofan, główna doradczyni naukowa NASA, przewidywała, że w ciągu 10 lat znajdziemy mocne przesłanki istnienia życia poza Ziemią. Mamy już potrzebną technologię i wiedzę. Ale kończy się nam czas, zostały tylko dwa lata!

DAVID GRINSPOON: Ellen to znakomita uczona i moja dobra przyjaciółka. Mam podobne przemyślenia jak ona, ale stawianie prognoz z określonymi ramami czasowymi jest ryzykowne. Sądzę, że jesteśmy na dobrej drodze do dokonania takiego odkrycia. Ale nie traktowałbym konkretnej daty zbyt poważnie.

Jak blisko jesteśmy?

Badamy albo będziemy wkrótce badać miejsca, które zgodnie z naszą wiedzą mogą być przyjazne życiu. Jednym z nich jest Europa, księżyc Jowisza. Pod lodową pokrywą skrywa największy ocean Układu Słonecznego i zdaje się mieć wszystko, czego potrzebuje życie. Dwie misje, europejska i amerykańska, zaczną ją badać w ciągu dekady. Jeśli są tam jakieś oznaki życia, mamy szansę je wychwycić. Mamy też misje na Wenus, a jestem wielkim fanem możliwego życia w chmurach tej planety. Inna misja zbada Tytana – księżyc Saturna. Odkrywamy też zadziwiające planety pozasłoneczne. Galaktyka jest ich pełna. Będę jednak ostrożniejszy niż Ellen i powiem, że znalezienie życia może nastąpić w ciągu ↦

▪ *Dean R. Lomax, Bob Nicholls*
JAK NAPRAWDĘ ŻYŁY DINOZAURY
Prószyński i S-ka

Życie zaklęte w kamień

JAKIE BYŁY codzienne zwyczaje dinozaurów i innych prehistorycznych zwierząt? Czy żyły samotnie, czy w stadach? Jaka była ich dieta? Jak radziły sobie w przypadku chorób? Czy opiekowały się młodymi – i jak to robiły? Czy składały jaja, czy też były zwierzętami żyworodnymi?
Szukając odpowiedzi na te pytania, autor przedstawia najbardziej spektakularne znaleziska paleontologiczne związane z wymarłymi zwierzętami – nie tylko z dinozaurami. W rzeczywistości więc jest to opowieść nie tyle o prehistorycznych gadach, co o całej paleontologii.
Jednym z najbardziej fascynujących znalezisk opisywanych w książce jest skamielina odkryta podczas pewnej polsko-mongolskiej wyprawy paleontologicznej na pustynię Gobi. Aż trudno uwierzyć, że w zapisie kopalnym mogła zastygnąć para walczących dinozaurów – drapieżnego welociraptora i roślinożernego protoceratopsa. Z lektury dowiemy się też, ile złamań naliczyli paleontolodzy na szkielecie słynnego tyranozaura Sue i jak mogło wyglądać jego życie i śmierć.
W zamykającej książkę „kronice osobliwości" spotkamy zaś zachwycające skamieliny, które nie mieszczą się w żadnym z omówionych wcześniej tematów (znajdziemy tam np. utrwalone w bursztynie mrówki… puszczające gazy albo skałę, na którą nasikał dinozaur). Lomax umiejętnie balansuje między naukową skrupulatnością a żywą, popularnonaukową narracją. Ozdobą książki są ilustracje wykonane przez Boba Nichollsa.
© KK

↦ najbliższych dziesięcioleci. Postęp na tym polu jest jednak powodem do optymizmu.

Są ludzie, którzy uważają, że astrobiologia jest jak nauka o jednorożcach. Zajmujemy się czymś, co może w ogóle nie istnieć.

Spotkałem się ze stwierdzeniem, że astrobiologia to nauka bez przedmiotu. Tymczasem my mamy przedmiot badań: długą historię życia na Ziemi. Ogromna część naszej planety jest dziełem żywych istot. Nie da się badać historii Ziemi bez zgłębiania wpływu, jaki na planetę wywarło życie. To właśnie jest cel astrobiologii: zrozumienie tego, jak planety i biosfery wpływają na siebie, i próba wyciągnięcia ogólnych wniosków, które można zastosować poza Ziemią. To wszystko pozwala nam też lepiej zrozumieć, jak działają planety. A musimy to zrozumieć, bo zamieszkujemy planetę, która szybko się zmienia. Astronomia pozwala nam lepiej pojąć nasz własny, planetarny dom i rolę, jaką odgrywamy w nim my sami.

Z astrobiologią jest jak z feniksem. Zaczęliśmy od wielkiego entuzjazmu, od szukania kanałów na Marsie, ale kiedy nasze sondy poleciały na inne planety, entuzjazm zniknął i zaczął się odradzać wiele lat później.

Nasz sposób myślenia o możliwości istnienia życia w kosmosie oscylował między dzikim optymizmem a głębokim pesymizmem. Naukowcy sądzili, że Wenus i Mars są podobne do Ziemi, że Wenus jest rodzajem tropikalnej bliźniaczki naszej planety. Już pierwsza sonda, która tam dotarła, pokazała, że Wenus to piekło bez wody, z temperaturami sięgającymi 500 stopni. Zawiedliśmy się na planetach, bo nie spełniały naszych naiwnych oczekiwań, co doprowadziło do dziesięcioleci pesymizmu. Ale to się zmieniło. Zaczęliśmy lepiej poznawać życie na samej Ziemi. Odkryliśmy organizmy zwane ekstremofilami, które pokazały, że życie może istnieć i kwitnąć w znacznie szerszym zakresie warunków, niż to sobie wyobrażaliśmy. Zrozumieliśmy, że miejsc w kosmosie, na których może istnieć życie, jest dużo.

Jak mawiał Ian Malcolm z Parku Jurajskiego: „życie znajduje drogę".

Ale może to nasza wyobraźnia nie radzi sobie ze wszystkimi formami, jakie jest w stanie ono przybrać.

My, astrobiolodzy, staramy się zrozumieć uniwersalne cechy życia, jego uniwersalne granice. To trudne, bo znamy tylko jedną biosferę. Pojawia się problem filozoficzny. Jak możesz szukać czegoś, czego w zasadzie nie możesz zdefiniować? A nie możesz zdefiniować życia, gdy masz tylko jeden jego przykład. Więc szukamy czegoś, czego nie możemy zdefiniować i będziemy w stanie to zdefiniować dopiero, kiedy to znajdziemy. Paradoks. Robimy postępy, ale kwestia tego, jak ogranicza nas własna wyobraźnia, to wciąż bardzo interesujące pytanie.

Weźmy jeden przykład: czy może istnieć życie, które nie jest oparte na węglu? Całe życie na Ziemi opiera się na nim i zwykle, gdy szukamy życia gdzie indziej, nadal szukamy czegoś podobnego, bo takie życie najłatwiej nam sobie wyobrazić. Naukowcy starali się stworzyć w laboratoriach alternatywne systemy, ale wciąż nie wymyślili niczego, co działa równie dobrze. Ale czy jest to ograniczenie dla wszechświata, czy tylko dla nas samych? Być może wszechświat wymyślił gdzieś coś, czego sobie nie wyobrażaliśmy?

Gdzie zgodnie z obecną wiedzą nie ma sensu szukać życia? Gdzie jest niemożliwe?

Czymkolwiek życie jest, jakkolwiek je zdefiniujemy, to trudno uciec od konkluzji, że jest czymś, co zużywa energię. Wykorzystuje źródło i przepływ energii oraz składniki odżywcze, aby się rozwijać.

Miejsca niedostępne dla życia to te, w których nie ma przepływu energii i składników odżywczych. Nie zawracałbym sobie głowy powierzchnią Merkurego, ponieważ to tylko goła skała. Dostaje ciepło od Słońca, ale nic się tam nie zmienia. Wykluczyłbym też każde miejsce zamarznięte na kość. Ale niektóre miejsca we wszechświecie na pozór wpisujące się w te kategorie okazały się pełne niespodzianek. W 2015 r. dotarliśmy z misją New Horizons na Plutona i odkryliśmy zmieniające się, płynne środowisko z własnym źródłem energii. Trzeba być ostrożnym, mówiąc, że jakieś miejsce jest niedostępne dla życia.

Skoro mówiliśmy o wyobraźni: Pan miał się jej od kogo uczyć. Dorastał

Pan w otoczeniu legendy science fiction Isaaca Asimova i astronoma oraz popularyzatora nauki Carla Sagana.

Obaj byli ważnymi osobami w moim życiu. Kiedy jesteś dzieckiem, nie sądzisz, że w twoim otoczeniu jest cokolwiek niezwykłego. Więc wujek Carl, przyjaciel mojego ojca, który często nas odwiedzał, jeździł z nami na wakacje, był po prostu normalną częścią mojego świata. Przychodził do nas z najnowszymi zdjęciami Marsa, z zaraźliwym entuzjazmem opowiadając o eksploracji planet, w którą był zaangażowany. Uważałem, że robi naprawdę fajne rzeczy i może też mógłbym je robić. A potem, w dorosłym życiu, miałem okazję z nim współpracować, co było wspaniałym doświadczeniem.

Isaac Asimov był częściowo odpowiedzialny za moją fascynację fantastyką naukową. Moja babcia była jego sekretarką, gdy wykładał na Boston University, a on sam często nas odwiedzał. W mojej głowie nie było rozdziału na naukę i fantastykę naukową.

Dobra fantastyka zawsze zadaje pytania o naturę życia i naszą zdolność do jego rozpoznania. Choćby w „Solaris" Stanisława Lema. Czy będziemy w stanie rozpoznać życie, gdy je zobaczymy?

Lem jest jednym z moich ulubionych pisarzy. Doskonale stawiał takie pytania i pokazywał absurd naszych prób udawania, że coś wiemy o wszechświecie w obliczu skali naszej ignorancji. Idea, że możemy znaleźć życie i nawet go nie rozpoznać, jest dla mnie naprawdę fascynująca. Wszechświat może nie spełniać naszych oczekiwań. Znajdziemy rzeczy, które nas zaskoczą. Jako astrobiolodzy powinniśmy być tego świadomi. Powinniśmy wszyscy czytać Lema.

Wybierzmy się więc na wycieczkę po Układzie Słonecznym w poszukiwaniu życia. Ustaliliśmy już, że na Merkurym nie ma czego szukać.

Powinienem być ostrożniejszy. Nawet na Merkurym znaleźliśmy coś dziwnego. W kraterach w pobliżu biegunów jest jakiś dziwny lotny materiał, który wydaje się zawierać siarkę. To ciągle za mało, żeby Merkury trafił na szczyt mojej listy, ale coś jednak tam się dzieje. A ponieważ wcześniej rozmawialiśmy o *science fiction*, muszę wspomnieć Kurta Vonneguta. W „Syrenach z Tytana" w jaskiniach we wnętrzu Merkurego żyją podobne do nietoperzy stworzenia, które żywią się energią sejsmiczną. Nie twierdzę, że jest tam coś takiego, ale nie wykluczam tego całkowicie.

Wenus, jak już Pan mówił, miała być drugą Ziemią. Potem okazała się piekłem, ale teraz znów jest obiecująca.

Na powierzchni Wenus panują temperatury, w których nie może powstać żadna złożona cząsteczka organiczna. Ale kiedyś Wenus była o wiele bardziej podobna do Ziemi. Jednym z głównych zadań misji, które na nią polecą, będzie ustalenie tego, co właściwie tam się stało. Jak długo istniały tam oceany? Czy mogło powstać w nich życie, a jeśli tak, to co się z nim stało? Jedną z możliwości, którą promuję od jakiegoś czasu, jest to, że życie może do dziś istnieć w chmurach Wenus. Bo tam pogoda jest raczej umiarkowana. Panuje temperatura i ciśnienie zbliżone do tych z powierzchni Ziemi, mamy interesujące cykle i reakcje chemiczne. Chmury składają się jednak ze stężonego kwasu siarkowego i dopiero się okaże, czy cokolwiek może przetrwać w tym środowisku. W Nowej Zelandii jest prywatna firma o nazwie Rocket Lab, która w 2025 r. chce tam wysłać pierwszą prywatną misję międzyplanetarną. Jeśli się uda, będziemy mieli mały instrument, który zbada chmury i poszuka w nich śladów chemii organicznej.

Słyszałem o tym, że na chmurach Wenus pojawiają się i zanikają dziwne wzory, podobne do zakwitów glonów.

W mojej pierwszej książce, „Venus Revealed", pisałem o tych ciemnych plamach i o dziwnym zjawisku, do jakiego dochodzi w chmurach. Jest tam coś, co pochłania ogromne ilości ultrafioletu. Ponad połowę promieniowania, które dociera do planety.

Można sobie wyobrazić, że to jakiś biologiczny pigment dostarczający energii żywym istotom, które rosną i tworzą coś podobnego do zakwitów glonów. Ten pomysł został niedawno podchwycony przez kilku badaczy, którzy zaczęli modelować to zjawisko. Nie powiedziałbym, że to bardzo prawdopodobny scenariusz ↦

▪ *Camilla Pang*
JAK DZIAŁAJĄ LUDZIE
Grupa Wydawnicza Relacja

Umysły są różne

WIĘKSZOŚCI LUDZI zrozumienie innych osób przychodzi zadziwiająco łatwo – co wcale nie jest łatwo wyjaśnić naukowcom. W jaki sposób rozpoznajemy twarze? Jak wychwytujemy subtelności wyrażone mimiką? Dziś nasza wiedza na te tematy jest już dość bogata. Wiemy też, że są osoby, które z takimi zadaniami radzą sobie z dużym trudem. Jedną z nich jest autorka tej książki. Jest osobą z autyzmem, wykazuje ADHD, zdiagnozowano jej także zespół lęku uogólnionego. Opowiada o tym, jak sama starała się zrozumieć siebie i ludzi dookoła. Od dziecka miała problem z nawiązywaniem kontaktów społecznych, co umacniało w niej przekonanie o inności. Trudność sprawiało jej zrozumienie emocji, ironii czy sarkazmu. Gdy miała osiem lat, rozpoznano u niej autyzm. Diagnoza stała się początkiem drogi do radzenia sobie z deficytami poznania społecznego czy uwagi. Jej przewodniczką stała się nauka. Zafascynowana biologią molekularną i biochemią zaczęła analizować ludzi jak skomplikowane układy chemiczne i fizyczne. Stworzyła własny system reguł i wzorców, które pomagały jej lepiej interpretować zachowania innych i dostosowywać się do różnych sytuacji.
Ale to książka nie tylko o życiu osoby nieneurotypowej. Autorka wyjaśnia, jakie czynniki wpływają na nasze decyzje, emocje, osobowość i zdrowie. Przedstawia też swoją własną teorię o tym, jak ludzie mogą współpracować i komunikować się ze sobą w harmonii i szacunku.
© KK

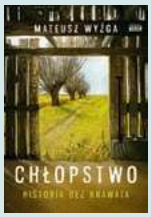

▪ *Mateusz Wyżga*
CHŁOPSTWO
Znak Horyzont

Chłop – to brzmi dumnie

W OSTATNICH LATACH ukazało się u nas sporo publikacji z nurtu historii ludowej – temat widocznie wywołuje żywe zainteresowanie. Ta książka – napisana z pasją, erudycją i nostalgią – nie jest syntezą historii polskiego chłopstwa. Autor postawił sobie inny cel: zastąpić powszechny u nas kompleks związany z wiejskim pochodzeniem dumą z niego. Drogą do tego jest poszukiwanie odpowiedzi na takie pytania jak: czym było chłopstwo w przeszłości i czy nadal istnieje; co sprawia, że w naszym społeczeństwie istnieje mechanizm wypierania się wiejskiego pochodzenia? Znajdziemy tu także fascynującą opowieść o życiu codziennym chłopów na przestrzeni wieków. Dowiemy się, jak wyglądały ich rodziny, jak pracowali na roli i w gospodarstwie, jakie mieli zwyczaje i wierzenia, jak się bawili i świętowali. Poznamy walki i bunty przeciwko uciskowi feudalnemu i pańszczyźnianemu, ich udział w powstaniach narodowych i ruchach społecznych. Zobaczymy, jak chłopstwo zmieniało się pod wpływem reform agrarnych, industrializacji i urbanizacji, a także jak reagowało na wyzwania XX w.: wojny światowe, komunizm i transformację ustrojową. Wbrew popularnej narracji autor nie widzi historii polskiego chłopstwa jako nieustannego ucisku (niewiele różniącego się od niewolnictwa) i ciągu nieszczęść. Prezentowany przez niego obraz jest znacznie bardziej zniuansowany.
© KK

↦ ani nawet element głównego nurtu, ale jest rozważane w literaturze.

Kontynuujmy wycieczkę. Zanim dotrzemy na Marsa, wracamy do domu. Kwestia istnienia życia na Ziemi została rozstrzygnięta już jakiś czas temu.

Wciąż zmagamy się z pytaniem, czy na Ziemi istnieje inteligentne życie.

A co z Księżycem?

Umieściłbym go na liście najmniej obiecujących miejsc, bo niewiele się tam dzieje. To jest skała. Księżyc jest jednak bardzo interesujący dla astrobiologii, ponieważ jest kluczem do zrozumienia wczesnej historii Układu Słonecznego i wczesnej historii Ziemi. Można się tam wiele nauczyć, ale nie sądzę, że znajdziemy na nim życie.

Czeka więc na nas planeta, która od dziesięcioleci jest numerem jeden dla poszukiwaczy życia. Ale Pan jest sceptyczny. W jednej z książek parafrazował Pan skecz o martwej papudze grupy Monty Pythona pisząc, że „Mars zginął, kopnął w kalendarz, to eks-biosfera".

Mars ma naprawdę ciekawą przeszłość i jest doskonałym miejscem do poszukiwania skamielin. Widzimy tam wiele śladów pozostawionych przez ciekłą wodę. Byłoby dziwne, gdyby Mars nigdy nie miał życia. Czy życie istnieje tam dziś? To ciekawa kwestia, bo istnieją tam obiecujące środowiska. Nie na powierzchni, która jest zimna, wyschnięta i napromieniowana. Pod ziemią, gdzie jest cieplej, prawdopodobnie jest woda, a skały dają ochronę przed promieniowaniem, coś mogło przetrwać. Jestem jednak przekonany, że tak nie jest.

Dlaczego? Tutaj duży wpływ wywarło na mnie coś, co nazywa się hipotezą Gai. To idea mówiąca o tym, że życie na Ziemi stanowi globalną całość. Życie nie istnieje jako odizolowane organizmy i środowiska. To system sprzężeń zwrotnych i globalnych cykli. Gdybyś był Marsjaninem szukającym życia na Ziemi, nie musiałbyś nawet lądować. Wystarczy skierować teleskop w naszą stronę, by zobaczyć tlen i metan. Ślady tego, jak życie zmieniło atmosferę Ziemi, właściwości jej powierzchni. A jeśli chodzi o Marsa, atmosfera wygląda na martwą.

Odkryliśmy tam dziwne pióropusze metanu.

To słuszna uwaga. Znaleźliśmy na Marsie odrobinę metanu. Jeśli jest tam życie, ten metan mówi nam „hej, jestem tutaj". Ale dowody są słabe. Nadal trwa spór, czy metan naprawdę tam jest. A wykryte ilości są tak małe, że można wyjaśnić je inaczej. Przede wszystkim jednak dla mnie Mars nie wygląda na planetę opanowaną przez życie jak Ziemia. Pisałem wielokrotnie o czymś, co nazywam hipotezą żywych światów. Chodzi o to, że jeśli życie istnieje na jakiejś planecie, to prawdopodobnie jest ona przez nie zupełnie opanowana. Czy planeta może być tylko trochę żywa? Nie sądzę. Wierzę, że planeta jest albo tak żywa, jak Ziemia, albo całkowicie martwa. Jeśli tak, to Mars jest całkowicie martwy. Cieszę się, że szukamy życia na Marsie. To test dla mojej hipotezy. Znalezienie ocalałego życia na Marsie pokazałoby, że się myliłem. A nie przychodzi mi do głowy wiele spraw, w których wolałbym się bardziej mylić.

Ostatnio poszukiwania życia na Marsie padły jednak ofiarą geopolityki. Europejski łazik Rosalind Franklin nie poleciał tam, ponieważ ESA wstrzymała współpracę z Rosyjską Agencją Kosmiczną.

To ważna kwestia. Dlaczego w ogóle to robimy, skoro mamy tak wiele potrzeb tu, na Ziemi? Lubię myśleć, że w naszych badaniach jest aspekt nadziei, że koncentrujemy się na przyszłości i że badania kosmosu to z natury globalne przedsięwzięcie, bez względu na to, kto płaci rachunek za daną misję. Docieramy na inne planety jako emisariusze rasy ludzkiej i planety Ziemia. Możemy też spojrzeć na to, czego się nauczyliśmy, jeśli chodzi o zmiany klimatu czy nawet groźbę zimy nuklearnej. Wiemy, jak modelować zimę nuklearną dzięki badaniom burz piaskowych na Marsie. Studiując inne planety, dowiadujesz się zaskakujących rzeczy o Ziemi. Ale są granice tego, ile zasobów powinniśmy na nie poświęcić w obliczu problemów na Ziemi. Dlatego jestem wielkim fanem robotycznej eksploracji, ponieważ pozwala ona osiągnąć więcej za stosunkowo mniejsze sumy.

Kontynuujmy podróż w stronę zewnętrznego Układu Słonecznego. Trafiamy na pas asteroid. Czy jest

tam coś wartego uwagi, czy możemy go pominąć?

Jest fascynujący z perspektywy prób zrozumienia historii Układu Słonecznego, ale są o wiele lepsze miejsca do poszukiwania życia. Chociaż największa asteroida, Ceres, wykazuje zaskakującą aktywność, a nawet oznaki sugerujące, że na jej powierzchnię z głębin przedostaje się woda.

Zajrzyjmy na Jowisza i jego księżyce. Sama planeta wydaje się najmniej interesującą częścią tego systemu.

Tak, chociaż rozmawialiśmy o życiu w chmurach Wenus. Wiele lat temu Carl Sagan napisał serię spekulatywnych artykułów na temat tego, że w chmurach Jowisza może istnieć rodzaj życia, ponieważ zachodzą w nich interesujące reakcje chemiczne i interakcje. Pierwsze miejsce, na które musimy spojrzeć, to jednak Europa. Jedno z najlepszych miejsc w Układzie Słonecznym do poszukiwania życia. Ma wszystko, czego naszym zdaniem potrzeba. Wodę, źródła energii. Prawdopodobnie ma materię organiczną przenikającą przez lód. Jeśli naprawdę rozumiemy warunki wymagane do życia, powinno ono istnieć na Europie.

To nie tylko Europa. Podobnych miejsc w systemie Jowisza jest kilka.

Europa jest kusząca, ponieważ tamtejszy lód jest cienki. Możemy sobie wyobrazić jakieś urządzenie, które przetopi zamarzniętą pokrywę i dotrze do oceanu. Ale są też Ganimedes i Kalisto, dwa inne lodowe księżyce, które prawdopodobnie mają własne oceany. Jest jeszcze Io, czyli wulkaniczny księżyc, który nie ma wody w stanie ciekłym, ale z pewnością jest bardzo aktywny i ma interesującą chemię. Można sobie wyobrazić, że jakaś forma biochemii mogłaby tam wyewoluować, korzystając z tej aktywności, opierając się choćby na siarce.

Czas na Saturna.

Szczególnie ciekawe są tam dwa księżyce. Pierwszym jest Tytan – jedyne miejsce w Układzie Słonecznym inne niż Ziemia, które ma trwałe zbiorniki płynu na powierzchni. Pod wieloma względami jest podobny do Ziemi, ale jest zbudowany z zupełnie innej materii. Ma jeziora i oceany z ciekłego metanu, ma góry z lodu. Są tam chmury i opady deszczu, a nawet wydmy zbudowane z materii organicznej. Czy może tam być coś żywego? Na powierzchni nie ma ciekłej wody, jest jednak płynny metan. Wielu ludzi zastanawiało się, czy może istnieć tam jakiś rodzaj życia, którego jeszcze sobie nie wyobrażaliśmy. Inną ciekawą cechą Tytana jest to, że prawie na pewno w jego wnętrzu znajduje się ocean wody. A to rodzi ciekawe pytanie. Skoro mamy mnóstwo substancji organicznych na zewnątrz i ciekłą wodę w środku, czy jest jakiś sposób, aby mieszały się ze sobą? Aktywność geologiczna jest na tyle duża, że w odpowiednio długiej skali substancje organiczne mogą przenikać do wody, co sprawia, że we wnętrzu Tytana może istnieć oparte na wodzie życie podobne do naszego, a na jego powierzchni jakiś inny, bardziej egzotyczny rodzaj, który wykorzystuje tamtejsze substancje organiczne. Wkrótce wyruszy tam misja o nazwie Dragonfly. Rodzaj drona, który będzie latał i pobierał próbki jezior i powierzchni. Jest na co czekać.

Byłoby dziwne, gdyby Mars nigdy nie miał życia. Ale dziś planeta wygląda na całkowicie martwą.

Innym ekscytującym miejscem w układzie Saturna jest Enceladus, mniejszy księżyc, który posiada ocean płynnej wody. Wypluwa wodę w przestrzeń kosmiczną przez gejzery. A to bardzo fajne, ponieważ można sobie wyobrazić, że możemy szukać tam życia nawet bez lądowania. Mógłbyś po prostu przelecieć przez te gejzery i sprawdzić, co jest w tym oceanie.

Opuszczamy Saturna i przenosimy się na zewnętrzne krańce Układu Słonecznego. Uran i Neptun miały być tylko gigantycznymi, lodowymi kulami z lodowymi księżycami, na których nie dzieje się nic ciekawego.

Odwiedziliśmy te planety tylko raz, kiedy w ich pobliżu przeleciała sonda Voyager 2. Wielu rzeczy o nich nie wiemy. A teraz, gdy badamy egzoplanety, odkrywamy, że tzw. lodowe olbrzymy to jeden z najpowszechniejszych rodzajów planet we wszechświecie. Jeśli chodzi o astrobiologię, jedynym miejscem w tych systemach, do którego naprawdę chciałbym wrócić, jest księżyc Neptuna Tryton. To stosunkowo duży, aktywny księżyc. Ma gejzery, jego powierzchnia jest młoda i stale się zmienia. A miejsca, w których dużo się dzieje, są potencjalnie interesujące biologicznie.

Ostatnia Pana książka mówi o następnym miejscu, do którego się wybieramy. Pluton miał być kompletnie martwy. A jednak, kiedy go odwiedziliśmy, wydawał się o wiele bardziej żywy niż Mars. Co nam to mówi o zewnętrznych krańcach Układu Słonecznego?

Po tym, jak sonda New Horizons dotarła do Plutona, niektórzy naukowcy mówili, że Pluton to nowy Mars. Na jego powierzchni zachodzą zmiany, obserwujemy dziwne interakcje między atmosferą a lodem. Azot, z którego się składają, stale paruje, skrapla się i porusza. To kolejny przykład miejsca, które uważaliśmy za martwe, bo zabrakło nam wyobraźni. Pluton jest w połowie skałą, a w połowie bryłą lodu. Skały mają naturalną radioaktywność i są źródłem ciepła. Jak się okazuje wystarczającym, by sprawić, żeby grube lodowce azotu zaczęły nadtapiać się i płynąć. Mamy więc aktywność geologiczną. Wydaje się też, że odkryliśmy na Plutonie dowody istnienia wewnętrznego oceanu. Możliwe więc, że we wnętrzu planety jest środowisko potencjalnie odpowiednie dla życia, a tego zupełnie się nie spodziewaliśmy. Byłoby wspaniale wrócić tam na dłużej, z sondą, która pozostałaby na orbicie, a może nawet z lądownikiem. ↦

Wróćmy na Ziemię. W jaki sposób badania tych odległych miejsc mogą wpłynąć na to, jak walczymy o zachowanie naszej planety?

Astrobiologia rozważa związki między życiem a planetami, a to z kolei rozciąga się na związki między planetami a cywilizacjami. Weszliśmy w erę, którą nazywamy antropocenem. Epokę, w której ludzie stali się dominującą siłą geologiczną. Myśląc o sobie w geologicznej skali czasu, możemy zadać pytanie, co musi się stać, abyśmy stali się nie krótkotrwałym, destrukcyjnym zjawiskiem, a konstruktywną, integralną częścią planety. Czymś zupełnie nowym w tej erze jest fakt, że nie jesteśmy tylko nowym rodzajem siły geologicznej. Jesteśmy pierwszą siłą geologiczną, która jest świadoma swojego istnienia. Pytanie brzmi, czy potrafimy użyć tej świadomości do rozwiązania problemów, które sami sobie stworzyliśmy?

Potrafimy?

Najgorszy scenariusz jest taki, że całkowicie znikniemy. Nie sądzę, żeby tak się stało. Najlepszym scenariuszem jest taki, w którym natychmiast zmądrzejemy, przestaniemy używać paliw kopalnych i przestawimy się na alternatywne źródła energii. To też się nie wydarzy. Pójdziemy jakąś ścieżką między tymi skrajnościami. Sądzę, że za sto lat spojrzymy wstecz i powiemy: „Udało się nam, ale powinniśmy byli to zrobić szybciej". Na dłuższą metę jestem optymistą, choć to nie znaczy, że nie martwię się zbytnio o kilka następnych dekad.

Minęło 550 lat od urodzin Kopernika. Czeka nas nowa rewolucja kopernikańska?

Tego się nie da przewidzieć. Ale jeśli się w końcu przekonamy, że wszechświat jest pełen życia, tak jak przekonaliśmy się już, że jest pełen planet, to będzie równie istotna rewolucja jak ta dokonana przez Kopernika.

© Rozmawiał MICHAŁ GIKOWSKI

DAVID GRINSPOON jest astrobiologiem. Pracuje w Planetary Science Institute w Tucson w Arizonie. Doradzał w misjach NASA i ESA.

Materia: co to takiego?

MICHAŁ ECKSTEIN

Znalezienie bozonu Higgsa przed dziesięciu laty zwieńczyło złotą erę odkryć w fizyce cząstek elementarnych. Szukając dalej, błądzimy w mroku.

Ostatnie lata moich studiów z fizyki, ok. 2008-2009 r., mijały w atmosferze wyczekiwania i podniecenia. W ośrodku CERN pod Genewą ruszał właśnie Wielki Zderzacz Hadronów (LHC) – największy i najpotężniejszy akcelerator cząstek, jakim kiedykolwiek dysponowaliśmy. Oczekiwania względem tego eksperymentu były co najmniej tak wielkie jak sama maszyna. Liczono na to, że uda się wreszcie upolować bozon Higgsa – ostatni brakujący element modelu standardowego cząstek elementarnych, czyli podstawowej teorii wyjaśniającej budowę materii. Istnienie tej cząstki pół wieku wcześniej przewidział Peter Higgs. Ale oczekiwania były znacznie większe: supersymetria, cząstki ciemnej materii, a może nawet superstruny i ukryte wymiary! LHC miał nam ukazać nową fizykę, której model standardowy byłby tylko przybliżeniem.

Jeden z moich wykładowców powiedział wtedy, że najgorszy możliwy scenariusz dla fizyki cząstek to jeśli uda się odkryć bozon Higgsa i... nic poza tym. Dziś, po kilkunastu latach działania LHC, wydaje się, że właśnie ten czarny scenariusz się zrealizował. Czy zatem poznaliśmy już wszystkie cząstki elementarne? Żeby spróbować odpowiedzieć na to pytanie, musimy najpierw prześledzić historię zgłębiania materii.

Atomy i substancje

W połowie V w. p.n.e. Leukippos z Abdery, wraz ze swym uczniem Demokrytem, zaproponowali atomistyczną teorię materii. Według niej wszystkie ciała fizyczne są złożone z atomów – niepodzielnych, niezniszczalnych i niezmiennych cząstek poruszających się w próżni. Taka wizja materii była krytykowana przez Arystotelesa ze Stagiry, który koncepcję próżni uważał za horrendum. Głosił on, że obiekty składają się z substancji – uformowanej materii pierwszej. Owa materia pierwsza była mieszaniną podstawowych żywiołów (woda, ogień, powietrze, ziemia oraz tzw. piąty element), w której jednak nie da się wyodrębnić najmniejszych elementów. Taka materia miała cechy czysto potencjalne – mogła zostać czymkolwiek, w zależności od tego, jaka forma zostanie w niej „odciśnięta".

W owym czasie nie było, oczywiście, możliwości empirycznej weryfikacji tych teorii – pozostawały one w domenie filozofii naturalnej. Czy to ze względu na niechęć do próżni, czy też zbyt mechanistyczny charakter atomizmu, wizja Arystotelesa zwyciężyła i na prawie 2 tys. lat stała się obowiązującym paradygmatem fizyki.

Choć zwolennikami atomizmu byli m.in. Kartezjusz, Boyle czy Newton, to dopiero na początku XIX w. angielskiemu uczonemu Johnowi Daltonowi udało się powiązać tę koncepcję z fizyką eksperymentalną. Teoria Daltona zakładała, iż atomy są niepodzielnymi i niezmiennymi, podstawowymi składnikami materii, których proporcje determinują własności związków chemicznych.

NATALIA POLASIK / MOONWATERPL

Natalia Polasik, „Untitled", 2023 r.

↦ W połączeniu z pracami innych badaczy, dotyczącymi cząsteczkowego opisu gazów, stworzyła ona podwaliny pod nowożytną chemię.

Tajemnicze promieniowanie

Pod koniec XIX w. Joseph John Thomson jako pierwszy postawił śmiałą hipotezę głoszącą, iż atomy nie są elementarnymi cząstkami materii. Zaproponował on tzw. model „ciasta z rodzynkami", w myśl którego atomy składały się z jednorodnej dodatnio naładowanej substancji, w której tkwią poutykane elektrony – małe cząstki o ujemnym ładunku.

Model Thomsona został dość szybko obalony dzięki badaniom Hansa Geigera, Ernesta Marsdena i Ernesta Rutherforda nad rozpadem promieniotwórczym typu alfa. Potwierdziły one hipotezę Rutherforda, iż wewnątrz atomu znajduje się jądro, wokół którego orbitują ujemnie naładowane elektrony. Przy okazji pokazały one również, że promieniowanie typu alfa ma naturę cząstkową, a owe cząstki to jądra helu. Jądro wodoru – najlżejszego pierwiastka – Rutherford nazwał protonem.

W 1930 r. Walther Bothe i Herbert Becker odkryli nowy rodzaj promieniowania, które nie pasowało do żadnego ze znanych typów. Dwa lata później James Chadwick wykazał, że tworzą je neutrony – cząstki o masie zbliżonej do masy protonu, ale pozbawione ładunku elektrycznego. Jeszcze w tym samym roku jeden z ojców mechaniki kwantowej Werner Heisenberg oraz, niezależnie, ukraiński fizyk Dmytro Iwanenko zaproponowali, iż neutrony obok protonów stanowią budulec jądra atomowego.

W tym samym czasie pojawiły się trudności z promieniowaniem typu beta. W 1932 r. Carl Anderson badając promieniowanie kosmiczne odkrył cząstki, które zachowywały się jak elektrony, ale skręcały w przeciwną stronę pod wpływem pola magnetycznego. Anderson poprawnie zidentyfikował owe cząstki jako pozytony, cząstki antymaterii przewidzianej cztery lata wcześniej przez Paula Diraca. Kolejną zagadką było spektrum energii promieniowania beta, które nie zgadzało się z teorią. Odważne rozwiązanie zaproponował w 1930 r. Wolfgang Pauli, który postawił hipotezę, że część energii jest unoszona przez pewną nieznaną cząstkę nazwaną neutrinem. Napisał przy tym: „Zrobiłem dziś coś, czego żaden teoretyk nigdy nie powinien robić – zaproponowałem istnienie cząstki, która nie zostanie nigdy zaobserwowana". Okazało się, że „nigdy" w tym przypadku trwało raptem 26 lat, a za badania neutrin przyznano już cztery nagrody Nobla.

Kwarki i neutrina nieustannie zmieniają swoją tożsamość za sprawą tzw. kwantowych oscylacji. Niewykluczone też, że neutrino może spontanicznie stać się antyneutrinem.

Czego nie da się zobaczyć

Dlaczego Pauli twierdził, że neutrina nie będzie się dało zobaczyć? Dlatego, że nie ma ono ładunku elektrycznego, a do tego jest bardzo lekkie – co najmniej kilka milionów razy lżejsze niż elektron. Powstaje zatem pytanie, w jaki sposób oddziałuje ono ze „zwykłą" materią? Fizycy przez ponad trzy dekady usiłowali opisać owo nowe „słabe" oddziaływanie, a poprawny model odkryli pod koniec lat 60. ubiegłego wieku Sheldon Glashow, Abdus Salam i Steven Weinberg. Kluczowym przewidywaniem ich modelu było istnienie trzech nowych cząstek (bozonów W^+, W^- i Z^0) pośredniczących w oddziaływaniu słabym. Triumf i nagroda Nobla przyszły kilkanaście lat później, gdy w akceleratorze cząstek w CERN pod Genewą odkryto wszystkie trzy przewidziane cząstki.

Pozostawał jednak problem: co trzyma razem protony i neutrony tworzące jądro atomowe? Oddziaływanie elektromagnetyczne odpycha protony od siebie, oddziaływanie jądrowe słabe zaś jest – jak sama nazwa wskazuje – zbyt słabe, żeby to odpychanie zrównoważyć. Na domiar złego, wraz z odkryciem promieniowania kosmicznego oraz uruchomieniem pierwszych akceleratorów i zderzaczy cząstek natrafiono na całe multum nowych cząstek: piony, miony, kaony, hiperony... Tę cząstkową stajnię Augiasza uporządkował Murray Gell-Mann (równolegle podobny model zaproponował George Zweig) przedstawiając kwarkowy model materii.

W pierwotnej wersji teorii Gell-Manna występowały trzy rodzaje kwarków: górny, dolny oraz dziwny. Pierwsze dwa stanowią budulec protonów oraz neutronów, trzeci zaś pojawiał się w nowych „dziwnych" cząstkach, takich jak kaony czy hiperony. Na późniejszym etapie rozwoju teorii do tej menażerii dołączyły jeszcze trzy nowe kwarki: powabny, spodni i szczytowy. Aby jednak wyjaśnić, w jaki sposób kwarki łączą się w protony i neutrony, potrzebujemy nowej siły fizycznej – oddziaływania jądrowego silnego, którego nośnikiem są gluony. Ma ono pewną tajemniczą własność, która prowadzi do „uwięzienia" kwarków. Otóż gluony działają niczym sprężyny: im bardziej dwa kwarki oddalają się od siebie, tym mocniej się przyciągają. Z tego powodu nigdy nie zaobserwujemy swobodnych kwarków ani gluonów, w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych cząstek elementarnych.

Brakujące ogniwo

Gdy w latach 60. teoria słabego oddziaływania jądrowego dopiero się konstytuowała, natrafiono na poważną niespójność w jej podstawach. Z jednej strony teoria wymagała, aby bozony W i Z nie miały masy (tak jak fotony i gluony), z drugiej jednak model Glashowa–Salama–Weinberga przewidywał bardzo konkretne wartości mas tych cząstek. W 1964 r. trzy grupy naukowców znalazły, zupełnie niezależnie, odpowiednie rozwiązanie. Jedna z owych grup była jednoosobowa, a tworzył ją niejaki Peter Higgs. Propozycja Higgsa, oprócz rozwiązania problemu teoretycznego, zawierała ponadto przewidywanie, iż powinna istnieć masywna cząstka elementarna, która oddziałuje ze wszystkimi innymi cząstkami obdarzonymi masą. ↦

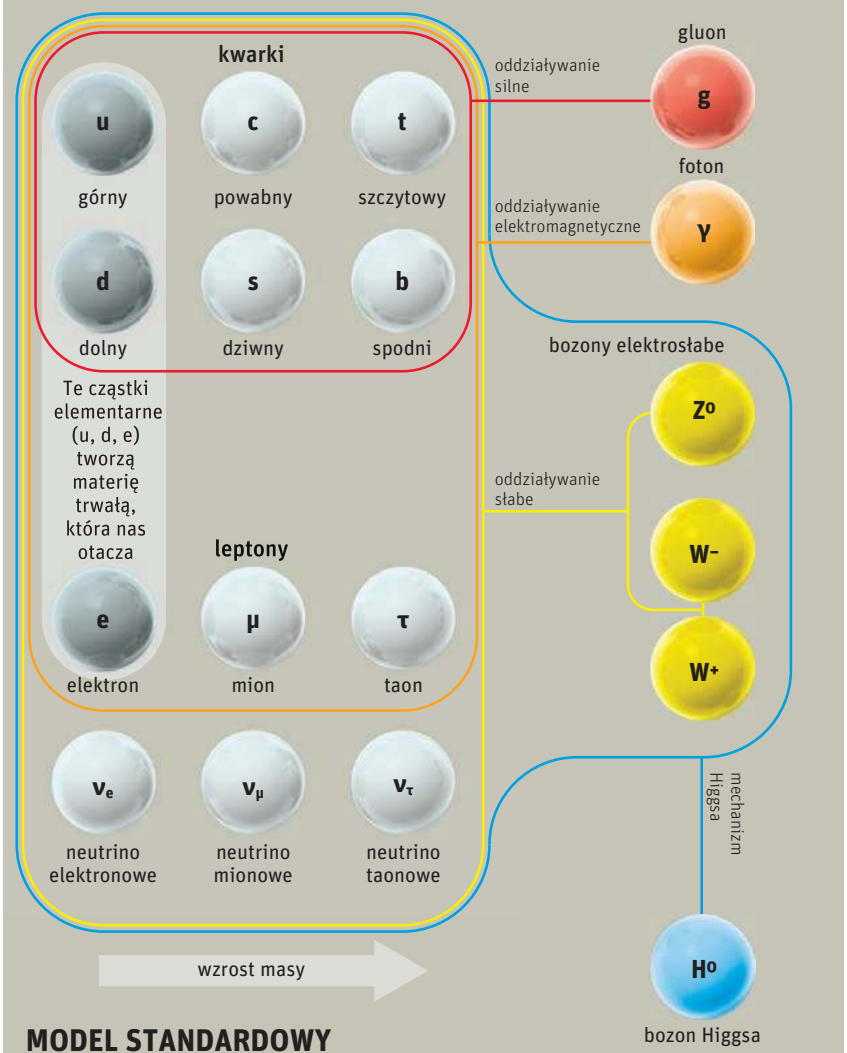

MODEL STANDARDOWY

Powyższy diagram zawiera wszystkie cząstki elementarne – czyli takie, których nie da się już rozłożyć na mniejsze elementy składowe. To podstawowe klocki, z których zbudowany jest nasz świat, warto więc się z nimi zaprzyjaźnić.

ZACZNIJMY OD PROSTEJ RZECZY: po lewej fermiony, po prawej bozony. Sam podział na te dwie klasy ma charakter techniczny (fermiony różnią się od bozonów tak zwanym spinem), ale na szczęście wynika też coś z niego w praktyce. W pierwszym przybliżeniu: cząstki po lewej to zasadniczy budulec świata, a cząstki po prawej to posłańcy, często efemeryczni, którzy zapewniają temu światu koordynację. Przykładowo, kwarki u oraz d łącznie budują swojskie protony i neutrony. Niemal cała masa twojego ciała pochodzi właśnie od protonów i neutronów (elektrony, z których też jesteśmy zbudowani, są od nich zdecydowanie lżejsze). Gluon to natomiast cząstka służebna, która nigdy nie oddala się od protonów czy neutronów, stanowiąc „klej" zapewniający trwałość im oraz zbudowanym z nich jądrom atomowym.

IDŹMY DALEJ. Wszystkie fermiony można zgrupować w trzy rodziny – trzy kolumny na naszym diagramie – o rosnącej masie i malejącej trwałości. Mion, przykładowo, to taki trochę cięższy elektron, a kwark t to najcięższa znana wersja „zwykłego" kwarku u. Elektrony są wieczne, a miony i taony szybko się rozpadają. Podobnie, cząstki złożone z kwarków c, s, t oraz b – czyli egzotyczne wersje protonów czy neutronów – są bez wyjątku nietrwałe.

OSTATNIA UWAGA: to nie koniec. Są na świecie rzeczy, których nie da się upchnąć do modelu standardowego. © ŁL

LECH MAZURCZYK

DATA WYKRYCIA CZĄSTEK

1897 r. elektron (e)

1900 r. foton (γ)

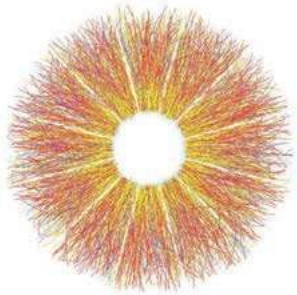

Obraz kolizji jonów złota w akceleratorze (fot. Brookhaven National Laboratory)

1936 r. mion (μ)

1956 r. neutrino elektronowe (ν_e)

1962 r. neutrino mionowe (ν_μ)

1968 r. kwarki dolny, górny i dziwny (u, d, s)

1974 r. kwark powabny (c)

1975 r. taon (τ)

1977 r. kwark szczytowy (t)

1978 r. gluon (g)

1983 r. bozony Z^0, W^+ i W^- (Z^0, W^+, W^-)

1995 r. kwark spodni (b)

2000 r. neutrino taonowe (ν_τ)

2012 r. bozon Higgsa (H^0)

↦ Początkowo to rozwiązanie traktowano z rezerwą, lecz stopniowo zaczęto sobie zdawać sprawę z jego doniosłości. Pod koniec lat 90. mówiono już otwarcie o tym, że sprawdzenie, czy bozon Higgsa rzeczywiście istnieje, jest najważniejszym celem fizyki cząstek. Polowanie powiodło się dopiero w 2012 r., gdy wytoczono działo niespotykanego dotąd kalibru – Wielki Zderzacz Hadronów. Tym samym zdobyliśmy ostatnie brakujące trofeum i nasza galeria modelu standardowego cząstek elementarnych stała się kompletna.

Sześćdziesiąt jeden cząstek

Spójrzmy zatem, jaki obraz wyłania się z modelu standardowego. W pierwszym przybliżeniu cząstek elementarnych jest równo trzydzieści: 6 kwarków, 6 leptonów, 5 bozonów i 13 antycząstek. Jest jednak dodatkowa komplikacja: kwarki i antykwarki powinniśmy liczyć potrójnie ze względu na trzy możliwe wartości ich ładunku silnego zwanego kolorem. Z tego samego powodu gluony występują w 8 możliwych rodzajach. To daje nam *de facto* 61 różnych cząstek, które uznajemy za elementarne.

Niektóre z cząstek elementarnych, w szczególności bozony Higgsa, W i Z są niestabilne, to znaczy rozpadają się spontanicznie – na takiej samej zasadzie jak pierwiastki radioaktywne. Bozon Higgsa żyje średnio zaledwie 10^{-22} sekundy (jedna tryliardowa mrugnięcia okiem), a bozony W i Z jeszcze tysiąc razy krócej. Oznacza to, że żadnej z tych cząstek nie zaobserwowaliśmy (i może nigdy nie zaobserwujemy) bezpośrednio. Wiemy o ich istnieniu jedynie na podstawie produktów rozpadu, które doskonale zgadzają się z przewidywaniami teorii.

Na domiar złego kwarki i neutrina nieustannie zmieniają swoją tożsamość za sprawą tzw. kwantowych oscylacji. Przykładowo, spośród neutrin elektronowych emitowanych przez Słońce około połowy melduje się na Ziemi jako mionowe albo taonowe. Żeby było jeszcze ciekawiej, nie jest wykluczone, że neutrino może spontanicznie stać się antyneutrinem, choć takiego zjawiska dotąd nie zaobserwowano.

Wreszcie, masy cząstek elementarnych rozpinają się na 12 rzędach wielkości. Najlżejsze neutrina są przynajmniej bilion razy lżejsze od najcięższej cząstki – kwarku szczytowego. To trochę tak, jakbyśmy mieli pudełko klocków, z których niektóre ważą kilka miligramów, a inne tysiąc ton. No i do tego dostajemy jeszcze cząstki bez masy – gluony i fotony.

A może w fizyce dotarliśmy do granic redukcjonizmu? Może takich zjawisk jak ciemna materia czy ciemna energia nie da się wytłumaczyć poprzez cząstki elementarne?

Z tej perspektywy starożytny model materii oparty na pięciu podstawowych elementach (żywiołach) wydaje się zdecydowanie prostszy i piękniejszy. Rzecz jednak w tym, że tym razem mamy solidne empiryczne dowody na to, iż materia jest skonstruowana podług modelu standardowego cząstek elementarnych, a nie greckich elementów.

Wydaje się zatem, że model standardowy może wyjaśnić nam wszystkie aspekty materii we wszechświecie. No, może prawie wszystkie...

Błądzenie w mroku

Gdy w pierwszej połowie ubiegłego wieku rozpoczynała się złota era fizyki cząstek, równolegle bujnie rozwijała się kosmologia. Gdy ukonstytuował się model Wielkiego Wybuchu, stało się jasne, że fizyka cząstek i kosmologia będą ze sobą ściśle powiązane. Model kosmologiczny implikuje bowiem, że im wcześniejszy etap rozwoju wszechświata rozważamy, z tym większą gęstością materii i temperaturą mamy do czynienia. Dzięki akceleratorom, takim jak LHC, potrafimy zderzać strumienie cząstek z ogromną energią i na ułamek sekundy wytworzyć takie warunki, jakie panowały niecałą mikrosekundę po Wielkim Wybuchu.

Choć mariaż kosmologii z fizyką cząstek elementarnych wydaje się bardzo udany, to dość szybko pojawił się fundamentalny problem, który kładzie się na nim cieniem. Otóż już w 1933 r. szwajcarski astrofizyk Fritz Zwicky badając gromady galaktyk doszedł do przekonania, że oprócz zwykłej materii musi znajdować się w nich jeszcze „coś innego", co nazwał ciemną materią. O jej istnieniu świadczy również to, jak wirują galaktyki. Jak zdano sobie sprawę w latach 60., ich rotacja jest tak szybka, że powinny się one zwyczajnie rozpaść pod wpływem siły odśrodkowej. Czyżby w całości utrzymywała je grawitacja niewidzialnej ciemnej materii?

Od tego czasu systematycznie zyskiwaliśmy coraz więcej dowodów empirycznych świadczących na korzyść tej hipotezy. Obecnie, w ramach obowiązującego modelu kosmologicznego, przyjmuje się, że ciemnej materii jest we wszechświecie ponad pięć razy więcej niż „zwykłej" materii.

Sęk w tym, że nie mamy pojęcia, czym owa ciemna materia jest. Szybko rozpoczęto poszukiwania cząstek ciemnej materii, rozważając rozmaitych kandydatów, ograniczał je jednak kłopotliwy fakt, że jest ona naprawdę „ciemna", to znaczy nie oddziałuje elektromagnetycznie ze zwykłą materią. Pierwszym kandydatem są zatem neutrina, które oddziałują tylko słabo. Jednak te trzy, które znamy, są zbyt lekkie, żeby wytłumaczyć obserwowane efekty. Postawiono zatem hipotezę o istnieniu czwartego „sterylnego" neutrina, które nie miesza się ze „zwykłymi" kolegami. Inną opcją są tzw. WIMP-y – nieznane, słabo oddziałujące cząstki. Jeszcze inny możliwy model to nowy rodzaj cząstek – aksjony, które przy okazji rozwiązują pewną trudność związaną z teorią oddziaływań silnych.

Jak dotąd nie zaobserwowano – ani bezpośrednio, ani pośrednio – niczego, co można by uznać za jakikolwiek ślad cząstek ciemnej materii – ani sterylnych neutrin, ani WIMP-ów, ani aksjonów, ani niczego innego. Jest to cokolwiek frustrujące, gdyż w trakcie dwóch dekad przeprowadzono kilkanaście dedykowanych

eksperymentów i zebrano ogromne ilości danych, m.in. z LHC.

Kolejną kością niezgody pomiędzy kosmologią a fizyką cząstek stał się problem ciemnej energii. W 1998 r. dwa niezależne zespoły naukowców zajmujące się badaniem supernowych odkryły, że wszechświat nie tylko się rozszerza, ale jego ekspansja przyspiesza. Rodzi się zatem pytanie: co powoduje ową przyspieszoną ekspansję? Jeśli potraktujemy ciemną energię jako rodzaj materii, to dojdziemy do wniosku, że musiałaby ona stanowić ok. 68,5 proc. całej materii we wszechświecie. Próbowano ją zinterpretować na gruncie fizyki cząstek jako tzw. energię próżni, ale teoria rozmija się z empirią o wiele rzędów wielkości.

Sny o teorii ostatecznej

Model standardowy cząstek elementarnych okazał się wręcz niebywale dokładnym opisem przyrody. Wszystkie jego najważniejsze przewidywania zostały potwierdzone empirycznie. Na dodatek, w połączeniu z modelem Wielkiego Wybuchu sugeruje on bardzo elegancki obraz ewolucji wszechświata. Na początku czasu panuje idealna symetria, która następnie jest krok po kroku łamana dzięki efektom kwantowym. W ten sposób wyłoniły się wszystkie znane nam dziś oddziaływania i cząstki elementarne. Ta piękna wizja unifikacji całej fizyki rozpaliła wyobraźnię niektórych fizyków i filozofów, którzy ogłosili rychły koniec fizyki.

Tradycyjne rozumienie filozofii atomizmu prowadzi do redukcjonistycznej wizji świata. Jeśli poznamy podstawowe składniki materii, to zrozumiemy prawdziwą naturę wszystkich zjawisk fizycznych, chemicznych, a dalej również biologicznych i psychologicznych. Oto poznaliśmy już wszystkie, albo prawie wszystkie, składniki materii, więc pozostało nam tylko dopracować szczegóły. Taki pogląd głosił np. Stephen Hawking w swojej słynnej „Krótkiej historii czasu".

Rzecz jednak w tym, że obraz cząstek elementarnych wynikający z modelu standardowego jest dość daleki od tradycyjnego atomizmu. Np. twierdzenie, że proton składa się z trzech kwarków, jest bardzo dużym uproszczeniem. W rzeczywistości proton jest bardzo skomplikowanym obiektem, w którego wnętrzu buzują kwarki, antykwarki i gluony. Bardziej poprawnym ujęciem jest mówienie o elementarnych polach kwantowych, których wzbudzenia nazywamy cząstkami. Taki obraz cząstek elementarnych wydaje się bliższy Arystotelesowskiej substancji aniżeli niezmiennym i niepodzielnym atomom. Na dodatek, podług teorii kwantowej, „próżnia" jest *de facto* bardzo specyficznym stanem, który „potencjalnie" zawiera wszystkie cząstki elementarne. Nie jest to zatem po prostu pustka, w której zderzają się i oddziałują cząstki, jak twierdzili starożytni atomiści.

Może zatem nie ma co upierać się przy wizji szukania kolejnych, „coraz bardziej elementarnych" cząstek? Tym bardziej że nasze próby wyjaśnienia problemu ciemnej materii i ciemnej energii przy pomocy cząstek dotychczas nie przyniosły sukcesu. Tylko jeśli nie cząstki, to co? Teoretycy próbowali przeróżnych, mniej lub bardziej szalonych pomysłów, głównie w odniesieniu do grawitacji, która kompletnie wyłamuje się ze schematu podstawowych oddziaływań fizycznych opisywanych w ramach modelu standardowego. Powstały zatem rozmaite teorie strun, bran, pętli, pian spinowych czy kwantowej czasoprzestrzeni. Rzecz w tym, że to wciąż tylko hipotezy. Bardzo eleganckie i kunsztowne matematycznie, ale bez poparcia w empirii.

Mądrość płynąca z filozofii Arystotelesa jest następująca: przynajmniej niektóre cechy obiektów fizycznych nie dają się wytłumaczyć przy użyciu ich części składowych. Istotnie, twierdzenie, że krzesło składa się z atomów, jakkolwiek prawdziwe, nie mówi nam kompletnie nic o tym, czym jest krzesło i do czego służy.

Być może w fizyce dotarliśmy właśnie do granic redukcjonizmu? Być może takich zjawisk jak ciemna materia czy ciemna energia po prostu nie da się wytłumaczyć poprzez elementarne cząstki, a nawet jeśli się da, to takie tłumaczenie będzie zawiłe i nieefektywne? Mechanika kwantowa i jej spektakularne sukcesy w modelowaniu mikroświata podważyła mechanistyczną wizję świata, w którym wszystko jest zdeterminowane. Być może czeka nas kolejna rewolucja pojęciowa, która podważy przekonanie o konieczności unifikacji całej fizyki?

© MICHAŁ ECKSTEIN

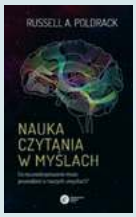

▪ *Russell A. Poldrack*
NAUKA CZYTANIA W MYŚLACH
CCPress

Do czego służy fMRI

NIE JEST ŁATWO zaglądać do wnętrza czaszki – zwłaszcza jeśli nie chcemy jej chirurgicznie otwierać. Na szczęście naukowcy i inżynierowie opracowali szereg nowatorskich urządzeń, które to umożliwiają. Dzięki nim narodziła się nowoczesna neurobiologia. Ta książka przedstawia jedną z najważniejszych technik stosowanych w tej dziedzinie – funkcjonalne obrazowanie rezonansem magnetycznym (fMRI). Autor przedstawia możliwości i ograniczenia tej techniki. Wyjaśnia też, dlaczego jej zastosowania poza laboratorium przekraczają często granice odpowiedzialnej i rzetelnej nauki. Dzięki fMRI możemy obserwować zmieniającą się aktywność różnych obszarów mózgu podczas wykonywania przez człowieka prostych zadań czy doświadczania różnych stanów psychicznych, np. emocji. Możemy także próbować przewidywać to, co osoba badana widzi, słyszy, myśli lub czuje, na podstawie jej wzorców aktywności mózgowej. Niektórzy naukowcy twierdzą nawet, że fMRI może pomóc w diagnozowaniu chorób psychicznych, ocenianiu prawdomówności świadków lub podejrzanych, a nawet w manipulowaniu ludźmi. Amerykański neurobiolog uczy czytelników krytycznego podejścia do tego, co fMRI może nam powiedzieć o nas samych i o innych ludziach. Dobrą nauczką niech będą słynne skany mózgu łososia, nagrodzone nagrodą IgNobla, które wykazały specyficzną aktywność na widok zdjęć ludzi w różnych sytuacjach społecznych, mimo że ryba była… martwa. © KK

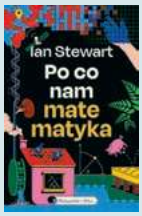

▪ *Ian Stewart*
PO CO NAM MATEMATYKA
Prószyński i S-ka

Liczby są wszędzie

MATEMATYKA to nie tylko suche wzory i nudne obliczenia. To także sposób myślenia, który pomaga nam rozwiązywać problemy i podejmować decyzje. Oraz źródło piękna i harmonii, które inspirują artystów i filozofów. Matematyczne algorytmy pomagają nam w określeniu najkrótszej trasy dotarcia do celu, co z kolei pozwala nam zaoszczędzić czas i pieniądze, a przedsiębiorstwom także zwiększa efektywność i produktywność. To dzięki matematyce na ekranach kin, telewizorów i komputerów podziwiać możemy wyimaginowane światy, które wyglądają realistycznie. Matematyka fizyczna i znienawidzone przez wielu równania różniczkowe pomagają bowiem w tworzeniu realistycznych efektów fizycznych, takich jak symulacja płynów, eksplozji, tkanin, wody, dymu czy ruchu przedmiotów. Matematyka ma jednak i ciemne strony. Wykorzystywana jest choćby przez polityków do manipulowania granicami okręgów wyborczych w celu uzyskania przewagi politycznej.
Ian Stewart w ciekawy i humorystyczny sposób pokazuje w swojej książce, jak matematykę wykorzystuje się w bardzo odległych dziedzinach ludzkiej aktywności. To książka nie tylko o świecie liczb – także o świecie, w którym liczby i wzory leżą u podłoża cywilizacji. Oraz opowieść o ludziach, którzy odkrywali tajemnice matematyki i tworzyli jej narzędzia. Po jej lekturze łatwo odpowiedzieć na tytułowe pytanie, które wielu z nas zadawało sobie w szkole.
© KK

Najtrudniejszy projekt świata

MATEUSZ HOHOL

Katrin Amunts, dyrektorka naukowa Human Brain Project, szuka Świętego Graala nauki. Chce dokładnie zmapować ludzki mózg i stworzyć jego cyfrową kopię.

Pierwsze badania neuroanatomiczne przeprowadzane *post mortem* przez medyków aleksandryjskich w III w. p.n.e. doprowadziły do opisania struktur takich jak móżdżek, opony czy komory.

Trzeba było jednak całych tysiącleci, by odkryć komórkową budowę mózgu, zrozumieć, z czego składają się neurony i jak komórki te komunikują się ze sobą, tworząc połączenia między różnymi obszarami. Z pogłębianiem rozumienia anatomii mózgu w różnych skalach przestrzennych szło w parze mozolne odcyfrowywanie jego funkcji, a w konsekwencji podjęcie odwiecznego pytania o genezę naszych myśli i emocji w naukowy sposób.

Wszystko to nie byłoby możliwe bez tworzenia coraz to nowych metod i narzędzi badawczych, począwszy od mikroskopu i technik barwienia preparatów, przez techniki nagrywania sygnałów z pojedynczych neuronów, elektroencefalografię (rejestrowanie tzw. fal mózgowych, czyli zmian elektrycznych na powierzchni skóry, związanych z pracą mózgu), a w ostatnich dekadach optogenetykę (modyfikacje genetyczne pozwalające na manipulowanie aktywnością mózgu za pomocą światła) czy obrazowanie struktury i funkcji mózgu za pomocą rezonansu magnetycznego.

A jednak Katrin Amunts i jej współpracownicy rozpoczynają swój artykuł opublikowany w zeszłym roku na łamach czasopisma „eNeuro" od stwierdzenia, że „zrozumienie ludzkiego mózgu jest wciąż wielkim wyzwaniem badawczym XXI wieku".

Co jest wyzwaniem

Rzecz nie tylko w tym, że na mapie rozumienia mózgu wciąż znajdują się plamy naszej ignorancji. Wiemy już wiele o tym, jak mózg zbudowany jest w różnych skalach przestrzennych – począwszy od cząsteczek mierzonych w nanometrach, przez neurony mierzące milimetry, aż po całe obwody obejmujące centymetry tkanki – i co robi w różnych skalach czasowych. Od procesów zajmujących ułamek sekundy, takich jak zmiany w układzie przestrzennym cząsteczek, aż po te dziejące się na przestrzeni życia, jak tworzenie i obumieranie neuronów, związane ze starzeniem się organizmu.

Problem polega jednak na tym, że poszczególne porcje naszej wiedzy, dotyczące każdej z tych skal, często pozostają niezintegrowane, a związki przyczynowe między procesami zachodzącymi w tych skalach jeszcze nieodkryte. Jak piszą Amunts i jej współpracownicy, „wciąż sporym wyzwaniem jest zrozumienie (...), w jaki konkretnie sposób wiązanie neuroprzekaźnika z jego receptorem moduluje aktywność zespołów komórek oraz wielkoskalowych sieci obejmujących długodystansowe szlaki włókien i obszary mózgu, z których ostatecznie wyłania się zachowanie. Inne pytania dotyczą tego, jakie reguły rządzą leżącymi u ich podstaw sieciami i jak to możliwe, że są one tak skuteczne i tak efektywne, a mimo to zużywają tak mało energii".

To jednak nie wszystko. Wiemy dziś nie tylko to, że mylili się tzw. frenologowie, postulujący na przełomie XVIII i XIX w. istnienie pojedynczych ośrodków mózgowych odpowiedzialnych

MICHAŁ DYAKOWSKI

za konkretne zdolności poznawcze i cechy charakteru (np. stanowczość, inteligencję i wytrwałość) – w rzeczywistości wyłaniają się one ze współpracy skomplikowanych sieci mózgowych. Zdaliśmy sobie również sprawę z tego, że nie jest wcale tak, iż to, co mniejsze i szybsze w mózgu, jest zawsze prostą przyczyną tego, co większe i trwające dłużej. Bo mózg to naprawdę skomplikowana maszyna.

Brak dogłębnego zrozumienia jego złożoności utrudnia nie tylko dalsze postępy teoretyczne na drodze do rozwiązania frapujących zagadek – np. czym jest świadomość? – ale też przekładanie wiedzy neuronaukowej na sztukę medycyny. To ostatnie hamuje z kolei przełomy w zapobieganiu i leczeniu chorób mózgu, przede wszystkim psychicznych i neurodegeneracyjnych.

Wyjaśnij się sam

Zdaniem Amunts podjęcie wyzwania zrozumienia ludzkiego mózgu możliwe jest dziś dzięki komputerom, umożliwiającym tworzenie cyfrowych modeli mózgu i testowanie hipotez badawczych na drodze symulacji. Coraz większe znaczenie mają również nowe narzędzia analizy danych przeprowadzane przy wykorzystaniu uczenia maszynowego i narzędzi opartych na sztucznych sieciach neuronowych, które zresztą inspirowane są podstawowymi zasadami, wedle których działa mózg. Zatoczyliśmy więc koło – zrozumieliśmy mózg na tyle, by stworzyć oparte na tej wiedzy narzędzia umożliwiające dalszą jego ekspolorację.

Rzecz jasna komputer od dekad jest podstawowym narzędziem pracy niemal każdego naukowca, także zajmującego się mózgiem i poznaniem, i to niemal na każdym etapie procesu badawczego. Typowy laptop czy komputer stacjonarny nie zda się jednak na wiele w mierzeniu się z problemem złożoności mózgu. Cyfrowy trójwymiarowy model mózgu gryzonia sporządzony z rozdzielczością przestrzenną rzędu 1 mikrometra (1 milimetr to 1000 mikrometrów) zajmuje około 8 terabajtów. Dla porównania: komputer, na którym piszę ten tekst, posiada 256 gigabajtów przestrzeni dyskowej. Jest to ponad 30 razy za mało, by pomieścić taki model. Analogiczny model ludzkiego mózgu zająłby już petabajty, ↦

czyli miliony gigabajtów. Pomyślmy teraz, że mózgi poszczególnych osób różnią się między sobą, co oznacza, że aby uzyskać wiarygodne rezultaty, trzeba ze sobą porównać wiele mózgów.

Na dodatek tak ogromne modele trzeba nie tylko przechowywać, ale także efektywnie na nich operować. Konieczność operowania ogromnymi zbiorami różnorodnych danych zgromadzonych w licznych badaniach przez duże, współpracujące ze sobą zespoły badawcze przekracza nawet możliwości pojedynczych superkomputerów. Sytuacja ta dotyczy zresztą nie tylko neuronauki, ale również np. badań nad klimatem. W świetle tych wyzwań kierowany obecnie przez Katrin Amunts Human Brain Project, rozpoczęty w 2013 r. projekt flagowy UE, opracował platformę badawczą o nazwie EBRAINS, będącą połączeniem rozproszonej infrastruktury sprzętowej oraz narzędzi wspomagających badaczy na różnych etapach procesu badawczego. W artykule „The Coming Decade of Digital Brain Research" („Nadchodząca dekada cyfrowych badań nad mózgiem"), mającym charakter manifestu programowego Human Brain Project, Amunts i współpracownicy piszą, że „EBRAINS jest opartą na współpracy platformą badawczą, której celem jest przeniesienie badań nad mózgiem na wyższy poziom oraz dalszy rozwój zastosowań w medycynie i technologiach inspirowanych przez mózg". Jednym z osiągnięć infrastruktury EBRAINS jest możliwość tworzenia „cyfrowych bliźniaków".

Twój cyfrowy bliźniak

Ogromna część naszej wiedzy o funkcjonowaniu mózgu pochodzi z badań nad pacjentami, którzy doznali uszkodzeń mózgu (lezji). Jeśli np. w wyniku udaru czy mechanicznego urazu jakaś część mózgu przestanie pracować, co doprowadzi u pacjenta do utraty jakiejś funkcji poznawczej, to oznacza, że u osoby zdrowej ta struktura zaangażowana jest w tę konkretną funkcję.

Przykładowo, badając pacjentów z uszkodzeniami tzw. tylnej części zakrętu czołowego dolnego, którzy stracili zdolność mówienia, XIX-wieczny chirurg i antropolog Paul Broca doszedł do wniosku, że struktura ta jest „ośrodkiem mowy". Z oczywistych względów nie jest możliwe wykonywanie eksperymentów polegających na celowym wykonywaniu takich uszkodzeń. Dziś, dzięki technice określanej jako przezczaszkowa stymulacja magnetyczna, możliwe jest jednak wywoływanie „wirtualnych lezji", polegających na przejściowym i bezpiecznym dla osoby badanej tłumieniu aktywności struktury mózgowej.

Cyfrowe symulacje otwierają nową erę badań mózgu. Pozwalają sprawdzać skutki zmian, których z racji etycznych lub praktycznych nie można wykonywać w doświadczeniach z udziałem ludzi.

Jak twierdzą badacze zaangażowani w Human Brain Project, symulacje mózgu umożliwiają coś podobnego: pozwalają sprawdzać skutki zmian, których z racji etycznych lub praktycznych nie można wykonywać w doświadczeniach z udziałem ludzi. Mając do dyspozycji symulację działania mózgu oraz skany mózgu pacjenta wykonane metodą rezonansu magnetycznego lub za pomocą elektroencefalografii, możliwe jest „spersonalizowanie" modelu i eksperymentowanie na nim zgodnie z przyjętymi hipotezami albo wręcz metodą prób i błędów. W ten sposób współpracownik Katrin Amunts Viktor Jirsa stworzył w 2017 r. na podstawie danych neuroobrazowych symulację pacjenta z epilepsją, pozwalającą na planowanie leczenia i przewidywanie jego skutków.

Co więcej, możliwe jest tworzenie całych „wirtualnych populacji pacjentów" z uszkodzeniami mózgu lub schorzeniami neurologicznymi, co jest szczególnie istotne w przypadku chorób rzadkich. Według Amunts i współpracowników „tego typu spersonalizowane wirtualne mózgi mogą być postrzegane jako krok w kierunku czegoś jeszcze bardziej teoretycznie i technicznie wymagającego, ale także lepiej dostosowanego do ciągle zmieniającej się natury aktywności mózgu we wszystkich skalach czasowych. Konsekwencje spersonalizowanej symulacji mózgu widzimy w modelu, który jest nieustannie informowany i aktualizowany przez dane z prawdziwego świata, dlatego też model ten określić można jako cyfrowego bliźniaka".

Zauważają oni również, że „np. głęboka stymulacja mózgu i ogólnie neurochirurgia odniosłyby ogromne korzyści ze spersonalizowanych bliźniaków, które mogłyby pomóc w planowaniu zabiegu w taki sposób, aby zapewnić maksymalną ochronę i zachowanie zdrowych tkanek. W szczególności mogłoby to informować chirurgów o konieczności uaktualnienia modelu na podstawie sygnałów z mózgu wykrywanych przez czujniki podczas operacji".

Katrin Amunts wraz ze współpracownikami z Human Brain Project twierdzą, że tworzenie „cyfrowych bliźniaków" okaże się przydatne nie tylko w medycynie i badaniach podstawowych, ale również w obszarze tworzenia nowych, inspirowanych neuronauką technologii. Te ostatnie obejmują tworzenie realistycznej biologicznie i spersonalizowanej sztucznej inteligencji.

Pełzająca rewolucja

Kierowana przez Katrin Amunts śmiała inicjatywa Human Brain Project, której głównym celem jest tworzenie cyfrowego odwzorowania ludzkiego mózgu, była przedmiotem krytyki w środowisku neuronaukowym. Jednym z zarzutów kierowanych w stronę projektu było niedoszacowanie tematyki badań nad poznaniem i zachowaniem. W odpowiedzi na ten zarzut w ostatniej fazie projektu, kończącej się we wrześniu 2023 r., zdecydowano się położyć nacisk na tematykę świadomości i sztucznych sieci neuronowych. Ponadto, jak w jednym z artykułów podaje zespół Katrin Amunts, w ramach projektu eksplorowane są tematy tak szerokie, jak „mechanizmy uczenia się, kontrola wzrokowo-motoryczna, sen, orientacja przestrzenna, kodowanie predykcyjne i percepcja". Niedługo będziemy w stanie przekonać się więc, na ile neuroinformatyka, a szczególnie infrastruktura EBRAINS, zrewolucjonizowała rozumienie naszego wewnętrznego kosmosu.

©℗ MATEUSZ HOHOL

Kto potrzebuje fundamentów

MICHAŁ DYAKOWSKI

MAREK JAKUBIEC

Badania Ariego Kruglanskiego pokazują, że poczucie pewności w skomplikowanym i trudnym do zrozumienia świecie może być niebezpieczne – dla nas samych i całego społeczeństwa.

Boimy się tego, czego nie rozumiemy. Zjawiska naturalne przez wieki budziły w ludziach lęk, co skłaniało naszych przodków do poszukiwania rozmaitych – m.in. rytualnych – sposobów ich obłaskawienia. Dziś lepiej rozumiemy świat, ale pewne mechanizmy naszej psychiki nie uległy zmianie.

Świat zresztą też w wielu aspektach się nie zmienił. I dziś jest w dużej mierze nieprzewidywalny, niezrozumiały i trudny do zaakceptowania. Zdarzenia zaskakujące czy niezgodne z naszymi oczekiwaniami budzą w nas obawy, frustracje i mogą skłaniać do przyjmowania odpowiedzi, które dadzą nam chwilę ukojenia, nawet jeśli będą fałszywe.

Jeśli te odpowiedzi staną się dla nas ważne, mogą wpędzić nas w poczucie pewności. Bo choć pewność daje poczucie bezpieczeństwa czy przynależności, to idą z nią w parze różne zagrożenia. ↦

Potrzeba domknięcia

Nikt z nas nie rodzi się z określonym światopoglądem – warto więc zapytać, skąd właściwie wzięły się podstawowe przekonania, które posiadamy. Znaczna ich część nie jest wynikiem namysłu czy długich analiz. Jesteśmy wrzuceni w określone otoczenie społeczne, które w dużej mierze narzuca nam sposoby myślenia. Przez całe życie towarzyszą nam przekonania, których źródeł nie znamy lub sobie nie uświadamiamy, i musimy robić wiele, by cała nasza misterna konstrukcja psychiczna nie rozsypała się jak domek z kart. Dzieje się tak zwłaszcza, gdy wykazujemy się szczególnie wysokim zapotrzebowaniem na to, co psychologowie społeczni określają mianem poznawczego domknięcia.

Oczywiście potrzeby tej nie da się łatwo zmierzyć. To nie ciśnienie krwi czy poziom glukozy. Potrzeba domknięcia to tendencja do stawiania oporu możliwości zmiany przekonań – a im bardziej dogłębne mogą się okazać zmiany, tym większy opór. Jak łatwo się domyślić, osoby o wyższym poziomie potrzeby domknięcia będą silniej przeciwstawiać się stanowiskom, które są niezgodne z ich przekonaniami – a nawet takim, które stanowią jedynie potencjalne zagrożenie dla ich światopoglądu.

Dlaczego tak się dzieje? Przyczyn może być wiele, ale podstawową wydaje się poczucie bezpieczeństwa. Posiadanie zbioru przekonań, nawet niespójnego i pozbawionego dobrych podstaw, sprawia, że albo mamy poczucie iluzji kontroli nad rzeczywistością, albo przynajmniej wiemy, jak wytłumaczyć zjawiska, które obserwujemy – fizyczne, społeczne czy gospodarcze.

Czy jednak przyjęcie, że świat jest bardziej złożony, niż nam się wydaje, i że wcale go zbyt dobrze nie rozumiemy, musi zachwiać naszym poczuciem bezpieczeństwa? Sprawa okazuje się mocno indywidualna. Niektórzy będą za wszelką cenę chronić swój system przekonań, dający im poczucie bezpieczeństwa przed podmuchami wiatru wątpliwości, a inni uznają, że wobec braku pewności czegokolwiek lepiej dać się porwać niepewności – i w niej odnajdą spokój oraz bezpieczeństwo. I nawet jeśli zdecydowana większość ludzi znajdzie się gdzieś pomiędzy tymi dwiema skrajnościami, to i tak sporo to mówi o problemach, jakie mamy ze wzajemnym zrozumieniem.

Nie do podważenia

Od kilku dekad badania nad potrzebą domknięcia jako dążeniem do unikania niejasności i niepewności prowadzi m.in. zespół Ariego Kruglanskiego z Uniwersytetu Maryland w USA, amerykańskiego psychologa społecznego urodzonego w 1939 r. w Polsce. Uzyskane przez niego wyniki nie dają jeszcze pełnego zrozumienia, dlaczego potrzebujemy pewności – oraz dlaczego niektóre osoby potrzebują jej bardziej niż inne – ale pozwalają wyjaśnić niektóre mechanizmy kształtujące nasze procesy poznawcze.

> Osoby o wyższym poziomie potrzeby domknięcia silniej przeciwstawiają się stanowiskom **niezgodnym z ich przekonaniami.**

Jednostki, które charakteryzuje wysoki poziom potrzeby domknięcia, mogą wykazywać skłonność do traktowania pewnych poglądów jako nienaruszalnych. Niechętnie podejmują się pogłębionej analizy problemów, są powierzchowne, a gdy szukają informacji, faworyzują te, które potwierdzają ich przekonania. Nie czują się komfortowo w obliczu wieloznaczności. Argumenty na rzecz stanowiska, z którym się nie zgadzają, będą odrzucać bez zastanowienia, czy aby druga strona nie ma przynajmniej częściowo racji. Wiąże się z tym skłonność do silnej – ale często nieudolnej, z uwagi na brak pogłębionej wiedzy – obrony przyjmowanego światopoglądu, z uwagi na awersję do kwestionowania odpowiedzi na określone pytanie, którą wcześniej przyjęły.

Z filozoficznego punktu widzenia osobom o silnej potrzebie domknięcia poznawczego bliskie jest podejście fundacjonistyczne, czyli takie, w którym system przekonań oparty jest na niezachwianych podstawach. A stąd już prosta droga do dogmatyzmu, który przejawia się w petryfikacji przekonań i odporności na wszelkie przejawy perswazji.

Domknięcie nie ogranicza się jednak tylko do płaszczyzny czysto poznawczej. Badania potwierdzają zdroworozsądkowe obserwacje, iż mamy tendencję do oceniania innych osób przez pryzmat ich poglądów. Te osoby, których przekonania znacząco odbiegają od naszych, nie są akceptowane, niezależnie od innych cech. Jak łatwo się domyślić, im większe zapotrzebowanie na domknięcie i poczucie pewności, tym większa skłonność do odrzucania innych, a także tym większe przyzwolenie na agresję i przemoc. Niekiedy przejście od niechęci, przez przyzwolenie na przemoc, aż do samodzielnego podejmowania działań agresywnych może być szybkie i płynne. Osoby, które wyrażają swoje odmienne zdanie, zagrażają systemowi przekonań, a więc są nie tylko obce, ale i wrogie.

Badania nad domknięciem były wielokrotnie prowadzone w kontekście przekonań politycznych i skłonności do autorytaryzmu. Wynika z nich, że ci, którzy przywiązują większą wagę do pewności, są też bardziej skłonni do akceptacji radykalnych rozwiązań społecznych. Spójność ideologiczna, nawet jeśli jedynie deklaratywna, charakterystyczna dla państw autorytarnych i totalitarnych, to rzeczywistość, w której dobrze czuć może się jedynie osoba o wysokim poziomie domknięcia poznawczego i sztywności poznawczej. „Zamrożone umysły" lepiej czują się w „zamrożonym świecie", gdzie wszystko funkcjonuje według znanych im reguł, a przekaz informacyjny jest zgodny z wartościami, które uważają za właściwe.

Chwytanie i zamrażanie

Zamrażanie to metafora, której Kruglanski i Donna Webster użyli w artykule z 1996 r. o wymownym tytule „Motivated Closing of the Mind" („Motywowane domykanie umysłu"). Przedstawili tam dwa podstawowe mechanizmy poznawcze, które składają się na tworzenie nienaruszalnych przekonań. Pierwszy z nich to „chwytanie", czyli przyjęcie wyjaśnienia jakiegoś zjawiska bez dokładnej analizy;

im wyższy poziom potrzeby domknięcia, tym bardziej akceptowane rozwiązania muszą być zgodne ze stanem wiedzy podmiotu (pomijane są informacje, które mogą podać w wątpliwość zasadność przyjętego systemu przekonań). Drugi, kluczowy, to „zamrażanie": informacja zostaje częścią systemu przekonań i staje się niepodważalna. Inne wyjaśnienia zostają odrzucone, podobnie jak argumenty formułowane na rzecz ich adekwatności.

Te mechanizmy sprawiają, że światopogląd jednostki staje się w zasadzie niepodważalny. Dzięki temu osoba uzyskuje „pewność prawdziwości" – jest przekonana, iż odnalazła prawdę, i skłonna do radykalizmu.

Warto podkreślić, że mechanizmy radykalizacji są zbliżone w przypadku zupełnie różnych grup. W podobnym stopniu występuje w nich skłonność do agresji, i to niezależnie od deklarowanego światopoglądu. Pokazuje to, że każda forma radykalizmu – bez względu na treści, które są bezrefleksyjnie przyjmowane – jest potencjalnie niebezpieczna. Iluzja pewności prawdziwości sprawia, że budzą się w nas demony, które w innych okolicznościach pozostałyby uśpione. Stajemy się podejrzliwi, złośliwi, niechętni. A im sytuacja społeczna jest bardziej napięta, tym łatwiej o utratę kontroli i zagubienie. Ci, którzy chcą mieć iluzję bezpieczeństwa i iluzję pewności, mogą odnaleźć ją w fundamentalizmie. A wtedy nie tylko ich ideologiczni przeciwnicy staną się wrogami. Stanie się nim każdy, kto nie popiera danych poglądów i nie jest gotów za nie walczyć. Tak rodzą się współczesne wrogie plemiona, których członkowie z czasem zapominają, o co toczyli spory na początku.

Z dala od radykałów

Choć radykalizm można powiązać z wysokim poziomem potrzeby domknięcia, to jego źródeł może być wiele. Znaczna część badań Kruglanskiego dotyczy problematyki ekstremizmu i terroryzmu. Co interesujące, w kontekście ekstremizmu łączy on różne jego przejawy, od agresji po ekstremalny humanitaryzm, wskazując, że przypadki te łączy podobny mechanizm związany z brakiem równowagi motywacyjnej. Oznacza to, że jedna z potrzeb staje się kluczowa, jednocześnie przyćmiewając inne. Człowiek, realizując tę potrzebę, zapomina o innych, popadając w spiralę radykalizmu.

Oczywiście nie każdy radykał staje się terrorystą, a i nie każdy terrorysta jest radykałem. Ale nie da się ukryć, że wysoka potrzeba domknięcia, brak tolerancji na odmienne poglądy i brak równowagi motywacyjnej stanowią niezwykle niebezpieczną psychologiczną mieszankę.

Dążenie do wiedzy i dążenie do pewności mogą się wydawać pokrewne. W rzeczywistości są jednak przejawami nie tylko odmiennych, ale i w sporej mierze przeciwstawnych pragnień. Wiedza zakłada ciągły rozwój i podatność na falsyfikację, a więc nigdy nie jest czymś ostatecznym. Pewność z kolei wiąże się z poczuciem odnalezienia tego, jak sprawy się mają – by nie powiedzieć, że z przekonaniem o odnalezieniu prawdy.

Jak pokazują badania Kruglanskiego i jego współpracowników, motywacja odgrywa kluczową rolę w naszych procesach poznawczych. Na pierwszy rzut oka może się to nie wydawać zaskakujące: ucząc się czegoś, potrzebujemy motywacji (a dbanie o nią jest jedną z cech świetnych pedagogów). Okazuje się jednak, że motywacje decydują o przebiegu różnych procesów poznawczych w sposób, którego sobie nie uświadamiamy. Uwzględnienie ich znaczenia może pomóc w wyjaśnieniu, jak przebiega zmiana naszych przekonań pod wpływem nowych informacji.

Kruglanski wyróżnił dwa zasadnicze typy motywacji, które kierują nas w stronę pewności, ale na różne sposoby. Pierwszy z nich wiąże się z dążeniem do uzyskania szybkiej odpowiedzi czy szybkiego znalezienia rozwiązania, ale bez silnej preferencji w odniesieniu do treści. Przykładem jest zagubiony pasażer, którego nieszczególnie interesuje, czy jego lot zostanie odprawiony z bramki o numerze parzystym czy nieparzystym – on po prostu chce szybko uzyskać pewność, w którym kierunku ma się udać, by zdążyć na swój lot. Jest jednak i drugi typ motywacji, dotyczący już treści przekonań. I to on może niekiedy prowadzić nas od wiedzy w ślepy zaułek pewności, a w niesprzyjających okolicznościach również ekstremizmu.

©℗ MAREK JAKUBIEC

▪ *Brian Hare, Vanessa Woods*
PRZETRWAJĄ NAJŻYCZLIWSI
CCPress

Dobrze jest móc się dzielić

PRZYJMIJMY, że ktoś jest sprawnym łowcą-zbieraczem. W ciągu jednego dnia potrafi upolować cztery ptaki, zebrać mnóstwo owadów, jaj, a nawet schwytać średniej wielkości ssaka. Albo zlokalizować wartościowe bulwy i przynieść całe ich naręcze do miejsca nocnego spoczynku. Jak zabezpieczyć takie zdobycze? Suszenie jest niedoskonałe, a inne metody utrwalania nie zostały jeszcze opanowane. Nie ma rady – trzeba się pogodzić z tym, że część tej żywności się popsuje. Chyba że… łowca-zbieracz zabezpieczy żywność w inny sposób. Nie w czasie teraźniejszym, ale w przyszłości.

Jeśli podzieli jedzenie między siebie i swoich krewnych oraz resztę społeczności, wykupi ubezpieczenie spożywcze. Dziś to on jest sprawnym zdobywcą pokarmu, ale w przyszłości coś mu się może stać, będzie też coraz starszy i mniej sprawny – kto wie, kiedy fortuna się od niego odwróci. Wtedy będzie mógł skorzystać z wykupywanego latami ubezpieczenia. Płacił żywnościowe składki u innych członków społeczności, więc potem i on będzie mógł korzystać z czyichś zasobów.

Takie podejście do dzielenia się zasobami i usługami to – według autorów – jedna z przyczyn ludzkiego „samoudomowienia". Obcy przedstawiciele *Homo sapiens* reagują na siebie łagodniej od typowych dorosłych ssaków, które się nie znają, a znalazły się na wspólnym terenie. Może właśnie dlatego, że życzliwość stała się motorem naszego postępu i jedną z przyczyn sukcesu.

© MAT

GŁÓWNE PASMA

Poniższe wydarzenia odbywają się w Muzeum Inżynierii i Techniki przy ul. Św. Wawrzyńca 15 w Krakowie. Wstęp wolny.

Transmisja na żywo na kanale Youtube.com/CopernicusCenter. Wykłady i dyskusje w języku angielskim będą tłumaczone symultanicznie na język polski.

WTOREK 23 MAJA

17.30
KONFRONTACJE: Życie w kosmosie
January Weiner 3, Rafał Szabla

Jak powstało życie na Ziemi? Czy żywe organizmy są w kosmosie czymś powszechnym? Jakie kryteria muszą spełnić planety, by je podtrzymywać? I jak bardzo mogą różnić się obce formy życia od tej, którą znamy? W paśmie Konfrontacje eksperci z różnych dziedzin dyskutują na najciekawsze tematy z pogranicza nauki i filozofii. Pierwszego dnia o tajemnicach życia porozmawiają biolog i chemik.

19.00
WERNISAŻ WYSTAWY:
Kosmos przed Kopernikiem i po nim

Marcin Bojda i Anna Kolera oprowadzą nas po wystawie. Zobaczymy m.in. fragmenty meteorytu Pułtusk, zdjęcie Ziemi wykonane podczas misji Apollo 11, instrumenty astronomiczne z różnych epok, kopie dzieł Kopernika, Galileusza i Heweliusza, a także sprawdzimy, jakie możliwości ma łazik planetarny Phobos, przygotowany przez wielokrotnie nagradzany zespół studentów AGH Space System.

19.45
STUDIO FESTIWALOWE:
Czego nie wiemy o kosmosie?

Opowiemy o wydarzeniach czekających nas w następnych dniach, a także porozmawiamy z gośćmi i organizatorami festiwalu.

ŚRODA 24 MAJA

16.00
MĄDRE KSIĄŻKI: Rozstrzygnięcie konkursu dla licealistów

Dziewiętnaście zespołów z małopolskich liceów przygotowało filmy reklamowe książek nominowanych w konkursie „Mądra Książka Roku". Podczas wydarzenia wyłonimy i nagrodzimy najlepsze z nich.

17.30
KONFRONTACJE:
Sztuczna inteligencja i naturalna głupota
Jarek Gryz, Edward Nęcka

Jak działają nowoczesne systemy sztucznej inteligencji, takie jak ChatGPT? Jakie mają ograniczenia? Czy mogą być świadome lub twórcze? I czym różnią się od przejawów inteligencji, które obserwujemy w świecie ludzi? Z tymi pytaniami zmierzą się profesorowie filozofii i informatyki oraz psychologii.

19.00
WYKŁAD:
Arie W. Kruglanski, Confronting Uncertainty: A Psychological Analysis (Jak się mierzyć z niepewnością: perspektywa psychologiczna)

Wszyscy poszukujemy porządku w otaczającym nas świecie, a niektórzy opierają swój światopogląd na niewzruszonych fundamentach. Jeden z najbardziej wpływowych psychologów społecznych opowie o tym, jak tworzymy swoje sieci przekonań i kiedy nasz umysł próbuje unikać informacji sprzecznych z naszym rozumieniem świata.

20.30
DYSKUSJA:
Uncertainty as a Challenge and Opportunity (Niepewność jako wyzwanie i szansa)
Arie Kruglanski, Katarzyna Jaśko. Prowadzenie: Jędrzej Grodniewicz

Porozmawiamy o tym, jak badania prof. Kruglanskiego i dr Jaśko wpływają na nasze rozumienie takich zjawisk i problemów społecznych jak polaryzacja, aktywizm, pseudonauka czy terroryzm.

CZWARTEK 25 MAJA

16.00
MĄDRE KSIĄŻKI: Gala nagrody głównej

Przedstawimy piętnaście książek nominowanych w konkursach „Mądra Książka Roku" i „Mądra Książka Roku Dla Dzieci" (piszemy o nich w ramkach w tym katalogu) oraz poznamy werdykt jurorów.

17.30
KONFRONTACJE:
Tajemnice świata kwantów
Michał Eckstein, Paweł Horodecki

Z czego składa się materia, która nas otacza? Czy w kosmosie istnieją obiekty zbudowane z elementów, których jeszcze nie znamy? Jak wyjaśnić ciemną materię i ciemną energię? Czy cząstki elementarne są naprawdę elementarne? W tajemniczy świat kwantów wprowadzą nas dwaj fizycy.

19.00
WYKŁAD:
Katrin Amunts, Brain, Computer, Comprehension (Mózg, komputer i rozumienie)

Ludzki mózg jest najbardziej skomplikowaną strukturą

MICHAŁ DYAKOWSKI x4

COPERNICUS FESTIVAL 2023 / KOSMOS

w znanym nam wszechświecie. Prof. Amunts, dyrektorka Human Brain Project, opowie o postępach w dziedzinie jego mapowania i poznawania.

20.30
DYSKUSJA:
Brains Understanding Brains
(Mózgi poznające mózgi)
Katrin Amunts, Marcin Szwed.
Prowadzenie: Rafał Czajkowski

Na jakim etapie rozwoju znajduje się dzisiaj neuronauka?
Z neurobiolożką i neuropsychologiem porozmawiamy o największych wyzwaniach i nadziejach związanych z badaniem mózgu.

PIĄTEK 26 MAJA

17.30
KONFRONTACJE:
Czy przyrodą rządzą prawa?
Łukasz Lamża, Tomasz Miller

Metafora praw przyrody prowokuje do stawiania pytań o ich pochodzenie. Czy prawa wymagają Prawodawcy? A może różne zestawy praw realizują się w różnych wszechświatach? Filozof przyrody i fizyk matematyczny będą spierać się o to, czy metafora praw przyrody więcej wyjaśnia, czy zaciemnia.

19.00
WYKŁAD:
David Grinspoon, Solaris on Earth. On the Possibility of Planetary-Scale Intelligence (Solaris na Ziemi. Czy planeta może być inteligentna?)

Astrobiolog i były konsultant NASA opowie o tym, jak i gdzie szukać życia w kosmosie. I jak go nie przeoczyć, nawet jeśli nie jest zgodne z naszymi wyobrażeniami.

20.30
DYSKUSJA:
Evolution in Space
(Ewolucja w kosmosie)
David Grinspoon, January Weiner 2.
Prowadzenie: Łukasz Lamża

Po wykładzie porozmawiamy o tym, czy mechanizmy darwinowskie obowiązują w całym wszechświecie i jakie warunki musiałyby zostać spełnione, by na innych globach rozwinęło się życie.

SOBOTA 27 MAJA

17.30
KONFRONTACJE:
Czy świat jest matematyczny?
Sebastian Szybka, Mateusz Hohol

Zastosowanie matematyki do opisu świata fizycznego doprowadziło do narodzin nauki i rozwoju technologii. Co ten fakt mówi nam o świecie i o nas samych – rozmawiać będą kosmolog i psycholog.

19.00
WYKŁAD:
Bernard Carr, The Cosmis Uroboros. Linking Microphysics, Macrophysics, and the Mind (Kosmiczny uroboros: jak połączyć mikroświat, makroświat i umysł)

Fizyka pozwala dzisiaj drobiazgowo opisywać świat w najmniejszej i największej skali. Jaki jego obraz wyłania się z tych opisów? I czy jest w nim miejsce dla człowieka?

20.30
DYSKUSJA:
Life, Multiverse, and Everything
(Życie, wieloświat i cała reszta)
Bernard Carr, Jean-Pierre Lasota.
Prowadzenie: Tomasz Miller

Z dwoma profesorami fizyki porozmawiamy o najbardziej odważnych (lub spekulatywnych) teoriach w tej dziedzinie. Zastanowimy się m.in., czy wszechświat (a może wieloświat?) jest precyzyjnie dostrojony pod kątem życia.

NIEDZIELA 28 MAJA

14.00
KOSMOS DLA WSZYSTKICH DZIECI:
Mobilne planetarium

Na placu przed muzeum stanie mobilne planetarium – zapraszamy dzieci na serię 15-minutowych kosmicznych pokazów i warsztatów. Planetarium działać będzie do godz. 18.00.

16.00
KOSMOS DLA MŁODSZYCH DZIECI:
Budowa Układu Słonecznego

Filozof i popularyzator nauki Łukasz Lamża poprowadzi zajęcia dla młodszych dzieci (w wieku 6-10 lat). Opowie o działaniu Słońca i planet, a potem wspólnie wykonamy żywy model Układu Słonecznego.

17.00
KOSMOS DLA STARSZYCH DZIECI:
Jak duży jest wszechświat?

Starszym dzieciom i młodzieży (w wieku 10-15 lat) Łukasz Lamża opowie o rozmiarach wszechświata. Jak daleko sięga nasz wzrok, jak wiele jesteśmy w stanie zbadać przy pomocy teleskopu i co może się kryć w miejscach, których nigdy nie zobaczymy?

19.00
NA ZAKOŃCZENIE:
Benefis Mikołaja Kopernika

W trakcie ostatniego wydarzenia festiwalu z profesorami Michałem Hellerem i Wojciech Sadym porozmawiamy o Mikołaju Koperniku i jego rewolucji, zastanowimy się, co Kopernikowi mogliby powiedzieć późniejsi fizycy, a także posłuchamy muzyki Joachima Mencla.

PASMA DODATKOWE

Wszystkie wydarzenia są bezpłatne. Na wszystkie warsztaty obowiązują zapisy mailowe (na adres: warsztaty@copernicusfestival.com, szczegóły na copernicusfestival.com). Lekcje Czytania odbywają się w zgłoszonych wcześniej liceach. Projekcje filmów i wystawy są otwarte dla wszystkich.

MATERIAŁY PRASOWE x5

WARSZTATY: TAJEMNICE NIEBA

Zapraszamy na noc obserwacji nieba do Obserwatorium Astronomicznego UJ (ul. Orla 171 w Krakowie). W programie zwiedzanie (na zdj. tamtejszy radioteleskop) oraz – przy dobrej pogodzie – obserwacje teleskopowe. Zajęcia poprowadzi Tomasz Kundera.
Czwartek 25 maja, godz. 20-23.
Zapisy: warsztaty@copernicusfestival.com

WARSZTATY: TAJEMNICE ZIEMI

Zapraszamy do zwiedzania Centrum Edukacji Przyrodniczej UJ (ul. Gronostajowa 5 w Krakowie). W programie oprowadzanie po wystawie stałej (na zdj. fragment sekcji poświęconej biogeografii) oraz warsztaty na temat powstawania skamieniałości. Zajęcia poprowadzą: Anna Zubek i Sławomir Florjan.
Sobota 27 maja. Grupa dla dzieci (szkoła podstawowa) – godz. 10; młodzież i dorośli – godz. 12.
Zapisy: warsztaty@copernicusfestival.com

WARSZTATY: TAJEMNICE ŚWIATŁA

Zapraszamy na oprowadzanie po Narodowym Centrum Promieniowania Synchrotronowego SOLARIS (ul. Czerwone Maki 98 w Krakowie, na zdj. widok z drona). Zwiedzimy halę eksperymentalną, zobaczymy największą w Polsce maszynę do badań naukowych oraz unikatowe kriomikroskopy elektronowe. Zajęcia poprowadzą Tomasz Kołodziej i Tomasz Sobol.
Wtorek 23 maja o godz. 10 i o godz. 12,
a także **czwartek 25 maja o godz. 10 i o godz. 12.**
Zapisy: warsztaty@copernicusfestival.com

PROJEKCJE FILMÓW

W Kinie Mikro przy ul. Lea 5 w Krakowie odbędą się dwa pokazy filmów, z wprowadzeniem Bogusława Skowronka. Po filmach przewidziana dyskusja dla zainteresowanych.
Piątek 26 maja, godz. 22.00:
„Ga, ga. Chwała bohaterom”
(reż. Piotr Szulkin)
Sobota 27 maja, godz. 22.00:
„Grawitacja” (reż. Alfonso Cuarón)

DAWID ŚCIGALSKI / / MATERIAŁY PRASOWE

WYSTAWA: „KONSTELACJE”

Od wtorku 23 maja do niedzieli 28 maja zapraszamy na wystawę „Konstelacje” w krakowskiej Cricotece (ul. Nadwiślańska 2-4, Galeria Szatnia), dostępną w godz. 11-19. Wernisaż wystawy w poniedziałek 22 maja o godz. 19.

Badacze od wieków stawiają pytania o granice kosmosu i prawa, które nim rządzą. Artyści zaś testują granice sztuki, sprawdzają zasięg żywiołu materii twórczej i przypadku, świadomie zrywają z wcześniej wypracowanymi prawami.
„Konstelacje” to opowieść o abstrakcji przekraczającej ramy malarskiego mikrokosmosu. Na wystawie prezentowane są prace wideo, obrazy, obiekty malarskie budujące przestrzeń do działań edukacyjnych, społecznych i performatywnych. Autorzy prac: Mieczysław Waśkowski, Tadeusz Kantor, Wilhelm Sasnal, Marcin Janusz, Katarzyna Szymkiewicz, Sarkis.

WYSTAWA: „[...] orbium coelestium”

Od 23 do 28 maja zapraszamy do De Revolutionibus Ideas and Caffe (Pałac Larischa, Bracka 14 w Krakowie) na wystawę pt. „[...] orbium coelestium”. Mikrokosmos utkany ze znaczeń i form stanie się jedną z nieskończonej liczby możliwych opowieści o kosmosie. Narrację tę zbudują prace artystek i artystów wizualnych: Marty Antoniak, Kornela Janczego, Kingi Nowak, Klaudii Opoki, Moniki Pawłowskiej, Oli Sikory, Joanny Tochman, Katarzyny Wyszkowskiej i Michała Zawady (na zdj. „Krajobraz z górą i kometą” jego autorstwa).
Wernisaż wystawy w środę 24 maja o godz. 18.
Partnerem wystawy jest Future Law Lab na WPiA UJ.

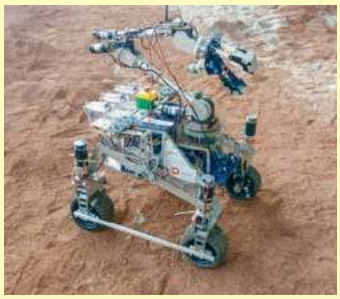

WYSTAWA: „Kosmos przed Kopernikiem i po nim. Podróż po różnych wszechświatach”

Od wtorku 23 maja do niedzieli 28 maja w godz. 10-18 zapraszamy do Muzeum Inżynierii i Techniki przy ul. św. Wawrzyńca 15 w Krakowie na interaktywną podróż przez historię kosmologii – od czasów przedkopernikańskich po współczesną erę eksploracji kosmosu.
Pokażemy m.in. fragment meteorytu Pułtusk, faksymile rękopisu „De revolutionibus” Kopernika, chronokinematograf Tadeusza Banachiewicza, skany „Selenografii” Heweliusza i „Sidereus nuncius” Galileusza, a także Phobosa (na zdj.) – łazika planetarnego z AGH. W programie również pokazy wirtualnej rzeczywistości – obserwacje Ziemi z kosmosu.

LEKCJE CZYTANIA

W ramach tego pasma rozmawiamy z uczniami krakowskich liceów o współczesnej nauce, na podstawie fragmentów książek popularnonaukowych. Wydarzenie odbywa się w zgłoszonych wcześniej szkołach.

Zajęcia poprowadzą: Sabina Janeczko, Jędrzej Grodniewicz, Tomasz Miller, Mateusz Hohol i Sebastian Szybka.
Omówimy następujące książki: Paul Davies „Milczenie gwiazd”; Stanislas Dehaene „Jak się uczymy”; January Weiner, January Weiner 3 „Skąd się wzięło życie na Ziemi”; Peter Godfrey-Smith „Metazoa. Od szklanych gąbek i morskich smoków do ukrytej krainy umysłu”, P.J.E. Peebles „Stulecie kosmologii. Jak zrozumieliśmy wszechświat”.

MATERIAŁY FILMOWE

Będzie je można oglądać na stronie copernicusfestival.com. Poniżej podajemy dzień i godziny ich premiery. Pasmo „Śniadania mistrzów” emitowane będzie również na antenie RMF Classic.

ŚNIADANIA MISTRZÓW

Rozmowy ze znakomitymi naukowcami, artystami i literatami. Codziennie o godz. 8.40.

23 maja: Jerzy Dzik. Piękno wymarłego życia. Prowadzenie: Łukasz Lamża
24 maja: Agnieszka Pollo. Warto patrzeć w niebo. Prowadzenie: Grzegorz Jasiński
25 maja: Aleksander Wolszczan. Ziemie obiecane. Prowadzenie: Tomasz Miller
26 maja: Wojciech Bonowicz. Między wierszami. Prowadzenie: Anna Goc
27 maja: Katarzyna Figura. Per aspera ad astra, czyli o aktorskiej drodze. Prowadzenie: Bogusław Skowronek

NAUKA CZYTANIA

W serii krótkich filmów tropimy naukowe wątki w klasycznej literaturze dla dzieci. Premiera codziennie o godz. 10.

23 maja: Julian Tuwim, „Dyzio marzyciel”. Prowadzenie: Diana Sałacka
24 maja: Hans Christian Andersen, „Królowa śniegu”. Prowadzenie: Anna Skoczeń
25 maja: Antoine de Saint-Exupéry, „Mały książę”. Prowadzenie: Łukasz Lamża
26 maja: Hans Christian Andersen, „Bałwan ze śniegu”. Prowadzenie: Małgorzata Krzeczkowska
27 maja: Hugh Lofting, „Doktor Dolittle i jego zwierzęta”. Prowadzenie: Karol Kleczka

INVENTIO

Miniwykłady o kosmicznych technologiach. Premiera codziennie o godz. 13.

23 maja: Tomasz Tarnawski, Per technologiam ad astra, czyli technologie w służbie człowieka
24 maja: Piotr Homola, Czy w CREDO widzimy ciemną materię?
25 maja: Milena Michalska „Rakieciara”, Strawne wprowadzenie do inżynierii rakietowej
26 maja: Teodor Buchner, Ręka, która rządzi technologią, rządzi światem
27 maja: Nina Bażela, Barbara Szaflarska, AGH Space Systems, Jak wysłać krewetki rakietą i zaprzyjaźnić się z łazikiem marsjańskim?

Wygraliśmy w kosmicznej loterii

BERNARD CARR, MATEMATYK I KOSMOLOG:

Większość fizyków ma zbyt materialistyczne i zbyt redukcjonistyczne nastawienie. Zakładają, że nie istnieje żadna inna rzeczywistość poza materialną, a wszystko da się wyjaśnić na gruncie oddziaływań między cząstkami.

MARTA BIELIŃSKA: Jest Pan matematykiem i kosmologiem, ale zainteresowania ma znacznie szersze, zresztą stanowią dość nietypowe połączenie. Skąd się wzięły?

PROF. BERNARD CARR: Gdy byłem piętnastoletnim uczniem w szkole z internatem Harrow, pewnego razu coś przeskrobałem – nie będę wchodził w szczegóły! – i za karę musiałem zostać w pokoju. Nie mając lepszego zajęcia, zabrałem się za lekturę trzech książek, które zmieniły moje życie.

Pierwszą było „ABC teorii względności" Bertranda Russella. To wzbudziło moje zainteresowanie fizyką teoretyczną. Drugą pozycją był „Eksperyment z czasem" autorstwa J.W. Dunne'a, opisujący jego domniemane prekognitywne sny oraz autorską teorię czasu. Tak zaczęło się moje zainteresowanie parapsychologią, powiązaną z fizyką przez rozważania o czasie. Trzecią książką było „Trzecie oko" Lobsanga Rampy – rzekomo byłego lamy tybetańskiego, którego duch wstąpił w ciało kornwalijskiego rybaka. Jego doświadczenia z Tybetu zaintrygowały mnie, gdyż sugerowały związek między zjawiskami parapsychologicznymi oraz mistycznymi. Tak oto, poniekąd ironicznie, bieg mojego życia został wyznaczony przez fakt, że coś przeskrobałem.

Kontynuowałem wszystkie te zainteresowania podczas moich studiów licencjackich z matematyki na Uniwersytecie w Cambridge, gdzie dołączyłem do uczelnianego Koła Astronomicznego, Koła Badań Parapsychologicznych, a także Koła Buddyjskiego. Po studiach zrozumiałem, że parapsychologia nie oferuje dobrych perspektyw zawodowych, ani że nie jestem dostatecznie gorliwy, aby zostać buddyjskim mnichem. Zdecydowałem się więc na karierę jako fizyk.

I został Pan jednym z pierwszych doktorantów Stephena Hawkinga. Hawking był już wtedy znany?

To był rok 1972, pół wieku temu. Gdy został moim promotorem na studiach doktoranckich w Cambridge, Stephen nie był tak powszechnie znany. Choć już wtedy uchodził za znakomitego fizyka. Gdy zostałem przyjęty na doktorat, usłyszałem, że Hawking jest najbardziej błyskotliwą osobą na wydziale. To mnie z początku onieśmielało. W czasach, kiedy byłem jego doktorantem, przewidział teoretycznie tzw. promieniowanie Hawkinga, czyli promieniowanie cieplne z czarnych dziur. Było to jedno z najdonioślejszych osiągnięć fizycznych w drugiej połowie XX w.

Również ja skorzystałem z uznania, które zdobył, gdyż jeździłem z nim na wiele konferencji i uroczystości, podczas których odbierał nagrody. Dało mi to możliwość poznania moich naukowych bohaterów, takich jak Richard Feynman czy Paul Dirac. Poznałem nawet papieża! Jednak dopiero po publikacji „Krótkiej historii czasu", której pierwszy szkic czytałem podczas długiej podróży pociągiem po Chinach ze Stephenem, Hawking stał się postacią ikoniczną, znaną poza światem naukowym.

Łączyła Was bliska relacja?

Nasza znajomość była, z oczywistych względów, bardziej osobista niż typowa relacja między studentem a promotorem. Gdy byłem w Cambridge, Stephen jeździł już na wózku inwalidzkim. Wszędzie razem podróżowaliśmy i jadaliśmy wspólnie. W ostatnim roku mojego doktoratu pojechaliśmy do Caltech w Los Angeles, gdzie mieszkałem z jego rodziną. W zamian za pomoc Stephenowi w codziennych zadaniach, a także za okazjonalne zajmowanie się jego dziećmi nie musiałem płacić czynszu. Udało mi się bardzo dobrze poznać jego rodzinę, z którą szczerze się zaprzyjaźniłem.

Później jego niepełnosprawność pogłębiła się, stracił głos. Został wybitnym umysłem zamkniętym w ograniczonym ciele, a to przyczyniło się do powstania legendy Hawkinga. Ale wielkim uczonym byłby oczywiście niezależnie od niepełnosprawności. Promotorem był inspirującym. W kilku zdaniach podsuwał pomysły, nad którymi później pracowałem przez wiele tygodni.

Zatrzymajmy się na buddyzmie. Skąd to zainteresowanie?

Studia w Cambridge zacząłem pod koniec lat 60., gdy wielu młodych ludzi, łącznie ze mną, było zainteresowanych medytacją. Formalnie jestem chrześcijaninem, ale buddyjska filozofia przemawia do mnie bardziej niż filozofia chrześcijańska. Nigdy nie byłem jednak nabożnym buddystą – w przeciwieństwie do mojego przyjaciela Pete'a Bettsa, który został mnichem i późniejszym założycielem Zachodnioaustralijskiego

MICHAŁ DYAKOWSKI

Towarzystwa Buddyjskiego. Obecnie znany jest jako Ajahn Brahm i ma miliony naśladowców.

Jednym z powodów mojego zainteresowania buddyzmem jest fakt, że część objawień Buddy odnosiła się do natury świata fizycznego. W sutrach można znaleźć szacunkowy wiek wszechświata, który zaskakująco dobrze odpowiada współczesnym naukowym przybliżeniom. Te teksty były napisane pięć wieków przed naszą erą i oczywiście moi znajomi naukowcy nie chcą nawet słyszeć, że coś, czego odkrycie pochłonęło miliardy dolarów, zostało przewidziane przez mężczyznę medytującego pod drzewem.

Osobiście nie widzę w tym nic dziwnego, że ktoś o rozwiniętej duchowości mógłby mieć pewien wgląd w kosmologię. Nie ograniczam jednak mojego zainteresowania religią do buddyzmu.

W samej fizyce nie stronił Pan od kontrowersyjnych tematów: precyzyjne dostrojenie stałych fizycznych, początek wszechświata, inne wszechświaty...

Spora część moich badań obejmuje kosmologię głównego nurtu: np. czarne dziury, ciemną materię, fale grawitacyjne, a także początki wszechświata. Istnienie ciemnej materii jest obecnie powszechnie uznawane, choć nie wiemy, czym ona jest. Jednakże pracowałem również nad wieloma zagadnieniami – takimi jak zasada antropiczna, wieloświat oraz pierwotne czarne dziury – które są bardziej kontrowersyjne i nie przyciągają aż takiego zainteresowania. W bardziej konwencjonalnych gałęziach fizyki istnieją setki ludzi pracujących nad jednym tematem, co prowadzi do sporej rywalizacji. Jednego dnia piszesz artykuł, a w ciągu tygodnia ukazuje się mnóstwo nowych publikacji na ten sam temat. Jest to jeden z powodów, dla którego zawsze bardziej lubiłem pracować nad tematami spoza głównego nurtu. Nie ma w nich aż takiej rywalizacji.

Można jednak powiedzieć, że te mniej konwencjonalne obszary są zbyt spekulatywne. Zazdrościł Pan kiedyś tym fizykom, którzy mogą łatwo przetestować swoje hipotezy w laboratoriach?

Część moich badań, np. tych nad wieloświatem, może być uznana za zbyt ↦

■ *Elizabeth Kolbert*
SZÓSTE WYMIERANIE
Filtry

Epitafium dla nosorożców

NA ŚWIAT przychodzą tak włochate, że wyglądają, jakby ktoś poskładał je z ciała czarnego niedźwiadka i głowy zdziwionego źrebaka. Potem ich owłosienie zaczyna zmieniać barwę i staje się rude lub rdzawobrązowe. Dopiero gdy całkiem dorosną, gęsta sierść ustępuje miejsca przerzedzonej szczecinie, rzadko pokrywającej czerwonobrunatną skórę. Nawet jako dorosłe osobniki nie są zbyt pokaźnych rozmiarów. Mierzą nie więcej niż 130 cm w kłębie. Nie dorastają w tym względzie do lepiej znanych nosorożców afrykańskich. Nie łączy ich z nimi zresztą szczególnie bliskie pokrewieństwo. Nosorożce sumatrzańskie, bo o nich mowa, najbliższych krewniaków już straciły, a wkrótce i ich może zabraknąć. Kiedyś występowały od Azji Południowo-Wschodniej aż do podnóża Himalajów. Dziś na wolności żyje ledwie kilkadziesiąt osobników, ale ich populacje są bardzo niestabilne i nie mają zbyt wielu możliwości krzyżowania się ze sobą. Osobniki trzymane w niewoli też nie rozmnażają się intensywnie. Uczeni dokładają starań, by ten stan rzeczy się zmienił i aby niezwykły azjatycki nosorożec przetrwał „szóste wymieranie". Ten masowy pomór gatunków spowodowany jest przez działalność człowieka, którą autorka opisuje równolegle z opowieścią o nowatorskich i bohaterskich dążeniach tej części ludzkości, która pragnie odwrócić bieg wydarzeń i ocalić stojące nad przepaścią gatunki zwierząt oraz roślin.

© MAT

↦ spekulatywną. To jest jednak cena, którą trzeba zapłacić, gdy pracuje się w fizyce fundamentalnej.

Może się okazać, że trzeba czekać bardzo długo, zanim dostanie się jakieś dane potwierdzające teorię. Z tego powodu nie należy się zbytnio przejmować tym, czy twoje pomysły są prawdziwe, czy nie. Zamiast tego trzeba zapytać, czy te badania są użyteczne. Ja nie mogę narzekać – nie wiem, czy moje teorie są prawdziwe, ale badania nad nimi są dla mnie użyteczne. Sprawiają mi radość i zapewniły mi pracę i pensję przez pięćdziesiąt lat.

Zresztą, wiele obecnych ważnych teorii fizyki czekało dekady na potwierdzenie.

No właśnie. Choć czarne dziury zostały przewidziane w 1916 r., odkryto je pół wieku później. Istnienie fal grawitacyjnych postulowano mniej więcej w tym samym czasie, a musiały na odkrycie czekać sto lat. Cząstkę Higgsa znaleziono 50 lat po tym, jak została przewidziana. Wielu naukowców umiera, zanim się dowiadują, czy ich teoria była prawdziwa.

Oczywiście, istnieją zalety pracy nad teoriami, które mogą być zweryfikowane w niedalekiej przyszłości. Jeżeli twoja teoria jest błędna, to chcesz, aby została obalona wcześnie, aby nie tracić na nią więcej czasu. Ludzie pracujący w bardziej konwencjonalnych obszarach kosmologii wiedzą, że to, nad czym pracują – np. promieniowanie tła – istnieje. Możliwe, że ani wieloświata, ani pierwotnych czarnych dziur nie ma – choć mam nadzieję, że są. Z drugiej strony, zaletą pracy nad bardziej spekulatywnymi teoriami jest to, że nie mogą być łatwo obalone!

Mówi Pan często o ograniczeniach fizyki – że nie daje ona odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie możemy zadać na temat świata. Stąd to zainteresowanie metafizyką?

Większość fizyków ma zbyt materialistyczne i zbyt redukcjonistyczne nastawienie. Przez „materialistyczne" rozumiem to, iż zakładają oni, że nie istnieje żadna inna rzeczywistość poza materialną, a przez „redukcjonistyczne" rozumiem to, iż zakładają oni, że wszystko w świecie może być wyjaśnione na gruncie oddziaływań między fundamentalnymi cząstkami. I gdy w końcu zrozumiemy, jak te cząstki oddziałują, zrozumiemy wszystko.

Uważam jednak, że istnieje jeden element świata, który przekracza materializm i redukcjonizm, którego wszyscy doświadczamy: świadomość. Większość fizyków powie, że świadomość jest przygodną cechą wszechświata, produkowaną przez nasze mózgi. Wobec tego obserwujemy świat w sposób pasywny i nie wpływamy na niego przez obserwację. Faktycznie, sukces fizyki w wyjaśnianiu rzeczywistości fizykalnej – począwszy od najmniejszej skali subatomowej aż po modele całego wszechświata czy nawet wieloświata – jest przykładem sukcesu *mindlessness*. Do wyjaśnienia tego wszystkiego nie trzeba się odwoływać do świadomości.

Moja filozofia kładzie natomiast nacisk na *mindfulness*. Uważam, że umysł jest fundamentalny i istnieje interakcja między świadomością a rzeczywistością fizyczną. Jednym z przykładów takiej interakcji jest rola obserwatora w mechanice kwantowej. Bardziej kontrowersyjne przykłady to telepatia, psychokineza czy jasnowidzenie, które sugerują bezpośrednią interakcję świadomości i świata fizycznego. Sądzę, że musi istnieć jakiś przyszły paradygmat fizyki, który będzie *explicite* zawierał umysł i świadomość.

Doszliśmy do trzeciego obszaru Pańskich zainteresowań – parapsychologii. Był Pan nawet przewodniczącym Towarzystwa Badań Parapsychologicznych. Na czym takie badania polegają?

Badania parapsychologiczne obejmują wiele obszarów – nie tylko wspomniane wcześniej anomalne rodzaje poznania, które mogą być badane eksperymentalnie, ale również takie stany świadomości, jak doświadczenia pozacielesne, doświadczenie okołośmiertne czy też doświadczenia mistyczne. Wszystkie te zjawiska są kontrowersyjne – nauka głównego nurtu albo całkowicie odrzuca ich istnienie, albo twierdzi, że są całkowicie nienaukowe. Parapsychologia aspiruje jednak

Uważam, że umysł jest fundamentalny i istnieje interakcja między świadomością a rzeczywistością fizyczną. Nowa fizyka będzie musiała uwzględniać świadomość.

do badania tych zjawisk w sposób naukowy. W takim sensie stanowi ona most pomiędzy nauką i duchowością, doskonale wpisując się w moje zainteresowania.

Budowanie takiego mostu nie jest komfortowe, gdyż pociąga krytykę z obu stron. Np. badacze z obszaru parapsychologii są krytykowani przez naukowców, gdyż naukowcy nie wierzą w zjawiska paranormalne, a także przez mistyków, ponieważ mistycy nie są zainteresowani redukcjonistyczną perspektywą przyjmowaną w nauce. Ponadto, jeżeli ktoś znajduje się na ścieżce duchowej, zjawisko paranormalne jest uważane za rozpraszające na drodze osiągnięcia najwyższego celu, czyli oświecenia. Łączenie tych trzech zagadnień nie jest łatwe.

Wróćmy na grunt fizyki. O co chodzi z wieloświatem? I czy fizyka daje jakieś dowody na jego istnienie?

Słowo „wieloświat" pojawia się w wielu różnych kontekstach, więc najpierw trzeba wyszczególnić różne teorie wieloświata. Nie należy ich wszystkich odrzucać, ale też nie każdą warto akceptować. W szczególności wieloświat jest przewidziany w wielu modelach kosmologicznych oraz fizyki cząstek. Np. krajobraz teorii strun, opisującej cząstki, oraz niektóre modele inflacyjne wczesnego świata zdają się sugerować, że mogą istnieć inne światy, różniące się od naszego pewnymi fundamentalnymi własnościami (np. wartością stałej kosmologicznej, decydującej o tempie rozszerzania się lub kurczenia się wszechświata).

Choć wieloświat jest przewidywany przez szanowaną fizykę, problemem jest brak bezpośrednich dowodów na istnienie innych światów. W szczególności nie możemy „wyjrzeć" poza horyzont naszego świata, który jest ograniczony przez odległość, jaką światło zdążyło przewędrować od Wielkiego Wybuchu.

Wiele osób powie, że nie jest to „prawdziwa" kosmologia, ponieważ ↦

▪ *Łucja Malec-Kornajew*
ZŁOTY POCIĄG
Znak Emotikon

Dla małych detektywów

FRANCISZEK XAWERY postanowił wybrać się na wieś. 1 października 1933 r. opuścił swój krakowski pałacyk przy ulicy Potockiego (dzisiaj: Westerplatte), upewnił się, że drzwi wejściowe zostały zamknięte na klucz, i wyjechał razem ze służbą za miasto. Dom został pusty, jeśli nie liczyć bardzo cennego zbioru dzieł sztuki: obrazów, rzeźb, porcelany. Ta kolekcja była oczkiem w głowie właściciela, wzbudzała również zachwyt gości i pasjonatów sztuki. Franciszek Xawery udostępniał swoje arcydzieła zwiedzającym, a drzwi do jego pałacyku były zwykle otwarte dla przechodniów.
Domownicy wrócili dopiero wieczorem i od razu odkryli, że brakuje najcenniejszego elementu z kolekcji: obrazu „Adoracja Dzieciątka", namalowanego w XV w. przez Lorenza Lotta. Malowidło przedstawiało Matkę Boską z Jezusem na kolanach. Parze towarzyszył Józef, Jan Chrzciciel, Franciszek z Asyżu oraz Katarzyna Aleksandryjska.
Kto ukradł cenne dzieło? Rozwiązanie tej oraz wielu podobnych zagadek to zadanie młodych czytelników, którzy na czas lektury stają się członkami Dziecięcego Biura Detektywistycznego. Przyjmują zlecenia związane z prawdziwymi kradzieżami i zaginięciami dzieł sztuki. A potem krok po kroku analizują różne scenariusze, rekonstruują wydarzenia i – niejako przy okazji – zdobywają ogromną wiedzę na temat historii, sztuki i kulturowego dziedzictwa naszego kraju. © MAT

▪ *Pablo Barrecheguren, Isa Loureiro*
MÓZG, JAKIEGO NIE ZNACIE
Debit

Co pan powie, panie Santiago

POD KONIEC XIX W. mózg był nadal bardzo tajemniczym organem. Jego badanie funkcjonalne jest ogromnym wyzwaniem również dla współczesnej nauki, ale ówcześni uczeni nie wiedzieli nawet, jak zbudowane i rozgałęzione są neurony. Problem polegał nie tyle na braku możliwości odpowiedniego powiększenia struktur, które budują mózgowie, ile na odpowiednim ich barwieniu i izolowaniu. Mistrzem w jednej i drugiej kategorii był hiszpański anatom Santiago Ramón y Cajal, uznawany za ojca współczesnej neurobiologii. To właśnie inspirowana tym badaczem postać prowadzi młodych czytelników przez kolejne zagadnienia tej książki: od neurogenezy do przewodnictwa nerwowego, od plastyczności mózgu po jego choroby.
Ramón y Cajal świetnie nadaje się do powierzonej mu roli, nie tylko ze względu na to, że poznał tajniki neurobiologii, ale też dlatego, że był barwną postacią. Z kolegą po fachu i współnoblistą, Camillo Golgim, łączyły go raczej chłodne relacje. Obaj mężczyźni konkurowali na gruncie naukowym. Kiedy Golgi sądził, że neurony wrastają w siebie i przechodzą jeden w drugi, Ramón y Cajal uważał, że ich odgałęzienia nie łączą się ze sobą (miał rację). Gdy pierwszy wynajdował przełomową metodę barwienia komórek, drugi krytykował ją za zbyt małą wybiórczość, udoskonalał i stosował z powodzeniem. Warto wgłębić się nie tylko w kulisy tych odkryć, ale też w ich efekty, z których zresztą korzystamy do dziś. © MAT

↦ nie mamy dowodu na wieloświat, więc wolę nazywać ten obszar badawczy „metakosmologią". Jednakże, być może będziemy mieć takie dowody w przyszłości. Być może odkryjemy dodatkowe wymiary przestrzeni lub jednoznacznie rozwiążemy równanie tzw. M-teorii, aby znaleźć perfekcyjną teorię wieloświata.

Wiele pomysłów w historii kosmologii zaczynało jako niepotwierdzone teorie, a później stawały się w pełni szanowaną fizyką. Wczorajsza metakosmologia jest dzisiejszą kosmologią, a dzisiejsza metakosmologia jest kosmologią jutra. Wierzę, że to samo spotka teorię wieloświata.

Wieloświat odpowiada Panu z powodów filozoficznych?

Teoria wieloświata może być wykorzystana do wyjaśnienia „precyzyjnego dostrojenia" stałych fizycznych, które wydaje się konieczne, aby mogli pojawić się obserwatorzy. Np. stała kosmologiczna musi być tak precyzyjnie dostrojona, tzn. jej wartość musi mieścić się w ścisłych granicach, aby mogły uformować się galaktyki. Niektórzy uważają to za przypadek, ale ja nie zgadzam się z nimi, gdyż obserwujemy zbyt dużo takich niewyjaśnionych „zbiegów okoliczności".

Gdy w 1979 r. wspólnie z Martinem Reesem napisaliśmy artykuł o tych precyzyjnych dostrojeniach, stał się on bardzo kontrowersyjny. Wiele osób powiązało go z filozofią czy nawet teologią. Ale to nie było naszą intencją. Wieloświat wyjaśnia precyzyjne dostrojenia bez potrzeby przywoływania boskiej interwencji.

Możemy to zilustrować na przykładzie loterii. Jeżeli kupisz los i wygrasz milion dolarów, możesz pomyśleć, że dokonał się cud.

Ale to nie jest żaden cud, gdyż milion ludzi kupiło ten los – i ktoś musiał wygrać. Podobnie jest z wieloświatem. Jeżeli istnieje jeden wszechświat i ten wszechświat akurat sprzyja życiu, to jest to cud.

Jednak jeżeli istnieją miliardy wszechświatów, w których życie nie mogło powstać, to cud znika. Jeśli przyjmiemy istnienie wielu wszechświatów, to ten nasz, przyjazny dla życia, z odpowiednią stałą kosmologiczną, jest taką właśnie przewidywaną wygraną w loterii.

Spróbujmy przewidzieć przyszłość. Jak fizyka i kosmologia będą wyglądać w następnych dekadach?

Jednym z najbardziej naglących pytań jest to o ciemną materię i ciemną energię. Wiadomo, że wszechświat składa się w 5 proc. z materii zwykłej, w 25 proc. z ciemnej materii, a w pozostałych 70 proc. z ciemnej energii. Wciąż nie wiemy, czym są ciemna materia i ciemna energia, ale moim ulubionym kandydatem na ciemną materię są pierwotne czarne dziury, uformowane krótko po powstaniu wszechświata. Wielu ludzi myśli, że ciemna energia może być stałą kosmologiczną, ale jest to pytanie otwarte.

Jeszcze innym pytaniem jest to o przeszłość i przyszłość świata. Często mówimy, że świat powstał ok. 13,8 mld lat temu w wyniku Wielkiego Wybuchu. Ten pogląd odpowiada osobliwości przewidzianej przez fizykę relatywistyczną. Jednakże wielu kosmologów uważa, że to nie wtedy powstał wszechświat. Sugerują, że Wielki Wybuch był poprzedzony przez Wielki Kolaps, i że ewolucja wszechświata postępuje w sposób cykliczny.

Kolejnym ważnym pytaniem jest to o możliwość istnienia dodatkowych wymiarów poza czterema wymiarami czasoprzestrzennymi. Nie znaleziono ich eksperymentalnie, ale są one przewidziane przez niektóre teorie fizyczne. Jestem szczególnie zainteresowany odpowiedzią na to pytanie, ponieważ w moim projekcie rozszerzenia fizyki o świadomość dodatkowe wymiary mogłyby stworzyć przestrzeń dla doświadczeń mentalnych: być może istnieje wymiar dla doświadczeń okołośmiertnych, inny wymiar dla doświadczeń pozacielesnych, itd. Ale na tym etapie to jedynie spekulacje.

© Rozmawiała MARTA BIELIŃSKA

BERNARD J. CARR jest emerytowanym profesorem matematyki i astronomii na Queen Mary University of London.

Copernicus Festival

RMF CLASSIC

Festiwalowe **Śniadanie Mistrzów**
codziennie od 8:40
Rozmowy dostępne również na
rmfclassic.pl

OGŁOSZENIA WSPÓŁWYDAWCY

Nowości
Copernicus Center Press

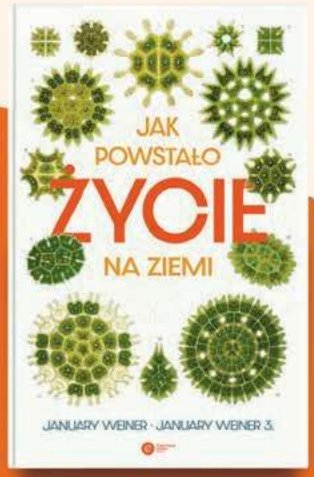

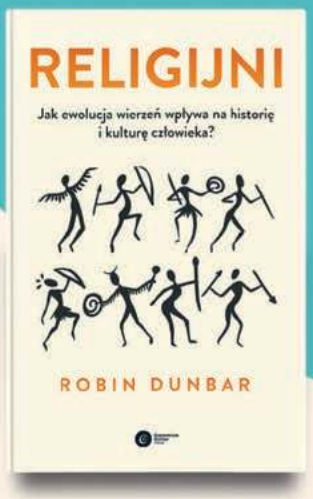

WY**DAJEMY DO MYŚLENIA**

Copernicus Center PRESS

NATALIA POLASIK / MOONWATERPL

Natalia Polasik, „Narodziny”, 2023 r.

Środek jest wszędzie

MICHAŁ HELLER

Kopernik przesunął jedynie środek wszechświata – niewiele, z Ziemi na Słońce. Późniejsi czytelnicy jego dzieła zrozumieli to jako degradację człowieka, który przestał być koroną stworzenia, a stał się istotą z marginesu.

Wedle potocznego przekonania rewolucja kopernikowska pozbawiła człowieka jego centralnej pozycji we wszechświecie. Miał to być skutek obalenia geocentrycznego wszechświata i zastąpienia go takim, w którym obowiązuje zasada Kopernika. Zgodnie z nią we wszechświecie nie ma miejsc uprzywilejowanych. Dowolnie umieszczony obserwator widzi średnio taki sam obraz wszechświata jak inni obserwatorzy. Ideologiczne konsekwencje kopernikowskiej rewolucji całkowicie zmieniły perspektywę, z jakiej oglądamy wszechświat. Sam Kopernik jedynie w kilku miejscach dotknął zaledwie filozoficznych aspektów swojego dzieła. Dopiero następne pokolenia rozwinęły te aspekty do niebotycznych (dosłownie!) rozmiarów, często przypisując Kopernikowi poglądy, których wcale nie głosił.

Sny o wszechświecie

Jeżeli istoty rewolucji kopernikowskiej dopatrywać się w przeniesieniu układu odniesienia z Ziemi do innego miejsca we wszechświecie, to pierwszym myślicielem, który w praktyce zastosował taki zabieg, był Kepler. W „Somnium seu Astronomia Lunaris" spojrzał na Ziemię z innego ciała niebieskiego – Księżyca.

W tamtym czasie sny (łac. *somnia*) miały dobrze ustaloną pozycję w filozoficznej literaturze. Już Cicero pod koniec „Rzeczypospolitej" opowiedział „Sen o Scipionie". Scipion Africanus Starszy unosi Scipiona Młodszego do najwyższej sfery niebieskiej, *stellatum*, i stamtąd ukazuje mu Kartaginę. „Scipion zauważył, że gwiazdy są globami, które znacznie przewyższają Ziemię wielkością. Istotnie, Ziemia teraz wydawała się tak stosunkowo mała, że imperium rzymskie, które było zaledwie trochę większe od punkcika na tej maleńkiej powierzchni, wzbudziło w nim pogardę". „Sen" Cicerona był bardzo popularny w średniowieczu i ówcześni myśliciele wyczytywali z niego naukę, że Ziemia jest nic nieznaczącym szczegółem w porównaniu z ogromem kosmosu. Przesłanie Keplera było zgoła inne. Jak wyznał: „Celem mego »Snu« jest przedstawienie dowodu na ruch Ziemi albo raczej próba odparcia, na przykładzie Księżyca, zarzutów biorących się z powszechnego sprzeciwu rodzaju ludzkiego".

Przyjazne duchy przenoszą bohatera opowiadania na Lewanię (takie imię Kepler nadał Księżycowi) i ukazują mu jej geografię i mieszkańców, ale przede wszystkim niebieską panoramę, jaka roztacza się nad ich głowami. Kepler dokładnie opisuje zjawiska związane z Ziemią, Słońcem i planetami, ich ruchami, rozmiarami, oświetleniem, tak jak one ukazują się mieszkańcom Księżyca. Przedstawia także księżycowe pory roku. W licznych przypisach wszystko to jest udokumentowane drobiazgowymi obliczeniami, co sprawia, że to niewielkie dziełko jest czymś więcej niż tylko tworem literackiej wyobraźni.

Konkluzja Keplera nie pozostawia wątpliwości: Lewania wydaje się swoim mieszkańcom tak nieruchoma, jak nam wydaje się Ziemia. Potwierdza to system Kopernika „nie tylko dlatego, że porusza Ziemię, lecz także dlatego, że traktuje Księżyc jak Ziemię".

Ta wyobrażeniowa podróż ziemskiego obserwatora na Księżyc zainicjowała jeden z najobfitszych w skutki procesów w historii ludzkiej kultury. Skutki te są mocno widoczne nie tylko w zachodniej filozofii, lecz również w zachodniej teologii, a także w jej stosunku do nauki. Ażeby jednak ten wpływ właściwie docenić, musimy się cofnąć do czasów, kiedy Ziemia zajmowała jeszcze centralną pozycję we wszechświecie.

Opisując przedkopernikowski obraz świata, będę szedł za analizami C.S. Lewisa, zawartymi w jego „Odrzuconym obrazie". Choć zgodnie z intencją autora ma to być jedynie „wprowadzenie do literatury średniowiecznej i renesansowej", można z tej książki dowiedzieć się więcej na temat średniowiecznej kosmologii niż z niejednej astronomicznej monografii. Nie będę się wszakże interesować spekulacjami średniowiecznych filozofów i astronomów na temat kosmologii, lecz jedynie tym, co Lewis nazywa Modelem. „Jest nim sama średniowieczna synteza, cała organizacja teologii, nauki i historii w jeden złożony, harmonijny umysłowy model wszechświata". Ten Model jest obecny w dziełach sztuki i literatury raczej niż w filozoficznych i naukowych pracach tamtej epoki. W każdej epoce dzieła filozoficzne i naukowe przyczyniają się do tworzenia tego, co moglibyśmy nazwać tłem dla sztuki i literatury. To „tło" jest jednak bardzo wybiórcze. Zapożycza od nauk i filozofii tylko te elementy, które wydają się zrozumiałe dla laików oraz przemawiają do wyobraźni i emocji. „Tak więc nasze dzisiejsze tło zawiera mnóstwo z Freuda i mało z Einsteina. Do średniowiecznego tła należy porządek i wpływy ↦

▪ *Agnieszka Graclik*
DZIKI PORADNIK PRZETRWANIA
Wilga

Nie daj się zjeść

ZEBRY spokojnie skubią trawę. Tuż obok – w odległości kilku metrów – wylegują się lwy. Dlaczego roślinożercy nic sobie nie robią z drapieżników? To proste. Jest środek dnia, a z nieba leje się żar. To nie pora, w której kotowate chętnie podrywają się do polowania. Zresztą widać, że są najedzone: w ogóle nie zwracają uwagi na pasące się stada i leżą brzuchem do góry. Tylko po co zebry ryzykują? Przecież nawet jeśli lwy nie rzucą się do ataku, to pasienie się tuż obok nich wiąże się z większym ryzykiem niż wypas z dala od drapieżników. Czy jednak oddalenie się od drapieżnika na pewno oznacza redukcję zagrożenia? Wróg widoczny to wróg znany – jego ruchy łatwo obserwować, a zachowania da się przewidzieć. Dlatego zebry pasące się obok stada lwów w rzeczywistości korzystają z ich ochrony. Mogą być niemal pewne, że stawiając kopyta tuż przy pyskach odpoczywających drapieżników, nie narażają się na ataki innych polujących: ukrytych, a więc nieznanych i trudnych do przewidzenia. Ryzyko, że inne stado (lwów czy hien) wkroczyłoby na teren konkurentów, jest bardzo małe. Mniejsze niż szansa na aktualny atak śpiącego stada. Takie szacunki są podstawą przetrwania, niezależnie od tego, czy strategią danego gatunku jest ucieczka, kamuflaż, czy jad. Więcej na ten temat dopowie „pani z pszyry", czyli popularna edukatorka przyrodnicza.
© MAT

↦ planet, lecz niewiele z epicyklów i kół ekscentrycznych". Tego rodzaju tło odznacza się zawsze dużą bezwładnością, umiera w męczarniach i znacznie wolniej niż naukowe modele.

W kosmicznym śmietniku

C.S. Lewis uważa Model za osiągnięcie średniowiecza porównywalne z „Sumą teologiczną" św. Tomasza czy „Boską komedią" Dantego. Widzimy w nich „spokojną, niezmordowaną, radosną energię namiętnie systematycznych umysłów, doprowadzających ogromne masy niejednorodnego materiału do jedności". Spośród nich Model „jest w pewnym sensie dziełem centralnym, tym, w którym najbardziej szczegółowe dzieła zostały osadzone, do którego stale nawiązywały, z którego czerpały wiele ze swojej siły".

Nie ma wątpliwości, że Model był geocentryczny, ale nie był ani geometryczny, ani antropocentryczny. Alanus ab Insulis w swoim „De planctu Naturae" wyraził to jasno. Porównał on „sumę rzeczy do miasta. W środkowym zamku, w niebie empirejskim, zasiada na tronie Cesarz. W niższych niebiosach żyje anielskie rycerstwo. My, na Ziemi, jesteśmy poza murem miejskim".

Inny poczytny w średniowieczu autor, Makrobiusz, żyjący na przełomie IV i V w., w swoim komentarzu do „Snu" Cicerona w następujący sposób przedstawiał powstanie świata: „To, co najczystsze i najbardziej przejrzyste, wzniosło się najwyżej i zostało nazwane eterem. To, co mniej czyste i mające pewną niewielką wagę, stało się powietrzem i spadło do drugiego poziomu. To, co miało jeszcze jakąś płynność, ale było dość gęste, żeby stawiać opór dotknięciu, zebrało się w strumień wody. Wreszcie, z całego zamętu materii, wszystko to, co nie dało się wykorzystać, zostało odgarnięte od innych, oczyszczonych w ten sposób elementów, opadło i osiadło w najniższym punkcie, zanurzone w ścinającym na zawsze zimnie. Ziemia jest faktycznie »odpadkiem stworzenia«, kosmicznym śmietnikiem".

Chalcydiusz udzielił innej odpowiedzi na pytanie, dlaczego Ziemia zajmuje centralne położenie. Według niego „została tak umieszczona, żeby niebiański taniec posiadał środek, dookoła którego się obraca; faktycznie jest to estetyczna dogodność dla istot niebiańskich". Być geocentrycznym, w naszym dzisiejszym rozumieniu, zakłada sferyczną symetrię, która jest pojęciem geometrycznym. W średniowiecznych intuicjach nasze centralne położenie we wszechświecie tylko pośrednio odnosiło się do geometrii i geometria załamywała się, gdy stawiała wymagania odmienne od oczekiwanych.

Jedynie z perspektywy stuleci, jakie upłynęły od czasów Kopernika, jego naukowa rewolucja wygląda, jakby degradowała człowieka. Dla ludzi średniowiecza człowiek nie był ważnym elementem kosmicznego porządku. Lukan, rzymski autor z I w. n.e., w swoich „Pharsalia" opisuje, jak „dusza Pompejusza wznosi się z pogrzebowego stosu do nieba". Mamy tu wiele podobieństw z wstępowaniem Scipiona ze „Snu" Cicerona. Gdy Pompejusz dotarł do „wielkiej granicy między powietrzem a eterem, (...) spojrzał w dół i ujrzał kpiny, z jakimi traktowano jego własne zwłoki, które miały nędzny i bałaganiarski pogrzeb. Uśmiał się z tego". Ten motyw coraz to pojawia się w późniejszej literaturze. Boccacio zapożycza go w stosunku do ducha Arcity, a Chaucer – Troilusa. „Uważam – konkluduje Lewis – że wszystkie trzy duchy – Pompejusza, Arcity i Troilusa – śmiały się z tej samej przyczyny: z małości tych wszystkich rzeczy, które wydawały się bardzo ważne, zanim umarli. Tak jak po przebudzeniu śmiejemy się z błahostek i bzdur, które wydawały się ogromne w naszych snach".

Jak pisze Lewis: „Średniowieczny Model jest, jeśli wolno nam użyć tego słowa, antropoperyferyjny. Jesteśmy istotami z marginesu". Znikomość człowieka była od samego początku wbudowana w architekturę świata, która została skonstruowana z całkowicie antropomorficznych elementów. Główny materiał, z jakiego Model był zbudowany, stanowiły elementy ludzkiej wyobraźni. Jeżeli nawet ta wyobraźnia czasem pracowała na sposób geometryczny (środek wszechświata, niebieskie sfery itp.), nie wahała się odrzucać geometrycznych standardów, o ile nie zgadzały się one z wyobrażeniowym

wzorcem. Głównymi metodologicznymi regułami, jakie rządziły konstrukcją Modelu, były reguły estetyki. Dominowała w nich zasada doskonałości, odziedziczona po filozofii platońskiej i neoplatońskiej, ale mocno przekształcona przez chrześcijański zmysł piękna i moralnej przyzwoitości. Zasada ta nie zostawiała miejsca dla zasady prostoty, która później odegrała tak ważną rolę w nowożytnej nauce. Tendencję do porządkowania i klasyfikowania wszystkiego można by uznać za słaby cień przyszłego matematycznego modelowania naturalnych zjawisk, a rozmaite „sympatie", „antypatie" i „dążności" drzemiące w materii za dalekie poprzedniczki naszych praw przyrody. Oczywiście, twórcy i użytkownicy Modelu zakładali, że jest on spójny, ale odpowiednio wyćwiczona wyobraźnia jest w stanie nawet ze sprzecznych elementów skomponować pozornie spójną całość. Można się dopatrzeć jedynie minimalnej, o ile w ogóle, empirycznej kontroli nad Modelem i konsekwencjami, jakie z niego wynikały. Podobnie jak nie ma empirycznej kontroli nad dziełem sztuki; wystarczy, jeżeli jest ono piękne, inspirujące lub wywołujące metafizyczne emocje. Średniowieczny Model Świata spełniał wszystkie te funkcje.

Eliminacja człowieka

Rewolucja Kopernika zadała śmiertelny cios średniowiecznemu Modelowi. Stwierdzenie to nabiera szczególnej wymowy, jeżeli przez rewolucję Kopernika rozumiemy nie tylko jego dzieło, lecz również wszystkie te procesy, którym nadało ono potężny impet. Należą do nich: unifikacja „fizyki ziemskiej" z „fizyką niebios", dehierarchizacja wszechświata, geometryzacja i infinityzacja przestrzeni, matematyzacja nauki oraz wzrost znaczenia kontrolowanego eksperymentu w nauce.

Nie wymieniłem tego procesu, który zwykle wiąże się z kopernikowską rewolucją, czyli pozbawienia człowieka jego uprzywilejowanej pozycji we wszechświecie. Jak widzieliśmy, ludzie średniowiecza nie przypisywali wielkiego znaczenia centralnemu położeniu Ziemi i, co więcej, zanim dokonał się proces geometryzacji przestrzeni, centralne położenie mogło być rozumiane na wiele sposobów, w tym także metaforycznych. Oczywiście, nie przeczę, że uświadomienie sobie, iż Ziemia została zdegradowana do roli przeciętnej planety, wywarło ogromny wpływ na ludzką wyobraźnię, ale stało się to dużo później, jako konsekwencja wszystkich wyżej wymienionych procesów. I było to tylko częścią bardziej skomplikowanych czynników, które radykalnie zmieniły stosunek człowieka do nauki i wszechświata.

W średniowieczu prawdziwy konflikt pomiędzy religią a obrazem świata był a priori wykluczony. Ludzki dramat, wkomponowany w kosmiczną architekturę – to była harmonijna całość.

Skłaniam się do tego, by wśród tych wszystkich czynników największe znaczenie przypisać matematyzacji nauki. Nie był to proces nowy. Od dawna był obecny w astronomii. To on stworzył archimedejską tradycję w tzw. klasycznych naukach greckich (optyka, akustyka, statyka...). Równolegle do nich – i w starożytności, i w średniowieczu – rozwijało się, i często dominowało, mistyczne podejście do liczb i do matematyki w ogólności. Nasilenie się tego podejścia w XV w. można traktować jako zapowiedź tego, co miało nastąpić. W pracach Galileusza i Newtona na dobre ustalił się dialog z przyrodą w języku matematyki.

Eksperymentowanie z przyrodą i metoda konstruowania matematycznych modeli zjawisk naturalnych nie tylko rozpoczęły proces eliminowania antropomorficznego podejścia do świata, ale wręcz stały się możliwe dzięki stopniowemu usuwaniu „poznającego podmiotu" z naukowej metody. Jak pisał A.N. Whitehead: „O przyrodzie można myśleć jako o zamkniętym systemie, takim, że myślenie o jego wewnętrznych relacjach nie wymaga wyrażenia tego, że się o nim myśli". Warunkiem sukcesu nowożytnej metody naukowej było to, że Galileusz i Newton „mogli myśleć o przyrodzie, nie myśląc o myśleniu".

Eliminacja „poznającego podmiotu" z naukowej metody była przedzałożeniem klasycznej nauki. Stawienie czoła wszystkim subtelnościom funkcjonowania wszechświata było po prostu zbyt trudnym zadaniem (zarówno faktycznie, jak i co do zasady) dla młodych nauk. Uproszczenia, idealizacje i przybliżenia krok po kroku stanowiły warunek *sine qua non* naukowej metody i w pierwszych stadiach jej rozwoju musiały być one bardzo restryktywne. ↦

■ *Crystal Chatterton*
WSPANIAŁE EKSPERYMENTY DLA DZIECI
WN PWN

Róbcie to w domu

JAJKO o twardej skorupce to „wynalazek", który był udoskonalany przez ewolucję przynajmniej przez ostatnich 195 mln lat. Tylko pozornie jest ono tworem wrażliwym, kruchym i niedoskonałym. Owszem, jest bardzo podatne na uszkodzenia, gdy upadnie na twardą powierzchnię lub gdy zostanie uderzone. Ale jego zdolność do wytrzymania sporego nacisku jest zaskakująca.
Przeprowadźmy eksperyment: chwyćmy surowe jajko w dłoń i ściśnijmy je jak najmocniej – tak, by pękło. Nie jest to łatwe zadanie i większość prób kończy się niepowodzeniem. Może więc spróbujemy je zdeptać? Owszem, jeśli stopa opadnie z impetem na skorupkę, ta pęknie. Ale jeśli ostrożnie i powoli ułożymy stopy na kilkunastu postawionych na sztorc jajkach, to mają one szansę utrzymać w ten sposób dorosłego człowieka. Możemy też zrzucić jajko spod sufitu, ale tak, by się nie rozbiło. Jak to zrobić? Można je owinąć materiałem albo włożyć do pudełka wyłożonego miękką izolacją. A może lepsze efekty przyniesie oklejenie jajka taśmą klejącą i przytwierdzenie jej do wnętrza rogów pudełka?
Każdemu takiemu eksperymentowi opisanemu w tej książce towarzyszą przemyślenia z pogranicza fizyki, inżynierii, biologii i chemii.
Co sprawiło, że jajko ma takie, a nie inne właściwości? Do czego te właściwości miały być przydatne? Czy kruchość skorupki ułatwiała młodym wyklucie się na zewnątrz, a jej wytrzymałość warunkowała przetrwanie?
© MAT

↦ Eliminacja człowieka stanowiła część strategii idealizacji, kluczowej składowej naukowej metody. A fakt, że tak daleko idąca idealizacja działa, jest źródłem nieustannego zdziwienia. A że działa – jest, jeśli tak można powiedzieć, faktem potwierdzonym doświadczalnie.

To nie Galileusz lub Newton, lecz Kartezjusz był myślicielem, który stoi na tym rozstaju dróg. Jego ostra dychotomia: „rozciągła materia" dla fizyki i „świadoma substancja" dla filozofii, nie stworzyła nowożytnej fizyki, ale oddzieliła nowożytną filozofię od fizyki, która wkrótce miała się narodzić.

XX-wieczny filozof Edmund Husserl oskarżał klasyczną naukę o „zdradę sprawy człowieka". Myślę, że nie miał racji. Nie można mieć pretensji do lokomotywy, że nie lata. To nie jej zadanie. Ale można przyznać rację Husserlowi, o ile odnieść jego zarzut do niebezpiecznego pęknięcia, jakie sukcesy nowożytnej nauki spowodowały w świadomości wielu ludzi.

Na rozstaju

Jednym z głównych symptomów tego pęknięcia było rozejście się dróg nauki i religii. Średniowieczna Synteza odeszła bezpowrotnie.

Religia polega na intymnym związku indywidualnego człowieka z jego Bogiem (echo tego pobrzmiewa w samej nazwie *re-ligare* – wiązać na nowo). Nie twierdzę, że religia nie ma społecznych i instytucjonalnych aspektów – ale stają się one puste i pozbawione sensu bez tego podstawowego odniesienia. Co więcej, religia stanowi odpowiedź na egzystencjalne problemy człowieka, a te są zawsze indywidualne. „Dramat istnienia" angażuje najgłębsze pokłady ludzkiej osobowości.

W metodzie naukowej nie ma miejsca na ten indywidualny wymiar. Nie liczą się w niej zmysłowe percepcje ani osobiste przekonania, lecz tylko interpersonalna lub intersubiektywna wymiana informacji. Naukowe teorie i metody są jednakowo rozumiane przez ludzi różnych kultur. Jeżeli chcesz wybudować akcelerator cząstek elementarnych lub polecieć na Marsa, musisz posłużyć się tą samą fizyką niezależnie od tego, czy jesteś Chińczykiem, czy mieszkańcem Zielonego Przylądka. Istotną cechą tego „praktycznie jednakowego rozumienia nauki" jest to, że nie wymaga ono jakiegoś wspólnego dla wszystkich „wglądu" w daną teorię lub metodę. Umożliwia ono jedynie skuteczne działanie i współpracę w osiąganiu wyników.

Ten kontrast między interpersonalnym (intersubiektywnym) charakterem nauki i fundamentalnie indywidualnym charakterem religii wprowadza pewnego rodzaju obcość pomiędzy religią a nauką, obcość zaś może być niekiedy bardziej niszcząca niż otwarta wrogość. Obca rzecz często znaczy rzecz godną pogardy. Myślę, że jest to jeden z głównych powodów rozejścia się dróg nauki i religii w czasach nowożytnych.

W średniowieczu jakikolwiek prawdziwy konflikt pomiędzy religią a obrazem świata był *a priori* wykluczony, ponieważ obraz świata był skonstruowany w tym celu, aby dostarczać tła zarówno dla religii, jak i dla egzystencjalnego dramatu człowieka. Ludzki dramat, wkomponowany w kosmiczną architekturę – to była harmonijna całość. W nowożytnym świecie, zdominowanym przez nauki przyrodnicze, konflikt między nauką a religią był potencjalnie obecny od samego początku: ludzkie egzystencjalne problemy, na skutek wyeliminowania ich z obszarów kontrolowanych przez metodę naukową, znalazły się na dalekich marginesach życia społecznego.

Historycy nauki i teologii często podkreślają, że średniowieczny obraz świata był tak ciasno związany z teologią chrześcijańską, że zapaść obrazu świata spowodowała zapaść teologii. Stary obraz świata odznaczał się tak dużą „teologiczną bezwładnością", że nowy obraz, gdy nastał, mógł już tylko ofiarować obcość, podczas gdy potrzebna była synteza. Trzeba było czekać ponad dwa stulecia, aż filozoficzna refleksja nad naukową metodą dojrzeje do tego stopnia, by zrozumieć, iż metodologiczne różnice nie są równoważne wzajemnemu wykluczaniu, a przestrzeganie kompetencji i tolerancja mogą być lepsze od przedwczesnej syntezy.

Zanim jednak to nastąpiło, nowe filozoficzne interpretacje, substytuty

syntezy, nagromadziły się wokół nauki. Po względnie krótkim okresie panowania tzw. fizyko-teologii, którą z jednej strony można traktować jak pogrobowe dziecko średniowiecznej syntezy, a z drugiej jako wyraz religijnej fascynacji naukowymi osiągnięciami, zapanowały pozytywistyczne, materialistyczne i ostatecznie ateistyczne interpretacje. Wszystkie one stworzyły atmosferę, w której cześć oddawana Bogu została zastąpiona przez cześć oddawaną człowiekowi. Można zaryzykować twierdzenie, że podczas gdy świat średniowieczny był antropoperyferyjny, ale antropomorficzny, świat nowożytny, dumny z wolności od antropomorfizmów, przekształcił się w strukturę antropocentryczną. Człowiek nabrał w niej *quasi*-absolutnej wartości.

Hipotezy o niebieskich ziemiach

W ostatnich dekadach XVII w. możliwość inteligentnego życia na innych planetach budziła powszechną ciekawość. Rozprawa „Wielość światów" Bernarda le Bovier de Fontenelle z 1686 r. zyskała ogromną popularność i stała się pierwszym bestsellerem popularyzującym nową naukę. Tylko nieco mniej popularną była rozprawa Christiana Huygensa „Cosmotheoros sive, de terris coelestibus earumque ornatu conjecturae" (Cosmotheoros, czyli hipotezy o niebieskich ziemiach i ich ozdobach). Dzieło to zamyka okres zainicjowany przez „Sen" Keplera, lub – lepiej – oba tworzą rodzaj nawiasów, obejmujących proces, który w międzyczasie osiągnął pewną dojrzałość. Oba zostały opublikowane pośmiertnie i można je uważać za komentarze do czysto naukowych osiągnięć ich autorów. Kepler wybrał się w podróż na Księżyc, aby „przedstawić dowód na ruch Ziemi", Huygens, przeciwnie, wykorzystał teorię Kopernika, aby uzasadnić podobieństwo Ziemi do innych planet. Inne planety winny posiadać wegetację i muszą je zamieszkiwać zwierzęta, gdyż bez nich „musielibyśmy uznać, że ustępują Ziemi pod względem piękna i godności, a to byłoby wbrew rozsądkowi". Metodę rozumowania Huygensa najlepiej wyraża zdanie: „Z natury i własności planety, którą mamy przed oczyma, musimy odgadywać własności tych, które są z dala od nas".

Huygens krytykował historię Keplera o wyprawie na Księżyc, ale zastosował tę samą strategię odnośnie do planet. Dokładnie opisał zjawiska astronomiczne, tak jak są widoczne z każdej z nich (szczególnie wiele możliwości dostarczył mu Jowisz ze swymi licznymi księżycami i upierścieniony Saturn).

Kepler nie zdobył się jeszcze na to, by całkowicie zerwać ze średniowieczną kosmiczną harmonią. Chociaż obalił kołowe orbity planet, usiłował zastąpić je symetriami regularnych brył Euklidesa. Według niego orbity planet miały być wpisane i opisane w symetrie tych brył. Pod piórem Huygensa stary wszechświat został całkowicie unicestwiony. „Misterium kosmograficzne" Keplera jest niczym innym, jak tylko „snem wyjętym z filozofii Pitagorasa i Platona". Huygens otwiera perspektywy na zupełnie nowy wszechświat – z nieprzeliczalną mnogością słońc i planet, pełnych roślin i zwierząt.

A co z nami, naszą planetą i naszym Słońcem? Nowy obraz świata skłania Huygensa do wniosku, że „nasza gwiazda nie jest niczym wyróżniona spośród innych". Mamy tu po raz pierwszy wypowiedzianą dzisiejszą zasadę kosmologiczną. Zajmujemy przeciętne miejsce we wszechświecie. Za około trzysta lat, licząc od czasów Huygensa, stanie się to paradygmatycznym założeniem wielu rozważań kosmologicznych. W średniowiecznym Modelu byliśmy stworzeniami z marginesu, a znaczenie uzyskiwaliśmy jedynie dzięki Centrum Wszelkiego Bytu. W nowożytnym świecie jesteśmy istotami przeciętnymi i jako przeciętniacy pozostajemy zagubieni w nieskończonych otchłaniach przestrzeni. Uczyniliśmy Nowożytny Świat na swój obraz i podobieństwo. © MICHAŁ HELLER

Fragment książki „Teoria względności Mikołaja Kopernika", która ukazuje się 17 maja nakładem CCPress. Skróty pochodzą od redakcji.

▪ *Krzysztof Poznański* **DINOZAURY I WIELKIE SSAKI** *Wilga*

Czy masz już ulubionego gada?

W POBLIŻU meksykańskiego miasta Chicxulub przyciąganie grawitacyjne jest słabsze niż na większości planety. W 1991 r. to właśnie ta informacja pozwoliła uczonym zdobyć decydujący dowód na to, że kluczową (choć nie jedyną) przyczyną wyginięcia dinozaurów było uderzenie w Ziemię asteroidy. Miała ona średnicę ok. 10 km i spadła na nasz glob 66 mln lat temu. Kolizja była tak gwałtowna, że wyrzuciła z krateru ciężkie, lite skały i zrobiła miejsce dla lekkich osadów i luźnego rumowiska, które szybko wypełniło miejsce zderzenia. Ta wymiana wypełnienia dała początek anomalii grawitacyjnej, którą do tej pory notujemy w kraterze Chicxulub.
Prawdziwego młodego fana dinozaurów trudno byłoby zadziwić ciekawostką o asteroidzie, ale tą na temat „osłabionej" grawitacji – pewnie już tak. Co kluczowe jednak, obie te informacje pojawiają się dopiero w połowie tej książki. To dobrze świadczy o tej publikacji. Dlaczego? Ponieważ młodzi czytelnicy będący adresatami tej lektury czasem wyobrażają sobie przeszłość naszej planety jak film, który zaczyna się od T. rexa, kończy zaś na asteroidzie. A przecież Ziemię – zarówno przed tyranozaurem, jak i po nim – zamieszkiwały miliony fascynujących gatunków, których dziś już nie uświadczymy.
Ta książka nie tylko pokazuje bogactwo tych form życia, opisując m.in. znaleziska z naszego podwórka, ale też sprawnie porządkuje wiedzę.
© MAT

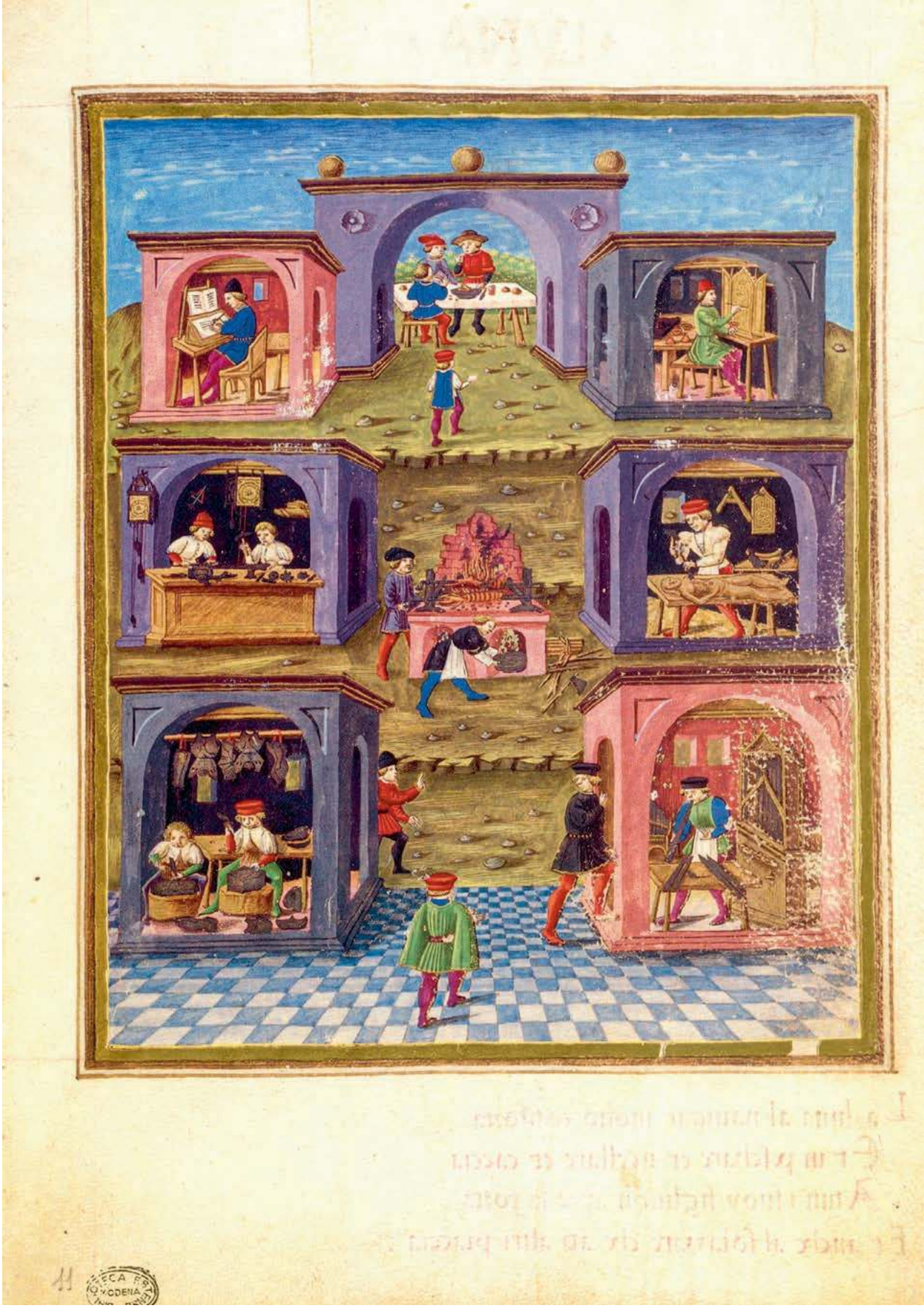

BIBLIOTECA ESTENSE W MODENIE x5

„Dzieci" Merkurego, ilustracja z rękopisu „De Sphaera", III ćw. XV w.

Dzieci planet

MAGDALENA ŁANUSZKA

W miniaturach umieszczonych w rękopisie „De Sphaera" astrologia łączy się z astronomią, a ludzkie losy splatają z ruchami ciał niebieskich. Średniowieczna wizja świata oddawała doskonałość boskiego stworzenia.

Średniowieczne wyobrażenie wszechświata – *imago mundi* – było zakorzenione w antycznych koncepcjach Arystotelesa i Ptolemeusza, w interpretacji chrześcijańskich teologów i filozofów. Ów świat, z centralnie położoną Ziemią i otaczającymi ją kolejnymi sferami niebieskimi, miał być uporządkowany w sposób harmonijny, a zarazem hierarchiczny.

Astrologia była w średniowieczu nauką niezwykle ważną; bliska była naszej astronomii, choć zajmowała się także wpływem planet i znaków zodiaku na człowieka w związku z datą jego narodzin. Mowa tu o horoskopie, ale ten średniowieczny nie służył do tego, żeby wywróżyć, co przytrafi się nam w nadchodzącym miesiącu. Raczej chodziło o to, żeby określić, jakie dany człowiek ma predyspozycje – np. talenty, ale również jaki jest jego organizm: do jakich schorzeń może mieć skłonności. Z planetami łączyły się żywioły, znaki zodiaku i wreszcie temperamenty – cztery typy osobowości, uzależnione od przewagi konkretnych płynów w organizmie.

Teoria o temperamentach ma pochodzenie antyczne, znajdziemy ją już u Hipokratesa (V/IV w. p.n.e.), spopularyzował ją zaś Galen (II w. n.e.). Przewaga krwi skutkowała temperamentem sangwinicznym, przewaga flegmy charakteryzowała flegmatyków, żółci – choleryków, a melancholicy mieli zbyt wiele enigmatycznej „czarnej żółci". Czterem temperamentom odpowiadały cztery żywioły: sangwinikom – powietrze, cholerykom – ogień, melancholikom – ziemia, a flegmatykom – woda. Czasami grupowano także z żywiołami po trzy znaki zodiaku: z powietrzem Wagę, Bliźnięta i Wodnika, z ogniem – Barana, Lwa i Strzelca; z ziemią Byka, Pannę i Koziorożca, z wodą zaś Raka, Ryby i Skorpiona.

Znaki zodiaku występowały niezwykle często w sztuce średniowiecznej: w dekoracjach katedr i zamków, w witrażach i freskach oraz oczywiście w rękopisach, szczególnie w modlitewnikach, które zawierały liturgiczne kalendarze. Przedstawienia planet i ich wpływu na ludzi zachowały się w mniejszej liczbie dzieł, ale również był to temat dobrze znany, szczególnie w kręgach elit późnego średniowiecza i czasów nowożytnych.

Rękopis znaleziony w Modenie

Popularne w wiekach średnich wyobrażenie wszechświata zakładało, że wokół Ziemi krąży siedem planet: Saturn, Jowisz, Mars, Merkury, Wenus, Słońce i Księżyc. Tylko niektóre z nich patronowały temperamentom: Jowisz wraz z Wenus opiekował się sangwinikami, Mars – bóg wojny – był związany z cholerykami, mroczny Saturn wpływał na melancholików, a Luna (Księżyc) była patronką flegmatyków.

Jednym z podstawowych podręczników używanych w średniowiecznych uniwersytetach był traktat astronomiczny „De Sphaera", autorstwa Johannesa de Sacrobosco (zm. 1256 r.). Ów profesor paryskiego uniwersytetu, prawdopodobnie pochodzący z Anglii, dzieło swe w dużej mierze oparł na „Almageście" Ptolemeusza – kompendium starożytnej wiedzy z II w. n.e. Warto podkreślić, że Ziemia opisana została przez Sacrobosco jako kula – dopiero XIX wiek spopularyzował mit „średniowiecznych płaskoziemców", a przekonanie o kulistości Ziemi sięga w Europie już starożytności. Prawidłowy kształt naszej planety podawał już choćby Arystoteles, przywołując dowody takie jak kolisty cień Ziemi na Księżycu w czasie jego zaćmienia, zaokrąglony kształt widnokręgu, a przede wszystkim fakt, że statki zza horyzontu wyłaniają się stopniowo, począwszy od masztów.

To właśnie piękny statek – niezwykle finezyjnie naszkicowany – jako dowód kulistości Ziemi został ukazany na drugiej karcie jednego z najpiękniejszych rękopisów „De Sphaera", pochodzącego z XV w., dziś przechowywanego w Biblioteca Estense w Modenie. Specjalistyczne księgi o treściach astrologicznych były bowiem nie tylko produkowane dla naukowców i medyków, ale także zamawiane przez arystokrację. Znakomitym tego przykładem jest ten właśnie iluminowany rękopis, wykonany na zlecenie Sforzów-Viscontich.

Na pierwszych kilku kartach znajdują się rysunki zbierające informacje o ruchu planet, zaćmieniach, strefach klimatycznych, konstelacjach, fazach księżyca. Jest też oczywiście rysunek wszechświata: z Ziemią w środku i opisanymi otaczającymi ją sferami: najpierw są to żywioły (wokół Ziemi: woda, powietrze i ogień), a dalej planety (Księżyc, Merkury, Wenus, Słońce, Mars, Jowisz, Saturn) i w końcu sfera gwiazd stałych (to te, które zdają się nie poruszać na niebie i układają się w konstelacje) oraz *primum mobile* – najbardziej zewnętrzna ruchoma sfera świata.

Dalej następują starannie malowane całostronicowe miniatury – poczynając od karty pozwalającej na identyfikację fundatorów. Jest to *impresa*, czyli rodzaj osobistego godła: obrazu z dewizą – w tym wypadku to pies pod sosną, z ręką Boga; a do tego herby (godła na tarczach oraz hełmy z klejnotami) Francesca I Sforzy i Bianki Marii Visconti. Bianka była nieślubną córką księcia Mediolanu Filipa Marii Viscontiego, lecz została uznana jako jedyna jego dziedziczka; poślubiła w 1441 r. kondotiera (dowódcę wojsk najemnych) Francesca, którego ojciec ↦

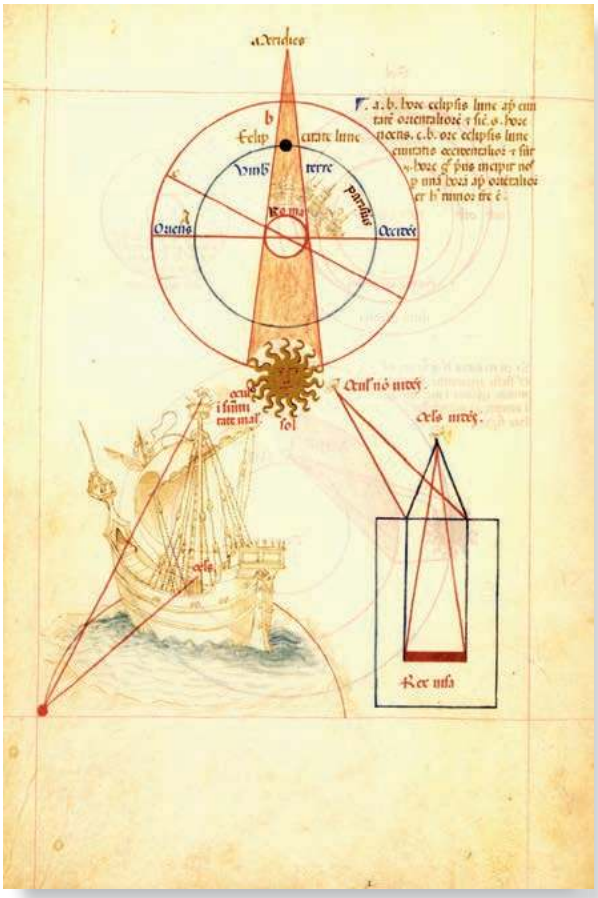

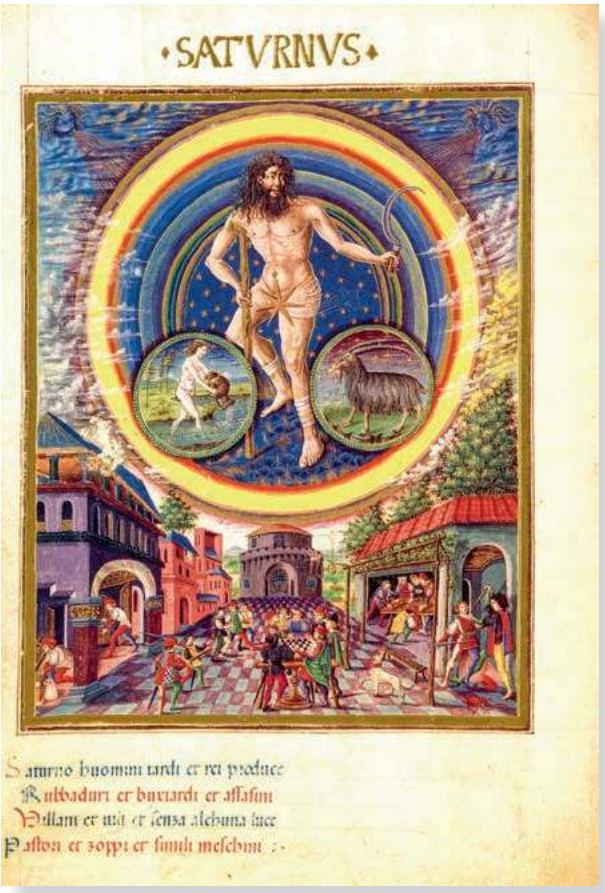

Od lewej: Dowody na kulistość Ziemi, ilustracja z rękopisu „De Sphaera", III ćw. XV w.; Saturn i jego „dzieci", ilustracja z rękopisu „De Sphaera", III ćw. XV w.

– także kondotier, Muzio Attendolo – zwany był „Sforza" ze względu na swą siłę i odwagę. Francesco Sforza trzy lata po śmierci teścia przejął księstwo Mediolanu. Jego prawnuczką była nasza późniejsza królowa – Bona Sforza.

Najprawdopodobniej ów piękny rękopis powstał między 1450 r., gdy Francesco został księciem, a 1466 r., gdy zmarł. W sposobie kształtowania detali (w tym krajobrazu) miniatury reprezentują malarstwo lombardzkie XV w.; wyraźne są w nich także wpływy franko-flamandzkie. Część badaczy jest skłonna przypisywać autorstwo tych dekoracji mediolańskiemu malarzowi Cristoforowi de Predis, który współpracował z samym Leonardem da Vinci, lecz nie wydaje się to przekonujące. Miniatury „De Sphaera" różnią się nieco stylistycznie od znanych innych rękopisów dekorowanych przez Cristofora, a ponadto czynny był on artystycznie od początku lat 70. XV w., a zatem już po śmierci księcia Francesco. Kolejnym księciem Mediolanu został jego syn, Galeazzo Maria Sforza, którego córka Anna Maria poślubiła Alfonsa I d'Este, księcia Ferrary. To właśnie ona mogła zabrać z sobą rękopis – nie jest to pewne, ale w każdym razie w XVII w. księga była już w kolekcji d'Este, stąd jej dzisiejsza obecność w Biblioteca Estense w Modenie.

Planeta Słońce

Najciekawsze chyba miniatury zajmują siedem kolejnych kart, malowanych dwustronnie: to siedem personifikacji planet oraz ich tzw. dzieci. Mianem „dzieci planet" określa się przedstawicieli zajęć i rzemiosł, do których predyspozycje mieli mieć ludzie urodzeni pod wpływem danej planety. Każda z planet to oczywiście starożytne bóstwo; większość postaci w rękopisie z Modeny jest naga, choć ich genitalia zakrywają gwiazdy.

Pierwszą planetą ukazaną w tej księdze jest Saturn – pierwotnie w panteonie rzymskim bóstwo związane z rolnictwem i płodnością ziemi, z siewem i zbiorami. Rzymianie z czasem utożsamili go z greckim tytanem Kronosem, który pokonał swego ojca i wykastrował go za pomocą sierpa – sierp pozostał atrybutem Saturna, planeta zaś związana z jego postacią połączona została z żywiołem ziemi i temperamentem melancholicznym. W omawianym tu rękopisie dość wyjątkowo z Saturnem powiązane zostały dwa następujące po sobie znaki zodiaku: Koziorożec i Wodnik – przypadające na grudzień i styczeń, czyli czas Bożego Narodzenia i karnawału, które to obchody zakorzenione są w tradycji rzymskich Saturnaliów. Poniżej postaci Saturna widzimy hazardzistów i wdających się w bójki imprezowiczów, ale także złodziei; ci ostatni to zapewne przyszli skazańcy. Kolejna całostronicowa miniatura rozwija temat: mamy tam różne przedstawienia egzekucji i kaźni (ponieważ „dziećmi" Saturna są i skazańcy, i kaci), ale także rolników przy pracy (to odwołanie do Saturna jako bóstwa ziemi) oraz karmiących świnie (to z kolei odniesienie kalendarzowe – do tradycyjnego grudniowego świniobicia).

Jowisz, następna zilustrowana planeta, jest patronem złotników, alchemi-

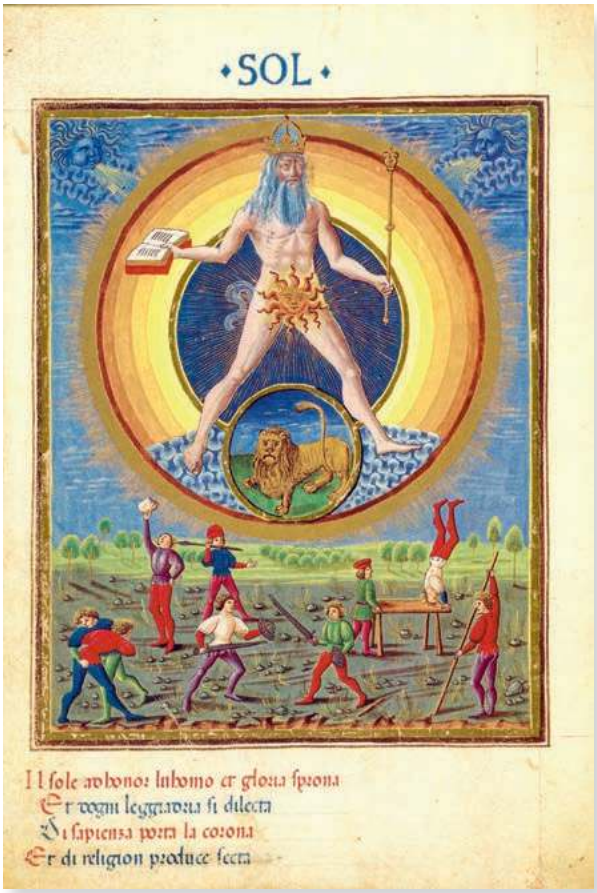

Od lewej: Sol (Słońce) i jego „dzieci", ilustracja z rękopisu „De Sphaera", III ćw. XV w.; Źródło Wiecznej Młodości („dzieci" Wenus), ilustracja z rękopisu „De Sphaera", III ćw. XV w.

ków, matematyków czy ogólnie uczonych – takie też grupy (oraz postacie poświęcające się polowaniu) widnieją na odnoszących się do niego dwóch miniaturach. Powiązane z Jowiszem znaki zodiaku to Ryby i Strzelec, odpowiadające w kalendarzach lutemu i listopadowi.

Rzymski bóg wojny uosabiający planetę Mars (a zarazem żywioł ognia i temperament choleryczny) ukazany został jako wojownik o czerwonej skórze; jego „dzieci" to żołnierze walczący na wojnie, podpalający zabudowania, zabijający się nawzajem. Znaki zodiaku z nim związane to Skorpion i Baran.

Kolejna planeta to Sol, czyli Słońce – tym razem z jednym tylko znakiem zodiaku, czyli Lwem. Znak ten wiąże się z okresem największych letnich upałów – a jednocześnie już w starożytności lew był postrzegany jako zwierzę o symbolice solarnej m.in. ze względu na swe złociste umaszczenie i grzywę przypominającą promienie. Z drugiej strony lew był symbolem siły, władzy, majestatu – stąd na kolejnej miniaturze „dzieci" planety Słońce to władcy świeccy i dygnitarze kościelni. Słońce patronuje też ludziom ambitnym, pragnącym poklasku i ceniącym honor: do nich należą sportowcy, czy też ogólniej ci, którzy stają z innymi w zawody. Sol jest starcem w koronie – w przeciwieństwie do innych planet, jego krocze przesłania nie gwiazda, ale właśnie Słońce, i to mające swoją własną twarz.

Kąpiel w Źródle Młodości

Następną planetą w rękopisie jest Wenus – bogini piękna i miłości, ukazana z lusterkiem oraz bukietem kwiatów. Powiązane z nią znaki zodiaku to kwietniowy Byk i wrześniowa Waga – przypadające na miesiące związane z przyjemnościami zmysłowymi: z wiosennymi spacerami w ogrodach i jesiennym winobraniem. Dziś powiedzielibyśmy, że „dzieci" Wenus to sybaryci i ludzie stawiający na pierwszym miejscu rozkosze cielesne oraz obdarzeni wysokim libido. Reprezentują ich pary flirtujące w ogrodach; mamy także przepiękną miniaturę zapewne wywodzącą się z przedstawienia Źródła Młodości. Było to legendarne magiczne miejsce, w którym kąpiel w cudowny sposób miała odmładzać, przywracając nie tylko urodę i zdrowie, ale także libido właściwe młodości. To ilustracja prastarego eurazjatyckiego mitu, który w różnych wersjach funkcjonował na obszarach Bliskiego i Środkowego Wschodu oraz Europy. W średniowiecznej kulturze dworskiej motyw Źródła Młodości był bardzo popularny, zdobił liczne luksusowe przedmioty; najczęściej ukazywano to źródło jako starannie zdobioną kamienną fontannę. Szkopuł w tym, że w naszej miniaturze nie ma starców wchodzących do źródła: fontanna jest po prostu pełna nagiej młodzieży, pijącej wino szklankami i flirtującej przy dźwiękach muzyki. To wersja często też zwana Źródłem Wiecznej Młodości, zarezerwowanym dla wybranych (tu: „dzieci" Wenus). Nowi starcy nie przychodzą do fontanny, a ci, którzy w niej już siedzą, nie zamierzają nigdy jej opuścić. ↦

Merkury to z kolei planeta, z którą powiązane zostały „pracowite" znaki zodiaku: Bliźnięta oraz Panna, przypadające na miesiące najintensywniejszych letnich prac w polu. „Dzieci" Merkurego to wszelkie zawody kreatywne oraz rzemiosła powiązane ze sztuką: pisarze, malarze, rzeźbiarze, ale także zegarmistrzowie, producenci instrumentów muzycznych, płatnerze i kucharze. Miniatura ukazująca „dzieci" Merkurego jest jedną z najsłynniejszych ilustracji tego rękopisu: każdy z rzemieślników został ukazany we własnej pracowni w formie małego domku, całość tworzy zaś piętrową kompozycję przypominającą zamek.

Na koniec wreszcie mamy Księżyc, czyli boginię Lunę – podobnie jak w przypadku Słońca, jej genitalia nie są zasłonięte gwiazdą. U niej jest to oczywiście Księżyc, również ukazany z twarzą (to tzw. maska lunarna). Luna ma także – podobnie jak Sol – tylko jeden znak zodiaku, a jest to Rak. Księżycowi podlega żywioł wody oraz temperament flegmatyczny: „dzieci" Luny to żeglarze, rybacy, łowiący ptactwo. Co ciekawe jednak, na pierwszym planie drugiej miniatury związanej z Luną widzimy sztukmistrza: wędrownego magika, szarlatana, którego profesja i styl życia niosły skojarzenia z niestabilnością i odrobiną szaleństwa, przypisywanymi wpływom Księżyca (po polsku „lunatyk" to ten, który bezwiednie wędruje przy świetle Księżyca; angielskie słowo „lunatic" oznacza zaś już po prostu szaleńca, wariata).

Średniowieczny horoskop nie służył do wróżenia, co przytrafi się nam w nadchodzącym miesiącu. Miał określać ludzkie predyspozycje, talenty i skłonności do schorzeń.

Kariera kondotiera

Średniowieczna wizja wszechświata – nie tylko jego astronomicznej budowy, ale także m.in. wpływów wywieranych przez planety, oraz związków zodiaku, żywiołów i temperamentów – była wizją doskonałego w swojej całości boskiego stworzenia. Wszystko ma swoje miejsce, a wśród ludzi nie ma zbędnych charakterów czy profesji – dla całości funkcjonowania świata potrzebne są „dzieci" wszystkich planet: władcy, rolnicy, rzemieślnicy i nawet złoczyńcy. Każdy ma swoje wady i zalety, i każdy ma swoją rolę do odegrania w Bożym planie. Wiara w Fortunę i pomyślny wpływ gwiazd i planet bywała szczególnie ważna dla ambitnych indywidualistów, do jakich z pewnością zaliczał się Francesco I Sforza, który zmarł jako książę Mediolanu, choć urodził się – 23 lipca 1401 r. – jako nieślubny syn kondotiera. Być może wierzył, że w drodze na szczyty władzy wspierał go majestatyczny zodiakalny Lew oraz sprzyjał mu wpływ Słońca – jeśli tak było, to nic dziwnego, że skłonny był zamówić bardzo bogato iluminowany rękopis astrologiczny do swej biblioteki. My zaś dziś – dzięki digitalizacji zbiorów Biblioteca Estense – możemy karta po karcie podziwiać to unikatowe dzieło i poznawać tajemnice XV-wiecznych wyobrażeń na temat kosmosu i wpływu planet na życie każdego człowieka. © MAGDALENA ŁANUSZKA

OGŁOSZENIE WSPÓŁWYDAWCY

MUZEUM
UNIWERSYTETU
JAGIELLOŃSKIEGO
Collegium Maius

Kraków, ul. Jagiellońska 15
www.maius.uj.edu.pl
facebook.com/muzeumUJ/

Polskie Towarzystwo Reasekuracji S.A. wspiera rozwój polskiego rynku ubezpieczeniowego.
Świadczymy usługi reasekuracyjne już na wszystkich kontynentach.

W tym roku PTR S.A. kolejny raz
jest sponsorem Copernicus Festival

Polskie Towarzystwo Reasekuracji
A FAIRFAX Company

COPERNICUS
FESTIVAL

Ubezpieczamy ubezpieczycieli

ID.UJ: UNIWERSYTET PRZYSZŁOŚCI

Rewolucje często wymagają czasu. Zmiany w złożonych strukturach społecznych czy choćby ludzkiej wiedzy mogą lokalnie być nagłe i niespodziewane, ale w większej skali nie następują od razu. Najwyraźniej natura lubi działać na drodze mozolnej, długotrwałej ewolucji.

Można jednak także powiedzieć, że nie ma ewolucji bez rewolucji. Pokarmem dla powolnych procesów ewolucyjnych jest zmienność genetyczna. W kontekście zmian społecznych i rozwoju wiedzy zmienność opiera się na tworzeniu nowych, często właśnie rewolucyjnych idei. Niektóre okazują się na tyle płodne, że trafiają do krwiobiegu kultury. Bez takich rewolucyjnych idei ewolucja struktur społecznych byłaby niemożliwa.

MATERIAŁY PRASOWE

Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego

CZTERY RAZY I

W 2019 r. Uniwersytet Jagielloński został jednym z laureatów prestiżowego konkursu ówczesnego Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego „Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza". Uzyskane środki finansowe – zwiększenie subwencji ministerialnej o 10 proc. do 2026 r. – wykorzystywane są do realizacji ambitnego, a w niektórych aspektach może i rewolucyjnego planu. Ogólne cele programu „Inicjatywa Doskonałości w Uniwersytecie Jagiellońskim" (ID.UJ) są rzeczywiście ambitne, ale standardowe: zwiększenie wpływu prowadzonych na uczelni badań na światową naukę, intensyfikacja współpracy z najlepszymi zagranicznymi ośrodkami naukowymi, podniesienie jakości i unowocześnienie procesu dydaktycznego czy też rozbudowa narzędzi umożliwiających pracownikom Uczelni rozwój kompetencji zawodowych. Jednak już założony sposób realizacji tych celów ma innowacyjny charakter.

Głównym zadaniem programu ID.UJ jest dalszy rozwój ekosystemu badawczego Uniwersytetu Jagiellońskiego poprzez wyposażenie go w zbiór narzędzi i formatów działań, które umożliwić mają stworzenie prawdziwie nowoczesnego uniwersytetu badawczego. Ale za tym dobrze określonym działaniem kryje się misja co najmniej równie ważna, choć dużo trudniejsza do skwantyfikowania i uchwycenia w dobrze zdefiniowanych wskaźnikach: zmiana kultury badawczej Uczelni.

Kluczowa w tym kontekście jest nadrzędna dla całego programu zasada 4 razy I: internacjonalizacji, interdyscyplinarności, innowacyjności i integralności.

Internacjonalizacja ma stać się niezbywalną częścią wszelkich podejmowanych przez Uczelnię działań: od badań i dydaktyki, poprzez oddziaływanie z otoczeniem społeczno-gospodarczym, aż po wypracowywanie wspólnych standardów zarządczych. W duchu tej zasady ID.UJ wspiera przedsięwzięcia prowadzące do trwałych, wielowymiarowych partnerstw międzynarodowych. Takich jak współpraca z 10 wiodącymi uczelniami europejskimi w ramach Zrzeszenia Uniwersytetów Una Europa.

Una Europa tworzy wspólną strategię badań i współpracy w wykorzystaniu infrastruktury badawczej, rozwoju kapitału ludzkiego, a także wprowadza w życie innowacyjne formaty dydaktyczne, takie jak pierwsze w historii Europy wspólne studia na poziomie licencjackim w zakresie europeistyki oraz zrównoważonego rozwoju.

Interdyscyplinarne badania naukowe możliwe są tylko wtedy, gdy naukowcy reprezentujący różne dyscypliny, a nawet dziedziny nauki wspólnie, z pomocą metod właściwych ich naukom oraz w ciągłym dialogu, zmagają się z tym samym zespołem problemów. W ramach ID.UJ interdyscyplinarną współpracę wspiera wyznaczenie siedmiu priorytetowych obszarów badawczych (POB).

Innowacyjność uniwersytetu musi mieć wiele wymiarów. Nie chodzi tylko o nowe wynalazki techniczne, ale także o znajdowanie rozwiązań problemów społecznych – od metod dydaktycznych, przez rozwiązania prawne, modele współpracy pomiędzy ważnymi aktorami społecznymi – np. administracją samorządową i organizacjami pozarządowymi – aż po propozycje kształtu i organizacji społeczeństwa przyszłości. Ze środków ID.UJ tworzony jest m.in. nowy system komunikacji naukowej Uniwersytetu, obejmujący nowoczesne formaty prezentacji osiągnięć naukowych pracowników Uczelni, popularyzację nauki i edukację masową. Stworzono także nowe przestrzenie dla współpracy z otoczeniem społeczno-gospodarczym, w tym Business Idea Center oraz Przestrzenie Kreatywnej Współpracy – system rozsianych po wydziałach Uczelni miejsc, w których ludzie Uniwersytetu mogą spotkać się i rozwijać wspólne projekty z partnerami społecznymi.

Wreszcie, uczelnia powinna działać zgodnie z zasadą integralności, która dotyczy ścisłych związków z prowadzeniem badań naukowych, dydaktyką i współpracą z otoczeniem społeczno-gospodarczym, czyli tym, co określa się mianem trzech misji uniwersytetu. Tworząc programy studiów, można przewidywać możliwość włączenia studentów w prace grup badawczych; a projektując badania naukowe warto zastanawiać się, w jaki sposób informować o nich i ich znaczeniu szeroką publiczność. Angażując się w działania w ramach otoczenia społeczno-gospodarczego, trzeba w pełni brać pod uwagę potencjał, jaki reprezentują naukowcy i studenci.

REWOLUCJA CZY EWOLUCJA?

Realizacja celów programu ID.UJ przebiega na trzech poziomach. Na poziomie ogólno-

MATERIAŁ WSPÓŁWYDAWCY

uniwersyteckim tworzone są rozwiązania – np. narzędzia cyfrowe – które ułatwiać mają podejmowanie wyzwań badawczych. Na poziomie poszczególnych wydziałów i innych jednostek alokowane są środki, które ułatwiają pracownikom naukowym, doktorantom i studentom podejmowanie własnych inicjatyw, zarówno w zakresie badań naukowych, jak i innych wymiarów misji uniwersytetu. Te działania o charakterze oddolnym uzupełnione są systemem Projektów Flagowych.

Program ID.UJ ma już na koncie sporo sukcesów, zarówno tych łatwo policzalnych (powszechny udział pracowników UJ w działaniach ID.UJ, kilkadziesiąt rozstrzygniętych konkursów na minigranty, wyłonienie prestiżowych Projektów Flagowych, utworzenie Przestrzeni Kreatywnej Współpracy i Business Idea Center, stworzenie nowych narzędzi informatycznych wspierających prowadzenie badań naukowych, inwestycje w nowoczesną infrastrukturę sprzętową), jak i tych trudniej może uchwytnych, ale równie ważnych (przełamywanie barier dyscyplinowych i między jednostkami, nabywanie know-how w odniesieniu do prowadzenia badań interdyscyplinarnych, szersze uwzględnienie perspektywy międzynarodowej w planowanych badaniach naukowych, uwzględnianie wszystkich aspektów misji uniwersytetu w podejmowanych działaniach).

Ale zmiany, które założone zostały w programie ID.UJ, nawet jeśli brzmią rewolucyjnie, wymagają czasu i powolnej ewolucji. Prawdziwe owoce tego programu poznamy dopiero w pespektywie wielu lat, gdy – miejmy nadzieję – Uniwersytet Jagielloński stawać się będzie nowoczesną, innowacyjną uczelnią badawczą przyszłości.

Więcej informacji o programie Inicjatywa Doskonałości – Uniwersytet Jagielloński na stronie id.uj.edu.pl

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE

UCZELNIA BADAWCZA
INICJATYWA DOSKONAŁOŚCI

PRIORYTETOWE OBSZARY BADAWCZE

zostały wyznaczone z myślą o najważniejszych wyzwaniach naukowych i cywilizacyjnych.

HERITAGE
Ten obszar integruje badania w zakresie dziedzictwa kulturowego i tradycji, pamięci społecznej i historii, tworząc platformę współpracy dla reprezentantów wielu nauk humanistycznych i społecznych. Stawia pytania o obecność „przeszłości w teraźniejszości" i pokazuje, w jaki sposób lokalny, narodowy, regionalny i globalny wymiar dziedzictwa zależy od procesów zachodzących we współczesnym świecie.

FUTURESOC
Obszar ukierunkowany na badania dotyczące krótko- i długoterminowych zmian społecznych, m.in. wywołanych rozwojem nowoczesnych technologii (w tym zarówno biotechnologii, jak i technologii informatycznych), a także zmian wynikających z wpływu badań empirycznych, w tym kognitywistyki i nauk behawioralnych, na kategorie pojęciowe, metodologię i modele stosowane w naukach społecznych.

ANTHROPOCENE
Obszar skupiony na badaniu zmian, które zachodzą w ziemskich systemach. Jest odpowiedzią społeczności naukowej na współczesne globalne problemy i zagrożenia. Jego celem jest przełamywanie barier między dyscyplinami i wyłonienie grupy ekspertów w dziedzinie klimatu, środowiska, energetyki, polityk społecznych, którzy mogliby prowadzić interdyscyplinarne badania i proponować nowe rozwiązania.

QLIFE
Obszar badań nad chorobami społecznymi i cywilizacyjnymi (m.in. układu nerwowego, krążenia, metabolicznymi, onkologicznymi), zdrowiem reprodukcyjnym i medycyną regeneracyjną. Jego pełna nazwa to „Jakość badań dla jakości życia". Celem tego obszaru jest stworzenie pełnej ścieżki translacji naukowej, czyli przekładania wyników badań podstawowych na zastosowania medyczne – nowe terapie, procedury i leki.

BIOS
Obszar integrujący badania w dziedzinie biologii strukturalnej, genomiki i proteomiki, bioinformatyki, biologii komórki, biologii systemów, biologii ewolucyjnej i bioróżnorodności. Mają one prowadzić do głębszego zrozumienia procesów zachodzących na każdym poziomie funkcjonowania organizmu – od molekuł budujących związki występujące w komórkach, aż po działanie organizmu w środowisku przyrodniczym i społecznym.

SCIMAT
Rozwój technologii opiera się m.in. na poszukiwaniu i opracowywaniu nowych materiałów, zapewniających oszczędność energii, większą wytrzymałość, oraz ich zastosowaniu w nowoczesnych technologiach produkcji. Działania prowadzone są w dziedzinach: materiałów nanostrukturalnych, materiałów związanych z wytwarzaniem i gromadzeniem energii oraz materiałów na potrzeby biotechnologii i medycyny, a także rozwoju modeli teoretycznych i narzędzi matematycznych.

DIGIWORLD
Obszar obejmujący badania związane z przełomem cyfrowym: rozwojem technologii cyfrowych i wywołanymi przez ten rozwój zmianami społecznymi, wielkimi zbiorami zdigitalizowanych danych oraz pozwalającymi je przetwarzać, analizować i modelować metodami sztucznej inteligencji. To obszar wizjonerskich badań podstawowych, interdyscyplinarnych zastosowań i tworzenia technologii cyfrowych, który wymaga ambitnej współpracy międzydziedzinowej.

Copernicus College

COPERNICUS COLLEGE

PIERWSZY POLSKI E-UNIWERYSTET

STUDIUJ Z NAMI ONLINE
CAŁKOWICIE **BEZPŁATNIE!**

Na naszej platformie znajdziecie m.in. kursy:

- **Ewolucja: mechanizmy i konsekwencje**
- **Neurobiologia i życie**
- **Filozofia nauki**
- **Wprowadzenie do prawa karnego**
- **Wprowadzenie do psychologii poznawczej**

wiecej informacji
na **copernicuscollege.pl**

OGŁOSZENIA WSPÓŁWYDAWCY

120 LAT PSYCHOLOGII
NA UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM

Wyrusz w podróż, w którą 120 lat temu polską psychologię zabrał prof. Władysław Heinrich.

Wystawa poświęcona 120-leciu psychologii na Uniwersytecie Jagiellońskim czynna od 18 maja, od poniedziałku do piątku w godz. 08.00 - 19.00 w Instytucie Psychologii UJ przy ul. Ingardena 6 w Krakowie. Wstęp wolny, nie wymaga rejestracji.

120.PSYCHOLOGIA.UJ.EDU.PL

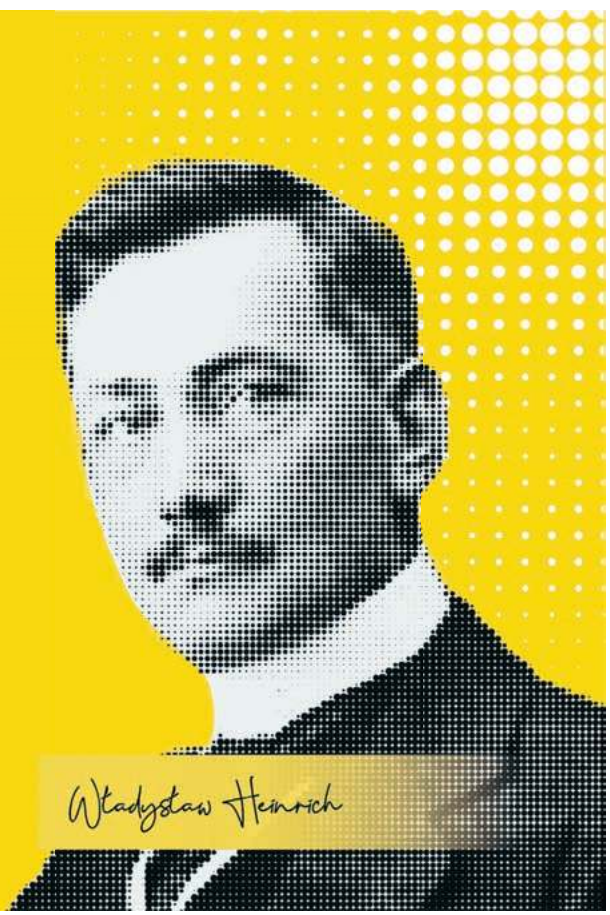

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE

550-lecie urodzin **MIKOŁAJA KOPERNIKA**
1473–2023

ŚWIATOWY KONGRES KOPERNIKAŃSKI

55 Copernicus

KRAKÓW
24-26 maja 2023 r.

Auditorium Maximum
Uniwersytetu Jagiellońskiego
ul. Krupnicza 33

WYKŁADY
PANELE
DYSKUSJE

sesja filozoficzna:
DZIEDZICTWO KOPERNIKAŃSKIE

sesja ekonomiczna:
WOKÓŁ PIENIĄDZA

WSTĘP WOLNY

do 4 października 2023 r.
Mikołaj Kopernik i Uniwersytet Jagielloński na krakowskich pocztówkach oraz na znaczkach pocztowych Polski i całego świata
Wystawa prezentująca m.in. ponad stuletnie pocztówki wydawane przez krakowski Salon Malarzy Polskich z wizerunkami budynków uniwersyteckich oraz pomnikiem Kopernika, znaczki pocztowe oraz koperty Pierwszego Dnia Obiegu z okolicznościowymi stemplami z wizerunkiem Kopernika wydawane zarówno w Polsce, jak i za granicą.
Muzeum UJ Collegium Maius, ul. Jagiellońska 15

do 16 czerwca 2023 r.
Wystawa Kopernikanów
Prezentacja najważniejszych eksponatów związanych z Mikołajem Kopernikiem, znajdujących się w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej, m.in. przechowywany w skarbcu rękopis dzieła "De revolutionibus orbium coelestium" i metryka Akademii Krakowskiej z wpisem Kopernika na listę studentów.
Biblioteka Jagiellońska, ul. Oleandry 3

OGŁOSZENIE WSPÓŁWYDAWCY

Szczegółowy program oraz wydarzenia towarzyszące są dostępne na stronie:

kopernik550.uj.edu.pl

ORGANIZATORZY: Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, Ministerstwo Edukacji i Nauki, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie, Instytut Historii Nauki im. Ludwika i Aleksandra Birkenmajerów Polskiej Akademii Nauk

Zadanie finansowane ze środków Ministra Edukacji i Nauki

PATRONAT HONOROWY PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY

PREZYDENT.PL

PARTNERZY CZĘŚCI KRAKOWSKIEJ KONGRESU: Kraków, MAŁOPOLSKA, AGH Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie, Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie

PATRONI MEDIALNI: TVP, pap, RMF, Dziennik Polski, Gazeta Krakowska, PAI, Historia.org.pl

ORGANIZATORZY:

Copernicus Center

Fundacja Tygodnika Powszechnego

Uniwersytet Jagielloński w Krakowie

Tygodnik Powszechny

PRZY WSPARCIU:

Uczelnia Badawcza – Inicjatywa Doskonałości

Kraków

Ministerstwo Edukacji i Nauki

Polskie Towarzystwo Reasekuracji – A Fairfax Company

Społeczna Odpowiedzialność Nauki

PARTNERZY:

AGH space systems

Akademia Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie 1818

Akademicki Inkubator Przedsiębiorczości UJ

Cafe Nauka UJ

Centrum Technologii Kosmicznych AGH

Centrum Edukacji Przyrodniczej Uniwersytetu Jagiellońskiego

Copernicus Center Press

Copernicus College

cricoteka

Instytucja Kultury Województwa Małopolskiego

Małopolska

ELZAP Meble Biurowe

kino mikro

Klaster Technologii Kosmicznych

kbf:

Kraków Miasto Literatury UNESCO

Mathematical Cognition and Learning Lab

Mądra Książka Roku 2023

MPK

Muzeum Inżynierii i Techniki

Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego

Obserwatorium Uniwersytetu Jagiellońskiego – Astronomiczne

FutureSoc – Priorytetowy Obszar Badawczy

POLSA – Polska Agencja Kosmiczna

RESTART

S-NET Grupa Toya

Centrum Solaris

VRStudio

PARTNERZY MEDIALNI:

Kraków Culture – Karnet

Książki

onet

RMF

RMF Classic

psychologia dla ciebie sens

TVP Kultura

zwierciadło

wyborcza.pl

Urania – Postępy Astronomii

Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa w ramach programu Ministra Edukacji i Nauki pod nazwą Copernicus Festival 2023: Kosmos, nr projektu SONP/SN/549957/2022 kwota dofinansowania 299 100 zł, całkowita wartość projektu 340 600 zł.
Projekt jest współfinansowany ze środków Miasta Kraków.
Copernicus Festival jest dofinansowany ze środków Programu Strategicznego Inicjatywa Doskonałości w Uniwersytecie Jagiellońskim.